28

WSPOMNIENIA

Z MOJEGO ŻYCIA.

NAPISAŁ

MICHAŁ BUDZYŃSKI

W 1860 ROKU.

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM II.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1880.

Ks. J. Wojcik.

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

SPIS RZECZY.

Rozdział.		Str.
I.	Przyjazd do Tulczy, narada z Kozakami, skutki téj narady. — Wyjazd do Galaczu i Jass	3
II.	Malta — Rzym od 1847 do połowy 1848 roku . . .	41
II.	Różne osoby bawiące w Rzymie w czasie ruchu Włoch 1848 roku	103
III.	Zapusty rzymskie. — Makolletti. — Inni ziomkowie w Rzymie. — Mój wyjazd do Liworno.	126
IV.	Wyjazd do Liworno. — Mickiewicz. — Odwiedzenie Rzymu. — Oficerowie polscy. — Wyjazd do Bolonii .	137
V.	Powrót do Paryża. — Okropna wiadomość od krewnéj mojéj. — Pożegnanie z bratem. — Nowe obowiązki dane mi od Księcia	191
VI.	Rok 1849. — Upadek sprawy włoskiéj. — Zwycięztwa Węgier i ich przegrana. — Przejścia brata mego Wincentego w czasie rewolucyi węgierskiéj i powrót jego do Paryża.	208
VII.	Przejazd granicy. — Kijów. — Sąd wojenny. — Grzeczność Bibikowa. — Powrót do mojéj rodziny	283
VIII.	Moje ożenienie	306

I.

Przyjazd do Tulczy. — Narada z Kozakami. — Skutki tej narady. — Wyjazd do Galaczu i Jass.

Z Ahmet beyem, Tatarem naszym, złożyłem listy gubernatorowi Babadahu Hassanowi od Husejna paszy, a ten dał mi od siebie *Teskiere*, to jest pasport do objażdżki po wsiach Kozaków nekrasowskich, którzy są pod jego jurysdykcyą. Hassan widać nie majętny, gubernatorstwo jego w ubogiéj prowincyi, nie przyjmował mnie z przepychem orjentalnym, nie było ani filiżaneczek z bogatemi podstawkami, ani bursztynów brylantowanych, ani makat w jego pomieszkaniu paradnych. Mata słomiana rozesłaną była na środku pokoju, a na niéj poduszki leżały. Przyjął mnie leżąc wygodnie i głaszcząc się po ogromnym brzuchu. Poduszka na macie, kawa z fusami i skromny cybuch antypkowy, oto wszystko z czem się wysadził na przyjęcie mnie.

Od Hassana zaraz pojechałem z Antonim Ilińskim do *Nowoho seła*, gdzie byli główniejsi ze starszyzny Nekrasowców. Ganczarowa nie zastałem, ale był Sitkarów, Ihnatiew, Kałbuszyn i kilku innych. Sitka-

rów wziął odemnie list Ojca Pawła, mnicha z Białokrynicy, i czytał go głośno, a wszyscy wyrazili, że z polecenia Ojca Pawła, oni mogą i chcą mówić ze mną o tem cokolwiek im proponować będę. Zaprosiłem, aby za trzy dni zebrali się do Tulczy za miasto, do dworku jednego mieszczanina, i aby chcieli przyjąć odemnie obiad, na którym przedstawię im rzeczy ku pożytkowi Nekrasowców i naszemu. Po téj naradzie, podano solone ryby i masę wódki, którą koleją do mnie spełniali, zmuszając mnie prawie do trzymania im towarzystwa. Iliński pił ogromnym sposobem, ja musiałem pić po trochu. Jemu nic nie szkodziło po dziesięciu szklankach, nie szumiało mu nawet w głowie, mnie po mniejszéj daleko ilości, pokazała się krew przez usta.

We trzy dni potem przygotowano u mnie obiad prosty, ale obfity i parę butelek szampańskiego, zamiast wódki, któréj było bardzo mało. Przyszło dwunastu Kozaków. Iliński asystował mi i popierał. Przed obiadem jeszcze ułożyliśmy następne punkta: Imieniem księcia Adama przyrzekłem wolne wyznanie wiary dla Starowierców w takiéj części Polski, jaką oni obiorą na osiedlenie się. Założenie biskupstwa pod opieką rządu naszego z wolnem prawem przedstawiania biskupowi potrzeb całego towarzystwa Kozaków. Za to Kozacy przyrzekali na pierwsze zawołanie nasze tysiąc konnych uzbroić i przyjąć oficerów polskich, a być gotowemi do wymarszu gdzie im będzie wskazano, jeźli tylko Porta na to zezwoli. Ten ostatni warunek łatwo mogliśmy przyjąć, bo mając znajomość z gubernatorami i podrzędnymi urzędnikami Porty, w razie danym, choćby Porta nie była gotowa, albo nie mogła otwarcie działać przeciw Rosyi, podrzędny dygnitarz za sto

rubli, wziąłby na siebie odczytanie ogłoszenia, przez które Porta jakoby pozwalała na wymarsz Kozaków.

Nie potrzebnemi na ten raz były owe przygotowania. Odebraliśmy byli polecenie zrobić powyższą umowę, bo jeszcze w Paryżu rozumiano, że ruch w Galicyi jest możebny, ale w tym czasie gdym ja przybył do Turcyi, nietylko wszelkie wrzenie umysłów ustało w Galicyi i w Krakowskiem, ale nawet główni agitatorowie towarzystwa demokratycznego, Teofil Wiszniewski i Kapuściński, odnieśli straszną karę przez powieszenie we Lwowie. Teofil Wiszniewski, ten sam co był więziony razem ze mną w kryminale lwowskim, dziś głównie podniósł ruch w Galicyi, a pochwycony został w Złoczowie w ubraniu duchownem, gdy nadziewał ornat na siebie i chciał Mszą odprawiać. Kapuściński w ruchu tarnowskim kazał rozstrzelać jakiegoś burmistrza. Ci dwaj skazani zostali na śmierć. Więzienia zapełniły się kilkuset obywatelami podejrzanymi, wytoczono i proces w Krakowie o zbrodnię stanu, gdzie sekretarz dawny kryminału lwowskiego, Zajączkowski, był wysłany na prowadzenie śledztwa. Umowa moja z Kozakami miała więc spoczywać spokojnie aż do przyjaznych okoliczności, a tymczasem ja sam wybrałem się dla spełnienia drugiéj części mego posłannictwa w Mołdawii, a potem w Wałachii.

Pospieszne działania w pierwszéj części poleceń moich z Kozakami, nie pozwoliło mi drugiéj dopełnić. Jakuszka, Nekrasowiec, niegdyś do starszyzny należący, a za zły charakter wydalony, skoro obaczył częste narady ze mną dawnych swoich kolegów, udał się do Suliny, zajmowanéj przez garnizon rosyjski, i doniósł, że wysłany od księcia polskiego, umawia się z Nekrasowcami o nowy bunt w Polsce. Wymienił wszystkich

Kozaków, którzy byli ze mną na obiedzie, nie mniéj Ilińskiego, którego za fałszywego mnicha podał. Ambasada rosyjska natychmiast została uwiadomioną przez komendanta Suliny, i w moc traktatu adryanopolskiego, dającego w jednym z punktów prawo dopominać się o ukaranie spiskowych jednego albo drugiego państwa; kawasy, czyli żandarmerya turecka pod przewództwem urzędnika ambasady rosyjskiéj, udali się naprzód do Tulczy, a potem do wsi Nekrasowców i przetrząsłszy wszystkie papiery, zabrawszy umowę ze mną zrobioną, uwięzili 12 Kozaków i Ilińskiego i uprowadzili do Carogrodu, gdzie w ścisłem zamknęli ich więzieniu. Ja nic o tem nie wiedząc, gdyż to się stało w połowie listopada 1846 roku, gdym już był w Jassach, nie przewidując tak groźnych skutków mojego spotkania i narady z Kozakami, wybierałem się do Galaczu i Mołdawii dla dopełnienia drugiéj części posłannictwa mojego.

Aby odebrać mój pasport, udałem się do gubernatora miejscowego, a po krótkiéj wizycie, gdym wracając przechodził dziedziniec, po raz pierwszy ujrzałem zwykłą u Turków policyjną karę wymierzaną w pięty. Byli tam dwaj Grecy przekonani o złodziejstwo i skazani na 200 uderzeń prętami w pięty. Warsztat na tę operacyą tak się urządza. Zawieszają linę grubą horyzontalnie na wysokość pół człowieka, uwiązują dwie nogi delinkwenta w tym sposobie, aby obie pięty sterczały do góry, cały zaś korpus puszczają na ziemię i winowajca leży połową ciała swego na ziemi, nogi, jego wzniesione w górę, a pięty wystawione na wszystkie pociski tak, że jeden raz chybnym być nie może. Tak przygotowanemu do kaźni, odliczają ilość kijów dekretem ajana, to jest gubernatora naznaczoną, i pu-

szczają potem, wcale nie troszcząc się o to, że napuchłe pięty nie pozwolą chodzić ukaranemu, i że musi odleżeć tydzień a często parę miesięcy nim puchlina stęchnie, nim nogą stąpić będzie mógł.

W dawniejszych czasach ta kara kijów spełniała się nietylko na piętach, ale i na brzuchu. Żołądek dopiero przez sułtana Mahmuda został uwolniony. Pięty pozostały, a nawet u wojskowych nie były wolne. — Przedstawienia europejskich instruktorów, przeniosły karę wojskowych na siedzenie, i dotąd aż do majora, każdy oficer za winę rozciągany bywa na stołku po studecku, i ten ma tylko przywiléj, że sami oficerowie wykonywują dekret, a niższego stopnia wojskowi, nie są przypuszczani do sali egzekucyjnéj. Kara śmierci u Turków ma najczęściéj miejsce na Armianach odstępcach, którzyby chcieli znowu na łono chrześciaństwa powrócić, i za fałszowanie albo kradzież monety cesarskiéj w mennicy. Zabójstwo pociąga karę tylko wtenczas, gdy krewni zabitego odstąpić od niéj nie chcą, i żadnym datkiem od krewnych obwinionego nie są ułagodzeni. Skoro oskarzyciele zgodzą się z winowajcą, ten natychmiast na wolność zostaje wypuszczony. Policya nawet w wyszukaniu zabójcy, zupełnie zostawioną jest krewnym zabitego. Na Dobrudży często leżą trupy niepogrzebane. Zdarza się, że brat albo krewny zgładzonéj ofiary, wynajduje ciało i zanosi do paszy albo ajana żądając sprawiedliwości, lecz zwykle taka bywa odpowiedź dygnitarza Porty: — „Przekonany jestem, że zabójstwo na bracie twoim zostało wykonane, bo trup o tem świadczy. Wynajdź teraz zabójcę, a podług przepisów na żądanie twoje będzie ukarany.“ Tak domierzana sprawiedliwość i taka niedbałość rządu w wyszukaniu winowajców, czynią nie-

podobnem trwanie tego państwa. Zachodnie mocarstwa wylewając krew i sypiąc miliardy na podparcie Turcyi, niewątpliwie źle zasłużyły się ludzkości. Czyliżby mędrzéj nie było rozebrać to państwo, zaprowadzić w krajach Wschodu prawa i cywilizacyą zgodną z ludzkością, a starać się nadwerężoną przez to równowagę sprostować, ustanawiając inne państwo, które mogłoby zobojętnić zbytnią przewagę tych mocarstw, któreby zwiększyły swoje obszary świeżemi na Turcyi nabytkami? Ale gabinety Francyi i Anglii nie przyszły jeszcze do poznania istotnego interesu Europy, w ich działaniach, przedewszystkiem przodkuje handel, korzyści kupców i bankierów. Bóg z nimi! Kiedyś miecz sprawiedliwości spadnie na gwałcących prawa ludzkości i tego Boga, który nie stworzył narody dla zabawy gabinetów.

Na statku parowym austryackim, który mnie zabrał z Tulczy do Galaczu, znajdował się między podróżnymi ksiądz Wiszniewski, wyższy nauczyciel seminaryum lwowskiego. Nie mógłem rozmawiać z nim po polsku, abym nie wydał narodowości mojéj. Ksiądz Wiszniewski po francuzku nie mówił, musiałem więc zebrać całą umiejętność mojéj niemczyzny i łamać język, aby z nim rozmawiać, a przy czekającéj nas siedmiodniowéj kwarantannie w Galaczu, chciałem zapewnić sobie poczciwego i miłego towarzysza. Za przyłądowaniem do tego pierwszego miasta w Mołdawii, zaraz rzeczy nasze, to jest moje i księdza Wiszniewskiego, zaniesiono do ciasnéj izdebki kwarantanny, gdzie razem mieliśmy siedm dni przebyć.

Jako Alzacczyk, a zatem niby Francuz, oświadczyłem księdzu Wiszniewskiemu moją sympatyą dla narodu polskiego, i tym sposobem nie podejrzanie roz-

pytywać go mógłem o ludzi i sprawy Galicyi. Okropny dał on mi obraz ostatnich wypadków po rewolucyi krakowskiéj, wywołanéj szalonemi głowami towarzystwa demokratycznego. Niejaki Szell, włościanin z rzeszowskiego cyrkułu, upoważniony od rządu austryackiego, przebiegał z kupami rozpasanych chłopów po dworach obywatelskich i wyrzynał wszystkich, którzy szlachtą się zwali, a często i bezbronne kobiety padały pod ich obuchami. Wyrznięto kilkanaście osób z familii Rejów, zgromadzonéj na zapusty u staruszki, krewnéj licznych członków téj rodziny. Katarskiego, bardzo ludzkiego dziedzica, zamordowano, a żonę jego, otyłą kobietę, zaprzężono do woza i kazano jéj wlec ciężar nad jéj siły, dopóki nie pękła. Adam Włyński, widząc zbliżającą się tłuszczę rozbójników, aby nie paść pod okrutnemi mękami, strzelił sobie w łeb z pistoletu za wyparciem bramy, którą dość długo bronił. Rudzki, szwagier Tyszkiewiczów, bronił się z lokajem w Kolbuszowie, i kilkunastu rabusiów trupem położył. Zginął Michał Sroczyński, szlachetny i uzdatniony młodzieniec, a dawniéj mój znajomy. W cyrkule tarnowskim i rzeszowskim, starostowie płacili dziesięć reńskich srebrem, to jest dwa dukaty za każdego przywiezionego przez chłopów trupa. Aby ułatwić obu stronom ten handel kannibalski, znalazł się przedsiębiorca, który pod rogatkami Rzeszowa, a drugi pod rogatkami Tarnowa, założył wielki sklep trupów. Nabywał zabitego szlachcica za 5, 6, 7 aż do 8 reńskich, a sam hurtownie po dziesięć odbierał od cyrkułu. Po skończonych rzeziach, przewódzca, uprzywilejowanych od rządu rozbójników, dostał medal srebrny za wierność cesarzowi, i z tą ozdobą jawił się do wszystkich urzędów cesarskich, jako z oznaką wielkiéj chwały i zasługi. Dano

mu grunt i chatę w czerniejowieckiem cyrkule, aby uniknął prześladowania na rodzinnem miejscu, ale nikczemnik dotknięty był biczem Bożym, dręczyło go sumienie, aż własną ręką powiesił się na gruszy swego dziedzictwa. W Paryżu wybito medale z napisami uwieczniającemi okrucieństwo téj rzezi, dokonanéj przez rząd, który się mienił ojcowskim. Na jednéj stronie medalu jest wyrznięta podwójna głowa z dokładnem podobieństwem Meternicha i Szella, jako dwóch sprawców, nie mającéj przykładu w dziejach zbrodni, ministra austryackiego, co bronił państwo rozbojami i uzbrajał podwładnych przeciw szlachcie polskiéj, a późniéj bezczelném kłamstwem manifestu swego, osłaniając się przed Europą, śmiał ogłaszać cały wypadek, jako zemstę włościan za doznawane jakoby uciemiężenia od obywateli. W Krakowskiem i Tarnowskiem, gdzie wrzała najokropniejsza rzeź, pola leżały odłogiem, bo wieśniak czekał gotowego pożywienia i nagrody od rządu za swoją wierność i za uwolnienie państwa od groźnego niebezpieczeństwa. Świeżo w Tarnopolskiem padł pod nożem niewiadomego zbójcy, hrabia Samuel Golejewski, w którego dłoniach zmartwiałych znaleziono spory kosmyk włosów — widać, że się bronił przeciw sile nie równéj. Zaczęte śledztwo przerwano na wyraźny rozkaz rządu i nie wiadomo, czy właśni, czy z okolicznych wsi chłopi pozbawili życia ze wszech miar godnego obywatela. To był przecież jedyny przykład morderstwa dokonanego przez chłopów na szlachcicu w ruskich cyrkułach Galicyi, czy to, że pierwsze zachęty rządu uderzyły na cyrkuły ludności polskiéj, czy że chłop ruski, stan swój konieczną pracą cierpliwiéj znosi.

Po kilku dniach pobytu mego w kwarantannie,

ksiądz Wiszniewski powiada mi jednego poranku: — „Wierzę, iż pan jesteś przyjacielem Polski, i że musiałeś znać wielu Polaków i obcować z nimi, bo dziś przez sen mówiłeś najwyraźniéj kilka słów po polsku.“ Przyszły mi na myśl wiersze Gustawa z Dziadów Mickiewicza: — „*Zrozumiałem, drzwi moje na zamek przywarłem.*“ Nieszczęściem, ja tego uczynić nie mógłem, bo kwarantannę w izbie spólnéj trzeba było dokończyć, a parę dni jeszcze zostawało. Aby jednak księdzu Wiszniewskiemu dać pewność o mojéj narodowości francuzkiéj, posłałem list, jaki mi dano do konsula francuzkiego, pana Duclos. Zaraz raczył konsul sam przybyć do mnie zachowując przepisy kwarantanny, i rozmawiając ze mną przeze drzwi. Z nim przyszedł sekretarz konsulatu pan Castaigne, którego ojciec, niegdyś nauczyciel francuzkiego języka w Polsce, wyniósł się z rodziną do Galaczu i umieścił dwóch synów swoich, jednego jako sekretarza przy konsulacie w Jassach, drugiego przy konsulacie galackim, a sam trudnił się pensyonatem panien mołdawskich. Pan Duclos prosił mnie w dzień wyjścia mego z kwarantanny na obiad. Z tymi dwoma panami przyszedł do mnie pan Władysław, którego konsul przedstawił mi jako Polaka. Przy wyjściu mojem z kwarantanny, pan Władysław zaprosił księdza Wiszniewskiego i mnie na obiad do ziomka swego Tretera, oznajmując nam, że obiad u konsula dopiero będzie za dwa dni, i że on proszony jest, aby mnie o tem zawiadomić. Ten pan Treter, Galicyanin, pokazał się być bratem p. Tretera z Wołynia, który był guwernerem przy krewnym moim Aleksandrze Budzyńskim. Znana mi uczciwość brata, ośmieliła do odkrycia się mu, trzeba mi było bowiem wyjeżdżać do Jass, a zostawić koniecznie kogoś w Galaczu dla

przesyłania moich korespondencyi statkiem parowym pod adresem pana Cor, drogmana ambasady francuzkiéj, do Michała Czajkowskiego, i tąż drogą dla odbierania w Jassach poleceń księcia. Obiecałem panu Treterowi sto dukatów rocznie z warunkiem, aby nie oddalał się z Galaczu i dałem instrukcyą następującą: 1) Pan Treter przysyłać będzie korespondencye moje do Stambułu pod wskazanym adresem, a odbierane ztamtąd odsyłać mi będzie do Jass pod adresem braci Bohuszów, kupców, których mi sam wskazał jako ludzi prawych; 2) ze swéj strony każdym statkiem parowym prześle p. Czajkowskiemu wiadomości bieżące z Galaczu o sporach bojarów z ich księciem, o usposobieniu ich dla Porty i o intrygach agentów rosyjskich; 3) będzie starał się dowiedzieć, czy Polacy nie projektują jakiéj wyprawy na Galicyą, i będzie o ile możności odwodził ziomków od tak szalonego kroku wskazując, że głównym naszym nieprzyjacielem jest Rosya, i że gdyby nam się udało jakim sposobem najsilniejszego w niéj wroga pokonać, łatwiejsza będzie sprawa z drugimi. Na téj instrukcyi podpisałem się Michał Dombrowa B. i odjechałem do Jass, wziąwszy od Władysława, który się nazywał, jak mi mówił, Poniatowski z Wołynia, list do Jass do p. Ajwasa i w Bołkunach do p. Podhajskiego, którzy, podług jego zapewnienia, będą mi służyć radą i pomocą. Oprócz tych listów, miałem list Czajkowskiego od dawno znajomego mu pana Korandyni, literata, i list pana Cor, drogmana, do konsula francuzkiego w Jassach, pana Kodrygo. Pan Duclos, u którego byłem na obiedzie, wziął mnie szczerem sercem za Alzacczyka, szukającego handlowych zarobków w Jassach, i jako współziomkowi doradzał ostrożność, abym nie stracił. Pan Castaigne, ojciec, opowiadał mi

o bojarach mołdawskich bardzo niekorzystnie i w taki sposób, żem widział, iż moja misya powinna długo potrwać, zanimby mogła pożądane przynieść owoce.

Przybywszy do Jass, poszedłem zaraz do p. Ajwasa trzymającego pensyonat młodych synów szlachty mołdawskiéj, a z nim do dwóch braci Boguszów, właścicieli pysznego magazynu galanteryjnych, wszelkiego rodzaju towarów. Wszyscy ci panowie bardzo się obawiali wysłańców towarzystwa demokratycznego, a jednak pod przeważnym ich wpływem, długi czas zostawali. Panowie Boguszowie radzi byli, że znalazł się ktoś przecie, który im mówi o księciu Adamie i nie był zadowolony z działań agentów towarzystwa demokratycznego. Zapoznałem się zaraz z p. Konradynim, od którego najsmutniejszy powziąłem obraz społeczeństwa szlachty mołdawskiéj i księcia. Zepsucie panowało w całéj warstwie, każdy urząd kupiony u ministra, minister opłacał się księciu. Książę, najniższy służalec pana Kotzebue, konsula rosyjskiego. Co więcéj, konsul francuzki najściślej z konsulem rosyjskim związany. Pan Codrigo był synem Greka, będącego niegdyś drogmanem poselstwa rosyjskiego w Stambule. W roku 1810 przedał on papiery marszałkowi Sebestyani, posłowi Napoleona, i za to syn jego urodzony we Francyi, posuwany był w karyerze dyplomatycznéj. Sercem swojem został Grekiem, a zatem i Moskalem. Francya więc smutnie była reprezentowaną w Mołdawii. Oba księstwa ustawą konstytucyjną miały sejmy, ale od dziesięciu przeszło lat sejm się nie zbierał, bo od kiedy jeden z prawych bojarów, Balsz, wystąpił przeciw nadużyciom Hospodara Sturdży, przedajności księcia i jego ministrów, a w skutek tego ściągnął na siebie prześladowanie i hospodara i konsula rosyjskiego, już boja-

rowie mniéj dbali o sejmy, gdzie swobodnie głosu podnieść nie można było. Przechodziły więc narady prywatne, gdzie bojarowie przemyśliwali sposoby zaskarżenia księcia; książę zaś naradzał się z ministrami, jak największe zyski ze szlachty wyciągnąć. Konsul francuzki był obojętny. Angielskiemu chodziło o to, aby w Galaczu najtaniéj zakupić kukurudzę, a najdrożéj przedawać wyroby W. Brytanii, konsulowie zaś Rosyi i Austryi mieli, czego chciały ich dwory, ciągłe zatargi księcia z obywatelami i bezwładność tych ostatnich. Bojarowie skoro uradzili jakąś skargę do konsula rosyjskiego, która zwykle kończyła się kilku słowami grzecznemi hospodara i obiadem wydanym na zgodę, już jakiś czas byli spokojni i zabawiali się między sobą zjadaniem konfitur, paleniem, a raczéj wciąganiem we wnętrzności mocnego dymu tytoniowego i graniem w stosa, grę, którą namiętnie lubili i zgrywali się do ostatniego dukata. Wielu chciałoby grać i na kredkę, przegrywać nieruchome majątki, ale że ich pochodzenie z ręki do ręki wymagało długiéj procedury, opartéj na dwuznacznych artykułach prawa, a każdy bojar czuje się wysokich przymiotów umysłu gdy drugiego oszuka, nikt przeto nie grał inaczéj, jak na gotowe pieniądze i zwykle pokazywano drzwi temu, kto gotówkę swoją już przegrał. Młodzież jednakże wracająca ze szkół francuzkich, czuła poniżenie swojéj ojczyzny, i wiązała się w tym celu, aby ów stan opłakany przemienić. Byli między bojarami ludzie ruchu i energii, a mianowicie dwóch Moruzych, Raleti, Balszowie. Ci jednak, aby uniknąć intryg i frymarków stolicy, zamknęli się w dobrach swoich. Umyśliłem uderzyć na tych ludzi, zwrócić ich umysły, aby poprawę rządu przedsięwzięli za pomocą Porty i zapewnić, że będą mieli poparcie

ambasadora francuzkiego, p. Bourqueney. Pan Konradyni radził mi, aby przeczekać czas hucznych zabaw, i w poście dopiero udać się na wieś, aby zapoznać się i rozpocząć robotę z energiczniejszymi. Widziałem, że trzeba cierpliwości, a tymczasem groźne dla mnie rozwinęły się wypadki, które udaremniły całą moją wyprawę do Mołdawii.

Po zdaniu mojego raportu księciu Adamowi na ręce Czajkowskiego o powyższym smutnym stanie Mołdawii, odebrałem przez Tretera list głównego agenta na Wschodzie, który mnie zawiadomił, że dwunastu Kozaków nekrasowskich i Iliński uwięzieni są w Stambule, i że poseł rosyjski żąda zatrzymania ich, aż dopóki nie będzie stawiony im na oczy główny sprawca podżegania do buntu przeciw Rosyi pan Baer czyli Budzyński. Poseł ten zaręczał, że bierze na siebie dostawienie mnie do Carogrodu najdaléj we trzy miesiące. Z drugiéj strony, Ajwas i Konradyni zawiadomili mnie, że policya na żądanie konsulów rosyjskiego i austryackiego robi czynne poszukiwania, aby mnie pochwycić. Trzeba więc było z Jass wyjechać. Udaję się do p. Kodrygo, konsula francuzkiego, aby uzyskać nowy pasport. Szczęściem pan Costaigne, sekretarz, przestrzegł mnie, abym do p. Kodrygo nie jawił się, gdyż ten zagniewany jest na mnie i może mnie wydać konsulowi rosyjskiemu. Przemyśliwałem nad sposobem wymknienia się na wieś, aby tam spokojnie oczekiwać sposobności powrotu do Carogrodu. Szło mi tylko o widzenie się z mnichami starowierskimi O. O. Pawłem i Olimpim. Wysłałem więc do nich, aby przybyli nad granicę między Mołdawią a Bukowiną, i z młodym pomocnikiem sklepu Boguszów, p. Nowickim z Galicyi, pojechałem do Michalenek, gdzie była komora gra-

niczna austryacka. Pierwszy raz jechałem pocztą mołdawską. Rosyanie zapewne w częstych swoich inkursyach do Mołdawii i Wałachii, wprowadzili szybkość poczt swoich, lecz naśladowcy mało dbali, nie zwrócili uwagi na moc uprzęży. Proste sznury narzucają na konie, przygotowane zakładają kluczki do dyszla i do dwóch orczyków nie ściągając dobrze postronka, i dla tego często się zdarza, iż pocztylion w pędzie koni nie postrzeże, jak te kluczki zlatują i bryczka albo sanie zostają z podróżnym na drodze, a konie odlatują same. Dziękowałem wypadkowi, że ze mną tak się nie stało. Na komorze zastałem już Ojca Pawła, który prosił nadzorcy granicy austryackiéj, aby mu pozwolił widzieć się z kupcem wina, z którym klasztor chce zawrzeć stosunki handlowe. Tym sposobem, przez kratkowane okno, spotkaliśmy się na granicy dwóch krajów. Ojciec Paweł już miał wiadomość o uwięzionych dwunastu Kozakach, zapewnił mnie jednak, że łotrostwo Jakuszki nie przyniesie żadnéj szkody, byle Bóg pozwolił mnie się ochronić. Wyraził powtórnie wdzięczność za biskupa, ale kłopotał się tem, że Meternich nie każe jeszcze biskupowi występować. Nadto uwiadomił mnie o aresztowaniu dwóch młodych kupców rosyjskich z Moskwy, a to z takiego powodu: Młodzież starowierska w Rosyi nieposiadając się z radości na wiadomość o mającym się instalować biskupie, deputowała dwóch najbogatszych synów mieszczaństwa starowierskiego, aby osobiście pojechali złożyć Czajkowskiemu oświadczenie, iż wszyscy Starowiercy Rosyi gotowi są spełnić rozkazy księcia Adama, choćby buntem przeciw carowi, aby odwdzięczyć się za zbawienie dusz kilku milionów Starowierców, będących pod interdyktem swojéj wiary. Przyjechali do Galaczu bez pas-

portów, a tam jawiąc się w konsulacie austryackim, żądali pozwolenia przejazdu na statku austryackim, aby złożyć podziękowanie Polakom za dostarczenie im biskupa. Konsul austryacki, na ten wyraz podziękowanie Polakom, zatrzymał ich i pod wartą odesłał do Czerniowiec dla zrobienia ścisłéj indagacyi. Dowiedziałem się późniéj, że mnichy z Białokrynicy, staraniem swojem i datkiem urzędnikowi cyrkularnemu, wykradli w nocy tych dwóch wysłanników kupiectwa, i odesłali ich bezpiecznie do Moskwy. Poleciłem mnichom, aby pod pozorem kwesty objechali po wsiach obywateli Galicyi, i starali się zalecić im od nas, iżby do żadnych ruchów dziś gotujących się, a podobnych krakowskiemu, nie mieszali się ale raczéj, aby byli w gotowości na mogący dojść do nich rozkaz księcia Adama, który pewnie nie zechce lekkomyślnie ich osoby i majątki na sztych wystawiać. Po powrocie moim do Jass, wyprawiłem raport do Czajkowskiego o widzeniu się z mnichami z onajmieniem, że wyjadę na wieś, prosiłem go razem, aby mi przysłano instrukcye nowe, gdyż w dzisiejszem skompromitowaniu się sprawą Kozaków, jestem prawie bezużyteczny, jednak dodałem, że wszelkich usilności dołożę, aby na wsi choć parę miesięcy utrzymać się.

Ajwas był badany przez konsulat austryacki, i nędznik tak się przeląkł, że dał mój rysopis najdokładniejszy z dodaniem nawet, że ogryzam paznokcie, a więc i po rękach mogę być poznany. Boguszowie mieli także zadawane sobie pytania o mnie, dwa razy przychodzono do hotelu, w którym stałem początkowo, jak mi opowiedziano za powrotem moim. Niespokojny, choć się późno pokładłem, zbudziłem się bardzo rano przemyśliwając o sposobie wymknienia się z Jass. — O godzinie 4 z rana, a było to dnia 12 grudnia 1846

roku, ktoś mocno wali we drzwi moje. Zerwałem się, a schwyciwszy dwie krucice nabite idę otworzyć. Poczciwa a nieznana mi fizyognomia ukazuje się we drzwiach i pyta, czy ja jestem p. Baer? Skorom go wprowadził do mego pokoju, odezwał się do mnie: — „Panie, nie wiem kto jesteś, ale zdjęty ludzkością i współczuciem dla sprawy, która musi być szlachetna, jak miarkuję po nieprzyjaciołach twoich, przychodzę tu ostrzedz, abyś myślał o rychłéj ucieczce, bo grozi więzienie.“ — „Jakimże sposobem, zapytałem, to uwięzienie może nastąpić? Ja jestem poddany francuzki, a mój pasport zasłania mnie od wszelkich nadużyć.“ — „Nie wiem kto pan jesteś i nie pytam się, ja, jako Mołdawianin, pracuję w kancelaryi konsulatu austryackiego i wiem, że konsul rosyjski razem z konsulem austryackim byli wczoraj u hospodara i zażądali wydania pana, to jest Michała Baera, który podżega populacye tureckie do uderzenia na Rosyą. Przelękły hospodar zawezwał ministra policyi, pana Gikę, i rozkazał przygotować Kozaków mołdawskich, i wskazanego mu przez urzędników konsulatu bądź rosyjskiego, bądź austryackiego, zatrzymać i oddać im do rozporządzenia. Dopełniłem obowiązku sumienia mego, do pana należy postąpić sobie, jak mu się zdawać będzie, ale uprzedzam, że nie daléj jak dziś, zostaniesz pan zatrzymany.“ Ścisnąłem za rękę nieznajomego wybawcę i udałem się zaraz do Boguszów, aby mnie mogli przez rogatki przeprowadzić, gdzie był rozkaz zatrzymać i badać podróżnych. Znajdowałem się nawet w wielkiéj potrzebie pieniędzy, bo prócz dwóch dukatów nic już nie zostało. Pan Bogusz natychmiast pożyczył mi dziesięć dukatów, i taką dał radę: — „Niech pan jedzie do Sadkowy, jest to wieś pod Galaczem, którąśmy na

dziedzictwo kupili. Jest tam rządzca Polak, do którego dam panu list, jako mechanikowi do postawienia wietrznego młyna. On wszystko urządzi w ten sposób, że pan przesiedzisz u nas, nim Dunaj rozpuści, nim zaczną chodzić statki po rzece. Aby zaś przejechać przez rogatki, weź fiakra zaraz i dojedź do pana Godlewskiego doktora, który ztąd o milę ma zakład kąpieli zimnych wód. Jutro nasz pomocnik, p. Nowicki, zabierze pańskie rzeczy, i przyjedzie furmanem najętym, który go dowiezie aż do wsi naszéj. Aby zaś wszelki pozór zatrzeć, przeniesie się na pańską kwaterę, i w czasie zjawienia się policyantów oświadczy, iż to on stał na téj kwaterze od dwóch miesięcy, a będąc poddanym austryackim potrafi sprawić się z konsulatem.“ Z serdeczną wdzięcznością uściskałem rękę temu szlachetnemu ziomkowi i dziś zapisuję z rozczuleniem nazwisko jego, jako zbawcy prawdziwego, bo bez jego rady i pomocy, zapewne nie byłbym już między żyjącymi.

Doktor Godlewski, do którego fiakrem szczęśliwie zajechałem, był to dawny uczeń uniwersytetu wileńskiego z oddziału medycznego, wzięty do niewoli w czasie powstania 1831 roku, skazany został w proste sałdaty i oddany na majtka do floty stojącéj przy Kronstacie, na któréj sprawował obowiązki chirurga. Szczęśliwie umknąwszy ztamtąd, dostał się do Jass, gdzie u doktora Niemca udało mu się umieścić za pomocnika przy zakładzie kuracyi wodnéj pod Jassami. Doktor był posiadaczem pięknego folwarku z ogrodem, fontaną, prisznicą i trzema domami, mogącemi pomieścić do trzydziestu chorych. Przy śmierci swojéj zapisał Godlewskiemu całe mienie, z warunkiem jednak, aby się ożenił z klucznicą jego, która doglądywała Niemca.

Wprawdzie klucznica była Polką, ale też tę jednę posiadała zaletę. Biedny Godlewski przebywszy lata surowéj karności na okręcie rosyjskim, a potem niedostatku i tułactwa, tu odważył się doświadczyć czy dotkliwsze pałki moskiewskie i głód, czy też wyszczekany język klucznicy, niczem nie różniący się od wsławionych języków przekupek warszawskich. Nie wiem jaki wyprowadził wniosek z doświadczenia, ale od dwóch lat trzymali się z sobą, a domy zapisane zawsze były zapełnione pacyentami szukającymi jego pomocy. Poszukiwania za mną dotąd nie było, ale ja nie czekając długo puściłem się do Sadkowy, wsi Boguszów, aby tam stawiać wiatrak, a chronić się przed nieodzownem i pewnie ścisłem poszukiwaniem. Jeżeli u nas smutny jest los podróżnego z domami gościnnemi po drogach, stokroć opłakańszy w Mołdawii, gdzie karczmy, zajmowane jak u nas przez Żydów, po większéj części budowane są w ziemi i sterczące tylko dachem nad poziom. Wewnątrz rzadko kiedy dostać można chleba, zwykła tylko strawa Żydów cebula i czosnek mogły się znaleść w obfitości, i taki był mój posiłek wieczorem, gdy dla spóźnionéj pory i nocy ciemnéj, nie mógłem jednego dnia stanąć we wsi Boguszów. Nazajutrz dopiero o godzinie 8 z rana stanąwszy na miejscu, przyjęty byłem przez pana Hryniewicza, rządzcę Boguszów, a dawnego oficera polskiego.

Muszę tu nadmienić, że w Jassach spotkałem u Ajwasa, agenta towarzystwa demokratycznego, pana Filanowicza, który na téj poście zajął miejsce powieszonego Teofila Wiszniewskiego. Na ziemi neutralnéj przystąpiłem do niego, i w te odezwałem się słowa: — „Jesteśmy daleko od emigracyi, gdzie członkowie stronnictw rozmaitych, nietylko przeciwnemi idą dro-

gami, pragnąc zawsze jednego, to jest Polski, ale jeszcze unikają siebie. Otóż dziś daleko od emigracyi, gdzie synowie jednéj matki zgodzić się nie mogą, a blizko kraju, dla którego pracujemy, lubo z odmiennemi zasadami, powinniśmy połączyć nasze prace, aby te pożądany owoc wydały. Przyjdzie czas, że kraj rozsądzi czy wasze zasady republikańskie, czy nasze monarchiczno-konstytycyjne są zbawienniejsze dla niego, my połączmy usiłowania nasze przynajmniéj w tem, co bezpośrednio wpłynąć może do pożytku naszéj ojczyzny.“ Filanowicz tak mi odpowiedział: — „Gdybym nie był pewnym, że poczciwą masz duszę, jakkolwiek serce zwiedzione, odwróciłbym się od ciebie i mówićbym nawet nie chciał, ale że wiem, iż chęci twoje są szczere, jakkolwiek na zgubnéj stoisz drodze, przeto ci odpowiem: Lepiéj Polsce być, jak ona jest dziś pod trzema wrogami, niż być monarchiczną i widzieć synów swoich rozlewających krew na łonie matki niepodległéj. Co do mnie, jakkolwiek stęskniony jestem za ojczyzną, powiadam ci z pełną prawdą, że choćbym ujrzał rozwinięte szeregi narodowe i powiewające polskie chorągwie z godłem korony, kroku bym nie zrobił, aby się z temi szeregami połączyć i poświęcić moje życie pod chorągwiami ucisku.“ Po tych słowach oddaliliśmy się od siebie, on dla fałszywéj zasady swojéj, ja przejęty zgrozą, że są jeszcze w Polsce ziomkowie moi, którzy nadstawiają ucha tak przewrotnym ludziom, u których zasady demokratyczne górę biorą w sercu nad miłością ojczyzny. Żadnéj uwagi nie zamieszczę w pamiętniku moim nad tem odezwaniem się p. Filonowicza, agenta towarzystwa demokratycznego, bo i jedna byłaby zbyteczną. Ten kto uznałby słuszność na jego stronie, niegodny abym go dla sprawy zyskiwał. Nam idzie

o zgromadzenie ludzi przedewszystkiem kochających Polskę, a ci, którym są droższe jakiekolwiek zasady nad ojczyznę, wstąpieniem swojem w szeregi pracujących dla kraju, raczejby szkodę niż pożytek przynieśli.

Krótki był pobyt mój w Sadkowy; czwartego dnia przybyła sztafeta pod okna dworku i przywiozła do Hryniewicza list następującéj treści: „Architekt przysłany przez nas, niech jak najprędzéj gdzieindziéj roboty sobie szuka, jego nieumiejętność w sztuce może w bardzo prędkim czasie narazić i nas i jego samego na straty nieodwrotne. Bogusz.“ Wyraźnem to było, że nowy mój pobyt odkryto, i że spiesznie należy daléj odjeżdżać. Rano więc pojechałem naprzód do Galaczu i przedstawiłem się panu Duklos, konsulowi francuskiemu. Objawiłem mu otwarcie moje położenie i prosiłem o *Carte du sejour* pod innem nazwiskiem. Pan Duklos kazał wygotować dla mnie kartę pobytu pod nazwiskiem Augusta Dumont, a nadto dał mi list swój i drugi pana Castaigne do bojara Bazylego Sturdży w Rykaczunach, pod Bakowem, przedstawiając mnie na guwernera do dzieci jego, jako Francuza i posiadającego nauki potrzebne dla synów. Listy były pełne pochwał dla mnie, a pan Duklos opisał mi bojara Sturdżę, jako bardzo godnego człowieka, któremu mogę zaufać. Za powrotem moim do Sadkowy, tak rozebrałem moje położenie i dalszy sposób postępowania: Jak tylko ambasada rosyjska nie dopuszcza wyzwolić uwięzionych Kozaków, żądają ich zatrzymania i obiecując postawienie mnie na naoczne świadki, tu więc konsulat dołoży wszelkiego starania, aby mnie schwycić, a hospodar, wierny sługa Rosyi, dostarczy mu wszystkich sił i pomocy. Odkrycie pobytu mego we wsi Boguszów, nastąpiło nie mylnie przez powracającego żyda,

i dziś jeszcze będą mnie szukać, śledząc, wracające furmanki, które mnie odwoziły. Wróciwszy z Galaczu do Sadkowy zastałem Władysława, bardzo chętnego dla mnie, chociaż był ślepym demokratą. Uwiadomił on mnie, że urzędnicy konsulatów rosyjskiego i austryackiego w Jassach, z oddziałem siły miejskiéj nie znalazłszy mnie w zajmowanéj stancyi, zatrzymali Nowickiego, który jako poddany austryacki, dostał się zaraz w ciężkie obroty na rozkaz konsula. Gdy badany kilkakrotnie o mój pobyt nic nie chciał powiedzieć, bito go i przez dwa dni wyliczono mu już austryackie *fünf und zwanzig* (25). Biedny młodzieniec, po téj chłoście przysłał do Boguszów prosząc, aby miejsce pobytu mojego zmienili, bo on sam nie wie co dalsze katownia mogą z niego wyciągnąć, a nie chciałby, aby jego słabość mnie zgubiła. Wtenczas to Boguszowie wysłali sztafetę. Władysław zbliżył się do mnie serdecznie i wyznał, że główny agent towarzystwa demokratycznego, Filanowicz, wyłączył go ze związku za to, iż był mi pomocny w działaniach moich. Poczciwy młodzieniec sądził się skarany, jakby na powieszenie. — Korzystając z jego położenia przedstawiłem mu, jak na fałszywéj są drodze i on i ci wszyscy, którzy dla dogodzenia urojonym zasadom, karzą uczciwego człowieka za pomoc daną współziomkowi w sprawie wspólnéj ojczyzny. Nazajutrz o 5 z rana, przygotowano mi jednego konika z małemi sankami, opowiedziano mi drogę do Rykaczun na Botaszany, gdzie Żydki wskazywać mi będą od karczmy do karczmy kierunek mojéj podróży. Pożegnałem serdecznie Władysława i Hryniewicza. Pani Hryniewiczowa wyszła pożegnać mnie z zapasami podróżnemi i wypraną przez noc bielizną. Była to uboga pensyonarka Sióstr miłosierdzia we

Lwowie, które wychowują ubogie panienki ze zbieranych składek, i potem los im obmyślają. Pan Hryniewicz dostawszy posadę rządzcy u Boguszów, z wygodami i sto dukatów pensyi, pisał do przełożonéj Sióstr miłosierdzia we Lwowie prosząc ją, aby mu przysłała jednę ze swoich wychowanek na żonę. Opisał jéj swoje położenie, jako emigranta, a zatem niemożność udania się w kraje austryackie, i przedstawił obywatela znajomego sobie, u którego przełożona może powziąć wiadomość o nim, co do jego charakteru i prowadzenia się. We trzy miesiące po napisaniu listu, przybyła panna Katarzyna do Boguszów z listem panny starszéj. W tydzień skończono wyprawę i wesele, a trzy lat pożycia dały Hryniewiczowi rękojmią szczęścia na dalszy ciąg życia. Co do mnie, przypasy na drogę i jednéj nocy wyprana i wyprasowana bielizna zapewniły mnie, że i w gospodarstwie wychowanka panien miłosiernych, nie małą będzie pomocą mojemu ziomkowi.

Wyjechałem po 5 z rana bez futra i nawet lekko oddziany, bo w płaszczu przywiezionym z Francyi i w burce kupionéj na drogę, a było mrozu stopni dwadzieścia. Po całodziennéj podróży zajechałem w Batuszanach do Żyda, czując się przeziębłym i prawie bez sił. Kazałem gospodarzowi wyprządz i wygodnie umieścić konia, a żydówce zaparzyć dla mnie mocnéj mięty, po któréj napiciu się wlazłem w bebechy żydowskie i przespałem dziesięć godzin nie zbudziwszy się. Nazajutrz o godzinie 10 z rana, puściłem się w dalszą podróż. Treter już mnie czekał w Rykaczunach w gorzelni, którą zawiadował pan Sadowski, Polak, będący pod protekcyą konsulatu pruskiego. On mnie zawiadomił, że bojar Bazyli Sturdżi mieszka w Bakowie przez zimę, i że trzeba jechać aż do niego, bo

na wsi nie doczekałbym się gospodarza. Wyuczył mnie kilku słów mołdawskich dla zameldowania się przez służących, aby mnie dopuścili do bojara: *Am ramasz pentru bojaru*, mam list do bojara; oto są słowa, które zaniesione do Bazylego Sturdży, otworzyły mi drzwi jego pokojów. Bojar tuszy znamienitéj, lubo lat nie więcéj jak trzydziestu, z potężnym cybuchem, owijał się kłębami dymu, bardzo mocnego tytoniu. Poważnie przeczytał listy, i tak się odezwał do mnie po francuzku: — „Tak piękne polecenie, jakie pan przywozisz, każą tem bardziéj nad mojem smutnem położeniem ubolewać. Żądałem nauczyciela Francuza do moich synów, na nieszczęście przysłano mi Niemca, którego jednak do roku dotrzymać muszę, ale ja będę się starał umieścić pana jeśli nie u siebie, to u przyjaciół moich, chciéj tylko z miesiąc zaczekać.“ Wtenczas wyznałem bojarowi całą prawdę mego położenia, że uciekłem się do tego sposobu, aby uzyskać w jego domu schronienie do otwarcia żeglugi na Dunaju, gdyż ścigany jestem przez konsulaty rosyjski i austryacki. Pan Sturdża na to moje odkrycie, wziął mnie przyjaźnie za rękę i rzekł: — „Z największą radością proszę pana, abyś mój dom przyjął. Obowiązkiem jest uciśnionych ratować, że jednak w Bakowie, jako w mieście, mógłbyś pan być wyśledzony, wracaj do Rykaczun, zabaw do jutra w gorzelni u ziomka swego, p. Sadowskiego, a ja za 24 godzin przyjadę do wsi mojéj i zainstaluję cię we dworze w ten sposób, abyś tam spokojnie przebywał, dopóki uważać to będziesz za potrzebę dla swego bezpieczeństwa.“

Nazajutrz o godzinie południowéj, zaszły przed gorzelnią sanie i proszono mnie od bojara do dworu.

Treter zabrał konia, którym przyjechałem i wrócił do Galaczu, wziąwszy listy moje do Czajkowskiego.

Po lekkiem śniadaniu, przepędziliśmy z panem Bazylim Sturdżą kilka godzin na rozmowie o polityce. Wystawiałem mu stan obecny Europy, a zwracając się do jego kraju i do nadziei, jaką mieć może na przyszłość, zrobiłem uwagę, że pod protekcyą Porty słabéj i gnębionéj przewagą Rosyi, łatwo będzie Mołdawii i Wołoszczyznie wyrobić pewne ulepszenia, konieczne do urządzenia się administracyjnego i do umocnienia sił swoich. Zapewniłem go, że w tych usiłowaniach wspierać ich będzie Francya i Anglia zapewne, bo tym mocarstwom idzie bardzo o to, aby Turcyi rozwiązać ręce i uwolnić ją na drodze spokojnéj od cisnącego ją traktatu adryanopolskiego, a o postawienie Mołdawii i Wałachii, jako przedmurza ku osłonie Turcyi od napadów czy to Rosyi, czy to Austryi, jak dziś przedmurzem Francyi jest Belgia. Pan Sturdżi uznał słuszność mego rezonowania, ale zwykłym Mołdawianom charakterem biernym, przedstawiał niepodobieństwo przyprowadzenia do skutku niezbędnych przemian i obudzenia dobréj chęci bojarów, a szczególniéj hospodara, który nie myśli jak tylko o zbieraniu zasobów pieniężnych i o zapewnieniu sobie zbytkowego życia za granicą, jeśli przyjdzie na niego koléj utracić hospodarstwo, jak to się stało nieprzewidzianym sposobem z jego poprzednikiem. Ta polityczna rozmowa trwała aż do wieczerzy, ale widać podobała się panu Sturdżi, bo uściskał mnie i przepraszał, że nie znając mnie tak, jak teraz poznał, nie oddał mi należnéj grzeczności. Przy wieczerzy skinął na służącego, który półmisek obnosił, aby zaczynał odemnie. Domyśliłem się wtenczas, co rozumiał gospodarz w nieoddaniu należnéj mi

gościnności, bo w ciągu śniadania wszystkie półmiski zaczynano od niego, podawano potem staréj kobiecie, jakiejś wysłużonej przy żonie pana Sturdżi, następnie sekretarzowi jego, a na końcu mnie. Ta przemiana, widziałem, że zdziwiła i współbiesiadników i służących. Zdziwienie to zwiększyło się zapewne nazajutrz, gdy pan Sturdżi zaprowadził mnie do swojéj biblioteki i oddał klucz do niéj w moje ręce, i w te im polecił mnie słowa: — „Francuz pan Dumont, zapewne będzie guwernerem przy moich synach, ale dopóki nie znajdę umieszczenia guwernerowi, którego mam obecnie, chcę aby ten bawił u mnie na wsi. Polecam panom, aby nietylko wszystkie należne względy, tak jak mnie samemu, były mu oddawane, ale aby na jego rozkaz podawano bądź konia, bądź zaprzężone sanki dla przejazdek.“ Takie wydawszy polecenia, pożegnał mnie pan Sturdżi z całą serdecznością, a ja zostawszy sam jeden obejrzałem zaraz bibliotekę. Wprawdzie po większéj części składała się ona z nowych romansów Dumasa, Sue i innych blagerów francuzkich, ale miała także znaczny zbiór klassyków w tymże języku, i wybrałem sobie zaraz Bufona, którego dotąd czytałem w ułomkach tylko. Pyszna rozprawa poczynająca dzieło pod napisem *Człowiek*, zajęła mnie mocno i nie mało przyczyniła się do rozpędzenia nudów moich, bo w istocie w tych dniach zimowych na wsi, bez znajomości sąsiedztwa, odsiadywałem niejako więzienie, za skore i nierozważne działania moje z Kozakami, gdzie należało wolniéj poczynać, i tak wielką liczbę ludzi nie przypuszczać do tajemnic. Spacery konne krzepiły moje siły i tyle miałem korzyści, żem w sobie poczuł czerstwość zdrowia.

W kilka dni potem, pan Sturdżi przybył do mnie

z listem we francuzkim języku, pisanym anonime do niego, a mnie mocno dotyczącym Oto treść jego: — „Monsieur, je sais qu'un gentilhomme polonais, persécuté par les consulats russe et autrichien, a trouvé un refuge chez vous; comme je ne doute pas, que vous vous interessez à lui, je m'empresse de vous avertir, qu'il est fortement compromis et très suivi par la police. Je vous engage donc de tacher de l'expédier en Turquie, ou au moins en Valachie, car il est bien probable que bientôt on le cherchera chez vous." Pan Sturdźi dodał mi: — „Ne pensez pas que je veux me débarasser de vous, la chose principale, c'est votre sureté. Le gouverneur de Bakow, est un de mes meilleurs amis, il n'osera donc pas faire de recherches dans ma maison sans m'avertir d'avance. Il y a seulement un danger, notre prince aime quelquefois à nous faire de surprises, et au lieu d'aller par la voie légale, il expedie souvent un officier et des Cosaques tout droit de Jassy. Regardez donc cette fenêtre, et voila en haut la route par où doivent passer ceux qui viennent de Jassy, et sitôt que vous apercevrez une bande, faites vous atteler des chevaux et passez chez mon voisin Ralety, qui vous menera plus loin; et de cette manière ils auront beaucoup de peine à vous poursuivre, et attaquer tous mes compatriotes qui vous expedieront l'un chez l'autre. Maintenant Monsieur, vous devez être à court d'argent, veuillez emprunter chez moi les 50 ducats que je vous ai apporté." I tyle prosił, tyle mnie błagał przyjaznemi słowami, żem przyjął tę pożyczkę. Przebawił ze mną pan Sturdźi dni ze trzy, i przepędzaliśmy czas na rozmowach politycznych i na grze w szachy, do której był pasyonowany.

Po jego odjeździe, zaczęły się dla mnie chwile ciężkie niepewności. Po spacerze rannym na koniu, po krótkiem czytaniu Bufona, stawałem w oknie, z którego widać było drogę do Jass i wpatrywałem się po godzinach, czy nie jadą czasem wysłani Kozacy po mnie. Położenie moje było bardzo smutne. Wiedziałem, że konsul rosyjski wszelkich dołoży starań, aby mnie pochwycić. Iliński i Kozacy wszystko złożyli na mnie. Iliński nawet w zeznaniach swoich oświadczył, że ten którego miano za wysłańca od księcia Adama i od Czajkowskiego niczem innem nie był, jak urzędnikiem austryackim, który namawiał do ruchu przeciw Rosyi, zapewne dla tego, że mają u siebie niepokoje w Galicyi, chciał, aby i w Rosyi rozniecić wojnę domową. Ambasadorowi więc rosyjskiemu szło o przekonanie, że ja byłem agenten księcia, aby tym sposobem zachwiać pozycyą Czajkowskiego w Stambule. Ambasador zaś austryacki chciał zrzucić z siebie podejrzenie rzucone zeznaniem Ilińskiego.

W nieobecności pana Sturdżi, sąsiedzi nie przyjeżdżali. Miałem jednak raz gościa w zacnym młodzieńcu, panu Raletym, który przybył zapoznać się ze mną z polecenia wuja swego, pana Sturdżi. Nie zaniedbałem wpływać na jego umysł rozsądną propagandą, przedstawiając zawsze, iż interesem jest Mołdawii ścieśniać stosunki z Portą a oddalać się ile możności od protektoryatu rosyjskiego.

Czas toczył się wolno w oczekiwaniu i zawsze grożącem niebezpieczeństwie. Przyznam się, że mało umocniony w świętéj nauce Chrystusa Pana, wyrezonowałem sobie, że w razie mojego zatrzymania, powinienem sobie odebrać życie, i tak położyłem moje motywa: Muszę być pod najściślejszą strażą odesłany

do ambasady rosyjskiéj w Stambule, gdzie wszelkie męki będą mi zadawane, abym zeznał w treści pożądanéj dla interesów Rosyi. Albo więc znajdę w sobie dosyć siły przenieść te męczarnie, albo osłabnę na duchu. W pierwszym razie męki będą nieużyteczne, a w drugim ból wyciągnie ze mnie skompromitowanie sprawy i pogrążenie w nieszczęście szlachetnie myślące osoby. Życie zaś odebrane, kładzie koniec wszystkiemu, w bezpieczeństwie zostaje i sprawa i osoby, które się narażały dla niéj. Możem się mylił, przebacz mi Panie! bom się mylił z godziwych tylko pobudek. Tak upłynęło do dnia 13 marca, w którym przybył pan Ralety z listem od pana Sturdżi. Szlachetny obywatel Mołdawii przepraszał mnie w piśmie swojem, że sam nie przybywa, aby mnie bezpiecznie wyprawić do Galaczu, gdzie statki zapewne wkrótce chodzić poczną, ale posyła siostrzeńca swego, aby mnie odwiózł aż na miejsce jak najspieszniéj, gdyż gubernator Bakowa odebrał rozkaz zatrzymania mnie i odstawienia jak najpilniéj do Jass. Pan Sturdżi był uprzedzony i razem przestrzegł go gubernator, że w rogatkach Galaczu i w porcie, najsurowsze są rozkazy względem mnie i najdokładniejszy rysopis. Cztery dobre konie powiozły nas na całą noc, i o godzinie 9 z rana stanęliśmy w blizkiéj wsi od Galaczu, gdzie mieszkał książę Aleksander Moruzy, do któregośmy zajechali.

Dwaj bracia Moruczowie, Kostaki czyli Konstanty i Aleki czyli Aleksander, byli to synowie drogmana Porty, który w roku 1821 za wydanie papierów rządu tureckiego ambasadzie rosyjskiéj został ścięty. Wdowa po nim zebrawszy wszystkie fundusze w gotowiźnie i dwóch małoletnich synów, schroniła się do Petersburga, gdzie cesarz Aleksander I. wziął synów pod opiekę

swoją, umieścił w szkole wojskowéj, nadał tytuł książąt, jakoby rodzinie pochodzącéj z familii cesarzów greckich, a potem w gwardyi dawszy im miejsce, awansował na oficerów. Konstanty na prośby matki i dla słabości zdrowia, uwolniony był ze służby wojskowéj, Aleksander dosłużył się stopnia kapitana. Po traktacie adryanopolskim, matka dla dwóch synów kupiła majątki w Mołdawii. Młodszy Moruzy nie mogąc wybłagać odstawki z gwardyi, opuścił ją samowolnie i przyjechał do majątku swego. Rosya wyjednała u hospodara wydanie Aleksandra Moruzego, ale ten uzbroił wieś całą, pobił policyą wysłaną po niego i oświadczył, że wszystkie podobne napady siłą odeprze, gdyż daléj w wojsku rosyjskiem nie myśli służyć. Ożenił się z Balszanką, ale po trzech latach pożycia, za wspólną zgodą nastąpił rozwód pomiędzy małżeństwem, i Aleksander zabrawszy półtoraroczną córeczkę, jeszcze przy piersiach mamki będącą, osiadł we wsi swojéj. Sprowadził guwernantkę Szwajcarkę, która nie mając jeszcze kogo uczyć, a będąc składnych rysów i postaci, brała lekcye rysunków od ojca swojéj pupilii, i jeśli nie postąpiła w sztuce malarskiéj, to przynajmniéj przyłożyła się do rozpędzenia nudów dawnemu gwardyerowi, który odtąd zamieszkał wieś, sadził topole i róże, a młodą Szwajcarkę nauczył zamiłowania dzikiéj Mołdawii tak, iż na równinach i stepach nie tęskniła do gór i lasów. Aleksander, w całem znaczeniu, nietylko był człowiek salonowy, ale bardzo pięknie ukształcony. Dźwigał tylko razem z całą szlachtą mołdawską i wołoską jedno brzemię ciężkie — zupełną irreligią. Duchowieństwo mołdawskie, tak jak w ogólności wszelkie wyznania greckiego, pozbawione oświaty i będące nawet w stanie najdzikszego barbarzyństwa, nie było zdolne wykorzenić

tego raka. Szlachta bez poszanowania stanu, obchodziła się z parochami swemi gorzéj niż z lokajami, żaden ksiądz nie miał śmiałości przestąpić próg dworu, czekał za drzwiami jakby żebrak, i często nie po co innego przychodził do pana. Wychowanie młodzieży brane w Paryżu po pensyonatach nie trafnie wybranych, rozniosło filozofią XVIII wieku w towarzystwo szlachty mołdawskiéj tak dalece, że człowiek szanujący swoją religią, co mówię? człowiek wierzący w Boga obudzał politowanie, jako niedouczony. Szlachetnych bardzo uczuć Aleksander Moruzy, mnie, chcącemu go nawrócić, mówił: — „Je vous plains, car vous esperez en vain. Vous me parlez du Créateur qui a si bien arrangé le monde, mais prenez le caleodoscope, où les matières brutes, telles que des petits verres et des morceaux de papier, en se remuant, forment differentes groupes, et à la fin se posent dans un ordre et une symetrie agréable à l'oeil. Ainisi les matières brutes composant le monde, par leur mouvement incessant se sont posées dans un ordre qui fait notre admiration. Voilà tout. Viendra un temps où tout peut se décomposer et tomber en ruine.“ Darmo mu było mówić: — „Ale któż stworzył niekształtną materyę? Z niczego powstać nie mogła. Kto sprawi tę ruinę ostateczną?“ Uśmiech był na twarzy. — „Mon cher, vous etes trop capucin, vous me parlez de la révélation? Mais imaginez vous que la terre, c'est une des plus petites planètes du monde. Comment le fils de Dieu l'aurait-il choisi pour prêcher, et pourquoi plutôt n'allait il se révéler sur le Syrius, ou bien encore sur une plus grande planète? Croyez vous que nous sommes le plus parfaits des créatures? et encore, le fils de Dieu est venu sur un petit terrain de l'Europe, et l'Amé-

rique a été abandonnée?“ Przedstawiałem mu, że dzieło odkupienia doszło i do Ameryki, bo głos Pański, poniesiony został na wszystkie krańce świata, i poniesiony jeszcze będzie do tych ludów Azyi i Afryki, które go dotąd nie znają. — „Patrz, mówiłem mu, na te Chiny, Japonią, Indyą, jak one wyciągają ręce do nas, abyśmy ich uczyli; patrz na misyonarzy, którzy dziś jeszcze giną w Chinach i w Kochinchinie, a zwolna, ale krokiem pewnym, idą do nawrócenia całych tych wielkich przestrzeni. Młody jesteś i krew cię pali, chciałbyś piorunu, aby cię przekonał. Ty na dzieło Boże patrz innem okiem i poznaj, iż ono na miejscu nie stoi, ale się rozwija i u celu stanie.“ Przyznam się, że mnie raziła zupełna bezbożność, rezonowałem z Moruzym moją własną filozofią, a nie tą, którą silna wiara daje, jeszcze wówczas promień łaski nie zaświecił dla mnie!

Kuchnia księcia Aleksandra była doskonałą, w czem odmienne zachowywał zwyczaje od swoich ziomków, którzy nie znali innych przypraw, jak łój barani. Moruzy miał kucharza Polaka i szedł w tem za modą, bo w Mołdawii do dobrego tonu należało mieć największą liczbę sług z Polaków. Szwajcarka nawet miała pannę służącą z Polski.

Gospodarz mój całą duszą chciał mnie wybawić. Pojechał do Galaczu, aby ułatwić mój wyjazd i wszystko tak urządzić, abym siadł na statek i wyruszył bezpiecznie. Udał się do konsula francuzkiego, p. Duklos. Ten reprezentant rządu Filipa znalazł się, jak to było zwyczajne nędznym kupcom francuzkim, odpowiedział temi słowy panu Aleksandrowi: — „Notre gouvernement est maintenant bien avec l'Autriche, et j'ai donné ma parole au consul autrichien que je lui livrerai Mon-

sieur Budzyński sitôt qu'il se présentera chez moi. Tout ce que je puis faire pour vous, prince, c'est de ne rien savoir de lui. Arrangez vous sans moi, car j'ai donné ma parole au consul autrichien, et je dois la tenir." Moruzy udał się do konsula angielskiego, pana Cunnigham, który po zaręczeniu Moruzego, że ja nie idę wzniecać rewolucyi, ale chce uchronić życie moje, na które godzą nieprzyjaciele mojéj ojczyzny, wziął na siebie wydźwignienie mnie z niebezpieczeństwa i kazał, abym do niego przybył nocną porą, aby nie ściągnąć uwagi. Moruzy wywiedziawszy się, że władze policyjne Galaczu miały surowy rozkaz schwytania mnie i dostawienia do Jass, że rysopis najdokładniejszy dany był na rogatkach, chciał uzbroić trzydziestu ludzi i tak chciał mnie wieźć do konsulatu angielskiego. Ledwiem mu wyperswadował, że tym sposobem i siebie narazi i mnie zgubi. — „Lepiéj, mówiłem, abyśmy pojechali cicho. Kozak naprzód jadący oznajmi księcia Maruzego, a rogatki otworzą." — „Comme vous voulez, mówił mi książę, j'ai voulu arranger pour le mieux, car une fois que j'ai pris la tache de vous sauver, je ne voudrais pas que faute de précautions vous pourriez tomber dans le piège." Wszystko też stało się wybornie. Skoro zawołano na rogatkach, że książę Moruzy jedzie, opadła baryera i przejechaliśmy cicho, nie pytani ani egzaminowani, do domu konsula, gdzie mnie Maruzy przedstawiwszy konsulowi odjechał. Pan Cunnigham zaprowadził mnie do wygodnego apartamentu z biblioteką, prosił abym dom jego za własny uważał, abym czytał, palił fajkę, ale nie wychodził na dziedziniec, aż on mi urządzi wyjazd bezpieczny. Przeprosił, że cały ranek do obiadu i poobiednią porę do wieczora musi w biórze przepędzać, pracować i w urzędzie swoim

i w sposobie ułatwienia mi przejazdu. Na drugi dzień wieczór, do mego pokoju wszedł poważnie konsul z dwiema butelkami w ręku, a służący wniósł gorącą wodę i cukiernicę: — „Monsieur, nous prendrons du grog.“ Tłumaczyłem się, że nie pijam, i że rum zwyczajnie mi szkodzi. — „Alors Monsieur, souffrez, que je prendrai du grog tout seul, et vous m'accompagnerez en buvant du vin français, car étant Polonais, vous préférez comme je vois les habitudes françaises qui ne valent rien du tout.“ Miałem nalany kieliszek wybornego *Chateau Lafitte*, a pan Cunningham rozpoczął tak rozmowę: — „Pardonnez Monsieur, que voulant m'instruire, je vous demanderai, pourquoi vous autres Polonais tenez tant à faire ressusciter votre patrie? et quel bien peut il arriver pour l'humanité de cette restauration de votre patrie?“ Przedstawiałem mu miłość ojczyzny, jako uczucie wspólne wszystkim narodom, a wolność Polski ucywilizowanéj, jako dobro całéj ludzkości. Wspomniałem mu imię nam drogie, jako przyjaciela Polski, a tak poświęcającego się sprawie naszéj, lorda Dudlej Stuarta. — „Quant à cela, vous ne connaissez rien de sentiments anglais, odpowiedział mi p. Cunningham. Lord Stuart s'est fait votre ami pour avoir un nom, comme se sont fait un nom les autres qui ont preché la cause des Orenocs, des Indiens, ou bien des esclaves noirs. Mais je veux croire que votre patrie pourrait faire quelque chose pour l'humanité, si elle a des fils qui se sacrifient pour elle. La cause doit être noble, puisqu' elle éveille le sentiment de dévouement; et comme cette année j'ai gagné quinze mille ducats sur le blé de Turquie, faites moi associer à votre cause.“ Podziekowałem mu za szlachetne chęci i oznajmiłem, że ja sam nie mam upo-

ważnienia ofiar od niego przyjmować, ale że napiszę do księcia Adama, naczelnika naszego, cytując mu wszystkie słowa konsula. — „C'est bien!“ odpowiadział mi krótko. Tak o sprawie naszéj i o sprawach Anglii kilka wieczorów rozmawialiśmy, ja spijając dwa albo trzy kieliszki wina francuzkiego, konsul zaś dokończając regularnie całą butelkę rumu, który wlewał na ćwierć szklanki wody z cukrem, aż zmorzony zadzwonił, a służący wchodził i półchwiejącego się odprowadził do łóżka. Szóstego, czy siódmego dnia wieczorem, tak do mnie odezwał się konsul: — „Le bâtiment à voile, portant le marchandises pour Liverpol, va appareiller demain. J'ai eu le bonheur de rencontrer Monsieur Smith, Anglais, et ayant échangé son passeport visé à Londres, contre un passeport du consulat qui lui sera aussi bon que l'autre, je vous expédierai en règle. Vous aurez seulement la bonté de me renvoyer ce passeport de Constantinople, et vous pouvez aller sur ce bâtiment à Malte ou à Marseille. Mais comme tout le principal est arrangé à vous faire sauver, il ne faut pas que faute de bagatelles vous puissiez manquer votre affaire. Combien vous faut-il d'argent?“ — Monsieur, odpowiedziałem, j'ai tant d'argent qu'il me faut.“ — „Oui, vous me répondez, mówił pan Cunningham, comme un homme plein de délicatesse, et ce serait bien assez pour un Français qui est toujours votre ami jusqu' à la bourse; mais pour un Anglais, qui connait bien ce que c'ést qu'un Gentleman, ce n'est rien du tout, et je suis forcé de vous demander Monsieur, à ce que vous me présentiez votre portefeuille et votre bourse, pour que je sache de mes propres yeux comment sont vos affaires.“ Daremne były protestacye wszystkie, musiałem pokazać moją sakiewkę

a w niéj 50 dukatów. — „C'ést très peu de chose! Il faut prendre encore 100 ducats de moi.“ Zapewniłem konsula, że na wszelki przypadek dostateczną mam sumę do Carogrodu, a tam mam przyjaciela, który mi dopomoże, jeśliby tego była potrzeba. — „Ainsi soit il,“ mówił mi konsul — cela se peut bien que vous ne voulez pas prendre sur votre dos le fardeau de la reconnaissance, et vous faites bien, car chaque homme est un chien.“ Lubo z uśmiechem ale z sercem głęboko przejętem tą szlachetnością, jakkolwiek zimnym sposobem wyrażoną, wziąłem za rękę konsula: — „Monsieur le Consul, vous me sauvez la vie, quel est le service qui puisse éveiller une plus grande reconnaissance! Croyez Monsieur, que moi et par moi ma famille et tous mes amis, vous garderont une reconnaissance éternelle.“ — „C'est bien, mówił pan Cunningham, ce n'est pas en vain que vous faites un avec les Français, vous avez toujours des phrases.“ Trzeba było zaprzestać z tym poczciwym oryginałem. Pan konsul oznajmił mi, że płynę na statku angielskim, na którym on ma swoje akcye a zatem, że przynajmniéj mogę przyjąć przejazd bezpłatny. Rozstaliśmy się tego wieczora, a nazajutrz rano miało być rozstrzygnienie mojego losu; uda mi się, czy nie, wyswobodzić z téj sieci ostawionéj w około mnie, jak na wilka?

Na drugi dzień, konsul o drugiéj godzinie przyszedł z dwoma misyonarzami szkockimi, nawróconymi z Żydów, którzy przybyli do Mołdawii dla nawracania dawnych swoich współwyznawców. Ciekawie mnie rozpytywali o usposobieniu i moralności téj populacyi przybyłéj z Polski pod panowaniem Rosyi i Austryi. Dałem im najrzetelniejsze wyobrażenie w tych słowach: — „*Jeśli panowie przywieźliście z sobą dosyć pieniędzy, na-*

wrócicie każdego Żyda za funta, ale na parę tygodni.“ I opowiadałem im o panu Eugeniuszu Baré, który nie daleko naszéj kolonii, na ziemi zakupionéj od Turków przez księży Lazarystów francuzkich, wybudował dom i sprowadził z Carogrodu Żydków do nawracania. Każdy z tych chętnych ku przyjęciu chrześcianizmu, miał sobie obiecane nowe suknie i czekał cierpliwie, aż obietnica wzięła swój skutek; z gorliwością przychodził na ranną Mszę, dzienne nauki i wieczorne pacierze, a nieraz spłakał się rzewnemi łzami przy rozpamiętywaniu męki Chrystusa. Ale skoro odzienie ogarnęło jego ciało, i wiatr już nie przewiewał przez dawne dziury i łaty, Żydek nocną porą uciekał co tchu, i jeśli było co na dorędziu, uniósł z sobą na znak szczerego nawrócenia. Misyonarze angielscy mieli lepszą nadzieję, im się zdało, że złego sposobu użył pan Eugeniusz Boré, i że oni żadnego wsparcia nie dadzą, aż dopiero zupełnie nawróconym. Zostawiłem ich w szczęśliwem wyobrażeniu, które jest połową szczęścia.

Po obiedzie zaprzężono do kocza i konsul angielski, pożegnawszy mnie w swoim domu, prosił do powozu. Pojechaliśmy razem do przystani. Urzędnicy celni, skoro konsul wyrzekł: — „*Laissez passer le sujet de S. M. Britanique*,“ pokornie się skłonili, zapisali nazwisko Smith z mojego pasportu i wskazali mi bramę, przez którą mógłem wejść do portu. Przez kratę, jako w kwarantannie będący, ukazał się kapitan statku, pan Willers, a konsul w angielskim języku, tak do niego mówił: — „Oto jest ten Gentlman, który odjeżdża w usługach królowéj. Jest to Anglik, ale gdybyś pan w jego akcencie zauważył, że to cudzoziemiec, zechcesz go zawsze na okręcie *i po za okrętem za Anglika uważać*.“ — „Very well“ (bardzo dobrze) odpowie-

Ks. J. Wojciech

dział kapitan i jednego słowa nie wtrącił więcéj. Przeszedłem tedy na okręt i zdało mi się, żem wybawiony. W kajucie zastałem łóżko urządzone zbytkowo nawet, kołdra adamaszkowa, nowe firanki i bielizna czysta. Kapitan oświadczył mi, że to są dary konsula, i że prócz tego mam na moją dyspozycyą ćwierć wołu, dziesięć kapłonów, 12 butelek bordeaux i baryłeczkę jamajki. Poczciwy pan Cunnigham zapomniał tylko o jednem, że ja rumu nie piję. O świcie, zaczęła się wolna podróż z przeciwnym wiatrem po Dunaju. Lawirowanie szło ciężko, bo często piaski stawały na zawadzie, i nazajutrz, potrzeba było cały dzień przeczekać, nim machiną wyciągnęli okręt z piasku. Przejeżdżaliśmy pod Tulczą. Powiewała chorągiew austryacka nad domem Dubrawczyca, który jak widać, instalowany już był w swojéj godności konsula, i obdzierał biednych pasterzy siedmiogrodzkich co tu zachodzą dla pasienia swoich baranów na łąkach Dobrudży, do nikogo nie należących. Wpatrywałem się w to miasteczko gdziem był dwa razy w dziełach agencyi naszéj carogrodzkiéj. Myślałem, że dopatrzę jaką twarz tatarską albo kozacką z moich znajomych, ale nic. Okręt przeszedł i podpłynął pod wyspę Sulinę. Naraz stanął jak wryty. Kapitan z sekretarzem i dwoma majtkami opłynęli statek w około, i ścisły uczynili rekonesans. Pokazało się, że spód okrętu całem ostrzem swojem zarył się w piasek i pogrążył kapitana w głębokie dumanie. — „*Goddam!* zawołał, dwanaście dni czasu zanim się dobędziemy!“ Sprowadzono ludzi i ugodzono robotników, a tymczasem kapitan i sekretarz wybierali się na ląd do miasteczka, a raczéj do kilku domów Suliny, gdzie stał garnizon rosyjski. Rozebrałem co mam z sobą robić? Jeśli zostanę do 12 dni, ktoś

powie z majtków, że jest podróżny na statku, i obudzę lękliwością większe tylko podejrzenie, tymczasem z pasportem angielskim i w porcie nie uznanym jako własność rosyjska, zasłoni mnie i pasport i kapitan angielski, któremu konsul mnie powierzył. Wszedłem więc z kapitanem do kawiarni, gdzie oficerowie rosyjskiéj piechoty grali w bilard. — Widziałem koszary porządne i żołnierzy snujących się między kilkunastu nowo wzniesionemi domami, traktatem adryanopolskim, Sulina, wysepka po stronie Turcyi, jak równie druga, jéj przeciwległa, na stronie rosyjskiéj, zapisane zostały jako neutralne, i w moc tego traktatu, ani jedno ani drugie mocarstwo nie miało prawa zaludniać jéj, a tem bardziéj trzymać garnizony. Rybacy tylko mieli mieć pozwolone sobie stawianie szałasów. Ale z drugiéj strony, wysepka św. Grzegorza, została zaludnioną i osadzono ją garnizonem. Turcy dotrzymając traktatu, wyspy po swojéj stronie nie zaludniali, a jak zwykle niebaczni, pozwolili Rosyanom z szałasów rybackich porobić powoli domki i koszary, a potem nie opatrzyli się, jak zaciągnęły dwa bataliony. Był jeszcze drugi punkt, na który dyplomacya zwrócić była powinna uwagę, a który dawać mógł powód do zamienienia not groźnych. Kompania austryacka Lloydu, wzięta pod opiekę rządu, statkami parowemi zajęła linią od Carogrodu do Ibraiłowa na Dunaju. Rosya jéj tego zabronić nie mogła, lubo przeszkadzała z całych sił w dywanie, ale chytrze, chciała tę żeglugę narazić na nieuchronne wypadki. Oto garnizon suliński pracował w dniach wolnych od przejazdu parowców, nad wożeniem batami piasku, ziemi i gruzu, któremi zasypywał wejście z morza Czarnego do Dunaju. Sporządziłem w czasie bytności mojéj przy Sulinie notę we fran-

cuzkim języku do ambasadora francuzkiego, którą chciałem złożyć za moim powrotem, a nawet gdy w oczach naszych okręt jeden uwiązł przy wejściu swojem na Dunaj i pokazało się, że to był angielski, dałem kopię téj noty kapitanowi z zacytowaniem artykułu traktatu adryanopolskiego, i życzyłem kapitanowi angielskiemu, aby za swoim przyjazdem do Londynu starał się wręczyć komuś z ministerstwa spraw zagranicznych (foreign office). Kapitan zaczerwieniony ze złości, porwał moją notę, którąm mu wytłumaczył po angielsku i zapewnił, że chyba on żyć nie będzie, to nota moja w takim tylko razie nie dojdzie do pana Peela, którego uważał za arcy-Anglika. Kapitan był torysem w duszy i ubolewał, że są między jego ziomkami tak zaślepieni, którzy bronią Wigów, a których nazywał bezczynnymi i siadającymi na dwóch stołkach. Spokojnie chodziłem do kawiarni, udawałem, że mówię tylko po angielsku, więc uniknąłem rozmów z oficerami, którzy radziby byli choć parę słów odemnie usłyszeć. Nie zrozumiany, gdym mówił z kapitanem, mimo ich wiedzy rozumiałem ich rozmowy. Wybierali się na Turcyą i rozbierali jéj kraje i zdało się im, że już widzieli swoje porucznikowskie epolety, jak się zmieniały w grube bulliony. Były tam i utyskiwania na nowe zaprowadzenie cara, że dopiero dostojność pułkownika dawała szlachectwo dziedziczne. Jakiś gruby major klął otaczających cesarza, ale na pana swego nie podniósł żadnéj skargi. Zresztą oficerowie stojący w Sulinie, byli z pułku zaklętego, który musiał stać zawsze po ciemnych zakątach cesarstwa. Ograniczeni gbury i wciąż zalewający gardło prostą wódką, czyli jak oni patryotycznie nazywali *trawnik*. Dwanaście dni przeminęło, i statek nasz wyruszył. Ileż to niepokoju przetrwałem w cichości! —

Z Suliny poszła pierwsza wiadomość o mnie do ambasady, i pod Suliną prowadzono Kozaków i Ilińskiego do więzienia w Carogrodzie, a którzy dotąd czekają rozstrzygnienia sprawy, bo ambasada rosyjska zawsze upewnia, że mnie dostawi.

Od dnia 29 marca po dzień 27 kwietnia trwała podróż moja statkiem żaglowym, gnanym wciąż przeciwnemi wiatrami. Przeczytałem całego Don Żuana, jedyną książkę jaką miał kapitan, i przeczytałem go ze trzy razy nim okręt wpłynął na Bosfor o trzeciéj godzinie z rana. Stanęliśmy na kotwicy koło Orta-Kioi, gdzie zwykła była mieszkać przez lato panna Śniadecka i gdzie wiedziałem, że przebywa często Czajkowski. Przywołałem kaik i wszedłem do domu. — Przyjaciel mój spał jeszcze. Gdym go zbudził, a ten na pół zmróżone otworzył oczy, zbladł jak glina obaczywszy mnie. — „Zmiłuj się wracaj na statek, już tu wiedzą, że konsul angielski wyprawił cię z Galaczu, i na wszystkich *skelach*, przystaniach carogrodzkich, stoją kawasy rosyjscy, dziwię się, że cię przepuścili! Wracaj na Boga zaraz na swój statek! ja przyszlę po ciebie, bo na szczęście twoje dziś statek parowy francuzki odchodzi do Marsylii, gdzie jednak nie pojedziesz, późniéj opowiem ci twoje przeznaczenie.“ Wróciłem do mojego statku. We dwie godziny, przypłynął drogman naszéj agencyi Jan Saih z moim własnym pasportem francuzkim, jako Michał Dąbrowa i z opłaconym biletem na statek parowy Perikles do Malty, i z niektóremi rzeczami mojemi. Zebrałem majtków, zostawiłem im podarek, napisałem list żegnający do kapitana, na którego nie mógłem czekać. Wstąpiłem na parowiec marsylski, żelazny cały. Jeszcze parę godzin było do odjazdu. W tem podpływa kaik i wysiada z niego pewny

Bułgar, który się wychowywał w Paryżu, wrócił do ojczyzny i zwyczajem nędznych niektórych Słowian, przybrał nazwisko greckie, jako modniejsze. Przywiązał się do ambasady rosyjskiéj, i jakeśmy się dowiedzieli, przeznaczony był do śledzenia Czajkowskiego i mnie. Jegomość ten, którego nazwiska nie pomnę, przychodził często do naszego domu, zawsze grzecznie przyjęty, odchodził zapewne nie zadowolony, bośmy nigdy przy nim o polityce nie mówili, a przynajmniéj ograniczaliśmy się na wiadomościach bieżących gazet. Skoro mnie ujrzał ten szanowny nasz opiekun, rzucił się serdecznie na moją szyję i witał jakby z pod ziemi: — „O jakże się cieszę widzieć pana! Mówiono, że pan wielkie przebywałeś niebezpieczeństwa.“ — „Źle panu mówiono, odpowiedziałem, ja ciągle byłem na kolonii naszéj, a pan wiesz, że tam wody nawet nie ma, żeby się można utopić.“ Pan Bułgar zgreczony w dalsze rozmowy nie zachodził, bo miał już najważniejsze, iż obaczył mnie, za którym ambasada rosyjska śledzi najpilniéj. Chce żegnać i odpływać, ale ja wtrąciłem: — „Nie godzi się tak żegnać przyjaciół, ja odpływam do Francyi, musimy wypić z sobą butelkę szampańskiego.“ A tymczasem wziąłem kapitana na stronę i powiedziałem mu: — „Au nom de Dieu, par tous les moyens possibles, aidez moi à retenir ce Monsieur jusqu' au moment que le bâteau ne commence à fumer, car autrement vous aurez un ambarras et vous et l'ambassadeur. Un peu plus tard, je vous expliquerai cela, maintenant croyez que je ne vous trompe pas, en un mot, je suis Polonais, poursuivi par l'ambassade russe.“ — Kapitan pomógł mi. Przybył i Czajkowski. We trzech zmusiliśmy nędznika, że pił z nami szampańskie. Gorzka mu była każda

kropla, bo pilna i ważna denuncyacya świerzbiała mu na języku; gorzka była i nam, żeśmy musieli udawać serdeczność i stukać w kieliszek nikczemnego człowieka. Kręcił się na krześle, zaklinał nas na Boga i wszystkie świętości, abyśmy go puścili. Zdało się po jego słowach, że mu ktoś z drogich osób familii umiera, i że on spieszy pożegnać go. Aleśmy byli nieubłagani. Kapitan kazał podać drugą butelkę. Musiał szanowny mąż spijać do dnia, póki nie zaczęto palić. Gdy komin puścił z siebie parę szarawą, kapitan mrugnął na nas, a my pożegnaliśmy udaną serdecznością szpiega, który zerwał się jakby od ognia i odpłynął natychmiast do Carogrodu.

Czajkowski pozostawszy ze mną, ubolewał nad zmarnowaniem naszych stosunków z Kozakami, którzy po takiem prześladowaniu będą lękliwi, i nie zechcą łączyć się z nami nadal. Zapewne zdrada Jakuszki wielką przyniosła szkodę. Ależ ja temu winien, że moje polecenia wyraźnie mówiły, aby umowę sporządzić ze starszyzną, abyśmy w danym razie wiedzieli na co mamy liczyć z Kozakami? Czajkowski mówił mi, że skoro Ganczarowa, największego naszego przyjaciela, nie było, nie powinienem był przystępować do ostatecznéj umowy. Wszystkie rezonowania, po razie niepomyślnym, znaleźć się mogą łatwo. Ci co rozbierali działania rządu narodowego w czasie rewolucyi 1831 roku, albo ruchy wojenne naczelnego wodza, znaleźli sposoby najskuteczniejsze do szczęśliwego rozwiązania naszéj sprawy, dla czego wysłał Gełguda, a nie innego jenerała na Litwę? Dla czego zamiast posłać Jankowskiego na Redygera, sam nie szedł? Zarzutów znalazło się wiele, środków innych co nie miara! Tak się zawsze dzieje po nieudaniu się. Ale gdyby Gełgud

był pomyślnie poprowadził wojnę na Litwie, gdyby Jankowski zbił był Redygera, na Skrzyneckiego spadłaby chwała zwycięztwa. I mnieby nic zarzucić nie można było, gdyby Jakuszka nie zdradził naszéj i własnéj sprawy. Tak się też tłumaczyłem księciu Adamowi w osobno od siebie podanym raporcie: *Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi*, sprawiedliwe przysłowie nasze, niech mojem będzie tłumaczeniem.

Oznajmił mi Czajkowski, że mam się udać do Malty i tam dalszych oczekiwać rozkazów, gdyż on mniema, że najdaléj do miesiąca rozstrzygnie się wyprawa na Czerkasyą. Mehmet Ali Pasza, szwagier sułtana i kapudan pasza czyli admirał porty, okazał się bardzo skłonnym do poparcia moralnie i materyalnie wyprawy z kilkudziesięciu oficerów polskich do Abazyi, gdzieby się udał naczelnik téj prowincyi czerkaskiéj, internowany w Adryanopolu na żądanie Rosyi. Czerkasi, a między nimi Ahmet Aga, dawny nasz przyjaciel, brał na siebie wykradzenie Sefera Beya z pod ścisłego dozoru w Adryanopolu, byle wyprawa była niewątpliwa. Czajkowski mówił mi, że pan Władysław Zamoyski z własnych funduszów chce zakupić broń we Francyi, szło tylko o to, aby Mehmet Ali dał okręt jeden z floty tureckiéj, i aby wspomógł wyprawę jakim zasiłkiem pieniężnym z pewną ilością amunicyi w prochu, kulach i granatach. Miał być przeznaczony oficer wyższy polski, któryby stanął na czele mającego się formować legionu. Pewna liczba Kozaków zaporozkich wziętaby była z nad Dunaju na pierwszy zawiązek legionu, a dalsza jego formacya zależałaby od zwiększającéj się liczby zbiegów z wojska rosyjskiego i od branych niewolników. Ja miałem być adjutantem dowódzcy i kierować częścią polityczną, wygotowywać

proklamacye do Polaków służących w wojsku rosyjskiem i pisać noty i raporta do przyjaznych nam dworów. Gotów byłem na nowe poświęcenie, lubo wiedziałem, jak wiele iluzyi robił sobie Czajkowski o Czerkasach, których uważam za dziczyznę i istnych rabusiów. Wiedziałem, że każda wyprawa dowódzców czerkaskich chybiała swego celu, bo zawsze jeden albo dwóch z ich oddziału, przedawało Rosyanom tajemnice wyprawy, co nie przeszkadzało, że ciż sami zdrajcy, wracali do swoich i szli razem na wyprawę. Z takim narodem trudna była sprawa, i nie można było marzyć sobie o szczęśliwych rezultach naszych usiłowań. Nie chciałem w tym punkcie rezonować, naszym losem było z *piasku bicz kręcić*. Zapewniłem więc Czajkowskiego, że z chęcią pójdę do Czerkasyi i cokolwiek się stanie, chcę poświęcić moje życie bo widzę, że jeśli będą pomyślne usiłowania nasze, wielki pożytek sprawie przyniosą. Ścisnąłem po raz ostatni rękę mego przyjaciela i odpłynąłem do Malty dnia 28 kwietnia 1846.

II.

Malta. — Rzym od 1847 do połowy 1848 roku.

Na statku parowym *Marsylia*, znalazłem wielu podróżnych, a między innymi, oficera dawnéj gwardyi Karola X, króla francuzkiego, który był zapalonym stronnikiem pretendenta Henryka V. Wziął on dymisyą, i nie chciał należeć ani do wojska, ani do żadnych usług rządom Filipa. Pan de Valvey, dawny porucznik, znał naszą sprawę i nasze stronnictwa, a gdy się dowie-

dział, że ja należę do towarzystwa 3 maja, uścisnął mi rękę i powiedział: — „Nous sommes de la même opinion, car nous voulons un roi légitime, nous en France vous en Pologne.“ — „Pardonnez moi Monsieur le lieutenant, odpowiedziałem jemu; je ne vois pas que nous soyons de la même opinion. Il es vrai, que nous autres de la societé du 3 de mai, nous voulons un royaume polonais et un roi dans la personne du prince Adam; mais avant tout, nous aimons notre patrie; et si par hasard les républicains réussissaient à rétablir la Pologne, nous irions offrir nos services à notre patrie, et je vous assure que notre prince serait le premier à se soumettre au gouvernement établi par la majorité de la nation. Tandis que vous Messieurs les Bourbonistes, vous vous étes retirés de toutes les affaires de la France; et maintenant en chercherait en vain parmis la noblesse française un officier distingué, un dyplomate accompli. Toutes les places sont prises par la bourgeoisie; et vous n'avez qu'à vous prendre à vous mêmes, si vous étes descendus à une inactivité complète. Vous aimiez la dynastie de vos rois, et non la France qui est votre patrie.“ — Zarozumiały Francuz, nie chciał przyznać mi słuszności, i odpowiedział jedném słowem: — „*C'est comme cela: la France avec la dynastie des Bourbons, ou rien du tout.*“ Wychodziło to na wykrzykniki naszych demokratów: — „*Albo Polska republikańska, albo niech jęczy pod jarzmem trzech wrogów.*“ Pokazuje się, że każdy naród ma swoje smutne strony, i *kocioł garnkowi niech nie przygania, bo obadwa smolne.* Wreszcie prędzéj można darować wygnańcom, bez ojczyzny, rozdział na stronnictwa nienawistne sobie, niż narodowi żyjącemu, który ma wolność wyrażania zdań swoich głośnem słowem i drukiem. Dla tego ziomkom moim

tracącym nadzieję dźwignienia naszéj ojczyzny z téj przyczyny, że w zdaniach politycznych nie może się zgodzić nawet emigracya przywiedziona do tak szczupłéj liczby, będę zawsze cytował te przykłady. Zwracając uwagę na niezgodę w krajach ukonstytuowanych, radbym zmniejszyć smutne wrażenie jakie rzuca po prowincyach polskich podział na niezgodne z sobą stronnictwa emigracyi. W chwili, gdy przyjdzie dzień walki, staną wszystkie dzieci Polski z orężem w ręku, a forma wypadnie sama z siebie. Szczęście to będzie dla nas i rękojmia trwałości bytu, jeśli ta forma stanie praktyczna, mająca wszystkie warunki bytu i porządku, słowem: jeśli stanie jedynie możebna w wielkim kraju monarchiczno-konstytucyjna, z naczelnikiem dziedzicznym i z prawami jednakiemi dla wszystkich dzieci Polski.

W Malcie stanąłem, nie tylko gdy wiosna wszystko rozwija i zieleni, ale gdy już spiekoty słońca każą szukać cienia i zamykać się cały dzień w domu dla nieznośnych upałów. Trzeba było siedmiodniową przebyć kwarantannę; tylko że, urządzona z całym komfortem angielskim, nie tak była nieznośna jak galacka, którąm przebył z księdzem Wiszniewskim. Dnie te rekolekcyi odbywały się na zamku św. Erazma, owéj sławnéj cytadeli za kawalerów maltańskich, gdzie zamkniętych 80 zakonników z małym pocztem wojska, broniło się blisko dwóch miesięcy całéj flocie tureckiéj i niezliczonym rotom Spachów i Janczarów. Było to za Solimana II, gdy ten sułtan nazywając rycerzy maltańskich, nie składających nigdy oręża i wojujących z małemi siłami przeciw całéj potędze Osmanów, rabusiami morskimi, postanowił wyspę zabrać. Rycerze liczyli na pomoc Filipa II, króla hiszpańskiego; ale gu-

bernator Sycylii, czy to niechętny kawalerom, czy też skuszony datkami admirała tureckiego Piali, nie przybywał z flotą swoją, a krążąc z daleka od Malty, dozwalał ginąć tym mężnym obrońcom Chrześciaństwa: przybył aż wtenczas gdy Zakonnicy maltańscy wszystkie trudności zwalczywszy, zrujnowawszy roboty oblężnicze Turków, zmusili wściekłego ich admirała do odstąpienia od la Valetty, stolicy, która odtąd wzięła nazwę od Wielkiego Mistrza La Valette, tak dzielnie broniącego Malty przeciw zastępom tureckim, a którą on potem własnem staraniem na nowo odbudował 1566 r.

Po wyjściu mojem z kwarantanny, udałem się z listem Czajkowskiego do konsula francuzkiego, pana Poujat. Średniego wieku, wielkich zdolności i gorącéj chęci służenia swojemu krajowi, trawił on czas bezczynnie prawie na Malcie, gdzie prócz drobnych interesów handlowych, które ułatwiał kupcom swego narodu, nic nie miał do roboty. Pragnął szczerze posady, któraby otworzyła mu pole pokazania swoich chęci i zdolności. Po kilku wizytach, mówiłem mu o Wołoszczyźnie i o obszernéj pracy jakiéj użytecznie mógłby użyć dla Francyi w księstwach, będących prawdziwem przedmurzem Turcyi. Dałem mu dość długą notę o duchu i usposobieniach tych krajów, i moje myśli o przyszłem urządzeniu księstw naddunajskich, gdyby się kiedy udało wyrwać je z pod opieki rosyjskiéj. Pan Poujat mile przyjął moją notę i mówił, że gdyby kiedy dostał tę postę, stanie mu się bardzo użyteczną.

Odebrałem na ręce pana Poujat list od Czajkowskiego, w którym dawał mi ciekawą relacyą końca sprawy z Kozakami. Zaraz po moim odjeździe z Konstantynopola, Bułgar zgreczony, wpadł do ambasady rosyjskiéj i oznajmił wymknienie się moje na statku

francuzkim. Wściekły pan Ustinów, który wtenczas zastępował pana Tytowa, ambasadora rosyjskiego, wysłał drogmana ambasady pana Handżerty do Alego Effendego, ministra spraw zagranicznych Turcyi, z wymówkami, że policya przepuściła tak ważnego agenta dla Rosyi i Porty. Ali Effendy przyzwał gubernatora Pery, i kazał pokazać sobie listę podróżnych, którzy odjechali statkiem francuzkim. Na liście nie było ani Baera, ani Budzyńskiego. Pan Handżerty dostrzegł zapisane nazwisko *Michał Dąbrowa*, i z wykrzyknikiem zawołał: — „Oto właśnie on, to ten sam Budzyński i Baer, którego szukaliśmy i który wymknął się przez waszą nieostrożność.“ — Ali Effendy poważnie mówił: — „Panowie nazwiska Dąbrowy nie wspomnieliście, więc nie jest to wina policyi; — ale jakże? Czy pan zapewniasz że Budzyński statkiem francuzkim odpłynął?“ — Ale mogę pana zaręczyć że wyjechał, — to on, to Budzyński,“ ze wściekłością wołał Handżerty. — „Jeśli tak jest, spokojnie rzekł Ali Effendy, to panowie nie dotrzymacie obietnicy swojéj dostawienia do śledztwa Budzyńskiego, chociażeście zapewnili że najdaléj za dwa miesiące tu będzie. W takim razie nie weźmiecie mi za złe, że jutro Kozaków uwolnię, bo dotąd prowadzone badania, nic nie wykryły na nich.“ Daremne były protestacye drogmana ambasady rosyskiéj; Ali Effendy dał rozkaz gubernatorowi otworzyć więzienia dla Kozaków. W moc tylko traktatów pan Handżerty zażądał, aby do trzech dni Iliński, jako poddany rosyjski i emigrant, opuścił Carogród. Tym sposobem dwunastu Kozaków zostało uwolnionych, a Iliński powołany, stanął przed Alim Effendym, ministrem spraw zagranicznych, który w te słowa przemówił do niego: — „My do pana nic nie mamy, coście robili

robiliście w dobrych chęciach dla Porty, i na dowód tego, oto patrz pan, w oczach jego palę własnoręczną umowę pana Budzyńskiego z Kozakami, któréj nie wydałem ambasadzie rosyjskiéj. Dziękuję Bogu i cieszę się wraz z wami, że wasz rodak umknął nieszczęściu i dziś jest bezpieczny. Ale prawa międzynarodowe zmuszają nas oznajmić ci, panie Iliński, że musisz wyjechać ze Stambułu. Statek bedziesz miał zapłacony, a oto od rządu tureckiego na koszta twojéj podróży tysiąc franków.“ — „Ja nie wyjadę, odpowiedział Iliński, ale chcę wejść do wojska tureckiego i służyć Turcyi, która jest przyjaciołką Polski.“ — „To być nie może, jakkolwiek radbym dobrego oficera przedstawić sułtanowi. Dziękuję ci, mówił z dobrocią Ali, za życzliwe chęci twoje, ale w wojsku tureckiem, nie Muzułmanin służyć nie może.“ — „A więc Effendy przyjmiecie mię jako Muzułmanina, proszę was, abym jutro był przyjęty do Meczetu i do wojska.“ — Iliński odprowadzony był przez kancellarzystów Alego z wielkiemi honorami, a nazajutrz przyszedł do niego wyższy urzędnik Porty, Iman, do uczenia religii Mahometa, nauczyciel do języka tureckiego i sługa z bokszą tytoniu i z bogatym bursztynem, jako dar od sułtana dla nowego majora pułku tatarskiego, do którego miał być wysłany po przyjętych naukach proroka i po nauczeniu się języka. W tem miejscu dokończę historyi Ilińskiego, lubo jéj bieg rozwijał się daleko poźniéj. W roku 1849, gdy w Austryi wrzała najzaciętsza wojna z Węgrami, Iliński, jako major w pułku tatarskim, uzyskał pozwolenie udania się do Węgier, aby jak mówił, oręż jego nie spoczywał w pochwie, i aby on nabył doświadczenia i nauki dla służenia z większym pożytkiem sułtanowi. Za przybyciem swojem do Budy,

będącéj już wówczas w ręku Węgrów, oznajmił z własnego natchnienia, że niezadługo Turcy przyjdą w pomoc Madżarom, i że on przyjeżdża oznajmić im tę dobrą nowinę, aby się nie lękali spieszących na pomoc Austryi Moskalów. In gratiam tak radośnych nowin, oświecono miasto; Iliński oprowadzany był procesyonalnie po ulicach, a lud krzyczał: *Elien Osmanly, Elien Iskinder Bey!* Taką bowiem nazwę turecką wziął Iliński Antoni, syn Aleksandra, przyjmując służbę turecką. Z Budy udał się ów mniemany posłannik Turcyi do Bema, który umieścił go w swoim sztabie, i z nim razem wszedł do Turcyi po nieszczęśliwym końcu wojny węgierskiéj. Pod Sylistryą, gdzie stały oddziały węgierskie schronione pod opieką Turcyi, młoda żona jednego pułkownika węgierskiego, zakochała się w tym Turku-Polaku, i przyjęła muzułmanizm, aby zostać jego żoną. Mąż wściekły, a do szaleństwa kochający żonę, idzie za nią w piekło: przywdziewa turban, i u duchowieństwa tureckiego domaga się oddania mu żony. Stało się zadość chęciom prawego męża po sądzie Imanów; niewierna małżonka chrześciańska, zmuszoną była muzułmańskim wyrokiem do wrócenia w dawniejsze śluby. Iliński wyjechał z Bemem do Alepu, był obecnym jego śmierci, a po powrocie swoim jako mirołaj, to jest pułkownik, zajął znowu miejsce w wojsku tureckim. W Krymie, dowodząc Baszy-Bozukami, wykonał szaloną szarżę na kawaleryą rosyjską, i kilkanaście ran dostał. Sułtan wynagrodził go majętnością w ziemi i godnością Paszy. Z relacyi dzienników, powziąłem nie dawnemi czasy wiadomość o mężném jego postanowieniu gdy na statku przeprowadzał amunicyą do wojsk Omera Paszy, którego był adjutantem. Dziś jest w Carogrodzie; ma swój pałac i wielką wziętość

u sułtana. Karmi się on zawsze nadzieją, że jeszcze z wojskiem tureckiem wkroczy do powstającéj Polski, i że głowę położy na rodzinnéj ziemi. Boże! Przebacz mu odstępstwo, i policz cierpienia tułacza, aby te choć w części odkupiły go od Twojéj kary za lekceważenie wiary ojców!

Od najstarożytniejszych czasów, rozmaite ludności osadzały się na wyspie Malcie: byli tu Fenicyanie i Kartagińczycy, Grecy i Rzymianie; w średnich wiekach zajmowali ją Maurowie i od nich przeszła do Hiszpanów, którzy położyli koniec potędze Maurów, wzięciem Grenady, a potém zabierali wszystkie ważne ich porty. Nie ziemi to urodzajność, nie piękność kraju, ani klimat zdrowy, zwabiał te rozmaite, w rozmaitych czasach nasiedlenia, ale położenie Malty między Afryką i Europą i port bezpieczny ku przybyciu statków kupieckich i składu towarów. Karol V. darował ją kawalerom św. Jana jerozolimskiego w XVI. wieku, gdy ci wyparci byli z zajmowanéj wyspy Rodu. Ostatni wielki mistrz, Niemiec rodem, bez wystrzału i dobycia oręża oddał wyspę Maltę roku 1798 Napoleonowi I., gdy ten w wyprawie swojéj do Egiptu zaczepił o tak ważny punkt dla żeglugi. Ale w roku 1800 Anglicy odebrali ją i usadowili swoje panowanie, jak zdaje się na bardzo długie czasy; i od téj pory trzymają wyspę, jakby w trwaniu wojny, zawsze gotową do obrony. Wzmocniono i uzbrojono pojedyńcze forty; — wytoczone są działa na wałach, a przy nich w stosach piramidalnych leżą kule rozmaitéj wagi: czujne czaty na wałach fort i miasta pokazują dostatecznie, jak wiele ceny przywięzują do téj posiadłości mistrze żeglugi i handlu. Sami protestanci uszanowali religią katolicką w ludności maltańskiéj, jéj kościoły i duchowieństwo.

Dzień cały i w nocy rozlegają się liczne dzwony i karyliony. Garnizon angielski ma najsurowsze rozkazy nie drażnić w niczem mieszkańców, a rozkaz ten tak jest ściśle przestrzegany, że w sporach między żołnierzem a Maltańczykiem, wytoczonych przed sąd policyi, zawsze żołnierz przegra, a nawet i oficer zawsze prawie jest ukarany aresztem, gdy zajdzie spór między nim a mieszkańcem wyspy bądź na teatrze, bądź na innem publicznem zgromadzeniu. Przejeżdżającemu przez ulicę biskupowi szyldwachy oddają honory, jakby jenerałowi. Większa jeszcze cześć oddaną jest, gdy ksiądz z Ciałem Bożem jedzie albo wraca od chorego. W czasie procesyi, wśród rozlegających się dzwonów, słychać szczęk prezentowanéj broni i huk bębnów na odwachach. Wszystkie więc zachowane są względy dla mieszkańców, a przy tem wolność druku. Nieraz wyczytać można w gazetach krytykę administracyi albo rządów gubernatora angielskiego. Niepłodna wyspa, handlem tylko żywi mieszkańców. Cała skalista, mały tylko kawałek ziemi ku południowéj części ma uprawny; nawet na jedyny ogród miasta wożono okrętami ziemię z Sycylii, a co tu trudu i kosztów potrzeba było, aby urządzić ulice spacerowe, sad pomarańczowy i cytrynowy, gazony, kląby i kwatery najpiękniejszych kwiatów.

Żadnéj znajomości nie zrobiłem na Malcie. Jedynem towarzystwem mojem był konsul francuzki, pan Poujat, który łaskaw na mnie, częste w dniu godziny przechadzał się ze mną po mieście; występował ze smacznemi obiadami i godziny całe rozmawiał ze mną o polityce. Urodzony na Ile-Bourbon, niegdyś do Francyi należącéj, a dziś do Anglii, miał wybór między dwiema narodowościami. Anglicy ofiarowali mu piękną

posadę dyplomatyczną; ale poczciwy Poujat, chociaż doskonale mówił po angielsku, poszedł za głosem języka macierzyńskiego, i wolał lichszą pensyą, byle być Francuzem. Pan Poujat najregularniéj chodził na Mszą św. i na nieszpory, bo inaczéj najmniejszego nie miałby wpływu na wyspie, któréj wszyscy mieszkańcy gorliwymi są katolikami. Mówił mi konsul: — „It faut toujours agir, comme si un jour nous devrions arriver à reconquerir Malte, et il faut gagner les coeurs des habitans, car malgré toute la politique anglaise, favorable aux habitans, ceuxs-ci, comme catoliques, haïssent les Anglais protestans; et ils nous prêteraient bien volontairement la main, si nous voulions agir pour faire dècamper les Anglais.“ I prawda: służący w hotelach, Maltańczycy rodowici, wynajdywali różne urojone pretensye do Anglików: to że jakiś oficer nie zdjął kapelusza przed księdzem, to że stary kościół wzięto na skład wojskowy, nareszcie, że żołnierz potrącił służącą proboszcza.

Pałac dawny mistrzów maltańskich, a dziś gubernatora angielskiego; kościół św. Jana i ogród na sycylijskim zasypie, oto są wszystkie ciekawości Malty. W *Citta Vechia* (starem mieście), dawnéj stolicy mistrzów i w kościele św. Jana, przy ścianach i w ołtarzach tablice marmurowe i nagrobki, świadczą o pochowanych zwłokach W. mistrzów zakonu. Znalazłem między nimi kawalera *Liladame*, który jako W. mistrz bronił tak dzielne Rodu, że mu wszelkie honory oddał Soliman II, sułtan turecki. — La Valetta, który za tegoż sułtana przeciw potężnéj flocie o 149 żaglach, bronił i obronił Maltę, i W. mistrza Rodhana, z owéj dumnéj familii francuzkiéj, która na herbie swoim wypisała godło: — *Roi ne puis, prince ne veux — Rodan suis.*

I w istocie żadnego tytułu ani książąt, ani margrabiów nie nosili Rodhanowie; i to jeden z nich zostawszy W. mistrzem zakonu, mógł był sobie napisać: *Roi je suis.* Bo też czy nieprawdziwymi królikami byli naczelnicy długo potężnego zakonu, który męztwem swojem i czynnością rozpraszał floty tureckie; i gdy cała Europa obojętnie patrzała na tych barbarzyńców zajmujacych kęs po kęsie rozległe przestrzenie cywilizowanych krajów; oni, panowie skalistéj Malty, gdzie nie było dość zboża na powszedni chleb zakonników, nie złożyli oręża i nie dali spokoju potężnym Osmanom? Napadali ich, to na wyspach Archipelagu, to na okrętach strzegących handlu afrykańskiego, to łącząc się zawsze z tymi, którzy chcieli przeciw nim walczyć, czy to na morzu, czy na lądzie, a w niejednych bitwach dzielnéj pomocy kawalerów doznała Wenecya, staczająca tylko boje za swój handel, i składająca broń, skoro Turcy otworzyli nowe zyski tandeciarzom téj rzeczypospolitéj.

Do hotelu gdzie stałem, zajechali przejazdem: ziomek mój z Galicyi, pan Dolański i Włoch, mieszkaniec z pod Wicencyi, prowincyi weneckiéj. Dolański mówił mi o więzieniach na nowo napełnionych w Galicyi i Krakowie. Z dawnych spółwięźniów moich popadli się znowu bracia Franciszek i Michał Wiesiołowscy. Procesa wytoczone były na wielką skalę we Lwowie i Krakowie. W tem ostatniem mieście, konsyliarz Zajączkowski już sławny z dawniejszych inkwizycyi, łotrowstwami swemi przerażał wszystkie rodziny w Krakowie. Koledzy przestrzegali go aby się miał na ostrożności, ale śmiały ten nikczemnik drwił sobie: „*Będę ostrożniejszym jak dojdę do prezydencyi w sądzie apelacyjnym,*“ odpowiedział doradzcom. Aż oto w późnéj godzinie

wracając raz z indagacyi kryminalnych, gdy postępował za służącym z latarką, zbliżył się ktoś do niego, przyłożył do łba pistolet, wyrzekł: — *„tak podli giną!“* i strzelił przeszywając skroń kulą. Nadbiegł służący na huk, zbiegli się ludzie ze sklepów, ale trupa tylko odnieśli do domu: wszystkie poszukiwania były nadaremne.

Włoch, pan Sforza, utyskiwał na rząd austryacki w Medyolańskiem i Weneckiém. Zapewniał mię, że wszystko wre i kipi, i że Austryacy we Włoszech długo popasać nie będą. Cytował on mi w dyalekcie weneckim pocieszne wierszyki, krążące między ludem:

Quan San Marko governava,
Si dzenava, si pranzava;
So Francese bona dzente,
Si dzenawa solamente;
Sotto casa di Loveną,
Ne si pranza, ne si dzena.

Co znaczy:

Gdy Święty Marek tu władał,
Człowiek śniadał i obiadał;
Dobrych Franków panowanie,
Dostarczało choć śniadanie;
A pod Niemcem nie ma ładu:
Ni śniadania, ni obiadu.

Wrzenie to umysłów we Włoszech sprawdziłem za moim przyjazdem do Rzymu, gdzie Pius IX niewinniutkim sposobem rozniecił nadzieje; a wybuch w Paryżu, zajął ogniem całe Włochy.

Pan Poujat oddał mi listy Czajkowskiego przy końcu maja. Wyprawa do Czerkasyi spełzła na niczem. Mehmet Ali Pasza, za porywczo rachował na swoją hojność. Chciało mu się wziętości u Turków przez

styczność z Czajkowskim. Ale gdy przyszło do ofiar, pokazał stary i zrujnowany okręt, a o pieniędzach ani słyszeć nie chciał. Skutkiem téj rozwagi, Czajkowski, z polecenia księcia, kazał mi udać się do Rzymu, i tam zająć miejsce sekretarza przy agencyi polskiéj w stolicy Apostolskiéj, na któréj czele, od lat pięciu stał Ludwik Orpiszewski.

Konsul, pan Poujat, zaprosił mię na obiad, gdzie zastałem kapitana statku parowego, który płynął do Marsylii, a miał wstąpić do Neapolu i do Civita Vechia. Polecił mię konsul kapitanowi, i otrzymałem tę grzeczność, że płacąc za trzecie miejsce, miałem być na drugiem; to jest: mieć kajutę i prawo jedzenia śniadania i obiadu w przyzwoitem towarzystwie. Kapitan był bon vivant. Ale zdziwiło mię, gdy wprost z uśmiechem przyjął moje opowiadanie, że mrozy w Mołdawii dochodzą do 20 gradusów. — „*Mais Monsieur, qui peut donc vivre là bas?*“ — Konsul wtrącił: — „*Mais mon ami, vous devez vous tromper.*“ — Obaj tak mię zmięszali, żem zamilkł, i myślałem sam w sobie: — „Może być że oni inaczéj mają pomierzony termometr, bo jakże? Ten kapitan marynarki, ten światły człowiek, przecież nie chce mi wierzyć, że 20 gradusów mrozu może być w Mołdawii, kiedy u nas, na Wołyniu dochodzi do 24, a nawet 30. Cóż dopiero mówić o Petersburgu, gdzie przechodzący przestrzegany bywa: *nos, nos*, od troskliwych, aby nie odmarzł zupełnie. Tak mi w głowie ta dyskusya o mrozie, która trwała z godzinę, że dziś radbym tych panów mieć u siebie w Lisińcach, gdzie w moim domu, mimo dwóch pieców i kominka, jeszcze zimno czuć się daje, a przecież ja słaby, jeszcze żyję i nie tracę tchu.

Na okręcie parowym pierwsze miejsca zajęte były

przez Anglików, między którymi odznaczał się poczciwy jakiś mąż, który regularnie przeprowadzał trzy razy na dzień pięć małych piesków swojéj żony po całym pokładzie, a jéjmość wysoka, chuda i w okularach, siedziała pod baldahinem rozpiętym na tyle okrętu, i rozmawiała z podróżnymi, pasyonując się, jeśli zapytany przez nią po angielsku, odpowiadał po francuzku, albo po włosku. Na drugiem miejscu miałem za towarzyszów dwóch czy trzech Francuzów, i małżeństwo z teatru opery włoskiéj na Malcie, rodem z Florencyi i Rzymu. Mąż był Rzymianinem, żona Toskanka, bardzo piękna. Podróż nasza acz krótka, acz w dnie majowe, nie była z tych pięknych przejażdżek morskich, jakie w téj porze roku zwykły być najprzyjemniejsze. Wiatry przeciwne rozigrały falami, i te długo nie mogły się uspokoić. Niebo pokryte było szaremi chmurami; statek przewracał się na wszystkie strony a podróżni wiele cierpieli. Biedna aktorka tarzała się w słabości morskiéj, spychana ciągle z łózka na podłogę i miotana chwiejącym się okrętem to w jeden, to w drugi kąt kajuty. Niecierpliwość rozrzucała wszystkie osłony, a podróżni mocniejsi, ciekawem zerkali okiem do kajuty, gdzie małżonek z troskliwością starał się ze swojego szlafroka, to w głowach, to w nogach żony, napinać firanki. Z całéj załogi okrętowéj ja i dwoje małżeństwa, wybieraliśmy się do Rzymu. To też w Civita Vechia, opasanéj forteczce z rozwalonemi murami, skoro chciwi a nieokrzesani duaniery przejrzeli nasze rzeczy i zdarli co mogli; znaleźliśmy weturyna, to jest furmana, i lekkim koczykiem we trojgu, udaliśmy się do wiecznego miasta. Z Civita Vechia do Rzymu, jest 10 godzin drogi. Na połowie, w brudnym zajezdnym domie, weturyno dał siano

i owies koniom, a nas wezwał abyśmy się posilili zastawionym obiadem. I mnie i moim towarzyszom, obiad choć skromy, wydał się bardzo długim, bo czyliż można było umiarkować niecierpliwość o kilka mil od Rzymu téj stolicy starego niegdyś a dziś nowego świata?

O godzinie drugiéj, już toczył się nasz powóz po drodze, a po dwóch bokach ciągnęły się obszerne, nie uprawne pola, zarosłe wysokiemi trawami. Dzień się wyjaśnił: niebo włoskie, jasno-błękitne, okrywało namiotem głowy nasze, słońce żartkiemi dogrzewało promieniami. W dalekości, na kształt szarych chmurek pokazywały się góry sabińskie, kopuła ogromna wysuwała się i przybierała w oczach coraz więcéj olbrzymie rozmiary. Promienie słońca padały na nią, a ja chciałbym przyspieszyć biegu koniom, bo choć tak blisko było do Rzymu, zdało mi się że czas leniwo idzie i że nie dość rychło zaprowadzi mię do wiecznego miasta. Czy z takiém uczuciem zbliżali się niegdyś podróżni do tego miasta, gdy było stolicą świata, stolicą potęgi, zbytku i strachu? Rzymie! nie ma już twoich żelaznych kohort, którym nic się oprzeć nie mogło; nie ma twoich pałaców i świątyń jowiszowych kapiących złotem, nie ma twoich konsulów, dyktatorów, trybunałów i Cezarów groźnych, nie ma twoich tryumfów, któremi do bożków podnoszono zdobywców królestw, pogromców licznych zastępów to Partów, to Kartaginów, to germańskich narodów! Na innéj części świata, w owéj ubogiéj Jerozolimie, którąś ty Rzymie dwa razy zburzył, obrońców jéj przykuwał do woza tryumfatorów, urodzili się ludzie w ubóstwie, i z łachmanami na ciele, z głodem szarpiącym wnętrzności, przechodzili kraje i zaszli aż do twoich murów, aż do

twego kapitolu, o Rzymie dumny! Oręża nie mieli, krwawych zwycięztw nie odnieśli, na kohorty twoje nie wpadali z bronią, zarzewia pożaru nie rzucali na twoje pałace; — a w proch poszły gmachy twoje; rozsypały się twoje kohorty, znikli konsulowie, trybuny, Cezary; — w głębiny ziemne zapadły twoje świątynie, w niwecz poszła twoja potęga, twój urok przerażający, o Rzymie, ty coś nieśmiertelnym nazywał siebie, i z łódki rybackiéj ubodzy żebracy jerozolimscy posiedli panowanie nad tobą, a panowanie nie mieczem, nie skarbami, ale duchem Bożym i tą nauką, którą im powierzył Zbawiciel. Sprawdziły się twoje rojenia: — zwałeś się wiecznym Rzymie, ale nie wiecznyś twoją siłą, twojemi bogatwy, twojem przewództwem orężném, tyś wieczny z ducha niebieskiego; i gdy pierwéj strach zginał przed tobą kolana, dziś je zgina pobożność i cześć dla nauki tych biednych rybaków, którzy miejsca twoich rozpustnych i krwiożerczych zabrali Cezarów.

Słońce zachodziło i krwawe promienia oblały kopułę dawno postrzeżoną. Wśród tego blasku krwawego, wyzierały gmachy nowego Rzymu; i z sercem ściśnionem uczuciami wzniosłemi wjechaliśmy do miasta. Przejechawszy koło brudnych domów Transteweru, znaleźliśmy się przy murach watykańskich, owego szeregu pałaców, gdzie liczą 22 dziedzinców, a jedenaście tysięcy pokojów. Trzy fontanny biją na dziedzińcu i wznosi się obelisk Sezostryja, z gruzów zawalonych i z głębi ziemi wydobyty przez Sykstusa V. — Architekt Fontanna w wieku XVI, obelisk ten postawił na dziedzińcu watykańskim. Sporządzone były machiny do podniesienia i stawienia tego olbrzyma. Lud się zgromadził ciekawie i otoczył pracujących. Pod karą śmierci zabronił papież podnieść głos komukolwiek, aby rozkazy

przewodniczącego téj robocie, bez przeszkody były dosłyszane przez robotników i dobrze pojęte. Na boku kat z mieczem dla postrachu stał gotowy spełnić natychmiast wyrok na pierwszym, któryby słowo przemówił. Krzątano się pilnie. Cichość osiadła stutysięczny lud ciekawych, zapełniający dziedziniec i plac po za dziedzińcem aż do mostu św. Anioła. Podniesiony obelisk za pomocą sznurów i machiny, nagle w powietrzu zatrzymał się, jakkolwiek dość już wysoko wzniesiony: sznury były za krótkie. Fontanna w rozpaczy; cały trud daremny; trzeba było spuszczać obelisk i dłuższe dawać sznury. Sykstus V. z okna pałacu przypatrywał się trudnéj pracy i smutnemu zawodowi. Wtém z ciżby podnosi się głos: *Aqua ai cordi!* (wody na sznury). Kat stanął z mieczem przy ubogim mieszkańcu Transteweru, który śmiał przemówić. Miecz był wzniesiony; urzędnik policyi już miał wydać ostateczny wyrok. Fontanna przybiega do skazanego i powagą swoją zatrzymuje spełnienie wyroku, biorąc na siebie odpowiedzialność, aż do ostatecznéj w tém woli Ojca św. — Zatoczono sikawki z wodą: polane sznury, rozciągnęły się pod wilgocią, a machina w ruch puszczona ustawiła na podstawie olbrzymi obelisk. — Gamen uliczny oszczędził trudu i kosztów. Sykstus V. nie tylko darował mu życie, ale hojnie wynagrodził tak, iż ubogi mieszkaniec Transteweru miał o czém wygodnie resztę dni życia swego przepędzić.

W duanie przejrzano znowu nasze rzeczy, i znowu pijawki rzymskie, urzędnicy, owi synowie kardynalskich lokai, wyłudzili od nas co im się udało. Towarzysze moi odjechali do domu krewnych; a ja stanąłem w najbliższym hotelu, i zaraz posłałem kilka słów do Ludwika Orpiszewskiego, dając mu znać o mojém przy-

byciu. We dwie godziny przybył do mojego hotelu agent polski przy stolicy. Łagodność rysów, głos cichy, ujmujący, uprzedził mię zaraz korzystnie na stronę nowego towarzysza prac moich, i nie zawiódłem się na pierwszem wrażeniu. Półtora roku pożycia, zostawiło w méj duszy nie zatartą pamięć szlachetnéj duszy jego; i dziś we wspomnieniach dni mojego tułactwa, góruje on nad wszystkimi towarzyszami pielgrzymki. Każdy wyraz, każdą czynność jego, rozbieram z rozrzewnieniem; w marzeniach moich, nieraz się przenoszę do słodkich chwil naszego obcowania i w duszy pragnę, aby mi Bóg pozwolił raz jeszcze w życiu ziemskiem uścisnąć dłoń tego szlachetnego młodzieńca. Należał on do liczby owych 13-stu, którzy roku 1830 wpadli na Belweder, gdy W. książe Konstanty z pokoju do pokoju przebiegał kryjąc się przed czyhającymi, jak mniemał, na życie swoje. O! jak poczciwy Ludwik nie podobny był do krwiożerczego Robespiera, i jak życie W. księcia bezpieczneby było, gdyby w jego tylko ręku spoczywało ostateczne rozstrzygnienie. A jednak on gorąco kochał ojczyznę, i każdéj chwili gotów był nieść w ofierze własne życie dla świętéj sprawy naszéj. Od początku emigracyi, pracował zawsze pod przewodnictwem księcia Adama; odbywał podróż z księciem Witoldem, synem ks. Adama do Księstwa poznańskiego, gdy młody syn naszego naczelnika pierwszy raz stąpił nogą na ziemię polską, aby poznać ojczyznę i spółobywateli. Znana prawość jego charakteru i bezinteresowność, sprawiły, że koledzy jego myśli, *Trzeciego Maja* jemu powierzyli redakcyą w samym zawiązku Dziennika, który ten tytuł nosił. Głęboka religia i silne jego przekonanie, że wiara katolicka jest najżywotniejszą częścią narodowości polskiéj, zwróciły uwagę księcia i pana

Zamoyskiego, i on był obrany na reprezentanta naszego przy stolicy Apostolskiéj, gdy Grzegórz XVI. upomniał się, aby agent polski był zawsze w Rzymie, aby Ojciec św. był zawsze oznajomiony w czas ze sprawą naszą i naszemi pracami, nie dał się uwieść drugi raz, jak to było 1831 roku, na insynuacye Austryi i Rosyi, rzucił naganę na tych, którzy podnieśli ruch warszawski.

Gdy wojska nasze wkraczać miały do Prus, matka Orpiszewskiego przybyła do Płocka, aby syna pożegnać i wręczyła mu pakiet zastawnych biletów. Było tam 50 tysięcy, które Orpiszewski zmieniał u bankierów paryzkich, i za pomocą księżny Sapieżyny, matki księżny Adamowéj Czartoryskiéj, umieścił tak, iż te czyniły mu 8 prc. Nie wielki to był fundusz, ale przynosił Orpiszewskiemu około 150 franków na miesiąc, a on był tak oszczędny, tak mu nie wiele potrzeba było, iż nigdy nie chciał przyjąć pensyi, jaką książe Adam przeznaczał z kasy zebranéj u siebie na wszystkich agentów, dla sprawy naszéj pracujących. Gdy jeszcze był redaktorem *3 Maja*, pierwsze założenie tego dziennika, gorliwość z jaką każdy z popieraczy myśli Mochnackiego, starał się te zdrowe zasady rozszerzać, nie żałując ani trudu, ani kosztów, nadwerężyły trochę fundusze Orpiszewskiego: zrobił dług dwa tysięcy franków, i o tyle zmniejszył sie jego kapitalik. Orpiszewski chcąc stratę wynagrodzić, przyjął miejsce w biórze szpitala Panien miłosiernych z pensyą 120 franków na miesiąc; a procent od swojéj sumki dokładał do kapitału, aby go znowu do pierwszéj ilości doprowadzić. Nowy obowiązek nie oddalił go od pierwszego, i przy pisaniu rejestrów wydatkowych szpitala, redagował artykuły do dziennika. Pan Zamoyski, który na ten Dziennik łożył ośm tysięcy franków rocznie, zaklinał go, aby miejsce przy biórze

szpitala porzucił, ofiarując mu z kasy dziennika te samą pensyą jaką w biórze szpitalowym pobierał; ale Orpiszewski w żaden sposób przyjąć tego nie chciał i zaręczył, że potrafi tak swój czas urządzić, iż obu obowiązkom zadosyć uczyni. Są to wszystko rysy charakterystyczne tego szlachetnego człowieka, które mnie znajome, nakreśliły w méj duszy wysoki dla niego szacunek; i dla tego chociaż on najgorliwszy katolik, ja wówczas filozof XVIII. wieku, nigdy nie poważyłem się rezonować o religii, lubo często uśmiech był na moich ustach, gdy on o nieomylności władzy papieża rozprawiał. On też miał i dla mnie szczere współczucie, i często starał się skruszyć moją bezbożność, zaprowadzić mię do konfesyonału; a lubo nie jemu było dane dokonanie mojego nawrócenia, przecież w sercu i pamięci zawsze jego rysy przedstawiają mi się opromienione aureolą świetną i słodką, tak iż go liczę do tych osób, które otwarły oczy moje na światło świętéj wiary naszéj.

Umieściłem się w domie, który Orpiszewski od kilku lat zajmował, nr. 5 na *Via Felice*, i z nim pierwszym zacząłem Rzym zwiedzać. Poszliśmy do kapitolium; przeszedłszy bramę jego oglądaliśmy zakopane łuki starego Rzymu, plac palatyński i Kolizeum. Nie będę opisywał tych ciekawości Rzymu, nie jedna księga je zawarła, ja sam w powieści *Urbi et Orbi* starałem się dać zarys choć słaby, przez cenzurę warszawską obcięty. Zostawuję więc w Pamiętnikach tę lukę opisu gmachów, galeryi, ogrodów i villi rzymskich; chyba czasem pisząc o czynnościach politycznych, zaczepię z okoliczności o nie jednę ciekawość, o nie jedne arcydzieło, jakich żaden zakątek Europy w takiéj ilości pokazać, takiego zachwytu wywrzeć nie może.

Kilka domów polskich jeszcze bawiło w Rzymie, kończąc porę zimowę i wybierając się do Szwajcaryi, to do Paryża. Zastałem panią Ludwikową Giżyckę, jéj matkę panią Michałową Sobańską, staruszkę 80-letnią, a jeszcze zdrową i lubiącą przyjmować wiele osób u siebie. Między przybyłymi z kraju dowiedziałem się, że dawna znajoma moja pani Krajewska, z domu Szaszkiewiczówna, bawi także w Rzymie. Tę więc najpierwéj odwiedziłem, i zastałem u niéj panią Czerkowicz, wołynianke, z domu Rzewuskę, siostrę Henryka Adama i Ernesta, trzech Polaków zamienionych na Moskali, każdy w różny sposób. Sama pani Czerkowicz była naprzód za Hieronimem Sobańskim; opuściła męża i poszła za obozem rosyskim, gdzie znajdował się jenerał Witt, który ją uwiódł i z pierwszym mężem rozdzielił. Grzeszyła słabą naturą kobiecą, ale uczucia Polki w niéj nie wygasły. Po wzięciu Warszawy, gdy jenerał Witt został téj stolicy gubernatorem, wybawiła wielu nieszczęśliwych oficerów wojsk polskich od Sybiru i kopalni. Artiura Lenkiewicza sama wywiezła z Warszawy; zwiedzała szpitale, gdzie ranni jeńcy polscy oczekiwali swego przeznaczenia, i niejednego, jeśli nie wybawiła, to osłodziła niewolę i z nędzy dźwigała. Adjutant jenerała Witta, Czerkowicz ożenił się z nią i został gubernatorem w noworosyjskiéj gubernii. Owdowiawszy po nim, wybierała się za granicę resztę życia spędzić. Ona ułatwiła mi powrót do ojczyzny; dla niéj należy odemnie wdzięczność że w cichéj zagrodzie rodzinnéj czekam woli Bożéj w dalszym losie mego życia. Pani Krajewska Otylda, wydawszy jedyną córkę za Potockiego (chociaż nie z Potockich Pilawitów) i zrzekłszy się całego majątku mężowskiego i własnego na rzecz téjże córki, ze szczupłą pensyą przyjechała

do Rzymu dla poratowania zdrowia. Obie panie prosiły mię na obiad. Przyłączył się do nas mój kolega krzemieniecki, Oskar Sosnowski, dziś sławny rzeźbiarz, a przy nim i malarz Maliński.

Po obiedzie zwiedziliśmy sale Watykanu, zaczynając od wązkiéj, a najsławniejszemi dziełami malarstwa ubranéj. Święty Hieronim, Dominikina; św. Sebastyan Perudżina; św. Marya nazwana Foligno, przez uczniów Rafaela, ale gdzie jego kilkoma strychami, zbliżył się ten obraz do dzieł mistrza tak, że wielu jemu go przypisuje; nakoniec arcydzieło nad arcydziełami: Przemienienie Pańskie na górze Tabor. Darmo opisywać wrażenie jakie na widzu czyni ta Boskość twarzy Chrystusa, gdy w oczach uczniów zrzucił z siebie człowieczeństwo, i pierwszy raz nim umarł i nim zmartwychwstał, okazał oblicze nie téj ziemi, ale tego królestwa swego, gdzie panował dawniéj i panować będzie po wszystkie wieki.

Z sali malowideł zwiedziliśmy salę sykstyńską, z najsławniejszemi arcydziełami starożytnego i nowożytnego rzeźbiarstwa. Tam oglądaliśmy ów sławny tors Herkulesa, bez głowy, bez rąk i bez nóg, do którego żaden z nowożytnych rzeźbiarzy nie śmiał przyłożyć ręki, aby przez czas uszkodzone członki dorobić; a Michał Anioł, ów mistrz sztuki czasów nowych, przepędzał godziny na wpatrywanie się w ten niby nie kształtny kawał marmuru i podziwiał wszystkie żyły i muszkuły tak wydatne, jakby je pędzel narysował: starożytne arcydzieło Ateńczyka Apolloniusa, jak napis u spodu poświadcza. Tam posąg Apollina z wyrazem tryumfu na twarzy, jakby po trafnym strzale swojego łuku; i tam Laokoon, w ruinach termów Tytusa znaleziony, a na którego znalezienie oświecono miasto

i z dział bito w Rzymie, jakby po otrzymanem wielkiem zwycięztwie narodu.

Wracając, gdyśmy obok *Cafe nuovo* przejeżdżali. prosiłem damy na lody. Pani Czerkowicz wzbraniała się przyjmować zaproszenie, nie chcąc nadwerężać kassy emigranta. — „Mais, Madame, ne soyez pas donc, mówiłem jéj, comme l'empereur Nicolas, qui veut nous mettre hors la loi qui sert à tout le monde!“ Uśmiechnęła się i weszła z nami do kawiarni, gdzieśmy zastali wszystkie dzienniki francuzkie: nowość, od dawnych lat nie znana w Rzymie. Dawni papieże byli przekonania, że każda rzecz pochodząca z Francyi, przynosi zarazę liberalizmu, i nie pozwalali poddanym swoim czytać pisma francuzkie. Pius IX otworzył nową epokę: zagraniczne dzienniki czytano; w krajowych, wolno było pisać o miłości ojczyzny, i drukować: *Niech żyje Italja!* Liczni od lat 20 wygnańcy, daleko od rodziny żyjący, przywołani byli jego amnestyą ogólną. Otworzono więzienia polityczne, a zamknięci od lat wielu, ujrzeli światło dzienne nieszczęśliwi Karbonary. Myślano o nadaniu nowych praw, o utworzeniu konsulty rządowéj; co więcéj, o wezwaniu cywilnych ludzi do rządu. Kardynał Lambruschini, ulubieniec Grzegorza XVI. wypadł z łaski; lud zgrzytał zębami ile razy przejeżdżał przez miasto, a wykrzykiwał i klękał przed Piusem IX.; na ustach dzieci nawet było ciągłe: *Viva Pio nono.* Papież dobrocią serca swego, przebaczył wygnańcom i więźniom. Chciał pewne ulepszenia w państwie zaprowadzić, ale nie myślał że od niego pójdzie ruch Włochów całych. Tymczasem pracowano nad nadaniem pewnych praw, jakoby konstytucyi dla państw rzymskich. Przy końcu grudnia już ta się ukazała. Król sardyński poszedł za przykładem danym od stolicy

apostolskiéj. Jeden król neapolitański jeszcze się trzymał; ale gdy książę toskański dał Florencyi konstytucyą w styczniu, król Ferdynand w Neapolu, na złość królowi sardyńskiemu i w. księciu Toskanii, ogłosił u siebie konstytucyą liberalniejszą niż tamte wszystkie. Miał powiedzieć: „Ja im zadałem orzech do zgryzienia; teraz będą musieli albo się cofnąć, albo ogłosić rzeczypospolite u siebie.“ Wszystko się gotowało do wielkiego dramatu we Włoszech. Ale tymczasem, ponieważ to później się stało, wrócę do moich czynności osobistych i do prywatnego kółka między ziomkami moimi, gdziem się tulił z sercem całem do tych przybyszów z rodzinnego kraju, ja stęskniony 16to-letniem wygnaniem i życiem wśród cudzoziemców.

Pani Giżycka Ludwikowa była z trzema córkami swemi: z zamężną Zofią Łubieńską i z pannami Wiktoryą i Maryą. Zofia z natury w kształcie swym ułomna, a w poważnym stanie, budziła wielką obawę w matce i w całéj rodzinie. Bok miała wklęsły i jednę nogę krótszą. Doktorowie przepowiadali ciężkie przetrwanie pierwszego połogu, i dla niéj ani babka jéj, pani Michałowa Sobańska, ani matka z siostrami choréj, nie miały zamiaru nigdzie z Rzymu wyjeżdżać, lubo zbliżały się dnie gorące, gdzie dla niezdrowego powietrza, wyziewów z bagien pontyjskich i nieuprawnych kampanii w około Rzymu, nikt prawie nie pozostawał w stolicy świata chrześciańskiego. Pani Giżycka przeniosła się tylko na ulicę uznaną za jednę ze zdrowych, i w pałacu Chigi zajęła piękne apartamenta z całą rodziną swoją, postanowiwszy czekać aż przejdą dnie niebezpieczeństwa dla jéj córki zamężnéj. Orpiszewski wyjechał także w okolice Loretty, zostawując mnie prowadzenie agencyi polskiéj. Tak więc

ja jeden prawie zostałem ze znajomych pani Giżyckiéj, szczęśliwy że przynajmniéj niekiedy miałem przyjemne towarzystwo Polek do przepędzania wieczoru. Ile przyzwoitość pozwalała, starałem się do tych dam najczęściéj przychodzić. Pani Giżycka gorliwa katoliczka, wiedziała, że ja nie bardzo ściśle zachowywałem posty od kościoła nakazane. Otóż tak była łaskawa, że jak tylko piątek przychodził, posełała do mnie służącego z zaproszeniem na obiad. Przychodziłem niewiedząc o jéj zamiarze przywiedzenia mię mimo woli do sumiennego pełnienia obowiązków katolika. Zastawałem więc wszystko na oliwie, i lubom się krztusił, nie dałem poznać wstrętu, zwłaszcza że gospodyni zapowiadała mi, iż po obiedzie z nią i z jéj córkami pojadę na przejażdżkę po Rzymie. Zwiedzaliśmy razem różne kościoły: jeden piątek poświęciliśmy kościołowi św. Pawła, który się przerabiał po spaleniu; w drugi piątek oglądaliśmy kościół Santa Maria dei Angeli, którego plan nakreślił Michał Anioł Buonaroti; w trzeci byliśmy w kościele św. Piotra w okowach, gdzie się znajdował ów sławny posąg Mojżesza Michała Anioła. Posłaniec Boski do Żydów, ogromnych rozmiarów, siedział z prawami w ręku, — spoczął gdy je ogłosił ludowi. Władysław Łubieński zwiedzał ze mną inne kościoły w godzinach, gdy ochłodzone powietrze pozwalało przechadzkę piechotą przedsiębrać; i zwiedziliśmy kościoły: św. Sebastyana, gdzie jest wchód do Katakomb; św. Katarzyny, gdzie w ołtarzu stoi słup, do którego Zbawiciel nasz był przywiązany w czasie biczowania. Byliśmy w owym klasztorze z odwiecznemi lipami, pod któremi Tasso siadywał. Zwiedzaliśmy sławne place Rzymu, kolumny, plac ludu, plac przed kościołem laterańskim, plac przed Kwirynałem, gdzie

dwa sławne konie dłuta Fidyasza i Praksytelesa; — ogrody Pamfili, Borgeze i owe Pincio urządzone w cieniste ulice, a górujące nad *placem ludu.*

W zatrudnieniach moich politycznych, komunikowałem w notach objaśnienia o kandydatach podawanych przez rząd rosyjski na biskupów za pośrednictwem pana Buteniewa. W tym samym czasie, Austryacy niepokojąc się postawą jaką przybierały Włochy, a szczególniéj marchie romańskie, mieli zamiar z cytadelli Ferrary, gdzie załogę trzymali od roku 1815, wyjść i zająć całe miasto, i w tym celu jednali sobie mieszkańców miasta, aby żadną protestacyą temu zajęciu nie sprzeciwiali się. Mając wiadomość od obywateli o tych intrygach, zacząłem moją notę od zawiadomienia dworu papiezkiego o tym nieprawym kroku, a kończyłem ją rysopisami podanego na biskupa kandydata Tomaszewskiego, i na biskupa wileńskiego Zielińskiego, którego podług nocyi naszych, obwiniono o obojętne patrzenie się na prześladowania dawnych Unitów w Polsce. Notę moją podałem Monsiniorowi Viteleschi, którego mi Orpiszewski wskazał, a który w ścisłych był stosunkach ze spowiednikiem Ojca św. Ministeryum już wówczas było cywilne. Ministrem spraw zagranicznych był książę Aldobrandini, któremu podałem notę dotyczącą się tylko intryg austryackich w Ferrarze.

Na wizytach moich u pani Giżyckiéj, często wieczory przepędzaliśmy, odczytując poetów naszych. Czytałem tam Irydyona, ten piękny poemat Zygmunta Krasińskiego; na prośby kobiet czytałem *Dziady* Mickiewicza, a potem jego Konrada Wallenroda, potem rozprawialiśmy o geniuszu naszych poetów w porównaniu do poetów angielskich i niemieckich. Mój głos przy czytaniu zwracał się duszą do Maryi, najmłodszéj

córki pani Giżyckiéj. Jéj piękność, urok czarujący oczu, głosu, jéj głosu grającego dźwiękiem drogim dla mnie ojczystéj mowy, któréj tak dawno z ust Polek nie słyszałem; tęsknota za krajem, tęsknota serca za uczuciem najsłodszem biła coraz mocniéj w piersi mojéj, i nie postrzegłem się jak myśli od polityki zwróciły się do niéj, do téj wybranéj od mojego serca, które nie zważało na żadne trudności. Odtąd coraz częstszym gościem miała mię u siebie pani Giżycka. Z zamkniętemi oczami biegłem za urokiem, nie przewidując że kiedyś dusza zaboli. Jednak nieraz, nieraz przychodziła rozwaga nad uczuciem, co tak ślepo pędzi za marzeniem najmniéj podobnem do uiszczenia. Bo gdybym i wzajemność mógł pozyskać, czyliż ważyłbym się, ja wygnaniec, bez ojczyzny i domu, wieść do tego wygnania młode dziewczę, mające wszelkie prawo, blisko matki, na ziemi rodzinnéj, wybrać sobie towarzysza, i nie zrzekać się słodkich węzłów rodzinnych, które wygnanie rozrywa? — Po głębszéj rozwadze, wstrzymałem się od wizyt; już od dwóch tygodni nie przychodziłem do pani Giżyckiéj. Tymczasem najstarsza jéj córka, pani Łubieńska, bliska złężenia, dostała febry perniciozy, w któréj paroksyzmy zbliżają się coraz więcéj do siebie aż przychodzi straszne przesilenie, gdzie nie ma między niemi pauzy, i śmierć następuje. Odwiedzając panią Sobańską jednego wieczora, zastaję ją we łzach samą jednę. — „Ach Panie! — zawołała do mnie, jak to jest okropnie wnuki swoje przeżywać!“ — Zatrząsłem się i ze szczerem współczuciem pytam o przyczynę boleści. — „Wnuka moja Zofia Łubieńska umiera.“ — Zerwałem się i poszedłem do domu pani Giżyckiéj.

Spłakana matka spotkała mię na progu: — „Pa-

nie! rzekła do mnie łkającym głosem: — mnie się zdawało że w waszéj niedoli i oddaleniu od ojczyzny, ja będę mogła was pocieszać; a to z woli Bożéj, ja od was wszystkich potrzebuję pocieszenia. — Patrz — patrz w drugim pokoju Zofia moja!.... Drżący wszedłem gdzie mi wskazała. Na łożu boleści charkotającem odetchnieniem, Zofia Łubieńska walczyła z ostatniemi chwilami swojemi. Zbliżyłem się do doktora, który ją za puls trzymał; utopiłem w niego zwrok troskliwie pytający: — jeszcze dwie albo trzy godziny życia; puls coraz idzie w górę.“ Ksiądz Aleksander Jełowicki położył stułę na jéj głowę i piersi: — „Wynijdź duszo pobożna do Pana Boga, który cię wzywa!“ — zawołał donośnym głosem. — Na to wołanie wbiegła matka zadyszana i siadła drżąca u wezgłowia. Po dwóch stronach łoża siedziały dwie jéj młodsze córki, Wiktorya i Marya, i odmawiały *modlitwę Pańską* i *Zdrowaś Marya*. Klęknąłem na przeciw umierającéj, i przebiegałem myślą cały bieg jéj życia.

Zofia przed trzema laty znajdowała się z matką w Wiedniu, a potem u bliskich kąpieli mineralnych. Wielu ziomków moich z kraju za pasportami bawiło w tem samem miejscu, a pomiędzy nimi Władysław Łubieński, syn byłego ministra skarbu, na którym odbywał się proces o zagubione pieniądze banku. Dwaj jego synowie ofiarowali ojcu cały posag matki, wynoszący milion złotych polskich, a zostawała im bardzo mała sumka. Zofia niełądna i ułomna, lecz nie tylko pięknie wychowana, ale wysoko ukształcona, posiadała trzy języki: francuzki, niemiecki i włoski doskonale. Głęboko znała literaturę tych trzech narodów, a nad ojczystą w ciągłéj była pracy. Skazana brakiem wdzięków i ułomnością jakby na wieczne panieństwo,

nie mogła się obronić słodkim uczuciom jakie do jéj serca weszły. Piękny a nawet uczony Władysław Łubieński, mimo wiedzy swojéj, stał się przedmiotem jéj marzeń; a drżąca w nowem dla siebie uczuciu, lękliwa nie śmiała nikomu miłości swéj wyznać. Kawałek tylko papieru do jéj pamiętników należący, odebrał pierwsze zwierzenie. Ta ćwiartka zdradliwa, gdzie spoczywały tajemnice biednéj Zofii, zabłąkala się w książkę francuzką katolickiéj treści, która niedawno wyszła. Pani Róża Sobańska, bratowa pani Giżyckiéj, a Łubieńska z domu, miała sobie tę książkę pożyczoną. Tajemna ćwiartka dziennika wpadła jéj w oko, odczytała ją i posłała bratu swemu, ojcu Władysława. Pan Łubieński, gdy się spotkał z synem, pokazał mu ów wyjątek z dziennika Zofii i przedstawiał że w ich położeniu, bez żadnego majątku, jest to piękna dla niego partya. Szlachetny Władysław odpowiedział: że jakkolwiek szczęścia swego do majątku nie przywiązuje, jakkolwiek panna Zofia Giżycka zupełnie go nie zajęła, jednakże bacząc na wysokie przymioty jéj duszy i na niewinny wypadek, przez który tajemnica skromnéj panienki wyszła na jaw, on czuje się w obowiązku o jéj rękę się starać. Za życzeniem tedy gorącem ojca i za własnem idąc przekonaniem, Władysław Łubieński jedzie na Wołyń, oświadcza się, i z żoną i jéj matką przyjeżdża do Rzymu, gdzie go wołało i miejsce święte, jako gorliwego katolika, i bliska słabość żony, która podług zdania doktorów groziła jéj niebezpieczeństwem. Przeszła zima i pierwsze dnie lata; żona jego coraz bliższą była rozwiązania. W tem proces ojca coraz zgubniejsze dla ministra biorący następstwa, powołał na ratunek syna. Wprawdzie matka i siosty zaklinały go, aby nie opuszczał żony, ale Zofia wysoko religijna i pełna

cnót, szlachetnym naszym niewiastom właściwych, stanęła przeciw całéj rodzinie: — „Niech jedzie, Mamo, ojciec miał nad nim prawo Boże pierwsze, niżeli moje; — niech jedzie ratować go, — nademną Ojciec niebieski czuwać będzie.“ — Władysław odjechał, a Zofia od téj chwili oddała się pobożnym ćwiczeniom. Dnie całe przepędzał przy niéj ksiądz Kajsiewicz, którego ona wysoko szanowała, u niego starała się nabierać sił i mocy religijnéj, aby przyjąć ten kielich jaki dla niéj Pan gotował. Czuła pełne siły młodości, czuła gorące życia pragnienie, bo to życie pełne było dla niéj słodyczy i uroku; lecz łudzić się już nie śmiała: nie marzyła o dalszym ciągu dni szczęśliwych po przebyciu słabości, o nowych rozkoszach niewiasty jako matki, — ale o życiu wiecznem. Skoro matka z siostrami wyjeżdżały na przejażdżkę po Rzymie, ona w swoim pokoju klękała przed Matki bolesnéj obrazem, albo kreśliła ostatnie swoje rozporządzenia. Te pisma testamentowe znalezione były w jéj sekretarzyku po śmierci dopiero, bo biedna Zofia kryła przed siostrami i przed matką smutne swoje przeczucia. Nie chciała zakrwawiać serca tkliwéj matki, która sama dość już miała o córkę niepokoju. Boleści nawet swoje tłumiła, i aby ich nie wydać, zwykle przychodziła do salonu, gdy wieczorami kilka osób zbierało się u pani Giżyckiéj. Ja byłem niechybnym gościem dnia każdego. Przychodził czasem doktor, często ksiądz Kajsiewicz, albo ksiądz Jełowicki i Jastrzębski, archeolog, dziwak nieznośny, który szperał po bibliotekach rzymskich i po archiwach, a pleśń starych książek i rękopisów tak zabrał do mózgu swego, że czy to w rozmowie potocznéj, czy w rozprawach, przybierał koloryt trudny do wytrwania. Ciągle narzekający, nieszczęśliwy, i to nie-

szczęście głoszący, łatwy do gniewu, bo wszyscy obudzali w nim zazdrość, słowem ani mnie, ani też nikomu z ziomków podobać się nie mógł. Przychodzili niekiedy na te wieczory Józef i Bohdan Zalescy. Józef, obywatel Ukrainy i b. marszałek kijowski przed powstaniem 1830 roku, miał od siostrzenicy, pani Darjuszowéj Poniatowskiéj dostateczny fundusz na wygodne życie. — Zimę przepędzał w Paryżu i każdego lata wybierał okolice czy to Włoch, czy Szwajcaryi, czy Francyi południowéj na ekskursye swoje. Od początku emigracyi związał się on ścisłemi stosunkami z Bohdanem, poetą, uprosił aby ten został odtąd jego bratem de facto et de jure, i dzielił się z nim funduszami swemi. W roku 1843 przyjechała do Paryża panna Rozengard z Warszawy. Lubo nie ładna, grą swoją na fortepianie zajęła Bohdana, tak, iż poeta humański uznał w niéj ową Rusałkę, którą tak często melodyjnie śpiewał i wzywał w strofach swoich. Bez majątku, ubogiéj panience nie śmiał oświadczać się. Ale przybrany brat jego postrzegł to uczucie, co nie było trudno z poetą wzdychającym i tęskniejszą melodyą rozlewającym w poezyach nowych. On to urządził to małżeństwo i tylko uprosił sobie kątek przyjaciela przy czułych turkawkach, a w późniejszym czasie miejsce niańki przy dzieciach. Józef Bohdan Zaleski, o którym długo pisać nie będę, bo on nieśmiertelność już zapewnił sobie, i o nim wspominać nie przestaną, gdy o mnie pamięć zaginie, należał do sejmu 1831 roku z humańskiego powiatu, a własnem przekonaniem do partyi katolickiéj. Chciał on widzieć w księciu Adamie naczelnika emigracyi, ale nigdy nie chciał popierać myśli *Trzeciego Maja*. Nadto zaś, do mandatu poselskiego przywiązywał za wiele wagi: — Gdy w roku 1846. Anglicy na odłos wy-

buchłéj rewolucyi w Krakowie, chcieli ofiarować księciu Adamowi pożyczkę, byle ta podpisaną była przez większość posłów znajdujących się w emigracyi, i gdy nawet już kilkunastu było na liście, Bohdan nie chciał podpisać, składając się tem, że swój głos w zebranym tylko sejmie dać może. Byłoby to próżne usiłowanie, bo kilku wichrzycieli nie dopuściłoby zebrania sejmu; dla tego przyjaciele Bohdana Zaleskiego przedstawiali mu, że on chce rzeczy niepodobnéj i że pojedyńczo zebrane podpisy, jak tylko dojdą do liczby 18, (było bowiem 35 posłów w emigracyi) będą miały całą wagę swoją, i że Anglicy więcéj nie żądają. Bohdan był nieporuszony, zasłaniając się zawsze mandatem swoim, chociaż wiadomo, że mandaty na posłów z prowincyi zachodnich, to jest gubernii rosyjskich, często sporządzały się za pomocą lokaja i furmana, szlachty czynszowéj, tam z przodków po wsiach osiadłéj, co dworską służbę przyjęli. Tak byli wybrani Sabatyn i Żarczyński. — Bohdan jednak wiele miał mocy nad sobą i wiele katolickiéj mocy religijnéj, gdy odepchnął wszystkie kuszenia Adama Mickiewicza, i nie wszedł do koła Towiańczyków. Stosunki moje z Bohdanem i Józefem Zaleskimi były bardzo serdeczne, a datowały się od Brukseli, gdy oba odprowadzali do granicy panią Darjuszową Poniatowską, ową dziwnie wysoko ukształconą osobę, która nawet o filozofii mówiąc, mogła przyjemnie zajmować, tak, iż nie godziło się nazwać ją *bas bleu*, czyli jak Chotomski wytłumaczył: *górno uczoną kobietą*. W Rzymie często przychodziłem do Zaleskich, i często z nimi spotykałem się u pani Giżyckiéj.

W téj chwili okropnéj, gdy rozstrzygała się kwestya życia dla biednéj Zofii, zastałem dwóch Zaleskich i bawiących w Rzymie już od kilku tygodni państwa

Platerów. Pan Ignacy hr. Plater, młodszy brat nieżyjącego już w ówczas Filipa, co był wicegubernatorem wołyńskim i bezżenny umarł, spadkobierca po tym bracie, miasteczka Dąbrowicy i obszernych dóbr na Wołyniu i Podolu dziedzic, który mienie swoje starannem gospodarstwem powiększał i urządzał coraz w stan więcéj kwitnący, ożeniony był z Sobańską, siostrą rodzoną pani Giżyckiéj. Do matki więc żony swojéj, staréj pani Michałowéj i do rodziny jéj zjechał do Rzymu z dwoma synami. Młodszy z nich Włodzimierz, dziś zaszczytnie znany jako miłośnik rzeczy narodowych, ten sam który odkupił Wiszniowiec, bardzo drogo, jedynie aby pamiątki przeszłości naszéj nie marniały w domu nie polskim księżny Abamelukowéj, ten sam który corocznie wydaje po kilka tomów pamiętników historyi i darmo je rozdaje prenumeratorom Biblioteki warszawskiéj, nie miał wówczas więcéj jak lat 13. Pisał już poezye, i ojciec jego z chlubą pokazywał mi prace syna, którego ledwie młodzieniaszkiem nazwać było można. Pięknego serca był i starszy p. Plater; ale późniéj, nigdy o niego nie badałem, i nie obudzał on we mnie sympatii skorom się dowiedział że w Wiedniu ożenił się z Niemką, a zatem popełnił czyn młodzieńca polskiego bardzo podejrzanych uczuć.

Ku godzinie pierwszéj z północy, większa część obcych gości usunęła się z salonu pani Giżyckiéj; została familia najbliższa, i ja nie chciałem odchodzić. Do ostatniéj chwili ciągnęło mię serce aby zabrać albo nadzieję z sobą, albo podzielić boleść téj rodziny, do któréj i wysoki mój szacunek i nie zmyślony żal za biedną Zofią, i serce podzielające smutek i rozpacz jéj siostry Maryi, potężnie mię przyciągały. Ugięty na kolanach u nóg łoża umierającéj, przebiegałem jéj ży-

cie cnotliwe, jéj bliski zgon, zgon w tak młodych i szczęśliwych snach wiosny, i moje własne nieszczęścia, — rozbitka kołysanego na kruchéj łodzi, wśród wielkich wód mię otaczających, — pielgrzyma na pustyni, który nie widzi gwiazdy prowadzącéj do domku rodzinnego. Płakałem rzewnie i w płaczu utulić się nie mogłem, a od chwili do chwili, tylko zwracałem oczy na Zofię coraz bledszą, coraz krótszemi jękami oddychającą. Tuż dwie siostry nieutulone w żalu, tuż matka jeszcze jakimś promykiem nadziei ożywiana, — aż umierająca członki wyciągnęła i charkotaniem oznajmiła bliski swój koniec. O! cóż to się działo w duszy mojéj, gdy ta matka odmawiająca modlitwy o parę kroków od łóżka, posłyszała te ostatnie jęki, gdy rzuciła spojrzenie na córkę, a ujrzała jej oczy otwarte i zwrokiem obłąkanym szukające wieczności! — Religia! Religia Chrystusowa wielka, jak Bóg potężna, dała wsparcie chwiejącemu się jéj ciału: — Zerwała się nieszczęśliwa, bo przyszło jéj na myśl, że od matki przywarte oczy, najsłodziéj się zamykają. Drżące ręce kładzie na oczach córki, daje znak błogosławieństwa, i przywiera matczyną dłonią stygnące powieki. Ksiądz Jełowicki pokropił święconą wodą, i wszystko było skończone. Pani Platerowa z mężem i synami wyprowadziła matkę i siostry, a Siostra miłosierdzia i panny służące przybyły ciało ubierać do ostatniéj wystawy. Wszyscy odeszli; w drugim pokoju ani Zaleskich, ani archeologa Jastrzębskiego, ani doktora, ani nawet księdza Jełowickiego nie zastałem. Szerokim krokiem sam jeden przebiegałem ten salon, gdzie tyle razy matka z córkami zasiadały do bawienia gości, gdzie stał ten szezląg długi z poduszką skórzaną, na którym układała się Zofia, aby nieobecnością, nic dać poznać matce

swoich cierpień fizycznych i moralnych. Całe dwie godziny, bo już na dzień szarzeć zaczynało, przepędziłem w téj sali z myślami mojemi. Już państwo Platerowie z synami prześli koło mnie aby odpocząć; — u mnie ani znużenia, ani snu nie było; palony gorączką, czułem się silny ciałem jakkolwiek szarpaną była dusza i boleścią i stokrotnemi myślami, a wszystkie czarnéj barwy, rozpaczliwéj treści. Przebiegały po sercu wszystkie uczucia, — jednego tylko nie było, — religii. I lubo myśl moją wznosiłem do Stwórcy wszech rzeczy, ale deizm suchy, sam jeden tylko, ten deizm filozoficzny, stawiający Boga jako świadka rozgrywanego dramatu życia, świadka niewzruszonego, który zakreśliwszy raz prawa, punktu w nich nie odmienia, ten suchy deizm rodził w sercu czczość tylko. Nie było wiary, wiary wonnéj rosą pobożności, rosą zaufania w nieskończonem miłosierdziu.

Pokój, gdzie leżała Zofia, według zwyczajów zachodnich opróżnił się; dwie gromnice u węzgłowia, dwie drugie w nogach, krzyż na piersiach, i tak zostawiają zwłoki aż do dnia drugiego, gdy urządzą katafalk w obszernéj sali, do któréj przychodzą wszyscy pobożni, płaczący i ciekawi. Ciało zmarłéj same, i nikogo przy niem! Zadrżało mi serce; to nie ojców naszych obyczaje: tam modlitwa musi szemrać nad głuchem ciałem i zanosić modły za duszę która poszła do Pana. Otóż ja nie zupełny wówczas katolik, ja ze czczością w sercu, ale tak gorliwie miłujący co nasze, ojczyste, — ja niegodny modlić się za ciebie, ja chcę być przy twoich zwłokach Zofio, i westchnąć do Boga, do Pana wszech rzeczy, iżby cię wziął na łono swoje, boś ty zasłużyła na to; a choć ja niegodny łaski, niech ten Pan w niebiosach osądzi, czy moja prośba jest

szczera: — jam cię szanował, jam cenił cnoty twoje, i ja siostrę twoją kocham, a wszystkich twoich tak głęboko mam w sercu, że chętnie ich boleść przyjąłbym na to własne serce, byle ich łzy otrzeć, byle ich pocieszyć po stracie twojéj. Wziąłem twarde krzesło z salonu i siadłem na przeciw martwych zwłok Zofii. Twarz jéj jak marmur blada, wprost padała trupią barwą na mój wzrok obłąkany. Długo, długo siedziałem bezmowny, i nie znam dziś liczby czasu, łzy już wyschły, zrzenica była sucha, a jednak żal ściskał serce; — jak posąg siedziałem, posąg bez ruchu, ktośby rzekł bez czucia, a istotnie prawie bez myśli. Ale widok zmarłéj leżącéj spokojnie, jakby w śnie błogim; jéj rysy tak mi znane, jéj usta zamknięte, a niegdyś tak wymowne i z których tyle uczuć dla naszéj ojczyzny słyszałem gorąco wyrażonych; jéj cierpliwość, jej poddanie się, obudziły nie mnie, ale myśli o niéj, i zacząłem przebiegać całe jéj życie. Poddała się woli Bożéj, przez którą przyszła na świat bez wdzięków, ułomna; — w sercu, przejmującem się wszelką pozwoloną ludziom od Boga szlachetną słodyczą, poczuła miłość tajemną dla młodzieńca pięknego, wykształconego, ze znakomitéj rodziny, który mógł rościć sobie prawo do najświetniejszych partyi pod względem piękności i majątku. Ona nie piękna; jéj majątek nawet, dwakroć stotysięcy złotych, a choćby drugie tyle późniéj, cóż to za bogactwo? Mogłaż ona marzyć o Władysławie Łubieńskim? Przecież marzyła; a to marzenie łzę niejednę do oka, niejednę boleść do duszy przywołało. Sama nie pojęła jakim cudem ten wybrany młodzieniec żąda jéj ręki; — i wszystkie nadzieje spełnione. Będzież ona szczęsliwą? Rozkosz zostania matką, jest śmiertelnym na nią wyrokiem; — i ona wie o tem. Modli

się, ufa Bogu, i idzie za powołaniem niewiasty. Widzi zbliżające się chwile niebezpieczeństwa; mąż ją opuszcza; opuszcza, aby ratować ojca. Ona religijna, wie że Pan powiedział: „*Opuścisz ojca i matkę, a pójdziesz za żoną.*“ Lecz onaż to głos podniesie? Onaż ma przypominać te grzmiące wyrazy pisma świętego? Boleje, widzi śmierć bliską, ale ona nie wstrzyma syna aby nie szedł ojca ratować. I stanęła jak Anioł potężny przeciw sobie saméj, przeciw matce i siostrom, które wszelkiemi środkami chciały jéj męża zatrzymać, wskazać mu miejsce od Boga nakazane. Stanęła sama jedna, i tu walczyć musiała z wiarą i sercem: o nią tylko chodziło; a ona wiedziała, że znajdzie miłosierdzie u Wszechmocnego Boga. Mąż odjechał, ona na śmierć się gotuje. Słabło ciało, ale dusza wzmagała się coraz większą siłą u samego Boga czerpaną. Pomnę, gdy raz wychodził od niéj ksiądz Kajsiewicz z rozmowy pobożnéj i mówił do mnie: — „Nie wiesz Budzyński jak Pan łaskaw na tę kobietę, i jakie ona od dwóch tygodni postępy zrobiła na drodze zbawienia, i na drodze silnéj a nie zachwianéj wiary! Ucz się od niéj, żeby się Bóg nad tobą zlitował.“ — Jam nic nie odpowiedział; kto wie? możem się zaśmiał wówczas. Ale te słowa wielkiego kaznodziei polskiego kościoła, w obec umarłéj Zofii, stanęły mi na myśli, — mnie, z czczością w sercu, z całą niewiarą, — a jednak nieszczęśliwemu i wołającemu wiary, téj jedynéj w wielkich nieszczęściach pociechy. Z krzesła mego, jak posąg nieruchomy powstałem; bezmowny, czułem wyrazy płynące na usta moje; zgięły się kolana, ukląkłem ze skruszonem sercem przy łożu umarłéj: „Panie! zawołałem, objawiłeś się grzesznikom, łotrowi kazałeś ufać i mieć nadzieję raju. — O! wejrzyj na mnie, i niech

ani twój oświeci serce moje, serce w czczości i ciemnościach błąkające się. — A ty, pobożna niewiasto, któraś w ostatnich ciężkich cierpieniach życia, pojmowała cierpienia tułactwa mego, i dziś zapewne pojmujesz cierpienia mojéj niewiary; za cnoty twoje, za przetrwane męki, uproś u Pana o nie dla mnie: — Daj mi wyraz! Daj znak! Powiedz, czy z człowiekiem wszystko się kończy? Czy jest życie drugie, życie dla duszy? — A jeźli dusza żyć może, jaką wiarą, jakiemi cnotami zasłużyć ma na to? — Zofio! Błagam cię, a ty błagaj Stwórcę wszech rzeczy, niech nie przepada dusza moja w téj próżni, w téj niewierze! — Usta złożyły się do Modlitwy Pańskiéj, któréj nie zapomniałem; i do słów zaimprowizowanych, dodałem pacierz jakiego nas Chrystus nauczył. — Modląc się, wpoiłem wzrok mój we zwłoki Zofii: patrzałem na zamknięte oczy, na nieruchome usta, na kamienne ręce i całą jéj postawę. Patrzałem długo. — Ale oczy nie otwarły się; — żaden poszept z ust nie wyszedł; — marmurowe palce ręki leżały bezwładnie. Ze ściśniętem sercem, z rozpaczą powstałem. — „Nie ma, nie ma znaku dla mnie!“ — Szalony! Czy ja godny tego! — A przecież Bóg w miłosierdziu swojém nieprzebrany, rozwiązał zagadkę, wysłuchał serca wołającego, jakkolwiek trybem zwyczajnym, mądrością swoją nie łamiąc zakreślonych praw natury, i wysłuchał tém miłościwiéj, że nie przeraził śmiertelnych zmysłów, nie przygniótł do ziemi grzesznego, ale swój głos i pocieszenie, przysłał jakby strumykiem żywym do spiekłych ust spragnionego.

Dzień już był pełen; słońce się podniosło. Zachwianym krokiem, z cichym ale głęboko bolesnym płaczem, weszła Wiktorya, siostra zmarłéj, ta co losami i sposobem myślenia najbliższa była Zofii, a tak

ją kochała że w jakimkolwiek przedmiocie głos podniesiony starszéj jéj siostry, był prawem dla niéj. Trzymała w ręku nożyczki i zbliżyła się do martwego ciała. Porwałem się z krzesła: „Pani! nie opuszczaj matki; tu już nic nie pomożesz, nic nie wypłaszesz; a jeśli każesz mi spełnić jaką usługę, największą wdzięczność czuć będę.“ — „O! nie! Ja chcę uciąć na pamiątkę pukiel włosów Zofii.“ — Wyciągnąłem rękę do nożyczek. — „O daruj, Panie; nikt tylko ja dotykać będę drogich jéj włosów!“ — i pojrzała na mnie zimnym, rozkazującym wzrokiem. Cofnąłem się zmieszany, i przyszło mi na myśl, żeśmy się nigdy w zdaniach politycznych zgodzić nie mogli z panną Wiktoryą. Bawiąc w Paryżu kilka miesięcy u wujostwa swoich, Józefostwa Moszczeńskich, miała sposobność widywania często jenerała Chrzanowskiego, i razem z wujem swoim podzielała dla niego uwielbienie. Jenerał Chrzanowski miał obrońcę w księciu Adamie, gdy komitet demokratyczny w 1832 roku z Paryża podał do rządu belgijskiego, w którym jenerał szukał umieszczenia, rysopis bardzo niekorzystny o nim, obwiniając go o demoralizowanie oficerów polskich w czasie wojny 1831 roku, i o pozostanie w Warszawie po jéj kapitulacyi. Rząd belgijski nie przyjął jenerała Chrzanowskiego; jednak wdanie się księcia i obrona jego, powinny były wieczystą wdzięczność obudzić w Chrzanowskim. Późniéj, w 1838 roku, po wzięciu Turcyi w opiekę pięciu wielkich mocarstw, za przedstawieniem księcia i pana Zamoyskiego, rząd angielski przywiązał jenerała polskiego do ambasady lorda Ponsonby. Wprawdzie znalazł się on godnie tam jako Polak; ale powinien był mieć na baczeniu przychylność i dobre chęci księcia dla siebie. W ostatnich czasach książę Adam dosta-

wszy ciężkiem staraniem, kart wojennych Polski pod trzema dworami będącéj, powierzył Chrzanowskiemu wypracowanie kart takich, jako niezbędnych dla przyszłego powstania, i opłacał mu miesięczną pensyą, która ze szczupłym żołdem francuzkim, była jedynem jenerała utrzymaniem. Przecież jenerał zawsze wrzał jakąś niechęcią ku księciu; podawał się nawet jako autor i edytor kart, nad któremi pracował. Owe jenerała Chrzanowskiego niechęci przejęła panna Wiktorya, i często żwawe miewała rozprawy ze mną, obznajmionym z biegiem wypadków i wszystkich okoliczności, zachodzących między księciem a tym jenerałem.

W chwili nieprzyjęcia mojéj posługi, zdało się że panna Wiktorya, za ową żwawość moję w rozprawach chciała dać mi uczuć jakieś nieukontentowanie, i cofnąłem się ze skrwawionem sercem. Lecz byłem w błędzie: ona przejęta samą boleścią po śmierci siostry, o wszystkiem zapomniała; nie przyjęcie mojéj usługi było bardzo naturalném uczuciem, chciała saméj sobie być winną ten pukiel włosów Zofii, który miał jéj pozostać jako droga pamiątka. Owszem, jak późniéj przekonałem się, ona powzięła wdzięczność dla mnie, widząc, jak ja jéj żal głęboki, żal całéj rodziny, uczułem, jakoby krewny najbliższy, jak brat.

Strudzony i czuwaniem i moją walką religijną, ledwiem się trzymał na nogach. Czekałem jednak, póki ciała nie złożono na katafalku w wielkiéj sali, i póki nie uda się któremu malarzowi rysów jéj schwycić. Przybyli: Włoch Pizani, i polscy malarze Zaleski i Morykoni. Ale darmo się trudzili: z martwych zwłok, nie znając za życia osoby, trupa tylko narysowali. Nie znając jéj życia i duszy, nie przywołali ani łagodności, ani abnegacyi, ani tłumionych cierpień. Udało się to

później Kurowskiemu, malarzowi z Krakowa, dziś nieżyjącemu, przenieść w akwarelli doskonałą miniaturę Zofii na rozmiar ćwiartkowy. Po tych próżnych usiłowaniach zdjęcia portretu Zofii, wróciłem do domu. Układłem się i prosiłem, aby mię zbudzono skoro zmierzchać zacznie, bo wieczorem miało być przeniesienie zwłok do kościoła św. Klaudyusza, a ja za nic w świecie nie odstąpiłbym obecności tam mojéj, gdzie cała rodzina płakać będzie; gdzie przyjaciele zmarłéj pójdą ostatnią oddać jéj posługę.

Była godzina siódma wieczorem, gdym się przebudził sam i coprędzéj pospieszyłem do domu pani Giżyckiéj. Zastałem już prowadzone ciało. Celebrował ksiądz Kajsiewicz; bo zmarła i jéj matka życzyły sobie, aby zwłoki pochowane były w kościele św. Klaudyusza, który oddali Francuzi księżom polskim, i gdzie w święta i niedziele odprawiały się msze przez księży polskich, i mawiano w języku polskim kazania. Matka z dwoma córkami, Wiktoryą i Maryą, odprowadziły Zofię aż do ostatniego spoczynku; a dopiero powróciwszy do domu, dowiedzieliśmy się o ostatnich pani Łubieńskiéj rozporządzeniach.

Prosiła ona w liście pisanym do matki, aby pewna summa wypłaconą była duchowieństwu polskiemu z tém, iżby corocznie sto mszy się odprawiało na intencyą zmartwychwstania Polski. Połowę majątku od swéj śmierci, zapewniła dziecku, drugą mężowi; w razie zaś, gdyby dziecię żyć nie miało, dochód z całego jéj majątku przeznaczyła dla Władysława Łubieńskiego do końca jego życia. Pomna o smutki matki na odjazd męża przed spodziewaną jéj słabością, zaklinała całą rodzinę, iżby męża jéj, matka jak syna, a siostry jak brata zawsze uważały. O sobie, nic nie wzmiankowała. Modły

tylko za Polskę; serce rodziny zapewnić dla męża, oto były całe jéj chęci. Ale westchnień do Boga za tobą szlachetna Polko nie braknie! A może Bóg miłosierny dziś cię tak umieścił, że raczéj modły do ciebie, o przyczynienie się za nami do Pana, a nie prośby za tobą wznosić nam należy.

Od dnia śmierci Zofii, od téj nocy, gdy na klęczkach wznosiło się serce moje do Pana i wołało o ratunek dla duszy, — lubo nie zupełnie wszedłem na drogę powinności religijnéj, ciągnęło mię jednak coś niewytłomaczonego do miejsc świętych. Już codziennie uczęszczał do kościoła św. Klaudyusza; — już raz przynajmniéj w tydzień klęczałem u grobu Apostołów, w ogromnéj świątyni Piotra św., już często zachodziłem na mszę do Panien - Wizytek, gdzie w osobnéj kaplicy odprawiano mszę dla Matki Makryny Mieczysławskiéj.

Dzieje téj bazylianki bardzo są ciekawe, i datują swój rozgłos od 1845 roku. Przybyła ona z pod Mińska, gdzie był klasztór Unitek Bazylianek, którego ona przez lat kilka zostawała ksienią. Gdy cesarz Mikołaj postanowił w r. 1835 znieść Unię, i powrócić wszystkie zakony, i świeckich księży unickiego obrządku do kościoła grecko-rosyjskiego; a narzędzie powolne swoich zamysłów znalazł w unickim biskupie wileńskim, księdzu Siemaszce, wtenczas nastąpiły zmuszania na Litwie, gdzie było najwięcéj unitów, i w niektórych miasteczkach i wsiach zachodnich gubernii. Powolni rozkazom Siemaszki parochowie, wezwawszy siły policyi miejscowéj, bolesnemi smaganiami przywodzili wieśniaków naszych ku przystąpieniu do obrządku czysto grecko-rosyjskiego. Klasztory Bazylianów i Bazylianek największych doznawały prześladowań. W Owruczu, w Lubarze i w Humaniu, upartych księży wleczono do

kopalni i na zaludnienie Sybiru, głodem nadaremnie wymorzywszy po zamkniętych lochach. Tym sposobem poszedł na męczarnie nerczyńskie ksiądz Skiwski, niegdyś rektor zgromadzenia Bazylianów w Lubarze; ks. Dytkowski, mój niegdyś profesor. Inni ugięli głowę przed przemocą, nie mając dość silnego ducha, aby wycierpieć prześladowania. Owe prześladowania doszły do Bazylianek pod Mińskiem. Ale przełożona klasztoru, Matka Makryna Mieczysławska, i trzy inne siostry, oparły się wszystkim namowom i pogróżkom. Zaprzężono je do najcięższéj pracy: kazano usługiwać mularzom przy naprawie klasztoru, i rózgami goniono do pracy. Bogobojne niewiasty, nieraz w obec Siemaszki dręczone, stawiły męczeńskiego ducha, i wszystkie cierpienia przebolały, nie dając się ugiąć. Po kilku miesiącach, za pomocą pobożnych mieszkańców, wyprowadzone były do lasu, gdzie walcząc z głodem i pragnieniem, dostały się manowcami do granicy pruskiéj, i na początku 1845 roku stanęły w W. Ks. Poznańskiém. Ztamtąd Matka Makryna dyliżansem udała się do Paryża, a do tego samego miejsca, dwie inne siostry, pojechały na Wiedeń. Droga austryacka niepomyślną była siostrom: dwór wiedeński otworzył im wprawdzie klasztor Panien zakonnych, ale odłożył do późniejszego czasu wyjawienie światu niesłychanych prześladowań rosyjskiego rządu. Matka Makryna stanęła przed księciem Adamem w Paryżu, i w obec duchownych polskich opowiedziała męczarnie, które przetrwać musiała. Deputacya kongregacyi katolickich duchownych i świeckich francuzkich, przyszła do księcia wyrazić swoje współczucie w nowych prześladowaniach Polski; a ksiądz Aleksander Jełowicki zawiózł Matkę Makrynę do Ojca św., Grzegorza XVI. — W Rzymie,

w klasztorze Panien - Wizytek, przyjęto wygnankę klasztoru polskiego i otoczono wszelkiemi względami. Duchowni rzymscy i pobożni pielgrzymi różnych krajów, schodzili się do niéj, jak do obrazu świętego, i Ojciec św. sam osobiście z dwoma kardynałami odwiedził ją i kazał zdawać sobie relacyę, wybrawszy za tłomacza księdza Ryłę, jezuitę, i księdza Aleksandra Jełowickiego. Matka Makryna opowiadaniem prostém, i wiarogodném, dała rys wszystkich prześladowań. Liczne były zapytania Grzegorza XVI, a ksienia na każde w taki odpowiadała sposób, że nikt wątpić nie mógł o wiarogodności jéj zeznań. Ksiądz Ryło, całą rozmowę papieża z Matką Makryną, wydrukował we trzech językach: francuzkim, włoskim i polskim. Ambasada rosyjska podała notę, zaprzeczając bytu klasztoru Bazylianek pod Mińskiem, i wyraźnie w nocie wyraziła, iż to są wymysły nieprzyjaznego rosyjskiemu rządowi Dziennika emigracyi *Trzeciego Maja*. Kardynał Lambruschini powołał księdza Ryłę i naganił mu wydrukowanie rozmowy papieża, bez pozwolenia wyższéj władzy. Ksiądz Ryło odpowiedział: — *Widzę Eminencyo, że kapelusz kardynalski już mi się nie dostanie*;“ i wysłany został w misyi do Tombuktu, gdzie zginął między dzikimi Afrykanami, szanowny kapłan polski. Matka Makryna stała się jakoby świętością: gromady kobiet i mężczyzn cisnęły się do klasztoru Wizytek na górze Pincio. Przychodzili chorzy, aby ich głowy dotknęła. Ten urok męczenniczki, ta wiara w jéj świętość nie jednego uzdrowiła. Pan Grocholski, starzec 80-letni, zapewniał, że go uzdrowiła dotknięciem. Na parę miesięcy przed przyjazdem moim do Rzymu, pewien Anglik, cierpiący ból głowy od lat pięciu, poszedł do ksieni, ukląkł przed nią i błagał ją o uzdrowienie.

Matka Makryna położyła ręce na głowie jego, a potem po polsku głośno mu zawołała: — „Prosiłam Boga za ciebie; idź, będziesz zdrów.“ — Anglik odjechał do innych części Włoch; a po trzech miesiącach, wrócił do Rzymu zapewniając, że święta uzdrowiła go. — Na dowód zaś prawdy i na zawdzięczenie cudu, wyrzekł się protestantyzmu, i w kaplicy Panien Wizytek, gdzie Matka Makryna codziennie się modliła, przyjął uroczyście religią katolicką.

Co trzeci albo czwarty dzień przychodziłem na mszą św. do kaplicy, gdzie Matka Makryna, przed rozpoczęciem nabożeństwa, odmawiała modlitwy i śpiewała pieśni w języku polskim. Najgorętszem życzeniem świętobliwéj matrony było wzniesienie klasztoru Bazylianek w Rzymie. Ojciec św. oddał jéj stary i zrujnowany klasztor z kościółkiem; a pobożne ofiary codziennie zwiększały fundusz na naprawę murów i utworzenie kapitału, aby zakonnice mogły się utrzymać. Wielki trud podjął ksiądz Aleksander Jełowicki, aby przynajmniéj siedm sióstr zebrać na założenie zakonu; i zaczął się formalny jakoby werbunek na służące. Panna garderobiana pani Sobańskiéj i druga pani Giżyckiéj, dały początek. Za przybyciem państwa Platerów, służąca ich przyszła na parę dni przed odjazdem oznajmić, że zostaje w zakonie Matki Makryny. Stary Plater oburzył się, wziął na egzamen pannę służącą, pytał o przyczynę ślubu: — „Proszę pana, co ja mam wstawać za każdą razą, jak pan albo pani przechodzi, kiedy zostawszy zakonnicą, będę siedziała na kanapie, choćby z największą panią.“ — Pan Plater, zgorszony tak wyrażonem powołaniem, napadł przy śniadaniu u pani Sobańskiéj na księdza Aleksandra Jełowickiego, który z pokorą duchownego zamilczał: zniósł wszystko i ła-

godnie odpowiadał na robione mu zarzuty. Jemu chodziło o założenie klasztoru Bazylianek, któryby był niejako protestacyą na prześladowania Unii przez Rosyą.

Nie wiem czy do dziś dnia klasztor ten doszedł do skutku, i czy znajdowały się coraz nowe panny garderobiane naszych rodzin polskich, któreby szukały godności zasiadania na kanapach z paniami swojemi. Mnie jednak głęboko wzruszały opowiadania męczenniczki o przetrwanych prześladowaniach, o dręczeniu głodem Bazylianek, o kuciu ich w kajdany w oczach i na rozkaz Siemiaszki. Matka Makryna, nie była to uczona niewiasta, ale prawda z ust jéj wychodziła w słowach prostych, a płynących z duszy. Nieraz zastawałem, jak przy jéj kolanach klęczały po dwóch stronach dwie siostry: księżna Odescalchi i pani Zygmuntowa Krasińska, obie z domu Branickie, i jak składały Matce Makrynie swoje dary pieniężne. Szlachetne te Polki, nic nie wyniosły ze szkaradnego imienia, jakie przy urodzeniu się nosić musiały: Polska, była ich miłością, poświęcenie wznosiło ich piersi, i same gotowe były na ofiarę, aby okupić zbrodnią dziada. Patrząc na te dwie panie u stóp ołtarza, serce mi rosło i modlitwa płynęła na usta. Modlitwa była potrzebą dla mnie. Ja kochałem, kochałem serdecznie z całym zapałem młodzieńczej miłości, a ulgi, pociechy i nadziei szukałem w wyższych sferach: u Boga. A lubo nie wysłuchana była prośba moja szalona o cud nademną, czułem, że chwila mego zbawienia przybliża się. Tak to jest pewną rzeczą, że miłość, to najszlachetniejsze uczucie, przetwarza człowieka i wiedzie go na drogę prawdy: — ja żyć zacząłem w nadziei zmiłowania, kochając Maryę.

Rzadko jednak przychodziłem do pani Giżyckiéj; chciałem ile możności unikać czarującego widoku Maryi, bo przewidywałem wielkie cierpienia na potem, gdy konieczność kazała mi wyrzec się jej na zawsze.

Rzym zaczął zapełniać się przybywającymi z kraju mego, Polakami. Przybywali téż i z Paryża emigranci. Z Wołynia przyjechał p. Nepomucen Giżycki z żoną, małym synem i dwoma córkami, Albertyną i Jadwigą; — państwo Grabowscy z Poznańskiego; pani Łopacińska z córką z Litwy; pan Orzeszko z żoną z Kowelskiego; Cypryan Norwid, poeta, który świeżo emigrował, a potem, brat jego z Gustawem Zielińskim, obywatelem z Królestwa Polskiego. Z Paryża przyjechał Aleksander Potocki, a z Konstantynopola p. Zamoyski, wracający z pielgrzymki swojéj do Ziemi św. O wszystkich tych ziomkach moich, mam dosyć do mówienia, a zacznę od najważniejszego, którego imię dotąd jest na ustach wszystkich: — o Adamie Mickiewiczu, najpierwszym polskim poecie.

Adam Mickiewicz, człowiek wysokiéj inteligencyi i geniusz poetycki, nigdy nie chciał być w tym zakresie, na jaki go Bóg przeznaczył, ale dobijał się gwałtownie stać na czele stronnictwa politycznego. Czy to gorąca miłość kraju, któremu chciał służyć, czy to duma wielka, dość, że zmieniał swoje stanowisko, jak tylko widział, że tam podrzędną grał rolę. Stojąc naprzód przy księciu Adamie, i biorąc udział w naradach politycznych, zaprojektował, aby w Carogrodzie założyć Zakon krzyżowy rycerzy polskich, którzyby na wzór Kawalerów maltańskich, nie składali nigdy oręża, i starali się na wszystkich możebnych punktach walczyć z Rosyą. Turcya, pod opieką pięciu mocarstw, z któ-

rych trzy rozebrały Polskę, nigdyby nie mogła oprzeć się nacieraniu swoich opiekunów, i ztąd zakład takiego zakonu, na ziemi tureckiej, był nie podobnym. Książę Adam przedstawiał to Mickiewiczowi, ale poeta odpowiedział: że „*książę zawsze chcesz chodzić trotuarami, a walczący za Polskę powinni iść nawet po niebrukowanych ulicach.*“ Było to pięknie i poetycznie powiedziane; nieszczęściem, w gabinetach poezya nie popłaca, i trzeba szukać w prozaicznych traktatach punktów, przez które ubiedz można czujność nieprzyjaciół. To nie zgodzenie się księcia na zakon, oddaliło Mickiewicza od jego boku, i założył klasztorek polski na Mont-Parnasse w Paryżu. Ale on mając politykę w myśli, znalazł Jańskiego, który czysty katolicyzm wziął za cel prac i życia swojego. Mickiewicz i tam stał się podrzędnym i rozkazywać nie mógł. — Zjawił się Towiański ze swoją mistyczną utopją. Mickiewicz głosi religią nową, jakoby religią narodową Słowian, i chce ją zaszczepić w emigracyi, w kraju, a nawet między cudzoziemcami; — a dla dania uroku nauce, powziął myśl, z jednéj strony uderzyć na cesarza Mikołaja, przez Seweryna Pilchowskiego; z drugiéj, sam, wiodąc za sobą Towiańskiego, przemówić do papieża i przekonać go, o nowym Mesyaszu. Makryna Mieczysławska stanęła mu na myśli: zdało mu się, że wymową swoją ogarnie umysł prosty i nieuczony zakonnicy polskiéj. — Udaje się tedy do księży polskich z pismem swojem datowanem z Paryża: iż dochodzą go wieści jako jego zasady i pisma, w fałszywém świetle przedstawiono Ojcu św.; — a on jednak był zawsze prawym i gorliwym katolikiem. Prosi więc ich pośrednictwa, aby mu wolno było przedstawić się Ojcu św., aby on złożył mu swoją czołobitność; a na dowód prawych jego chęci, poddaje

wszystkie pisma swoje pod egzamen cenzury inkwizycyjnéj. Uradowany ksiądz Aleksander Jełowicki, sądząc, że zbłąkana owieczka wraca na łono kościoła, a owieczka, która przykładem swoim nawróci wielu innych, zbiera pieniądze, posełа na koszta podróży, i przyjmuje Mickiewicza w klasztorku polskim w Rzymie. Mickiewicz wyjechał był z Towiańskim; ale prorok został w Civita-Vechia i oczekiwał skutku pierwszych kroków Mickiewicza. Mickiewicz spowiada się w kościele w czasie uroczystości, przyjmuje Sakrament, oddaje pisma swoje pod zdanie cenzury, i zaczyna codzienne wizyty do Matki Makryny, aby przez nią stanąć przed Ojcem św. Ale nad Matką Makryną czuwa ksiądz Jełowicki, czuwa ksiądz Kajsiewicz, i całe grono kapłanów polskich. Pobożna niewiasta upomina wieszcza, wskazuje mu że jest na drodze herezyi, i że ona o nim nie śmiałaby mówić Ojcu św. Mickiewicz czeka; a tymczasem szybkim krokiem biegą wypadki polityczne. Zamieszczam je jednym ciągiem, jakkolwiek daty są późniejsze; ale wprzód muszę rysopisy i czynności innych wymienionych przezemnie osób zamieścić, bo te wiążą się z czynnościami późniejszemi Adama Mickiewicza.

We Włoszech gotował się ruch wielki na korzyść rozwoju nie tylko narodowości, ale i niepodległości Włoch. Pius IX., utworzył konsultę; wybierano deputowanych, którzy z każdéj prowincyi państwa rzymskiego złożyć mieli jakoby izbę deputowanych; nadto, ustanowił gwardyą narodową w Rzymie i innych miastach. Wyraźnie oczekiwano wielkich wypadków we Włoszech; a tymczasem i we Francyi widoczna była bliska zmiana wyobrażeń i rządu. Filip całem panowaniem swojem, chciał dynastyą własną i władzę monarchiczną ustalić na zmateryalizowaniu Francyi: podnieść

wysoko handel i przemysł, a utopić egzaltacyą Francuzów w stosach złota i srebra i w ciągłych planach nowych spekulacyi; takie było wyraźne dążenie *du roi bourgeois*. Zerwał z Anglią żeniąc syna z siostrą królowéj hiszpańskiéj. To zerwanie z państwem liberalnem i sprzymierzeńcem naturalnym Francyi konstytucyjnéj, Francyi, opiekunki pognębionych narodowości, zmusiło ministra Gizota, idącego za myślą i duchem króla, zbliżyć się do mocarstw północnych. Austrya meternichowska, Austrya skalana niedawno rzezią obywateli podduszczoną w chłopach przez rząd, stała się przyjaciółką Francyi. Zawarto z nią ścisłe stosunki, pociągano dzienniki piszące o rzezi galicyjskiéj, i skarżące rząd Meternicha, do odpowiedzialności. Za przyjaźnią dla Austryi, poszły dla Rosyi niezwykłe grzeczności. Na obchodzie 29 listop. rocznicy rewolucyi polskiéj, wystąpił z przemówieniem Bakunin, wychodźca rosyjski, który ścigany za spisek odkryty w korpusie Gejsmara, schronił się naprzód do Belgii, a potem do Francyi. W téj przemowie p. Bakunin, oznajmił zgromadzonéj publiczności francuzkiéj, że prawi synowie Rosyi ubolewają całem sercem nad krzywdą i niesprawiedliwością wyrządzoną przez cara braciom ich, Polakom, którzy, skoro Rosyanie upomną się o prawa swoje, i zmienią rząd, mogą być pewni obejścia się braterskiego z niemi. Za tę przemowę, na żądanie posła rosyjskiego, Bakunin odebrał rozkaz policyi opuszczenia Paryża we 24 godzin. Polacy w Paryżu dawali obiad składkowy 24 grudnia tegoż 1847 r., na imieniny księcia Adama, naczelnika emigracyi i Polski. Policya francuzka kazała stanąć żandarmom przy sali restauracyi, i nikogo nie przypuszczano z Polaków. Bezprawie, niesłychane we Francyi, oburzyło publiczność. Dzienniki opozycyjne

National, *Reforme*, a nawet *Presse*, organ Filipa, podniosły głos silny. Zgromadzenia stowarzyszeń, były konstytucyą zabronione, ale nie zabronione były bankiety. Pan Odilon-Barrot, kilkakroć zasiadający dawniéj w ministeryum, urządził te bankiety z pewnym porządkiem i uorganizowaną opozycyą. Zabierano głosy potępiające Filipa, spijano toasta różne, a nigdy zdrowie króla. Izba wezwana była, aby te bankiety potępić; przekupywano głosy, ale patryoci urządzali rewolucyą. W tym czasie, wracający z Jerozolimy p. Władysław Zamoyski, przyjęty był ze czcią i szacunkiem, a nawet z pewną okazałością przez pana Burqueney, ambasadora francuzkiego w Carogrodzie. Na jego insynuacyą, Mechmet-Ali Pasza, admirał, pokazywał mu flotę swoją, gdzie majtkowie tureccy popisywali się z ewolucyami, jakby przed posłannikiem jakiego uznanego dworu. Ambasada rosyjska podała notę, skarżąc się i porównywając zniewagę do téj, jakąby odebrała Francya, gdyby członek starszéj linii Burbonów przyjmowany był podobnie w Petersburgu. Mimowolnie więc ambasada uznała, że pan Zamoyski jest członkiem familii współzawodniczącéj w Polsce z Mikołajem. Dzienniki znowu wrzasnęły; a pan Zamoyski przybył do Rzymu, aby w ruchu włoskim wypatrzeć jakieś źródło i materyał do obrabiania dla sprawy naszéj. Zastał tam Zygmunta Krasińskiego, poetę z aureolą sławy po dziełach jego *Irydyona*, *Nieboskiéj komedyi* i *Przedświtu*. Pan Zamoyski, szukający zawsze ludzi czelnych inteligencyą albo działalnością, już od dawna starał się zbliżyć do Zygmuuta Krasińskiego. W Monachium to nie udało mu się. Zygmunt Krasiński za myśl dynastyi w familii Czartoryskich, miał jakąś niechęć do Zamoyskiego. Ale mąż szanowny nie zraził się tem: chciał go przekonać, że jeśli on

w poezyach swoich gorącą miłość dla Polski wyrażał, on tę miłość miał w duszy swojéj i miłość dla tych, którzy Polskę ukochali. Kilka wieczorów spędził u Krasińskiego w Rzymie; — kilka wieczorów spędził Krasiński u niego; i po tych rozmowach, dwaj ci szlachetni mężowie związali się przyjaźnią najserdeczniejszą i przyrzekli wspomagac się w pracy dla wspólnéj ojczyzny. Ten dziwny ruch ludów, — tam, we Francyi dążący do obalenia materyalizmu Filipa, a nie wiedzący jaki rząd utworzy; — tu, we Włoszech, lawą potężną pędzący na Austryaków, a pod skrzydłem i opieką papieża wołający sprawiedliwości, zapowiadał wielkie przemiany; kazał lękać się, aby wezbrany potok nie chybił kierunku, nie sprowadził morza krwi szalonego motłochu, którego nicby zatrzymać nie mogło w chwili wielkiego wybuchu. Uradzili wtedy dwaj szlachetni Polacy, oba bolejący nad ojczyzną upadłą, aby naczelnika kościoła wezwać, iżby on głosem ojcowskim zawołał na lud, a ujął go naprzód domierzeniem sprawiedliwości. Zygmunt Krasiński napisał we francuzkim języku głos błagalny Polski do Ojca kościoła katolickiego, głos niesprawiedliwie pognębionéj córki, która na drodze wiary, zawsze kładła krwawe zasługi swoje: — „Saint Père! wołał Zygmunt, Où vont aboutir ces flots des peuples excités? N'est il pas à craindre que l'aveuglement de la populace ne tombe aussi bien sur les coupables que sur les innocents? Qui le retiendra, qui leur indiquera la juste voie? Qui leur parlera au nom du Sauveur, père et protecteur des opprimés, si ce n'est le descendant de St. Pierre, l'archipasteur des brebis égarées? Le salut du monde, le pouvoir d'arrêter le peuple furieux, n'est donné qu'à Vous Saint Pére; et Vous devrez leur parler, car c'est

votre mission donnée par Dieu, par notre Sauveur. Mais Saint Père! à Votre insu, il s'est commis un crime inoui sur une nation chrétienne, sur une nation fille catholique, qui a versé des flots de sang pour la chretiennté: — à l'insu du trône papal, cette fille qui combattait pendant trois siècles contre les barbares de l'Orient; elle, qui a sauvé l'Europe en dissipant les infidèles prêts à conquerir Vienne; elle, l'innocente; elle, se sacrifiant pour l'Europe, a été déchirée, demembrée, incorporée par trois puissances, et voit ses fils opprimés, morts, ou dissipés sur tous les coins du monde connu. Jamais, jamais encore depuis un siècle à peu près, depuis que cette iniquité a été commise en Europe, la voix pontificale ne s'est fait entendre pour repousser, pour protester contre ce crime inoui. Eh bien! il est temps encore, o Saint Père! — Vous qui levez la voix juste pour le bonheur de l'Italie, oublierez Vous la Pologne démembrée, ensanglantée et au milieu des douleurs, trepignant dans les éfforts surnaturels pour reconquerir son indépendance, son droit d'occuper le rang qui lui est dû dans l'association des peuples européens? Eh bien! faites entendre votre voix, o très Saint Père! Dites que le partage éxécuté sur la Pologne, a été fait sans Votre connaissance, qu'il a été injuste, qu'il a été criminel! et Votre voix, forte de la mission que Dieu vous a donnée, montrera aux peuples, même aux peuples aveuglés par leur acharnement d'aujourd'hui, que ce n'est que la justice qui parle par Votre bouche, — que Vous, condamnant l'injustice commise sur la Pologne, vous condamnez aussi leur action d'aujourd'hui; et qu'on voit bien que cette action n'est pas juste, puisque Vous savez où trouver la justice."

Cztery arkusze téj pięknéj przemowy Zygmunta Krasińskiego, jego ręką skreślonéj, ja sam przepisywałem u pana Zamoyskiego, aby zostały na wieczną pamiątkę kopie téj pracy w archiwach księcia, gdzie tyle materyałów znajdzie potomność do dziejów lat naszego wygnania, naszych cierpień i prac naszych dla Polski.

Ojciec św. odebrał to pismo z rąk pana Zamoyskiego; mówił serdecznie o Polsce, odłożył podniesienie głosu swego do późniejszych czasów, zapewne do stósownych okoliczności; a tymczasem, na wszelki przypadek, chcąc zreformować wojsko swoje, zamówił 80 oficerów polskich na organizatorów. Z tą wolą Ojca św. miał pan Zamoyski odjechać. — A następnie, krokiem olbrzymim szły po sobie wypadki.. We Francyi dnia 22 i 29 lutego 1848 r., wypędzono Filipa i ogłoszono Rzeczpospolitą. W Wiedniu, drżący Meternich, musiał, po boleśnych uczuciach z upadku Gizota, obaczyć nie zadługo, upadek własny, i podpisaną konstytucyą, przez cesarza Ferdynanda niedołężnego. W Berlinie, zmuszono króla pruskiego, salutować z galeryi więźniów stanu, a między niemi Mirosławskiego Ludwika. Komendant Wenecyi, oddał miasto powstańcom. Dnia 13 marca, dzwony wypędziły z Medyolanu Austryaków i zagnały w czworobok niezdobytych fortec Peskiery, Mantuy, Legnano i Werony. Król, Albert sardyński, z wojskiem swojem poszedł na pomoc Lombardczykom. W Rzymie wszystko kipiało: lud chciał zbrojno na Austryaków wychodzić. Dnia 18 marca, minister wojny Aldobrandini, w powozie odkrytym wjechał na plac ludu i tak przemówił: — „Ojciec św. zezwolił, a ministeryum uradziło, iż wojska rzymskie pójdą na granicę Lombardyi, aby zabezpieczyć granice państwa papiezkiego. Arsenał będzie otwarty, a na

wyprawę ochotników, po placach Rzymu otwarte będą składki dobrowolne.

Wojna więc, wojna za niepodległość Włoch przeciw odwiecznym sprawiedliwości wrogom, przeciw Austryakom! — Dla nasze, nic niema? — Czy nasza chorągiew nie powieje na polach Auzonii tak, jak powiewała za Dombrowskiego i Kniaziewicza? — Gdzie jest Zamoyski? — Kto pójdzie do Ojca św.? — Zamoyski odjechał do Paryża: on zbiera oficerów do armii papieża. — Kto go zastąpi? — Wtenczas to Adam Mickiewicz podniósł głos; on zabiera się przewodniczyć, on chce stanąć na czele. Zabiera z sobą Władysława Łubieńskiego, księdza Aleksandra Jełowickiego, do których przyłącza się Ludwik Orpiszewski. — Idą do Ojca św. — Pius IX. przyjmuje tę deputacyą polską oznajmioną mu przez duchownego polskiego, a Adam Mickiewicz zabiera głos w języku francuzkim: „Ojcze święty! Ojcze kościoła katolickiego, któremu Polska służyła jako córka wierna! Do ciebie ojczyzna nasza podnosi błagające ręce, wołając ratunku! Pozwól, aby między temi ludami Włoch, które za dozwoleniem twojem idą dobijać się praw swoich, rozwinął się sztandar Orła białego, sztandar Polski, wiernéj sługi kościoła.“ — Ojciec święty protestował przeciw mniemaniu, jakoby on wojnę wydawał: on naczelnik pokoju, pokoju tylko strzeże; a wojska jego idą dla zasłonienia granic, i granice tylko zasłaniać będą ci, którzy ku Lombardyi idą. — „Pozwól nam, Ojcze św., podniósł znowu Mickiewicz, zasłaniać granice państwa twego; — pozwól polskim zastępom zasłaniać naczelnika kościoła! Wszakże oni nieraz za kościół pierś swoją nastawiali. Gdy jeden z ambasadorów naszych u Pawła III. prosił o relikwie świętych, dla zaniesienia

błogosławieństwa na ziemię polską; — naczelnik chrześciaństwa, odpowiedział mu: — „wasza ziemia jest relikwią, bo na niéj lała się krew męczenników, prawych synów kościoła, którzy za kościół walczyli.“ — „O! nie chciéj dzisiejszych Polaków niżéj stawiać od owych, co żyli za Pawła III.! Oni gotowi dziś wylać krew za kościół!“ — „Ja Polskę kocham, powolnym głosem wyrzekł Pius IX.; — ale tylko Polskę katolicką; a odpycham Polskę heretycką, Polskę i Polaków, którzy od kościoła katolickiego odstępują.“ — Mickiewicz na te słowa papieża, ukląkł przed nim: — „Bracia! zawołał, tu przed Ojcem świętym, klęknijmy wszyscy i przysięgnijmy, że my i nasi, za kościół tylko katolicki walczyć będziemy, tylko na łonie kościoła tego umierać! Ojcze święty! My wszyscy jesteśmy katolikami; a kto Ci wystawił nas, lub z nas niektórych jako nie katolików, potwarz cisnął na nas, — duszę Twoją chciał zakrwawić, — nas oczernić!“ Te słowa wyrzekł podniesionym głosem i z gniewem niejakim, tak, że Pius IX. dotknął jego ramienia i powiedział: — „*Non tanto alto voce mio figlio.*“ Nie tak głośno mój synu![1]) A w rozwiązaniu, powiedział: — „W mojém państwie, ja książę pokoju: żadnego sztandaru rozwijać nie pozwalam. Kto chce iść z ochotnikami idącymi do zasłaniania granic moich, iść może, ale cicho, spokojnie, jak to przystoi w państwie naczelnika pokoju.“ — I temi słowami pożegnał deputacyą. Po jéj odejściu, przywołał księdza Aleksandra Jełowickiego i powiedział mu: — „Czemu pana Zamoyskiego tu nie ma? — Mnie się nie podobał wasz poeta, ja nie chcę, aby więcéj do mnie przy-

---

[1]) Wedle innych, Ojciec święty miał powiedzieć: *Non son sordo, mio figlio.*

chodził. Niech Polacy idą: będą robić co mój jenerał im rozkaże, ale cicho, bez sztandaru; chyba prąd wypadków powiedzie ich daléj.“ Ksiądz Jełowicki, ostatnie wyrazy, z oszczędzeniem Mickiewicza, zakomunikował deputacyi. Uradzono ogólne zebranie Polaków w klasztorku księży polskich, powołując wszystkich na dzień następny na godzinę trzecią po południu. Przyszli na to zebranie: Władysław Łubieński, Ludwik Orpiszewski, kilkunastu młodych artystów wysyłanych przez rząd rosyjski z Warszawy i z Petersburga dla doskonalenia się to w malarstwie, to w snycerstwie, to w architekturze. Byli pomiędzy nimi: Morykoni, Zieliński, Rożniecki, muzyk, syn poboczny osławionego imienia jenerała, i brat jego, sposobiący się na malarza krajobrazów. Po obiorze prezydującego, gdzie zgodnie był wezwany ksiądz Aleksander Jełowicki, zabrał głos Władysław Łubieński, i przedstawił: że gdy Ojciec święty pozwolił iść Polakom z ochotnikami rzymskimi, otwiera się nadzieja tworzenia legionów, które może dziś, jak w ówczas pod Napoleonem, zaprowadzą nas na ziemię rodzinną. Aby dać popęd temu tworzeniu się, zebranym iść powinno o naznaczenie tym legionom wodza. Co do niego, imieniem, zasługą i zdolnością, nie widzi właściwszego na tę godność jak p. Władysława Zamoyskiego, który w dawniejszéj wojnie naszéj przeciw Rosyi, złożył znakomite dowody męztwa i poświęcenia, a który późniéj, w ciężkich dniach wygnania, nigdy nie przestał myśleć o sprawie polskiéj.“ Pan Mickiewicz, cały oblany karmazynem oburzenia, przerwał głos Łubieńskiego: — „Nie, nie i sto razy nie! Pan Zamoyski nie może wprzód stanąć na czele legionów, aż krwią swoją jako prosty żołnierz w szeregach, obmyje plamę jaka jest na nim forytowania wuja

swego na dynastyą polską.“ Pan Łubieński podniósł znowu głos i słusznie zauważył, że przekonanie polityczne, plamy nie przynosi: można opinii co do dynastyi nie podzielać, ale ujmować nie można zasłużonemu mężowi jego cnot rycerskich i poświęcenia.“ — „A więc ty, ze wściekłością zawołał Mickiewicz, ty p. Łubieński, który stanąłeś jako zausznik Zamoyskiego, zmyj wprzódy plamę złodziejstwa grosza publicznego, jaką twój ojciec położył na czole twojem!“ — Ksiądz Jełowicki, jako prezydujący, uderzył ręką w stół: — „Dosyć panie Adamie, wyrzekł: — to są osobistości! Jakikolwiek sąd opinia publiczna wyrzecze na ojca, nie godzi się poczciwego syna znieważać!“ — I w istocie: synowie wnioskiem macierzystym pospieszyli na pomoc ojcu w winie jego; czy ona była, czy nie, wcale nie uczestniczyli. Trzeba więc na to wielkiego uniesienia się, namiętności zbyt silnéj, aby rzucić zakał na tego młodzieńca. Czynność nie godna męża na takiem stanowisku jakie zajmował Mickiewicz w narodzie. Ale Mickiewicz na progu domowym, między żoną i dziećmi i na widowni publicznéj, był samowładzcą i nie pohamowanym sektatorem. Tupnął więc nogą, i zwracając się do księdza Jełowickiego, a opuszczając pierwszą swoją ofiarę, z zapienionemi ustami krzyczał: — Ah! ty popie, jezuito! Deptałem was wszędzie; ale sukienkę odmieniwszy, z duszą jezuicką, pod tysiącami postaci przychodzicie łudzić zaślepionych. Zdepcę ja was pod skorupą, jak zdeptałem jawnogrzeszników!“ Szmer powstał w zgromadzeniu. Spokojniejsi słuchacze porwali za kapelusze, chcąc wychodzić. Powstał prezydujący. A. Mickiewicz zwracając się do młodzieży: — „Do was ja mówię! Wy, którzy mię lepiéj pojmujecie, słuchajcie mię, a zatknijcie uszy na te pnie spróchniałe.“ I zabie-

rał się do długiéj perory. Ale ze zgromadzenia wystąpił Ludwik Orpiszewski, zbliżył się do p. Mickiewicza i zapytał spokojnym głosem: — „Czy pozwolisz mi mówić, panie Adamie?“ — „Orpiszewski? — Owszem, proszę cię, mów; — tyś prawy człowiek!“ — „Czy za takiego znasz mię panie Adamie? Czy prawości mojéj nic nie masz do zarzucenia?“ — „Nie! broń Boże!“ uroczyście odpowiedział Mickiewicz. — „A więc, jakkolwiek, podniósł Orpiszewski, boleśna będzie mowa moja, i dałbym pół życia mego, żebym nie był zmuszonym jéj podnosić, — ale obowiązek nakazuje mi mówić dla nauki młodszych braci moich, tego pokolenia, które po nas ma nastąpić i za głosem twoim może iść ślepo, sądząc, że dla kraju idzie się poświęcać, ja, co czuję, czem jest dusza moja, tom winien tobie; bo na pismach twoich karmiłem serce, i z pism twoich wyniósłem uczucia, które stanowią część moją moralną, a zatem szczęście życia; — ja więc, który tyle winien ci jestem, który, zdawało mi się dawniéj, na twój głos poszedłbym na kraniec świata; — ja, odszedłem od ciebie, chociaż na mnie wołałeś głosem Syreny, głosem poezyi twoich, tych samych poezyi, któremi młodość moją karmiłem. A jeślim nie usłuchał tego głosu, jeślim uciekał od ciebie, musiałem mieć potężne przyczyny. Chcesz wiedzieć jakie?“ — „No, jakie? powiedz je śmiało!“ — „Powiem, choćbym dał pół życia, żeby dobro młodszych braci moich nie wyciągało odemnie tego smutnego zeznania: — odszedłem od ciebie, boś miał zamiar, jak ten zamiar masz dzisiaj, pod znak Orła polskiego podciągnąć znak inny. Chcesz zdeptać krzyż Zbawiciela, a na białéj chorągwi chcesz wywiesić krzyż czerwony proroka fałszywego, którego ty, jako Zbawiciela podajesz, gdy

Zbawiciel jest jeden! — jeden tylko, ten który umarł na Golgocie, a żyje wiecznie po prawicy Ojca na niebiesiech i tu na ziemi w kościele Piotra, namiestnika swego! — Otóż ty, ten kościół chcesz obalić. — I powiadam wam, bracia! nie dajcie się uwieść! Przez was, wasz poeta, chce kościół katolicki, ten kościół, którego bronili ojcowie wasi i który jest duszą narodowości waszéj, obalić, a prowadzić was pod sztandar fałszywego proroka.“ — Tę piękną i z duszy serdecznéj wysnutą przemowę, przyjmował Mickiewicz wyraźnie zmieszany; ani jednem nie przerwał jéj słowem; widział bowiem, że nie wynajdzie argumentów zbijających. Postrzegłem zaś po twarzach młodszych ludzi, jakieś współczucie dla Orpiszewskiego i oznaki szacunku dla jego prawości, obrócił się do tych, którzy z nim przyszli, i rzekł głośno: — „Co tam na to odpowiadać! Wy coście przyszli ze mną i mnie zaufali, przystąpcie do mnie nie zważając na nieprzyjaciół moich, albo fałszywie widzących.“ Po tych ostatnich słowach Mickiewicza, wszyscy poważniejsi, i zgorszeni jego gwałtownością, a głęboko przejęci słowami Ludwika Orpiszewskiego, wyszli z sali posiedzeń. Pozostali młodzi ludzie, artyści, niedawno z kraju przybyli, którzy przyszli już usposobieni na ślepo robić, co im ulubiony poeta narodowy powie. Im się zdało, że i dziś idą za głosem tego, który bolejącą duszą miłości wyśpiewał *Dziady*, który sercem, ojczyzny pełnem, wyśpiewał *Walenroda*, który zamiłowaniem zwyczajów i wiary ojców, nakreślił *Pana Tadeusza*, za głosem profesora, który przez trzy blisko lata, przemawiał z katedry kolegium francuzkiego, mówiąc o literaturze słowiańskiéj.

Między tymi trzynastoma:

1szy. Gerlicz, emigrant, który z Mickiewiczem przyjechał z Paryża i dawno już ślubował Towiańszczyźnie, a dziś odgrywał rolę adjutanta jego. Półgłówek, który słyszanéj nawet rzeczy, dobrze powtórzyć nie umiał; cóż dopiero utworzyć sobie przekonanie wyrezonowane umysłem i sercem. Aby dać rys tego waryata, przywiodę jednę odpowiedź jego, a ta będzie dostateczną, aby go strącić do rzędu głupców. Jednego dnia, gdym go zastał w restauracyi przy obiedzie, złożonym z potraw wyszukanych, które popijał szampańskiem winem, wyraziłem zadziwienie, że on należąc do *koła*, do ludzi, którzy utrzymują i zalecają doskonalenie ducha, oddaje się tak cielesnym przyjemnościom. Gerlicz z miną poważną i bez uśmiechu na twarzy, wyrzekł: „Wzięliśmy za obowiązek doskonalenie i wywyższenie ducha, ale razem ciało mamy za nic. Dogadzając ciału, téj zgniliźnie, prędzéj go do pierwotnéj zgnilizny przyprowadzimy. Pogardę mam dla ciała, i dla tego we wszystkiem mu dogadzam.“ — Darujcie Czytelnicy, że zawołam na niego starym słowem mego niegdyś profesora, Bazyliana, księdza Szczerbackiego: — „Ośle dardański! Czyliż ty nie wiesz, że dogadzając ciału, poniżasz ducha twego tak, iż sam z ciałem i duchem twoim, zstępujesz do zwierzęcia, które za zmysłami swemi tylko goni, a zmysłom dogadzać ma za cel i rozkosz żywota.“

2gi, 3ci, i 4ty. Zieliński, Morykoni i młodszy Rożniecki, malarze, za ciasno mieli rozwinięte władze umysłowe i poszli za pierwszym wpływem.

5ty. Niesiołowski z Litwy, którego matka wysłała do Włoch dla poratowania zdrowia; garbaty rozpustnik, strwonił pieniądze na trzyletnią podróż przeznaczone, i gotów był uczepić się jakiéjbądź entrepryzy, byle

dociągnąć lat podróży, nimby mógł wrócić do majątku, albo doczekać nowych zasiłków matczynych.

6ty. Rożniecki starszy, znakomity talent muzyczny, poszedł za popędem poezyi, jako siostry drugiéj muzy, którą polubił i oddał się jéj cały.

7my. Kamieński, uczący się malarz, wielkich zdolności, który w rozmowie ze mną, uszanował prawość charakteru Orpiszewskiego, i narzekając na nieprzyjaciół Mickiewicza, jego przynajmniéj odłączył od innych, a oddawał sprawiedliwość i jego charakterowi i przeważnym powodom jako katolika z przekonania. — „Ja, mówił, katolikiem nie jestem: u mnie geniusz, jest religią, jest Bogiem. We Francyi, Lamartin, poeta, stanął na czele narodu, i wziął w ręce rządy państwa, które mu powierzyli historycy, filozofowie, ludzie uczeni w umiejętnościach ścisłych, a za nimi naród. Możeż Lamartin talentem swoim porównać się do olbrzymiego geniuszu polskiego poety Mickiewicza. Dajmy, że się myli, że idzie szalonym krokiem, i zaprowadzi nas na drogę szaleństwa; — to czyż fantazya, kaprys takiego człowieka, nie wart jest życia kilkudziesięciu młodzików? Ja przynajmniéj bez żalu i z pełnem uczuciem poszedłbym w ogień niechybny na jego skinienie.“ Szlachetna dusza, zdolna do wielkich czynów, do poświęceń; i zaiste, za stratę takich ludzi, odpowie ten, który ich zawiedzie na bezdroże. Im Pan na niebiosach przebaczy, bo on nie skutek, ale chęć i serce rozważać będzie, a powtórzy na sądzie wielkim słowa Chrystusa: — „*Wiele im przebaczono, albowiem oni wiele kochali.*“

8go, 9go, 10go 11go, 12go i 13go nie pamiętam nazwisk; nie mieli też zapewne nic w sobie, czemby się mogli zapisać w pamięci. Autor litanii o Towianczykach w *Pszonce*, litanii, o któréj wspomniałem wyżéj,

zapisałby ich: — 8my, 9ty, 10ty, 11ty, 12ty i 13, Baranki Boże, zmiłujcie się nad nami, i nie przychodźcie bezrysowemi twarzami waszemi i głosem bezrozumnych zwierząt, mieszać nasz pokój i chwile naszego pożytecznego rozmyślania!

Gdy ci trzynastu otoczyli Mickiewicza trzęsącego się jeszcze ze złości, on dobył z zanadrza rękopis i odczytał im *Biesiadę Towiańskiego*. Wielce żałuję, że jéj nie mam, ani pamiętam, abym w pamiętnikach moich mógł zapisać tę zbieraninę niedorzeczności, która w mistycznych hyperbolach i w ciemnych wyrazach, stanowić ma essencyę nowéj wiary. Biesiada ta, składać się ma z kilkunastu toastów. Toast pierwszy, za szczęście ludzkości; toast drugi, za Chrystusa, który dał naukę niepojętą od ludzi; toast trzeci, za Napoleona, który miał wielką spełnić misyą: — nie spełnił, ale spełni ją jeszcze, i inne dziwactwa. Po odczytaniu téj nowéj ewangelii, Mickiewicz wyrzekł: — „Z tą wiarą i pod sztandarem jaki mam przygotowany, pójdziecie rozpocząć nową epokę dla ludzkości i ojczyzny waszéj.“ — Zieliński, lubo nie bystrych pojęć, ale religijny, a za nim kilku innych, odezwał się: — „Za sztandarem pójdziemy, ale tylko wtedy, gdy ten sztandar poświęcony i pobłogosławiony będzie przez Ojca św.“

— „Będzie poświęcony i pobłogosławiony!“ — odpowiedział stanowczo i głosem pewnym Mickiewicz; a całe zgromadzenie rozeszło się z zaufaniem w jego obietnicę.

Co było powodem tak uroczystego zapewnienia Mickiewicza i zkąd miał śmiałość w ówczas dać to zaręczenie 13tu młodzieży idącym ślepo za nim? Dotąd nierozwiązaną została zagadka; a jednak w istocie sztandar ten był poświęcony i pobłogosławiony przez Ojca

świętego w 15 dni po uroczystem przyrzeczeniu Mickiewicza. Poświęcenie to nastąpiło w skutek wydarzenia dziwnego, a żadnéj nie mającego styczności z wypadkami politycznemi Włoch i Francyi, ani z Towianizmem. Opiszę je szczegołowie, bo zasługuje na wzmiankę, chociażby nawet nie pociągnęło za sobą błogosławieństwa sztandaru białego z krzyżem czerwonym, jaki miał przewodniczyć zastępowi prowadzonemu przez Mickiewicza naprzód, a potem przez dowódzcę wojskowego, pułkownika Kamieńskiego.

Jeszcze w r. 1845 za bytności cesarza Mikołaja w Rzymie, samowładca Rosyi, jakkolwiek zimno przyjęty był przez papieża, Grzegorza XIV., z wszelką jednak gościnnością, nakazaną przez Ojca św., otworzone mu zostały kościoły i galerye Rzymu. Przy zwiedzeniu kościoła Piotra św., i oglądaniu głowy św. Andrzeja, bogato oprawnéj w złoto i drogie kamienie, wyraził on, iż tę głowę, jako Apostoła Słowian, radby posiadać w Moskwie lub w Petersburgu. Ambasada, chcąc dogodzić woli pana, proponowała podwójną wagą złota zapłacić te relikwie, a osobno sowicie wynagrodzić za drogie kamienie. Gdy wszystkie te ofiary odrzucone były za wyraźnem postanowieniem papieża, i gdy powtórzona natarczywość przez p. Buteniewa skutku nie wzięła, zaprzestano już myśleć o téj propozycyi, i w konklawie i w ambasadzie rosyjskiéj. Ale oto w roku 1847 ginie z Watykanu głowa św. Andrzeja, drogocenna pod względem wartości pieniężnéj, ale droższa nieporównanie pod względem pamiątki religijnéj, jako relikwia jednego z Apostołów Chrystusowych. Nakazano modły po kościołach, którym sam papież nieraz towarzyszył, nakazano poszukiwania policyi, która bardzo czynnie się wzięła; — ale wszystko było

napróżno. Aż oto, około dnia 18 marca, Ojciec św. zgromadza konklawę i objawia, że głowa św. Andrzeja znaleziona, a raczéj, że pod pieczęcią spowiedzi, jemu odkryte jest miejsce, gdzie się znajduje. Z rozkazu Piusa IX., dnia 19 Marca, mają się zebrać wszystkie zakony, wszyscy kardynałowie i wszystkie cechy miasta; — wejść na dziedziniec Kwirynału, zkąd sam Ojciec święty solenną procesyą zaprowadzi do miejsca w ogrodzie kwirynalskim, gdzie ma być głowa świętego ukryta; z tamtąd z całą pompą udadzą się do kościoła Santo Andrea dei Frati, gdzie po odbytem nabożeństwie, z tą samą uroczystością zaniesioną będzie do kościoła św. Piotra i złożoną na dawnem miejscu. Przy czem Ojciec św. oświadczył, że da uroczyste błogosławieństwo *Urbi et Orbi*, miastu i światu, jako dziękczynność za łaskę Bożą, przez którą tak droga relikwia odszukaną została.

Kto był ten złodziéj? Nikt nie wie. Pod pieczęcią spowiedzi grzesznik zeznał Ojcu św., czy téż jego najbliższemu: nikt o tem wiedzieć nie będzie. Był-że to rabuś zwyczajny? — Ależ w kościele św. Piotra, nie tknięte zostały kielichy i monstracye, bogatsze zaiste. Nie tknięte zostały relikwie innych Świętych Pańskich, nie mniéj ozdobne kamiemiami, nie mniéj w złoto oprawne. Byłże to agent ambasady rosyjskiéj, chcący niespodziany a tak upragniony dar złożyć carowi, a sobie zawiesić bulony jeneralskie albo order św. Andrzeja, za złodziejstwo na św. Andrzeju popełnione? Nareszcie byłże to niegodziwiec liczący na zyski ogromne, a w téj nadziei omylony? bo może odtrącony od ambasady, wyznał grzech, nie chcąc sumienia obciążać daremnie; wnoszę bowiem, że pan Buteniew, a nawet cesarz Mikołaj, nie śmieliby takiéj czynności

dopuszczać się, która za wyjściem na świat, okryłaby szkandalem dwór cały, dbający o jaką taką opinią Europy. Ukraść komu Ojczyznę, zabrać kraj, nie należący do niego, i zabrać go ani podbojem, ani przez dobrowolne układy, to pozwolone. Trzy mocarstwa pod znakiem i wezwaniem Trójcy Przenajświętszéj, taką kradzież utwierdziły, dały świętości aureolę; ale kradzież taka, przynosiła miliardy; taka kradzież przez swoje grandjozo, stawała się bohaterstwem. Głowę zaś świętego kraść w tym wieku, gdy święty może być przez cara kreowany lub strącony z rzędu świętych; — kraść głowę z brylantami i złotem, która nawet sto milonów nie warta była? — to zanadto poniżałoby dumę cara; takiéj kradzieży ambasada nie śmiała dopuszczać się. Jeszcze gdyby była pewność tajemnicy. Ale dzieje świadczą, że ukradziony zręcznym sposobem przez Lwa Sapiehę obraz Najświętszéj Pannny di Guadelupe nie utaił się w Rzymie; i magnat polski publicznie musiał Ojca św. przepraszać, a tylko łaską jego miał sobie przebaczoną winę i darowany obraz. Cóż będzie gdy pochwycona głowa świętego Andrzeja wykryje winowajcę i spadnie skandal na dwór, chcący tak starannie pozory małéj niegodziwości oddalać, aby mu zbrodnia wielka płazem poszła? Zagadka kradzieży nie odsłoniętą została, ale z niéj Mickiewicz korzystał i dotrzymał obietnicy danéj trzynastu szaleńcom obłąkanym przez siebie. Skoro solenna procesya nakazaną była przez władze rzymskie, poeta nasz rozkazał wynieść swój sztandar. Niósł go Rożniecki, a obok niego Zieliński i Niesiołowski, asystowali jako podchorążowie sztandaru. Sztandar ten, na wierzchu drzewca, miał małego orła polskiego, ulanego ze srebra; a sama chorągiew biała z krzyżem czerwonym, obwiniętą była

w ceratę. W owym czasie wielkiego ruchu we Włoszech i całéj prawie Europy, wielką sympatyą budziły wszystkię narodowości. A cóż dopiero Polska, któréj uroczystość napełniła już od dawna całą Europę! Sztandar Mickiewicza szedł po za cechami miejskiemi; ale przed każdym odwachem pełnionym przez gwardyą narodową utworzoną za Piusa IX., dwaj podchorążowie wchodzili do stancyi oficera i wołali, prawie rozkazującym głosem: — „Odwach niech wychodzi i prezentuje broń przed sztandarem polskim.“ — Oficer, na ten głos jakoby rozkazu prawego, i na głos serca własnego dla naszéj sprawy, posłuszny, wychodził i czynił honory należne. Tak sztandar z całą procesyą zaszedł do kościoła Sante Andrea dei Fratri, i tam otrzymał poświęcenie wodą i krzyżem Ojca św. — Znalazł się potem na dziedzińcu i w kościele św. Piotra, gdzie go po drugi raz krzyż i kropidło poświęciły. Nakoniec Ojciec św. wstąpił na galeryą Watykanu, wzniósł ręce do góry, jakby z nieba brał natchnienie, odmówił zwyczajne wezwanie przy téj uroczystości, i wyrzekł: — „Duch święty niech zstąpi na was i zmaże winy wasze i przebaczy kary! W imię Ojca, Syna i Ducha świętego, Amen. Błogosławieństwo światu i miastu udzielam!“ — A tak, obietnica Mickiewicza spełnioną została, lubo nie wyłącznem błogosławieństwem, ale powszechnem, sztandar został poświęcony i pobłogosławiony ze wszystkiemi cechami miasta. W niebogłosy wrzeszczeli zwolennicy Towianizmu: — „*Mickiewicz zmusił papieża sztandar błogosławić! Ojciec św. znał jego czyste zamiary; zmuszony był wyższym rozkazem, rozkazem Boga, który wolą i ręką papieża kierował.*“

Jak wiedział Mickiewicz, że obietnicę dotrzyma? Niech mię Bóg broni, abym część podejrzenia rzucał

na wieszcza naszego, na chwałę naszą, iżby on miał wiedzieć o kradzieży! O spowiedzi wiedzieć nie mógł; a zatém spodziewać się nie mógł, że procesya będzie nakazaną. Ale ja sądzę, iż Mickiewicz liczył na potęgę swojéj wymowy, że mu się uda, jeśli nie wybłagać Ojca świętego, to znaleźć sposób wpłynienia czy to na Matkę Makrynę, czy na pobożnego księdza, mogącego mieć przystęp u papieża. Że on wierzył w potęgę słowa swego i w moc wywołania argumentów niezbitych i porywających, to pomnę jak na jednéj lekcyi literatury słowiańskiéj, gdy przeszedł już do mistycyzmu, wyraził się temi słowami: — zacząwszy od cudu św. Antoniego, że ryby go słuchały gdy kazał, tak zakończył: — „I wierzyć temu powinniśmy, bo przekonanie silne, bo wiara pewna, taką dają potęgę słowom, że piersi wzdymają się myślą zrozumiałą, a usta wydają dźwięki pojęte przez tych, którzy słuchają prawdy serca naszego. Ja sam czuję w sobie: że gdybym o prawdzie silnie przezemnie poczutéj, mówił do Chińczyka, którego mowy nie znam, a on języka innego nie pojmowałby; takbym nadął organ piersi moich, takbym naprężył wszystkie fibry serca, takbym złożył nerwy najdelikatniejsze ust mego języka, że w braku innego sposobu, od razu przemówiłbym do niego po chińsku.“ — Otóż na tem była oparta nadzieja dotrzymania obietnicy. Przypadek posłużył, że to się stało naturalniejszym sposobem, i żeśmy nie mieli potrzeby sprawdzać, czy możebna jest dla poety improwizacya umiejętności chińskiego języka.

II.

Różne osoby bawiące w Rzymie w czasie ruchu Włoch 1848 roku.

Poszedłem w pamiętnikach moich uniesiony przedmiotem ważnym; przeskoczyłem wszystkie wypadki i daty wcześniejsze; opuściłem rzecz o ludziach dalszych od ruchu i o sobie samym. Będę więc przebiegał po kolei charakterystykę znajdujących się w ówczas w Rzymie, bądź krajowców, bądź wychodźców polskich z Francyi tam przybyłych.

Co się działo z Towiańskim, oczekującym w Civita-Vechia na usłanie mu drogi do papieża? — Niewiadomo. To pewna, że odjechał tak, iż go nikt w Rzymie nie widział. Rozłączył się on z Mickiewiczem na długo, zdaje się nawet, że na zawsze, o czem wiedzieć będziemy w późniejszych relacyach, gdy opowiemy koniec działań Mickiewicza w Medyolanie, odjazd jego do Paryża i postawienie Kamieńskiego na czele formującego się legionu.

Tymczasem, przebiegając ludzi zgromadzonych w Rzymie, muszę zawrócić się do epoki o kilka miesięcy poprzedzającéj ruchy 1848 roku. Było to w miesiącu październiku, gdy mało jeszcze osób podróżnych zjawiało się w Rzymie, a tylko wrócił Władysław Łubieński, dowiedziawszy się o śmierci żony swojéj. W dobrych był on ze mną stosunkach. Spotkawszy mię raz na ulicy, prosił, abym odjeżdżającemu na Wschód w celach religijnych księdzu polskiemu, dał imformacyą o Wschodzie i przyczynił się datkiem na podróż jego. Datek ofiarować przyrzekłem; co się tyczy in-

formacyi, wskazałem drogę do księcia Adama, oświadczając, że tylko na jego rozkaz takich imformacyi udzielać mogę. Łubieński oburzył się, i rzekł do mnie: — *„To bo nieszczęście, że wy przy téj myśli dynastyi, zapominacie, coście winni religii.“* Takie niestósowne odezwanie się wywołało niecierpliwość moją. — „Com winien religii, odpowiedziałem, będę się uczył u spowiednika; a com winien obowiązkom moim, jako tego, który uznał władzę w księciu, będę się uczył od siebie samego;“ — i prosiłem, aby na drugi raz, dwa razy pomyślał, nim coś powie. Szczęściem, że Łubieński miał jakiś wzgląd i zamilczał; bo jego odpowiedź byłaby mogła wywołać jeszcze ostrzejszą z méj strony, zwłaszcza, że mi tkwiło w pamięci jego opuszczenie żony w chwilach jéj niebezpieczeństwa, a powody ważne ratunku ojca, nie były mi znane. Harmonii naszéj, wypadek ten nie pomieszał wcale, i zawsze potem spotykaliśmy się przyjaźnie i w Rzymie i w Paryżu.

Co do żądania, które Łubieński mnie przedstawił, opowiem jak się rzecz miała. Ów duchowny sam przyszedł do mnie. Ja zdawszy raport księciu, o jego misyi, napisałem zdanie moje, i odesłałem go z tem do Paryża, jako na konieczną drogę, jeśli chce co dokonać na Wschodzie.

Tym duchownym polskim udającym się na Wschód, był ksiądz Hipolit Terlecki. Znajomość nasza, była bardzo dawną: słuchał on już czwarty rok medycyny w Wilnie, gdym ja kurs prawny rozpoczął. Chociaż na różnych oddziałach, widywaliśmy się dość często, bo razem jadaliśmy obiady z jednéj restauracyi noszone. Po mojem wyjściu do powstania z Karolem Różyckim, straciłem słuch o nim; alem się dowiedział późniéj, że on wyszedł z Wilna z akademikami i złączył

się z korpusem Samuela Różyckiego na Litwie, a potem z nami w Sandomierskiem. Jako Wołyniak, życzył sobie być w pułku naszym; a że nam brakło pułkowego doktora, jenerał przeznaczył go do Jazdy wołyńskiéj w stopniu porucznika z pensyą 150 złotych na miesiąc. Co do odwagi osobistéj i pilnych starań, około rannych i chorych, nic do życzenia nie zostawiał; i do końca wojny, przebywał z nami wszystkie trudy i niebezpieczeństwa. Gdyśmy wkroczyli do Galicyi, Terlecki opuścił nas i przebywał w okolicy Krakowa; a potem zaszczytnie zdał egzamen i otrzymał patent doktora, którego mu dać już nie mógł był uniwersytet wileński, z przyczyny zaszłych wypadków powstania. W Krakowie, ożenił się z zacną obywatelką, znaną jako gorliwą Polką i poetką. Stan małżeński nie przeszkodził mu zajmować się sprawą publiczną: był on członkiem tajemnych towarzystw, i czynny brał udział w pracach demokratycznych w Galicyi i w Krakowie. Ukochana przez niego żona, przy pierwszym połogu, z żalem znajomych i z rozpaczą męża, świat ten pożegnała. Austrya weszła zbrojno do Krakowa, aby emigrantów rozpędzić. Terleckiemu udało się przemknąć do Francyi; ale raz postawiwszy nogę na ziemi wolnéj, pan swojéj woli, a w głowie mający sposób utrzymania się jako doktor, wstąpił do zakonu Zmartwychwstańców, nie mogąc po stracie żony znaleźć już pociechy na ziemi, i pragnąc dnie reszty żywota poświęcić Bogu. Jako kapłan, zanosił on pociechę współziomkom swoim; bezpłatnie do leczenia duszy, dołączał usiłowanie leczenia ciała, o ile mu zdolność i siły pozwalały. W Rzymie, gdy odczytywał raz dzieje Unii, dokonanéj za Zygmunta III. w Polsce, i wyczytał nazwisko biskupa Terleckiego, najgorliwszego stronnika

tego połączenia dwóch kościołów, gdy przebiegał myślą pamiątki podawane mu przez ojca i stryja; nabrał pewności, że on jest tego samego rodu, którego był ów biskup jego nazwiska; i powziął myśl, wśród prześladowania Unii od cesarza Mikołaja w Polsce i na Litwie, pracę przodka swego, czy imiennika, dokonywać. A gdy zamknięta mu była Polska, uprosił papieża, aby mu wolno było tę Unią rozszerzać na Wschodzie. Papież zezwolił na misyą jego i na przemianę sukni duchownéj. Terlicki zapuścił brodę, nauczył się odprawiać msze po starosłowiańsku, zbierał fundusze na podróż i postanowił jak najprędzéj na Wschód odjechać. Gdy mi sam ten zamiar objawił, zrobiłem mu następujące uwagi:

Naprzód: że traktatem adryanopolskim, Rosya ma przyznaną sobie opiekę nad wyznaniem wschodniem; że zatem jego propagacya Unii, wywoła zaraz protestacyą i ostre noty dworu i ambasady pana Tytowa; a Turcy obojętni, na wszelką religią chrześciańską, uczynią zadość żądaniu Rosyi, i nawet gotowi go uwięzić.

Powtóre: że rozumiem twoje powołanie; rozumiem i pojmuję, przewidując twoją odpowiedź, iż sługa Chrystusowy baczyć nie powinien na niebezpieczeństwa; ależ trzeba, aby cień możności był podobny. Jako ksiądz katolicki, znalazłbyś zakony pracujące tam od dawna nad rozszerzaniem władzy papieża; ale w duchowieństwie obrządku wschodniego, pomiędzy Słowianami, parochowie są tylko Grecy z rodu i uczucia, a zatem przywiązani do Rosyi; w Bułgaryi, w Serbii i w Bośnii, nie ma ani jednego duchownego Słowianina. Dwóch parochów, Słowian, porwanych było przez patryarchę i osadzonych w więzieniu za samą myśl

odprawiania Mszy św. w języku słowiańskim i utworzenia episkopatu słowiańskiego — a więc nie ma pierwszéj podstawy, na którejby nogę można postawić.

Po trzecie: Aby ta misya dała się dokonać, jeden tylko widzę sposób: aby jechał tam jako ksiądz katolicki, taki, jakim on był wprzódy, ale z pozwoleniem Ojca św. odprawiania mszy w języku słowiańskim; inaczéj nie przekona Słowian, że *Dominus vobiscum* jest wszystko jedno co *Hospod z wamy*. Słowianie chcą swoim językiem modlić się Bogu, i dla tego Innocenty XI. w całéj Iliryi pozwolił na odprawianie mszy w języku słowiańskim, i pozwolenie to, lubo odwołane kiedyś, może być przy gorliwem staraniu i użyciu ludzi wpływu na Piusa IX., odnowione; wtenczas:

Po czwarte: Z takiem pozwoleniem, niech się uda do księcia Adama, a przez niego do Michała Czajkowskiego, który mu da kilku Słowian, gotowych zaraz go poprzeć, nie licząc, że na zawołanie swoje, będzie miał wszystkich Franciszkanów *minori* bośniackich, dla których, możnaby toż same pozwolenie odprawiania mszy słowiańskiéj wyjednać.

Terlecki poszedł za moją radą w niektórych punktach. Był u księcia, wziął list do Czajkowskiego; ale myśl Unii nie opuściła go. A nadto: przybywszy do Carogrodu, zdało mu się ubliżeniem, prowadzić misyą pod sterem księcia Adama, którego władzy nigdy nie chciał uznać, jako ksiądz, republikanin i dawny Karbonar. To téż działając wprost na swoją rękę, nic nie zdziałał, i uciekać musiał ze Słowiańszczyzny tureckiéj. Gdym wyjeżdzał z Francyi, jeszcze Terlecki nie wrócił. Co tu piszę o nim, powziąłem z raportów Czajkowskiego do księcia Adama.

Pomiędzy podróżnymi Polakami w Rzymie, dale-

kimi od wszelkiéj polityki, na pierwszym miejscu kładę Tadeusza Walewskiego, ziomka mego z Wołynia, z którym najściśléj żyłem, tak przez wzgląd na poczciwe jego serce, jak przez głęboki szacunek dla żony jego, Karwickiéj z domu, i bawiącéj przy nich panny Konstancyi Wyleżyńskiéj, córki Jana Nepomucena Wyleżyńskiego, niegdyś wizytatora szkół i związanego serdeczną przyjaźnią z ojcem moim.

Tadeusz Walewski, herbu Kolonna, syn brygadyera wojsk niegdyś rzeczypospolitéj polskiéj, urodzony z księżniczki Lubomirskiéj, w czasach młodości swojéj, był ulubieńcem najpiękniejszych kobiet. Żywego dowcipu, ukształcony salonowie, mógł się był ubiegać o najświetniejsze ożenienie. Ale gdy wesoło przepędzał dnie swojéj wiosny i w Warszawie, i na Wołyniu, było jedne serce, które powziąwszy raz silne dla niego uczucie, nie spoczęło, aż go przywiodło do siebie. Nie będąc pewna wzajemności, Anna Karwicka, dawnego jenerała polskiego córka, odrzucała partye najświetniejsze imieniem i bogactwami, bo kochała Tadeusza Walewskiego z tą otuchą, że silna jéj miłość, kiedyśkolwiek poruszy jego serce. Lubo późno, bo w 35 roku życia, nadzieja ta jednak spełniła się. Tadeusz Walewski, przebywszy lata burzliwéj młodości, ocknął się, wyznał przed sobą, że przecież szlachetniejszéj duszy, wierniejszego serca, napróżnoby szukał, i że ta, która go stale tyle lat kocha, od Boga jest jemu przeznaczoną na towarzyszkę doczesnego żywota; i w roku zda się 1827mym, ożenił z Anną Karwicką. W kilkanaście lat potem objawiły się w Tadeuszu symptomata astmy, któréj uległ ojciec jego, Adam Walewski. Trzeba było pilnego starania przy chorym, poświęcenia i cierpliwości. Stan chronicznych słabości

ma to do siebie, że chorzy są wielce niecierpliwi, że najmniejsza rzecz, porusza ich, a to poruszenie, wpływa szkodliwie na zdrowie. Odtąd więc, zaczęło się anielskie powołanie téj kobiety, jéj zapomnienie siebie, skierowanie wszystkich myśli, uczuć, czasu do jednego zamiaru: ulżenia przykrych attaków choroby mężowi, wynajdywania mu najmilszych rozrywek, usuwania wszystkiego, coby chmurkę na jego czoło sprowadzić mogło. Tadeusz lubił rozprawy żywe, wywoływał nawet zdania, któreby sprzeczkę zrodziły; ale żona z anielską cierpliwością słuchała ich; zamilkła, jakby się zgadzała na niepodzielane przez siebie opinie, a wynajdywała w pamięci zdarzenia, treści ubocznéj, mogące ciekawość męża zaostrzyć i odwrócić od poprzedniéj, żywo imponowanéj rozmowy. Wieczorami, nim się zebrali znajomi do utworzenia partyi wista, ulubionéj Walewskiego, czytywała mu gazety, albo nowe książki zajmującéj treści. Walewski lubił wiadomości polityczne i gustował w dziełach historycznych lub w innym przedmiocie należącym do nadobnéj literatury. Obdarzony olbrzymią pamięcią, z posiedzeń takich czytania żony, zapamiętał wszystko, i często w dwa, albo trzy miesiące, opowiadał komuś z dziwną dokładnością, wszystkie fakta dzieła historycznego, wszystkie sceny interesującéj podróży, albo romansu. Gdy się zaczęła gra wista, a mówię to o czasach pobytu jego w Rzymie i późniéj w Paryżu, — żona wtenczas wybierała chwilę do odwiedzania znajomych sobie, do wizyt w domach zażyłych. O godzinie 10 albo 11, wracała najregularniéj, aby prożbą i błaganiem dopilnować wczesnego spoczynku męża, surowo zalecanego przez doktorów. I ta kobieta, jedynie słodyczą swoją, taktem duszy wyższéj, miała zawsze uroczy wpływ na Tadeu-

szu nie skłonnym z natury do ulegania, a w licznem i wesołem towarzystwie, zapominającym często o przepisach hygienicznych. Głęboko religijna, pobożna sercem czystem, szczerym była kontrastem ukochanego męża, który należał jeszcze do wolterowskiéj szkoły. Prawdziwe uczucie ma to do siebie, że jeśli nie pociągnie zatwardziałego, nakaże część i pobłażanie. To też Tadeusz, szlachetnych zresztą uczuć, szanował religijność żony i wstrzymywał w sobie uśmiech na te, jak on nazywał, momerye kapucyńskie. Bóg się i nad nim późniéj zmiłował: nie poszedł on przed tron Przedwiecznego, z dawną swoją zatwardziałością. Do partyi wista i do czytania wieczornego, ja codziennie prawie należałem. Przepełnione mając serce Maryą, a widząc trudności, prawie nieprzyzwyciężone, chciałem umysł mój zająć. Odwiecznem lekarstwem na namiętność, jest namiętność druga. I w istocie, jakkolwiek nie zalecam nikomu szlachetne uczucie zastępować poziomem, w grze tylko jednéj zapomnieć można silnéj miłości. Grałem więc, grałem z zapałem, biorąc grę i jako przyjemność, i jako środek dla zapomnienia miłości mojéj dla Maryi.

Codziennym bywałem gościem u państwa Walewskich; bo jeżeli wieczór wistowy przepędzałem gdzie indziéj, to albo na śniadaniu, albo na obiedzie byłem u nich. Tam zawiązałam znajomość z wielu ziomkami. Często przychodziła do nich pani Zygmuntowa Krasińska, z domu Branicka; tam często widywałem Ksawerego Branickiego, Ten, człowiek młody, gorących uczuć, zajmował się czynnie ruchem politycznym Włoch, i wrzał chęcią poniesienia usług dla sprawy polskiéj, lubo nie wiedział sam, w jaki to sposób uczynić. W głowie jego przepełnionéj i nawałem ogromnych

wiadomości i zdaniami różnych politycznych stronnictw, był jakiś chaos, którego on uporządkować nie umiał. Raz porywały go sasady demokratyczne, które miały świat przeinaczyć; to znowu porywała go działalność nie zmordowana pana Władysława Zamoyskiego; to inną razą dziwiła wymowa Mickiewicza i jego pełne poezyi pomysły. Pamięć nie sławnéj czynności dziada, piekła mu serce, paliła czoło: chciałby ją zniczczyć poświęceniem, i szukał drogi po omacku. Uczęszczał do klubów włoskich; chodził za Mickiewiczem; całe wieczory przepędzał czasem z Zamoyskim. Na odgłos kipienia politycznego we Francyi, pojechał na początku lutego do Francyi; odebrał znaczną sumę Branickich złożoną u Torwaldsona, bankiera; był świadkiem rewolucyi 28 i 29 lutego, i wtenczas gdy papiery francuzkie spadły na 60, zakupił je za ośm milionów, na których potém zyskał ogromnie po ustaleniu prezydentury w osobie Ludwika Napoleona. Na projektowane legiony polskie we Włoszech, dał sto tysięcy panu Zamoyskiemu; dał znaczną sumę na legion formowany przez Mickiewicza; a późniéj, myśl dawna utworzenia dziennika francuzkiego, któryby sprawę polską popierał, porwała go przeważnie; i za powrotem Mickiewicza do Francyi, gdy Kamieński objął dowództwo Polaków w Medyolanie, ofiarował sto tysięcy franków na dziennik francuski: *La tribune des peuples*, którego redakcyą przyjął Mickiewicz, i który, do zamknięcia swego, popierał wszystkie dźwigające się narodowości.

U Walewskiego, w listopadzie 1847 roku, dowiedziałem się o przybyciu Zygmunta Krasińskiego do Rzymu. Autor Irydyona, Przedświtu, autor poetycznych poematów, wydawanych pod nazwiskiem Ligenzy, do

których przedmowę pisał Czajkowski, znany mi był z pism swoich. Zawrzała we mnie chęć poznania go jak najprędzéj, zwłaszcza, że już wiedziałem, iż częste godziny spędza z panem Zamoyskim. Powiedziano mi, że Zygmunt Krasiński mało jeszcze gdzie bywa, że najczęściéj u siebie się zamyka. Przeszło parę tygodni nim dostąpiłem rozkoszy ujrzenia go, posłyszenia tego znakomitego poety, który, jak słyszałem od Michała Czajkowskiego, niepokaźnéj postaci, zmieniał rysy swoje, rósł w olbrzyma gdy usta otworzył. Jednego wieczora mówią mi, że Zygmunt Krasiński jest u panny Anieli Czackiéj, którą bardzo szanował. Znałem już tę damę zacną imieniem i uczuciami swemi: nieraz bywałem u niéj na wieczorach, a nawet na obiadach, które odbywały się zwykle, chociaż zaproszone, o godzinie 10, a złożone z potraw polskich. Lecę więc coprędzéj do domu niedalekiego Walewskich, gdzie mieszka panna Czacka. Znajduję u niéj osób kilka i pod oknem opartego Zygmunta Krasińskiego. Panna Aniela przedstawiła nas sobie; a po niejakiéj chwili, znając moją gorącą chęć poznania poetę, starała się wprowadzać go w interesującą rozmowę. Krasiński małego wzrostu, rysów twarzy bardzo zwyczajnych, nie wysokiego nawet czoła, w błyszczących tylko oczach i w bystréj źrzenicy, pokazywał ogień swojéj duszy i uczucie pierś wzdymające.

Gdy rozmowa w około się toczyła, on milczał, nie zmieniając spokojnéj pod oknem postawy. „Pan był wczoraj na owym świetnym wieczorze u kardynała Maryniego?“ — zapytała go panna Aniela Czacka, śledząca chwili, abym ja mógł posłyszeć głos Krasińskiego. — „Byłem, o! byłem na tym sławnym wieczorze;“ — odpowiedział Zygmunt. — „Opowiedzże nam

pan o nim, prosimy go!“ — „Hum, hum — zaczął Krasiński: — Cóż opowiadać o świetności wieczoru? Kardynał, który bez trzech lokai z domu nie wyrusza, musi mieć nawał służby czerwono ubranéj u siebie, i świateł jarzących tyle, że się z nocy dzień robi. Świetnie postrojone damy siedziały na kanapach, a gęste światło z kandelabrów, odbijało się w bogatych brylantach, które miały na głowie, na szyi, na pierścieniach u palców. Młodzi ludzie uwijali się przy pięknych damach; poważniejsi z kardynałem i między sobą, przechadzali się po salonie. Głośne rozmowy i śmiech pusty wybijał echa po ścianach. Tam smutku nie było; i książę nawet kościoła miał wesołość na twarzy, która od gości przeszła do niego. W tém, lokaj czerwony otwiera drzwi i anonsuje: *Il Comte Zamoyski.* — I zaraz za nim wchodzi mąż wysokiego wzrostu, blady na twarzy i na wysokim czole, w czarnem ubraniu od głowy aż do stóp. Na jego widok, na brzmienie jego nazwiska, jakby kropidłem od katafalku zrosiła woda święcona wszystkich. Cała publiczność u kardynała i poważni mężowie Italii, i kardynał, książę kościoła, i młodzież z rozportartemi skrzydłami motyli, i owe piękne, łyszczące brylantami damy, a szczebiotliwe i dzwoniące śmiechem, umilkły. Szmeru nie było, urwały się słowa lekkie, wesołe, a na wszystkich ustach, jedno tylko było słowo szeptane półgłosem, ze smutkiem na twarzy, z okiem na pół łzawem: *Polska, Polska!* To przedstawiciel Polski czarno ubrany, jak czarny jest całun przykrywający jego ojczyznę. Oto pani masz wieczór kardynała Maryniego, wieczór, jakiego pewnie żaden kardynał nie miał jeszcze ani razu.“

To uciszenie szumnego towarzystwa na kardynalskim wieczorze, odbiło się w miniaturze na wieczorze

panny Anieli. Trudno było dać lepszy opis postaci Zamoyskiego i charakteru tego męża, który wszystkie swoje chwile poświęcał sprawie polskiéj; i jeżeli był gdzie w świetnem zebraniu, to pewnie dla tego, aby mówił o Polsce, aby wyszukał mężów mogących pomódz pracom dla Polski.

Odtąd, często spotykałem Zygmunta Krasińskiego; byłem parę razy u niego; widywałem go u pana Zamoyskiego, gdy każdego rana przychodziłem pracować z nim. Wiedział on, że ja przepisywałem do archiwum księcia Adama jego adres do Ojca świętego; wiedział, że w pracach moich słuchałem zawsze kierunku Zamoyskiego, i że w dziś gotujących się ruchach, użyty byłem z ufnością, jako miałem szczęście pozyskać u księcia Adama, naczelnika mego i u pana Zamoyskiego, który był duszą wszystkich działań. Jednego poranku, mimowolnie świadkiem byłem sceny bolesnéj między Zygmuntem Krasińskim a jego szwagrem, Ksawerym Branickim. W żywym sporze, weszli oba do p. Zamoyskiego: — „Niech osądzi Zamoyski, wołał w gniewie Branicki, i prowadził za rękę Zygmunta. Pułkowniku, zwracając się do Zamoyskiego: — powiedz, czy przystoi, aby Krasiński zawsze mię nisko stawiał, i jak nad studentem chciał górować impozycyą swoją? Ja poezyi nie piszę, ale przecież znam moje obowiązki, i Polskę kocham, jak on.“ — „O cóż wam chodzi? Zmiłujcie się!“ — Zapytał Zamoyski. — „Ksawery zawsze szalony, mówił spokojnie Krasiński. — Wchodzi w stosunki z Cicerovachiem i kompromituje napróżno swoją osobę i majątek. Czyliż to sposób służenia Polsce, wdawać się z przewódzcą motłochu obcego narodu!“ — „Ja robię jak rozumiem; dość że moje chęci są tak dobre jak i wasze;“ wołał zawsze Branicki.

Starałem się wysunąć nie postrzeżenie z téj braterskiéj zwady, i rozważałem powody sporu.

Cicerovaehio, był to Rzymianin z Transteweru, który brał udział, albo przewództwo we wszystkich uroczystych procesyach do Piusa IX., we wszystkich pochodach ludu na cześć sprawy włoskiéj, i rozumiał w swojéj ciasnéj głowie, że odegrywać będzie rolę *Rienzego,* owego trybuna XIV. wieku, który zasiadł jakby na tronie rzymskim, pozyskawszy głosy ludu. Cicerovaehio, gbur nieokrzesany, dzisiaj ciągnący motłoch za sobą, jutro przez ten motłoch wygnany, jaki materyał mógł przedstawiać dla Branickiego? Jeśli ciekawość chciał zaspokoić, każdy dzień, każda solenniejsza uroczystość mogły mu téj zręczności dostarczyć. Nie miał więc potrzeby z kilkoma ulicznikami, zapraszać go na biesiady, do jego domu uczęszczać. Ale Branicki, we wszystkich działaniach politycznych z najlepszemi chęciami, targał się jak waryat, szukając najprędszych środków i pierwszych jakie bujna podała mu fantazya. W Paryżu, redakcyą bardzo pożytecznego dziennika, oddał Mickiewiczowi, który skrzywił pierwszy cel i przyprowadził go do upadku, mieszając się w wewnętrzne sprawy Francyi: wiązał się Branicki z takimi ludźmi, jak Considerant falansterzysta, jak Prudhomme, który system zmuszanéj zamiany chciał wprowadzić, i wypisał, jako godło swoich opinii: *La propriété, c'ést le roi.* W dobroczynnych uczynkach swoich hojny aż do zbytku, nie wiedział kogo i jak wspomódz. Chciał wesprzeć biednych malarzy, i posłał podręcznego swego Niewińskiego, aby za parę tysięcy zakupił obrazów u malarzy Polaków, bez względu na lepszą pracę i bez względu na ludzi. Ztąd najpracowitsi, najzdolniejsi, umiejący cenić pracę swoją, a nie żądający jałmużny, zostali po-

minięci. Naznoszono mu lichoty od bazgraczy. Umiejący przypochlebiać się, a dobrze obracać językiem, obsypani byli hojnemi datkami. Takim znalazł się Edmund Chojecki, wielkich wprawdzie zdolności, młody człowiek, ale emigrant, wcale niepolityczny, i rzucający się z pracą swoją wszędzie i we wszystkie opinie, gdzie mu dobrze płacono. Cicha praca, ubóstwo skromne i milczące, nigdy nie ściągnęło jego uwagi i jego sympatyi. Wyraźna fatalność ścigała go w chęciach dobroczynnych, w gorącem pragnieniu służenia sprawie. Gdy prawdziwi przyjaciele, a między tymi Zamoyski i Tadeusz Walewski, przestrzegali go, że tak jawnie wdając się z wichrzycielami, naraża swój majątek i osobę u rządu rosyjskiego, odpowiadał: — „To niech zabierają. — Jak przyszło do domu, tak niech idzie; mnie to bogactwo pali ręce i czoło.“ — Czego chciał, dostąpił. Ambasada rosyjska oznajmiła mu, aby jechał do Petersburga tłumaczyć się cesarzowi, i jako poddany rosyjski, i jako były kapitan gwardyi cesarskiéj. Pan Kisielew, oznajmując ten rozkaz wyższy, dał mu dwa dni czasu do namysłu. Ale Branicki odpowiedział, że namyślać się nie miał potrzeby, i dziś mu odpowiada: że czując się niewinnym, do Petersburga nie pojedzie, a cesarzowi zostawia wolę zrobić z majątkiem jego, co mu się podoba. Po téj odpowiedzi z radośną twarzą ukazał się u znajomych: — „Teraz spokojny jestem, zawołał: z piersi moich spadł centnar ołowiu i udręczeń. Żyć mam z czego; a zresztą, niech sobie robią co chcą: *Male parta, pójdzie do Czarta*, i to słusznie.“

Między emigrantami w Rzymie, przebywał w tych czasach Aleksander Potocki, syn Szczęsnego, dziedzic Humańszczyzny. Za zasługi niegdyś ojca, posunął się

prędko w gwardyi rosyjskiéj. Ale przed rewolucyą 1830 roku, już mu pobyt w Rosyi został nieznośnym. Wyprzedawał swój majątek po bardzo niskiéj cenie, a kapitały umieszczał u krewnego swego, Alfreda Potockiego w Wiedniu; i wyraźnie gotował się, za wyprzedaniem wszystkiego, opuścić kraj rodzinny a osiąść za granicą. Wyprzedanie, pomimo zniżonéj ceny, nie mogło się tak prędko dokonać. Aleksander Potocki, oczekiwał w Wiedniu skutku usiłowań swoich pełnomocników, co do zbycia dóbr ogromnych, gdy go tam zastały wieści, o wybuchłem powstaniu narodowem w Warszawie. Krewni i znajomi jego, a między temi siostra rodzona, pani Kisielew, żona ministra dóbr państwa rosyjskiego, codziennie mówiła mu o poświęceniu się dla ojczyzny. Potocki nie długo się namyślał: podniósł parę milionów i odjechał do Warszawy, gdzie Skrzynecki mianował go jenerałem, a on formować zaczął pułk swoim kosztem. Pułk nie doszedł na linią bojową; powstanie skończyło się wzięciem Warszawy, a Potocki musiał z innymi wyjechać do Paryża, i oddać znaczny jeszcze bardzo majątek na łup rozgniewanemu cesarzowi. Odtąd zaczęło się jego życie najoryginalniejsze. Z zapewnionym dochodem 80 tysięcy franków, i w kapitałach lokowanych u krewnego swego Alfreda Potockiego, i z rent francuzkich, prowadził życie wygodne, ale najmniéj podobne do innych. Zaczął od tego, że corocznie pewną część dochodów poświecał na uczynki dobroczynne dla współwygnańców. Kasa dobroczynna funduszów emigracyjnych, kasa księżny Adamowéj, hojnie były zasilane. Zresztą, on sam, ledwie parę miesięcy wiosny przebywszy w Paryżu, na zimę i jesień wyjeżdżał do Niemiec, Szwajcaryi albo Włoch. Najulubieńszem miastem jego był Rzym. I oto

jak spędzał cały dzień i wieczory. W tym opisie, obaczą czytelnicy oryginalny charakter tego człowieka, obok jego uczuć najszlachetniejszych.

Gdziekolwiek przyjechał w Niemczech, w Szwajcaryi, czy to we Włoszech, starał się dowiadywać o kobiety olbrzymiego wzrostu, i te chciał przed wszelkiemi ciekawościami oglądać. Nie żałował nawet datku lękliwym, byle pozwoliły wzrost swój zmierzyć i zapisać. Aby mieć kompletną listę olbrzymich kobiet, często jeździł umyślnie sto i dwieście mil, a był najszczęśliwszy, jeśli jaki cudotwór wzrostu z biednego stanu, zgodził się na przyjęcie u niego miejsca kucharki albo praczki, zostawując ją ściśle przy ugodzonem obowiązku i wcale nie mieszając spokoju niewinności. Skoro dzień zabłysnął, i targi zostały otwarte, wychodził na miasto dla pokupek do obiadu, herbaty i kolacyi. Sam koniecznie musiał wszystkie prowianty wynaleźć, wpakować do ogromnych kieszeni swego surduta i zanieść do domu. W tem uważał powinność swoją, jako emigranta, zmuszonego każdy grosz oszczędzić, nie zastanawiając się nad tem, że służąca choćby nie najwierniejsza, załatwiłaby te pokupki taniéj, niżeli pan, którego ubiór i nieznajomość cen, narażały na oszukaństwo przekupek. Z temi prowiantami, *pêle-mêle*, zebranemi do kieszeni, tak, iż między owocami, mieściły się ciasteczka i bułki, a nawet masło, wracał do do domu i dysponował obiad, na który zawsze zapraszał dwóch albo trzech biednych emigrantów. Po obiedzie wychodził na miasto, i werbował muzyków, najczęściéj ulicznych, z którymi wygrywał koncert, dyrygując sam zebraną orkiestrą, i ćwicząc ją aż do godz. 8éj lub 9éj, zacząwszy od 2éj. Wieczorem zachodził do oświeconych sklepów, i skupował cacki dziecinne,

szajnekatarynki, lalki ruchome, które roznosił po domach, gdzie szedł z wizytami, i miał uciechę pokazywać je nie tylko dzieciom, ale i dorosłym pannom, z których wysoka wzrostem, była pewna otrzymać jaką cackę w prezencie. O godzinie 11éj najregularniéj wracał do domu, i do 2giéj, a czasem późniéj, grał z trzema wybranymi przez siebie po pół bajoka, to jest po groszu, tak, iż różnica gry, na parę franków wynosiła; a był najszczęśliwszym z wygranych kilkadziesiąt groszy. Tak mu przechodziły dnie z zupełnem zadowoleniem; a te zabawki przeplatał jeszcze wsparciem nie jednego biedaka, proszącego o datek od szczodrego pana. Miewał też wielu ochotników pod różnemi postaciami. Ten mu ofiarował polonez na basetlę, klarynet, albo obój, ulubione jego instrumenta; ów rozprawę filozoficzną; trzeci poezyę. Niejaki Sokoliński z Ukrainy, przyniósł mu tłumaczoną na polski język pieśń ruską, krążącą na jego ojca od dawnych czasów:

„Oj ty pane Potocki, wojewodzki synu!
Zaprodaweś wsiu Polszczu, Lytwu, Ukrainu, itd.“

Prawda, iż było dokończenie: — że ty Aleksandrze poprawisz, co twój ojciec przez dumę zrobił, a dumka twego batka, na tobie się sprawdzi, ale nie przez Rosyą. Chudy poeta, nie był odtrącony: dostał tysiąc franków; a Potocki pokazywał wiersz, jako dobrą polszczyzną przełożony. W następnych czasach, gdy powstałe ruchy we Włoszech, gdy wybuchła rewolucya w Paryżu, a potem w Wiedniu, groziły zachwianiem majątków; Potocki, kogo zdybał na ulicy, mówił: — „Nous sommes tous ruinés. J'ai, soit disant, 80 mille des rentes. Voulez vous m'assurez 100 francs

par mois, et je vous cède tous mes droits.“ — Zapewne nikt śmiało takiéj zamiany dopełnić nie mógł; bo gdzie ginęły miliony, tam zginąć mogły dziesiątki tysięcy. Mógł więc śmiało Aleksander Potocki wyzywać ochotnika, bo nikt sumiennie i z rękojmią nie był w stanie przyjąć zobowiązania. Szlachetny ten człowiek, mimo swoich oryginalności, budził powszechną sympatję. Gdy mu zarzucano, że bezpożytecznie majątek swój naraził, bo jeden żołnierz nie wzniósł rewolucyi, a zabrane w ziemi dobra jego, zginęły na czasy lepsze, odpowiadał jak Branicki: — „Il est vrai, ma fortune n'a pas été ramassée par un crime ni par moi, ni par mon père; cependant comme elle a commencé à être mal employée, vaut mieux qu'elle n'éxiste pas du tout: il est du devoir du fils de laver une tache portée au nom par la fierté du père.“ — Straszna nauka dla potomności, którą najodleglejsi zapisać sobie powinni w sercu i pamięci. Trzy familie dziś jęczą pod sprawiedliwem przekleństwem Boga. Ci co się wzbogacili *Targowicą*, widzą z przebytku, na jaki dusze ich zasłużyły, topniejące bogactwa w ręku potomków. Zmarniały dobra Rzewuskich. Ten, który dał za zdradę, odebrał ogromny majątek od zacnego wnuka zdrajcy, od Ksawerego Branickiego. Ów, co nie wziął nic, ale wydał swoich, Szczęsny Potocki, widzi ogromną fortunę pozostałą po nim, znikającą to zaborami, to marnotrawstwem, to dziwnemi zrządzeniami Opatrzności. A jednak, ileż to godnych ludzi między potomkami tych rodzin! Serce się kraje na widok syna Wacława Rzewuskiego; serce się podnosi na pamięć śmierci jego ojca! Między Branickimi, wnukami Franciszka Ksawerego, każdy jest godny szacunku: każdy rumieni się na widok ćwiartki jakiego pamiętnika, albo

powieści zapisanéj o ich dziadzie; — i przychodzi na myśl przykazanie Boże, w edycyi katolickiéj opuszczone: — „Nie będziesz się kłaniał innemu Bogu, dziełu rąk twoich; albowiem jam jest Bóg sprawiedliwy i mścić się będę na tobie w trzeciem i czwartem pokoleniu.“

Za pobytu mego w Rzymie, zrobiłem znajomość przez Ludwika Orpiszewskiego z zacnym, wzniosłéj duszy i utalentowanym pisarzem, markizem Massimo Azeglio, dzisiejszym gubernatorem Medyolanu. Zdaje mi się, że Azeglio, rodem jest Modeńczyk. Emigrował od księcia swego austryackiego do Rzymu, i czynny brał udział we wszystkich ruchach włoskich, które początek swój wzięły od niewinnie danego im popędu przez Piusa IX., co rozumiał, że tylko łaskawość i pobłażanie zlewa na Rzymian, i że ich gorące chęci, nie pójdą aż do zamiaru przemiany losów całéj ojczyzny. W skromnych dwóch pokoikach, jak na emigranta przystało, zamieszkiwał wówczas Azeglio w Rzymie, szczupły swój fundusz roczny przymnażając pracami literackiemi. — On to pierwszy z Piemiontczykiem Balbi i Neapoletańczykiem Fiorentinem, zwrócili dążności Włochów do towarzystw tajnych, a skierowali do otoczenia ufnością, nadzieją i pracami tron domu sabaudzkiego. — Wyszła broszura Balbiego, 1842 roku, — najpierwéj wskazała, że od lat trzystu marniały siły i prace Włoch w Karbonaryzmie; że ofiarami bezużytecznemi zapełniły się więzienia austryackie, a Włochy o krok nie postąpiły daléj; że marzenia rzeczypospolitych, rozpraszały się jak wiatr przechodni, a nigdy silnéj podstawy nie wzięły, bo naturą tego rządu, nieporządek. Azeglio drugą broszurą poparł pracę Balbiego, a Fiorentini w *Revue de deux mondes* i w dziennikach włoskich, o ile mógł, wspierał tych dwóch zacnych

mężów. Prace ich nie były głosem Kasandry: zrozumieli ich zdolniejsi z młodzieży; a powoli całe Włochy usłuchały, i na drodze legalnéj, nie burzliwéj, wolnéj, ale pewniejszéj, przyszła epoka pierwsza 1848 r., a wkrótce potem 1858 i 9; a dziś Włochy w ręku swojem mają niepodległość ojczyzny. Szczęśliwsi od nas, w jéj sercu, mieli kraj z narodową dynastyą, która pracowała nad wspólnem dobrem, i była jawnym spiskiem, którego żaden nieprzyjaciel dosięgnąć nie zdołał, a na końcu uledz musiał wytrwałości; przy wytrwałości bowiem i przy okrążeniu dynastyi zgodnym wszystkich duchem, znalazła się siła, znalazł się i opiekun, którego interes wyciągnął oręż na pomoc sąsiada, okazującego życie i siły żywotne zdolne złożyć naród. Ileż razy z Orpiszewskim przepędzałem u Azeglio miłe godziny na rozmowach o sprawie Włoch i Polski!“ — I my przed rokiem 1831, przed wybuchem warszawskim, mieliśmy ów punkt środkowy z królestwem konstytucyjnem i z narodowością jako tako tolerowaną przez rząd w prowincyach zachodnich i na Litwie. — Wprawdzie, nie mieliśmy dynastyi własnéj, bo berło było w ręku Rosyi; ale wojsko 40 tysięczne i narodowa administracya z sejmem była to potęga dla sprawy, która przy sprzyjających okolicznościach, przybrałaby rozmiary potęgi olbrzymiéj. Po stracie tego środka, téj kotwicy naszéj, gdy w przeciągu lat 15-tu, kilkakrotnie marniały siły nasze i zasoby w związkach tajemnych, myśl *3-go Maja*, pojęta przez emigracyą i naród, byłaby z czasem utworzyła wielką, jawną konspiracyą; a tę myśl Azeglio rozumiał i pochwalał. Ta rozmowa powtórzyła się, gdy pan Władysław Zamoyski przybył do Rzymu, gdy poznał i wraz z nami stykał się z Azegliem. Poźniéj, Azeglio z jeneralem pa-

pieża Durandem, wybrał się na granice Medyolanu: walczył w szeregach wojsk Ojca św., i ciężko został ranny w obronie Wicencyi. Widziałem go raz jeszcze złożonego na łożu boleści z obandażowaną nogą, i miałem od niego polecające listy do krewnéj w Medyolanie. Dziś on szczęśliwszy od nas! Widzi ojczyznę bliską potęgi niepodległości, a na jéj czele szlachetnego króla, który na wyścigi z narodem niesie na jéj ołtarz ofiary i poświęcenie. My niestety! w tem samem położeniu, w tem samem rozszarpaniu synów Polski, w téj saméj bezwładności narodu, czekamy zmiłowania Pańskiego.

Wspomniałem wyżéj o dwóch braciach Norwidach, Ludwiku i Cypryanie, i o Gustawie Zielińskim. Cypryan był już za granicą od roku. W ostatnich ruchach 1846 roku, paszport swój oddał jednemu z mocno ściganych w Warszawie, a musiał sam uchodzić przed natarczywością policyi księcia Paszkiewicza. Rzeźbiarz i poeta, udał się do Rzymu. Znakomicie ukształcony, skromny i cichy, a w pobożnym katolicyzmie czerpający natchnienia do prac swoich artystycznych, mile był widziany od wszyskich współziomków. Niekiedy błyskał nawet dowcipem. Po obraniu dzisiejszego cesarza Francyi na prezydenta, rozpamiętywając jego dawniejsze czynności, a mało przyznając mu bystrości umysłu i talentów, nazwał go *napoleonem rozmienianym na bajoki.* Wiadomo, że napoleon, jest złotą monetą 20-sto frankową; a bajok, najniższa miedziana moneta rzymska. Ludwik Norwid przybył w lecie 1847 roku przy mnie do Rzymu. W wyobrażeniach swoich religijnych i politycznych pełen mistycyzmu, skłaniał się do Mickiewicza; pojechał nawet do niego, tylko nie zastał go

w Paryżu; ale zastał Juliusza Słowackiego, który z niego zrobił zupełnego Towiańczyka.

Gustaw Zieliński przyjechał z Królestwa polskiego z funduszem dla brata swego, znajdującego się we Francyi, a razem miał dwa interesa w Paryżu: pierwszy z nich tyczył się księcia Adama. W Królestwie przedawano lasy należące niegdyś do dóbr puławskich na licytacyą. Gustaw Zieliński, oddający się temu handlowi, a dbały o opinią i ziomków i księcia, przyjechał, aby osobiście zapytać księcia Adama, czy nie będzie miał nic przeciw temu, jeśli on stanie między licytującymi. Sam nie śmiał przedstawić się księciu; ale brat mój Wincenty, gdy przez niego wysłany, pytał księcia o to, książę Adam odpowiedział: — „Na co mu w te brudy wdawać się; niech to zostawi Żydom, których jest powołaniem korzystać z każdego upadku.“ I stanęło na tem. Gustaw Zieliński zrozumiał to słuszne zdanie księcia, które, chciałbym, aby się wraziło wszystkim ziomkom naszym; bo też ich godności nie przystoi stawać przy licytacyi dóbr, niesłusznie przez rząd zabranych. Drugi interes, jaki go do Paryża sprowadzał, ciekawszéj był treści, i sięgał czasów Księstwa warszawskiego, dostarczał przy tem nowych dowodów łupiestwa jakie panowało ze strony jenerałów, a nawet marszałków Francyi, za czasów Napoleona I-go. Ojciec Gustawa Zielińskiego w r. 1812, gdy wojska francuzkie weszły do Polski, na odgłos rabunków popełnianych przez żołnierzy i oficerów po różnych wsiach i miastach, ciężko zebrany fundusz swój 15 tysięcy dukatów, zamurował pod kilką cegiełkami nad kominem, jednego pokoju w domie swoim. Gdy oddziały zbliżyły się do jego majątku, a nawet jakaś część stanęła garnizonem we wsi, gdzie mieszkał

i gdzie był ukryty ów znaczny kapitalik, stary szlachcic zaczął lękać się o swoje grosiwo, tem bardziéj, że powszechne podzielał mniemanie: iż każdy Francuz jest farmazonem, a więc z djabłem w porozumieniu. Dla bezpieczeństwa, udał się do marszałka Sebestjaniego, który kwaterę swoją założył w Płocku. Ze staropolską szczerością wyznał mu, że dla zapewnienia dzieciom spadku po sobie, ukrył zebrane ciężko pieniądze, a lęka się, aby żołnierze francuzcy, którzy tyle bezprawi, nawet z oficerami swoimi po różnych miejscach popełnili, odkryciem téj tajemnicy domowéj, nie ogołocili dzieci jego z funduszu; przeto w imię ludzkości zaklina jenerała, aby mu dał radę i pomoc. — „Bardzo chętnie, odpowiedział mu marszałek; ileż to pan masz i gdzie to ukryłeś?“ — Wyznanie nastąpiło kompletne i bez żadnéj rezerwy; opisał nawet najdokładniéj za którą cegiełką leżą ważne holenderskie dukaty. Marszałek zawołał oficera, szepnął mu na ucho, a obracając się do szlachcica, zapewnił go, aby był spokojny, bo co dwie godziny, warta osobna czuwać będzie, zmieniając się nad skarbem jego. Zieliński wrócił spokojny, i przez kilka dni widział z radością zmieniające się szyldwachy koło swego kominka. Ale nie zadługo warta znikła. Zmieszany właściciel zagląda do kryjówki, i z przerażeniem już nie znachodzi pieniędzy. W rozpaczy pędzi do Płocka, idzie do kwatery marszałka, ale ten nie każe go wpuszczać; próźb nie przyjmuje po kilkakroć powtórzonych, albo na nie żadnéj nie daje odpowiedzi. Z szlachcicem jednak sprawa nie łatwa: on za swojem, w piekło pójdzie. Siada na pocztę i staje przed Napoleonem w Moskwie. Cesarz ze zgrozą wysłuchał całego opowiadania i wyprawił do marszałka najsurowszy rozkaz, aby pieniądze Zielińskiemu natych-

miast zwrócone zostały, i aby on miał przedstawione sobie w prędkim czasie zakwitowanie najformalniejsze. Z Napoleonem, rada była kusa; Marszałek jednak użył półśrodka, aby to zakwitowanie otrzymać: Składając się niemożnością wypłaty, dał skrypt na siebie z tém, że za trzy miesiące uiści się, a zakwitowanie Zielińskiego posłał do kwatery cesarskiéj. We trzy miesiące, armia już była w odwrocie z Moskwy; potém szereg niepowodzeń cesarza Napoleona i nakoniec jego abdykacya. Stary Zieliński zamiast gotowych, ważnych 15 tysięcy dukatów, zostawił synom rewers marszałka. W roku 1847, Gustaw Zieliński, u którego ów skrypt znajdował się, jechał do Paryża, ukazał go Sebestjaniemu i uzyskać, jeśli można, należność. Miał z sobą metrykę i urzędowe poświadczenie, jako jest jedynym spadkobiercą wierzyciela. Był Zieliński w Paryżu, lecz marszałka nie zastał; ten zamknął się był na wsi po strasznéj katastrofie w domu jego, którą tu szczegółowie opowiem.

We wrześniu 1848 roku bedąc na wieczorze u p. Sobańskiéj, odczytywałem głośno świeżo nadeszłe dzienniki francuzkie *des Débats*, gdzie w nowinach bieżących, opisywano straszną zbrodnią spełnioną na księżnie de Praline, z domu córce Sebestjaniego. Przywołana przez służących policya o godzinie 9-éj z rana, odbiła drzwi do pokoju. księżnéj i zastała ją z poderzniętem gardłem, tonącą w potokach krwi, którą zlała łóżko i podłogę. W obec téj policyi, przywołany małżonek, rzucił się z krzykiem na zwłoki żony, i w płaczu utulić się nie mógł. Na tem kończyła się pierwsza relacya. Panna Wiktorya Giżycka przerażona wypadkiem, ubolewała nad nieszczęściem męża. Ja osłuchany z okropnemi zbrodniami ledwie nie co miesiąc opowiadanemi w gazecie

trybunałów, rozważając dziwne krzyki męża nie prędzéj aż przy policyi; i zapytując siebie, dla czego mąż nie otworzył sam drzwi do pokoju żony, jak tylko mu powiedziano, że sen przedłuża się nad zwykłą godzinę? wyjąknął domniemanie: — „*Założę się, że książę Pralin sam zarżnął żonę,*“ — Kobiety ze zgrozą zaprzeczyły. Panna Wiktorya oświadczyła, że znała obojga księstwa de Praline, i że książę, mąż wysoce cnotliwy i religijny, a serdecznie kochający żonę, dalekim jest od wszelkiego podejrzenia. Zamilkłem; bo w istocie, moje domniemanie mogło być za śmiałe, i nie godziło się na domysł oskarżać kogokolwiek o tak czarną zbrodnię. Nie długośmy czekali rozwiązania. W pięć dni, przyszły do Rzymu następne numera dziennika *Rozpraw*, i dokończenie tragedyi najokropniejszéj. — Tak jest! książę de Praline zakochany w bawiącéj niegdyś przy żonie Angielce, guwernantce własnych dzieci, która z domu wyjechała, uciekając przed natarczywością księcia, o godzinie 11 w nocy, zarznął swoją żonę i drzwi zamknąwszy, klucz zabrał z sobą. O 11 w nocy, ogrodnik przez okna salonu widział pana swego ze świecą przechodzącego przez salon środkowy,: widział jak po pewnym czasie, zamknąwszy drzwi na klucz, z tem samem światłem wracał do swojego pokoju, i jak wróciwszy, zapalił ogień na kominku i rzucał weń płótno jakieś. Po ścisłem badaniu, znaleziono w kominie popiołek szmat spalonych, okazujący wyraźnie kolorem, że na spalonych szmatkach, krew być musiala. Klucz znaleziono także rozpiekły w żarze kominka. Nazajutz o godzinie 8-méj wieczorem, aresztowano księcia we własnym jego domu z dodaniem warty; a dnia następnego rano, znaleziono go martwym. Otruł się nikczemnik! Na marszałka Sebestjani spadł jakby piorun

po piorunie: dowiedział się o zarznięciu swéj córki i otruciu się zięcia. Okropna boleść dla starca w bitwach i zwycięztwach osiwiałego. Ręka Boża dotknęła go. Zdzierane rabunkami bogactwa posłużyły do wydania córki za księcia. Pod koniec dni jego, kara za kradzież przyszła otworzyć mu oczy na osierocony dom własny, i na okropny napis, ręką współziomków nakreślony na bramie domu, gdzie straszna dokonała się zbrodnia. Napis ten był w słowach:

„*L'ordre règne dans cette maison.*“

Aby napis taki wytłumaczyć, wypada opowiedzieć epizod z naszego powstania 1830 r., w którym marszałek Sebestjani był ministrem spraw zagranicznych króla Filipa: du roi Bourgeois.

Wiadomo, że sąsiedzi nasi, Prusy i Austrya, w strachu przypatrywali się początkowym postępom szczupłych wojsk naszych. Prusy otwarcie łamały neutralność. Austrya radosna trochę z osłabienia sił rosyjskich, wyczekiwała chwili, aby mogła targować się o swoją pomoc mocarstwu, które największy łup z podziału Polski otrzymało. Ale nikt nie wiedział, że Filip, *le roi Citoyen*, naczelnik Francyi interesowanéj żywotnie o niepodległość Polski, okupił uznanie swojéj dynastyi opuszczeniem nas, a nawet paraliżowaniem naszych działań i zwycięztw. Tak jednak było istotnie. Ogłoszone listy Filipa do ministrów angielskich, wyświecały to w późniejszych latach jego panowania. Trudno nawet przypuścić, jak to organa królewskie utrzymywały, jakoby owe listy były podrobione; jego bowiem postępowanie w czasie naszéj rewolucyi, aż nadto przekonać może o autentyczności tych listów. Narzędziem

do paraliżowania postępów oręża naszego, był minister Sebestjani. Po zwycięztwach pod Wawrem i Iganiami, wszyscy się dziwili bezczynności naczelnego wodza Skrzyneckiego. Zapewne, nic go nie tłumaczy; bo choćby bliskie być miało wdanie się mocarstw zachodnich, to nowe zwycięztwa pomódz tylko mogły układom. Ale faktem jest, że minister francuzki pisał do Skrzyneckiego własnoręczne listy, zaklinając go, aby krew polską oszczędzał; bo wdanie się Francyi i Anglii położy wnet koniec wojnie i zapewni prawa polskie. Złudzony wódz naczelny, usłuchał ministra; i ani prożby podwładnych jenerałów, ani prożby na klęczkach prawie księcia Adama, poruszyć go nie mogły. Czekał, — aż deputacya sejmowa odebrała mu dowództwo. — Przy końcu sierpnia tymczasem 1831 r. lud francuzki otoczył izbę deputowanych, i wołał głośno o uznanie przez Francyą niepodległości Polski. Sebestjani wiedział, że Paszkiewicz ze wszystkiemi siłami otoczył Warszawę; miał doniesienia o niewytłomaczonem ogołoceniu stolicy; żądał więc od izby, aby dała miesiąc czasu do namyślenia się ministeryum i zniesienia się z Anglią. Tak długo czekać nie trzeba było. Dnia 8 września wziętą była Wola, i dnia 10, w skutek kapitulacyi, wojska rosyjskie weszły do stolicy Polski. Dnia 15, to jest w pięć dni, Sebestjani w izbie deputowanych, wstąpił na mównicę, i odezwał się:

„*L'ordre règne à Varsovie: les Russes y sont entrès le 8 du mois de Septembre.*“

O! jak okropnie musiał uderzyć w oczy jenerała ten napis na bramie pałacu własnéj jego córki: *L'ordre règne dans cette maison*“ *w tym domu*, gdzie córka zarznięta, a zięć, jéj zabójca, otruł się.

Otóż Gustaw Zieliński po téj tragedyi, nie widział się z dłużnikiem swoim, marszałkiem Sebestjanim. Czy później ponawiał swoje upominanie się? Nie wiem.

III.

Zapusty rzymskie. — Makoletti. — Inni ziomkowie w Rzymie. — Mój wyjazd do Liworno.

Na początku marca 1848 roku zaczynał się ostatni tydzień zapustny, a Rzym odmiennym sposobem i bardzo ciekawym, święci te dnie wesołe. Byliśmy z panem Nepomucenem Giżyckim, jego żoną i córkami w teatralnéj loży na maskaradzie. Hurma masek przechadzała się po sali improwizowanéj z miejsca przeznaczonego dla widzów i ze sceny saméj. Deski położone przez cały wnętrzny budynek, utworzyły podłogę, kandelabry od sofitu i po ścianach, rzęsisto oświecały salę. My bez masek, wziąwszy pod ręce kobiety, przechadzaliśmy się w tłumie. Ściśnione grupy, około północy poczęły wydawać radośne okrzyki. Co chwila stawał po środku jaki Hiszpan, Turek albo pajaco, i na całe gardło wykrzykiwał wiwaty. Przysłuchujemy się słowom; i oto brzmi jeden głos donośny: — *„Eh! viva gli Francesi, Viva la grande revolucione di Parigi!* To znowu słychać: *„Le 28ta et 29no il re Citadino, Questo ve Filippo e bagnato di Francia.“* — I znowu: — *Eh! Viva la republica proclamata in Parigi! Viva la liberta' del tutto mondo!* Zaczynamy rozpytywać się: Dziwna rzecz! W 48 godzin, już doszły wiadomości do Rzymu o wypadkach

paryskich, o wypędzeniu Filipa, o ogłoszeniu Rzeczypospolitéj. I oto młodzież rzymska ogłasza wiadomości w sali maskaradowéj. Nazajutrz rano, biegnę do ambasady francuzkiéj, był to dzień poczty, w którym zwykle przez ministeryum spraw zagranicznych, za pośrednictwem pana *Cintrat*, naczelnika bióra, i pod adresem pana Rossi, posła francuzkiego w Rzymie, odbieraliśmy instrukcye od księcia Adama, i tąż samą drogą wysyłali nasze raporta. Poczty jeszcze nie było. Urzędnicy tylko mówią nam, że coś nadzwyczajnego zaszło w Paryżu. We dwa dni, zagadka rozwiązana: poczta przyszła do ambasady, a z nią wiadomość o zmianie rządu. Depesza tylko w tych słowach: „Le 28 et le 29 de Fevrier, le gouvernement ayant abusé de son pouvoir, le peuple français ayant reconquis ses droits, a proclamé la Republique. Le gouvernement est composé de Mr. de Lamartine président, de Mr. Cremier, Armand Marast, le dru Rollin et Cavaignac, membres du gouvernement provisoir.“ — Dalej wzmianka o Polakach:

„Les Polonais ont été admirables dans ces journées mémorables pour la France, ne voulant pas tremper dans une lutte des Français contre des Fraçais ils ont été partout oú il fallait secourir le bléssés, où il fallait relever le courage des opprimés.“ — I w istocie, w barykadach, skoro ukazał się Polak, wzywany był przez lud do dowództwa; ale składał się zaraz tém, że jako gość, kocha Francuzów, i z żadnym walczyć nie będzie, i zaraz ukazywali się z Polaków doktorowie z bandażami, szarpiami, narzędziami chirurgicznemi. Nieumiejętni, stawali się posługaczami, a tak piękny obowiązek wziąwszy na siebie, nawet z towarzystwa demokratycznego członkowie, usunęli się od udziału w sprawie, którą nie do niego należało

rozstrzygać. Niestety! Nie tak do końca zachowały się głowy szalone! Późniéj w Badeńskiém, w Prusach, w Sycylji, i niestety! — co najboleśniejsza! zwolennicy Mickiewicza w Rzymie, podawali ręce tym, którzy przeciw głowie kościoła rozwinęli sztandar buntowniczy!

W wielki Czwartek na *Corso*, téj długiéj i najpiękniejszéj ulicy Rzymu, maski w powozach i pieszo przebiegały, snując się tam i ówdzie od placu ludu, *Piazzo di Populo*, po za plac Kolonny i aż do kościoła Jezuitów, drogę trzech werst najmniéj. Balkony i okna domów ubrano w kwiaty, zieleniejące drzewa, bogate dywany. — Ciekawi najmowali te okna dla dam, zkąd z niemi poglądali, jak z lóż teatralnych na snujące się ulicą maski piesze, na koniach i w powozach. Przechodzący, gdy spotykał drugiego, powóz gdy przejeżdżał obok innego, rzucali sobie na twarz kwiaty, cukierki, a nawet mąkę, która bieliła suknie i twarze. To samo działo się na balkonach: damy ciskały na dół girlandy, kto im się podobał, na damy i kawalerów; z ulicy, ciskano do góry karmelki w złocone papiery zawijane. Tłumy dziewcząt z wielkiemi koszami dostarczały bukietów ze świeżo rozwiniętych kwiatów. Ja byłem w pięknéj loży pana Nepomucena Giżyckiego, gdzie przyszła i Marya, gdyż matka jéj z panną Wiktoryą i córką starszą, Stefanią Grocholską i jéj mężem, wyjechała na miesiąc do Neapolu. Do téj loży schodzili się ziomkowie i Włosi; był nawet stolik rozłożony do wista. Co parę godzin damy wyjeżdżały koczem przejechać gwarną ulicę, oglądać maski, ubiory, postrojone balkony innych domów; i tak dzień zeszedł aż do godziny czwartéj. O téj godzinie, daje się słyszeć huk działa i rozpoczynają kurs koni. Na te kursa,

z okolicznych wsi rzymskich, spędzają wieśniacy małe konie i stawiają je do konkursu. Idzie o to, który koń z nagonionemi razem dwudziestu albo i więcéj, od *placu ludu*, przebiegłszy całe korso *(Corso)*, werst 3 albo 4, stanie najpierwéj u mety na placu Weneckim. Konie te przeciskają się przez tłumy masek i pędzą, gonione krzykiem, śpiewem i gwizdem, postrojone w piękne uzdy, korony i bukiety, a najpierwéj stający, otrzymuje nagrodę wyznaczoną przez miasto i senatora. Tak schodzą Niedziela, Poniedziałek i Wtorek. Po gonitwie wtorkowéj, w lata inne, zwykły następować *Makolety*. Jest to zabawa dziwnego rodzaju: przy rzęsistych pochodniach, w noc już ciemną, snują się tłumy masek i bezmaskowych, a każdy trzyma w ręku zapaloną świecę małą, woskową; i jeden drugiemu stara się świeczkę zgasić dmuchnięciem, następnie zgaszoną, stara się zapalić u sąsiada — znowu gaszą je sobie wzajemnie, znowu szukają innych aby ją zapalić. Ztąd śmiechy, wykrzykniki, nawoływania. Bokiem idący, intonują narodowe pieśni, deklamują poezye to Danta, to Tassa, to samego Petrarki, aż o północy rozlega się huk działa, i każdy spieszy do domu. Ale w ten Wtorek marcowy 1848 roku, od rana biegały po lożach kartki wypisane wielkiemi literami: „Non oggie! — non faremogli macolletti — *le powere Milanesé e Venetiani sono ancora sotto, gli Austriachi! — bisogna aspettare il piu felicioso giorno.*“ — Nie dzisiaj! — Nie będziemy robić Makoletów. Biedni Lombardczycy i Wenecjanie są jeszcze pod Austryakami! trzeba czekać *dnia szczęśliwszego*. I nikt już nie myślał o Makoletach, na gonitwie konnéj o piątéj godzinie skończył się Wtorek. Wszyscy poszli do domów swoich, a my na wieczór do pani Sobańskiéj, gdzie ja usiadłszy obok Maryi w tłumie osób wizytu-

jących, opowiadałem jéj różne koleje mego życia i ów dzień, gdy z Czajkowskim byłem tak bliski utonięcia w Bosforze. Nikt nas nie słuchał, bo grupy były zajęte sobą. Oczy nasze spotykały się, i każde spotkanie zostało w sercu mojém jako balsam dawno nieznany. Alem ja jedném słowem, nie śmiał dać jéj poznać uczuć moich, chociaż ona o nich wiedziała. Przed dwoma miesiącami, gdym starał się jak najrzadziéj przychodzić do pani Giżyckiéj, aby niebezpiecznych dla mnie oczów Maryi nie spotkać, — a po całych wieczorach grywałem w wista to u Walewskiego, to u Michała Tyszkiewicza;—Weissenhof zbliżył się raz do mnie grą zajętego i szepnął na ucho: — „Pani Giżycka i wszystkie damy u niéj, mają ci do wymówienia, że o nich zapominasz.“ Odwiodłem na stronę dobrze mi znajomego i serdecznie żyjącego ze mną Weissenhofa i zapytałem: — „A panna Marya co mówiła?“ — „Daję ci słowo, że właśnie wczoraj kazała mi wyraźnie powiedzieć, że nie spodziewała się, abyś ty, po tylu dowodach współczucia przy śmierci jéj siostry Zofii, dziś unikał domu jéj matki, i nie chciał widywać się z osobami, które cię szanują.“ — „Otóż powiem ci mój Weissenhof, że właśnie z powodu Maryi tam nie chodzę. Ja lękam się, i bardzo się lękam, aby serce moje na seryo nie zabrnęło w uczuciu silniejszém dla niéj, aniżeliby życzyła sobie jéj matka i ja sam, w tém położeniu emigranta.“ — W parę dni potém, poszedłem o zmierzchu do pani Sobańskiéj. Zastałem tylko Maryę w salonie, bardzo zadumaną. — „Pani sama i smutna? Dla czegoż to?“ — „Sama jestem, bo babka poszła na nieszpory, a matka w Neopolu; — a smutna, bo nie mam nic w życiu wesołego.“ — „Jakąż ja, gdy Pani smutna, powinienbym gorycz połykać, bom przecie nigdy nie był

szczęśliwy, i nawet nadzieja szczęścia błyskać mi niemoże.“ — Marya miała łzę w oku i tkliwym głosem powiedziała mi: — „Czybyś pan zrobił mi ofiarę, gdybym o to prosiła?“ — „Wszystko Pani! wszystko co Pani rozkaże“, odpowiedziałem biorąc ją za rękę, — i uczułem ściśnienie lekkie, miłe, które w całem ciele urocze drzenie sprawiło. — „Co Pani rozkaże?“ — „Przyrzecz mi Pan, że nie będziesz grał więcéj! — Czyż to przystoi Panu całe wieczory poświęcać grze, czy to zajęcie dla Pana?“ — „A jeżeli to zajęcie potrzebne jest dla spokoju mojego?“ — „Nie, nie potrzebne, uręczam Pana!“ — Nie chciałem więcéj pytać; a jednak, tak to się składało do czułéj rozmowy! Jednem słowem skończyłem: — „Przyrzekam Pani i dotrzymam.“ W tem weszła pani Sobańska. Zostałem na kolacyi, i poruszony cały wróciłem z tego wieczora do siebie. Nazajutrz rano poszedłem do Weissenhofa. — „Coś ty mówił pannie Maryi?“ — „Wszystko co do słowa jak objawiłeś mi u Tyszkiewicza wstawszy od wista: powiedziałem, że ty grasz, aby przytłumić uczucie dla Maryi.“ — Pojąłem, czy możem myślał żem pojął ostatnią rozmowę u pani Sobańskiéj. Drżący, niepewny a głęboko czujący, nie śmiało, jednak o potocznych przedmiotach rozmawiałem z nią codziennie; tylko oczy nasze spotykały się często, i oboje po minut kilka nie zwracaliśmy zrzenic, a przy pożegnaniu, czułem ściśnienie miłe, rozkoszne i nie wiem czy znaczące; — aż przyszła chwila rozwijania się wypadków, i chwila mego odjazdu z Rzymu. Nim do tego przyjdę, muszę jeszcze o kilku ziomkach powiedzieć, i o Mickiewiczu: o działaniach jego przedwstępnych do formowania legionu.

Michał Tyszkiewicz, ożeniony z imienniczką swoją z Litwy, córką Jana, najbogatszego z Tyszkiewiczów,

od dwóch lat bawiący w Rzymie dla słabości żony, przez parę już miesięcy zamknął się u siebie, i doglądał coraz więcéj niknącéj żony, kobiety rzadkich darów umysłu i serca, i dziwnéj łagodności a nawet piękności twarzy. Zadługo stojąc jednego wieczora w oknie, uczuła na drugi dzień chrypkę i kaszel suchy. Od tego dnia nikła, coraz ją większa pokrywała bladość. Doktorowie zawyrokowali suchoty i krótki naznaczyli termin do śmierci. Michał Tyszkiewicz, lubo nie bystrych pojęć, serca był szlachetnego, uczuć wzniosłych i gotów był do poświęcenia się dla sprawy, a nawet dla ziomka każdego, któryby jego pomocy potrzebował. Znałem ich obojga. Miewałem rozkosz w rozmowie z samą pięknie ukształconą, lubiącą czytać a nawet składać poezye. Szanowałem i kochałem Michała, zwłaszcza, że to był synowiec rodzony Wincentego. Częste więc chwile spędzałem u niego. Gdy żona w drugim pokoju zmuszona leżeć w łóżku, czekała z pokorą końca swego, gdy musem wyprawiała od siebie męża, aby się rozerwał; — ja przy kominku, spędzałem z nim chwile na wspomnieniach osób jemu i mnie drogich, lub jemu i mnie znajomych. Coraz pogorszającym się stanem zdrowia znaglony, wysłał on list do ojca, błagając, iżby przyjechał do choréj córki. W miesiącu marcu przybył pan Jan Tyszkiewicz z Litwy z młodszą córką swoją, dzisiejszą księżną Władysławową Jabłonowską. Szlachetna żona Michała, doczekała na tym świecie pożegnać ojca. W obec księdza błagała go, aby z wniosku matki, przypadające na nią pięćkroćstotysięcy złotych, oddał mężowi jako jéj zapis, i aby zawsze uważał go za syna, gdyż on ostatnie chwile jéj życia osłodził, a troskliwością swoją, wypełnił obowiązki serca, obowiązki męża najtkliwszego. Domawiając

ostatnie rozporządzenia, prosiła, aby jéj krzyż na piersiach położono, i pod tem religijnem brzemieniem ducha wyzionęła. Widziałem ją na łożu śmiertelnem w pokoju obitym adamaszkami i wśród przyrządzonych ołtarzy, gdzie, dopóki nie zabrano jéj, zmieniali się ciągle kapłani dla odprawiania mszy świętych. Michał był w rozpaczy, bo stracił anioła, a sam osierocony, wszelki grosz gotowy jaki miał u siebie, rozdał ziomkom spieszącym wśród tych ruchów, to do Francyi, to do Lombardyi. Kazał znieść całą garderobę swoją, i konieczne tylko zostawiwszy ubranie, starał się, aby nawet suknie jego i cieplejsze okrycia służyły tym, którzy spieszyli na drogę spełnienia powinności w sprawie świętéj, któréj on sam służyć nie mógł.

Ruch był powszechny w Rzymie; ruszyć miał i Mickiewicz; ruszali się pojedyńczo i podróżni ziomkowie i emigranci: — pierwsi wyjeżdżali w inne strony Europy, emigranci na rozmaite punkta ruchów. Ja odebrałem od księcia Adama rozkaz opuszczenia Rzymu i w najkrótszym czasie stawienia się w Liworno, gdzie okręt francuzki miał przywieźć oficerów polskich do armii Papieża, w moc wezwania jakie Ojciec św. uczynił p. Zamoyskiemu.

Na parę tygodni jeszcze przed tą epoką, gdy spodziewałem się prędkiego wyjazdu, na wieczorze u pani Sobańskiéj, długą godzinę rozmawiałem z Maryą i żegnałem ją w oczekiwaniu lada dzień rozkazu ostatecznego z Paryża. Marya ze łzą w oku dobywa krzyżyk i powiada mi: — „Oto jest krzyżyk pobłogosławiony wczoraj przez Ojca kościoła. Z narodowych kolorów ukręciłam sama sznurek i proszę, abyś go pan przyjął na pamiątkę odemnie, i abyś wiedział, żem szczerą modlitwę dołączyła do tego daru. Niech ten

krzyż i ta modlitwa ocali pana od wszystkich niebezpieczeństw i błogosławieństwem Bożem osłoni!"

W późniejszych czasach, przy żonie mojéj najdroższéj, przy któréj wszystkie dawne uczucia rozwiały się i zlały w uczucie dla niéj szczere, niekłamane, a które siłą swoją przeszły wszystkie, bom w niéj znalazł towarzyszkę tkliwą, całą duszą pragnącą mego dobra, zdrowia i życia, a upadającą pod ciężarem pieczołowitości przy mnie chorym i nie mogącym nawet spełniać prostych obowiązków gospodarza majątku, od niéj wniesionego, spełniać obowiązków świętych i włożonych na mnie przez Boga, ciągłego kształcenia syna jéj i czuwania nad każdym krokiem jego; przy żonie mojéj pisząc i odczytując jéj każdą kartkę, nakreśliłem powieść, która objęła i śmierć Zofii, przy któréj skonaniu byłem, i błaganie moje przy jéj zwłokach, i uczucie moje dla Maryi. Z téj więc powieści wypisuję tę chwilę i te wrażenia duszy skruszonéj, gdy dar krzyża od Maryi odebrałem, przy ostatnich prawie jéj słowach w Rzymie. Oto jest wypis dosłowny z powieści *Urbi et Orbi*, drukowanéj w Bibliotece Warszawskiéj na rok 1859-ty.

„W niemem wzruszeniu dar ten przyjąłem. Tysiące uczuć zagrało w duszy mojéj, i wśród gwaru tłumnego zebrania na wieczorze, nie mogąc myśli uporządkować, wyszedłem coprędzéj do mego mieszkania. Dla czego dar ten z jéj ręki? — zapytałem siebie. Czyliż ta łza moja szczera nad stratą Zofii wylana, taką wdzięczność w jéj sercu wzbudziła? A jeżeli serce jéj echem uderzyło, odpowiadając mojemu, dla czego jéj upominek w krzyżu się objawił? — I krokiem szerokim przebiegając ciasną izdebkę, zbierałem wszystkie dziwne wypadki w Rzymie. Stanęła mi w pamięci owa noc głu-

cha, gdy w niedalekiéj komnacie, matka z córkami łzy boleści po ciężkiéj stracie wylewały; gdy do snu się układły strudzone służebne, gdy na łożu śmierci, w białéj sukni, z bladością marmuru leżała Zofia zmarła nie dawno; gdym ja sam jeden przy niéj pozostał z zastygłą na ustach modlitwą, z dawnem zwątpieniem w duszy zbolałéj. — I przyszły mi na myśl słowa modlitwy, którą pamięć na cnoty Zofii wywołała; jak ową modlitwę głośno na klęczkach, patrząc w twarz zmarłéj, odmawiałem; jakem ją błagał o głos cichy, o znak jeden, coby moc zwątpienia w sercu mem rozproszył. Przypomniałem sobie, jak nieruchome były rysy jéj twarzy; jak prośba moja bez echa w grobowym pokoju przebrzmiała! — a dziś, oto siostra jéj własna, mojéj modlitwy świadoma, mego zwątpienia nie znająca, przynosi mi krzyż Pański; na swojéj wstędze chce go zawiesić na piersi, i odgonić nim cienia duszy i od złych przygód żywot zabezpieczyć.“

— „O dzięki ci czysta dziewico, siostro Zofii? — zawołałem padając na kolana. Ona to, ta zmarła zawcześnie, ta anielska dusza, co nas opuściła i wzniosła się znowu do przybytku Pańskiego, zkąd zapewne zeszła na tę ziemię boleści; — ona to znak mi daje, za którym ustąpi czczość mego serca, za którym zapełnią się piersi, aby w nich spokój i wiara w słowa Pańskie na zawsze przebywały. Ale ja na grzesznéj piersi znaku tego zawiesić nie godny! Jutro oczyszczony, jutro nowem przymierzem z Bogiem moim związany, osłonię niem serce od powtórnego upadku.“

Na drugi dzień, o szóstéj godzinie z rana, udałem się na miasto i zachodziłem do rozmaitych klasztorów, wypytując o księdza umiejącego dobrze po francuzku, bo we włoskim języku nie czułem się na siłach, aby

dokładnie stan duszy mojéj i dawne a długie winy przeciw Bogu wypowiedzieć. W kościele Dominikanów, na placu Minerwy, zaprowadzono mię do księdza Vareigne, który, wysłuchawszy wstępu mego do spowiedzi, jako wielkiego grzesznika, przyjął mię z ojcowską radością i tem zadowoleniem na szlachetnych rysach swoich, o jakiem Pismo święte mówi, że radość będzie większa między aniołami z nawrócenia jednego grzesznika, niżeli z 99 cnotliwie od dawna żyjących. Mimo żalu mego, zawiesił on rozgrzeszenie do dwóch dni; a miał to być Wielki Piątek i dzień odjazdu mego do Livorno.

W wilią mego odjazdu i wilią powtórnéj spowiedzi i spodziewanego rozgrzeszenia, poszedłem na wieczór do pani Sobańskiéj, gdzia kilka tylko było osób siedzących przy stoliku i na sofie staruszki. Skoro Marya zbliżyła się do samowaru rozdawać gościom herbatę, poszedłem ku niéj i tak mówiłem: „Jeszcze krzyżyka otrzymanego od pani, nie mam przy piersi na sznurku przez nię zrobionym, bom czuł się niegodnym go; ale mam ufność w Bogu że go zawieszę jutro. Nie uwierzy pani jaką zasługę masz przed Panem na niebie, i jaką łaskę wyświadczyłaś mnie, który jéj winien jestem drugie i odrodzone życie. W pokorze wyznam pani, żem dzikiemi myślami nawiedzany, dwadzieścia lat nie zdawał rachunku u konfesyonału. Krzyż pani to uczynił, żem się spowiadał przed światłym kapłanem, który kazał mi ufność mieć w Bogu w miarę żalu mego i obiecał dać rozgrzeszenie jutro, w dzień mego odjazdu, podług polecenia, jakie odebrałem co do téj podróży od naczelnika mego.“

Łzami się oblała piękna twarz Maryi, a nie chcąc przypisywać sobie zasługi, powiedziała mi drżącemi

ustami: — „To musiała pani Michałowa Tyszkiewiczowa, cnotliwa niewiasta, uprosić tę łaskę u Boga, że skruszył serce pana do żalu.“ — „O nie, Pani! odrzekłem, toś ty sprawiła za wpływem siostry twojéj Zofii.“ I opowiedziałem jéj całą noc ową, na wieki pamiętną dla mnie. „Tobie więc winien jestem moje nawrócenie, albo przez ciebie, siostrze twojéj Zofii, którą błagałem o przemianę czczości mego serca.“ I daléj, nie korzystałem ani z jéj rozrzewnienia, ani z tych świętych okoliczności, które możeby błogie dla mnie, ale ziemskie wyznanie sprowadzić mogły. Szanowałem zawsze jéj położenie jako dziewicy mającéj matkę i rodzinę, i nie chciałem jednem słowem pociągać ją do życia wygnańca dalekiego od ojczyzny i swoich.

Oboje po niedługiéj chwili zbliżyliśmy się do towarzystwa, i tylko oczy nasze mówiły. Przy odchodzie, wspomniała Marya o kokardach rozdawanych. „A dla mnie żadnéj nie ma?“ — „Nie mamy już,“ odezwała się panna Wiktorya. Ja spuściłem oczy i zasępiłem się. Pojrzałem na Maryą: rumieniec oblał jéj twarz, i łza zaświeciła w oku. Zrozumiałem ją: przysięgnę, że w owéj chwili pomyślała: „*Ja nie dałam panu kokardy, które rozdawaliśmy wszystkim. Pan ma więcéj odemnie.*“ Ta była myśl jéj natenczas; i że ta była, wyznała mi późniéj, gdym z Liworno przybył.

IV.

Wyjazd do Liworno. — Mickiewicz. — Odwiedzenie Rzymu. Oficerowie polscy. — Wyjazd do Bolonii.

Wyjechałem z Rzymu dyliżansem do Civita-Vechia, zkąd statek parowy miał odpłynąć do Livorno, o godzinie trzeciéj po południu. Na statku, zastałem już Mickiewicza, z owymi 13 młodzierzy, którzy go otoczyli na końcu sławnego posiedzenia pod prezydencyą księdza Aleksandra Jełowickiego, którym on odczytał Biesiadę Towiańskiego, i którym oddał sztandar, dziwnym trafem pobłogosławiony przez Ojca św. Ci młodzi ludzie, składający zawiązek legionu, powiększéj części byli mi znani; ale obojętnie wdawali się w rozmowę ze mną, jako z profanem i należącym do przeklętego od Mickiewicza stronnictwa księcia Adama i pana Zamoyskiego. Zieliński trzymał sztandar owinięty w ceratę; przy nim asystowało dwóch chorążych: Niesiołowski i Morykoni. Sam Mickiewicz z Gerliczem na tyle okrętu, przypatrywał się wzdętym wiatrami falom i biegowi okrętu pędzonego, kołami wyrzucającemi wodę po za siebie. Wiatr dął przeraźliwie. O galeryę statku oparty młody człowiek, nie zarosły nawet meszkiem, podniósł głos mocnych piersi, i wiatr zagłuszając, intonował pieśń brzmiącą i dźwięczną z *Niemej w Portici.* Podróżni słuchali o podal z uwielbieniem. Każdy zapytywał — kto jest ten młodzieniec tak pięknie śpiewający, nie ulękły falami piętrzącemi się w górę, nie zachwiany chybającym się pokładem kołysanego statku, a głosem swoim, gurujący nad huk wiatru i ryk bałwanów? Od jednego do drugiego przeszło szeptanie,

że to jest aktorka z teatru Sant-Karlo w Neapolu, płynąca do Liworno, a ztamtąd mająca występować we Florencyi. — Doszła ta wiadomość i do Mickiewicza, a wtenczas on wystąpił naprzód, i zbliżając się do aktorki, zwrócił mowę swoją do podróżnych w te słowa: „Niechże publicyści dzisiejsi utrzymują bezczelnie, że kobieta, tylko do zagrody domowéj stworzona, i że tam tylko szukać powinna swego przeznaczenia. Powiedźcie mi, czy ta śmiała dziewica, która stoi mocno na nogach, gdy statek i my na nim chwiejemy się, że ta dziewica głosem pewnym głuszącą fale i wiatry, nie jest przeznaczona na dowódzcę okrętu, na admirała, który kiedyś wśród burzy, może podnieść głos donośny i rozkazywać majtkom, którzy z takiéj odwagi, sami pokrzepią siły swoje? — Inna epoka nastaje; ludzkość inne weźmie szaty, a zrzuci stare łachmany przesądu i uprzedzenia! Zapowiadam ci młoda dziewico admiralstwo w powstającéj ojczyźnie twojéj!“ Wszyscy słuchali tych słów we francuskim języku wyrzeczonych; jedni podziwiali wymowę, drudzy połykali uśmiech na ustach. Ja choć do ostatnich należałem, serdecznie mię jednak cieszyło uwielbienie naszego poety. Ale poeta kilkakrotnie przechodząc koło mnie, ani jednem nie uraczył mię słowem; owszem mars pokazał na twarzy. Cóż robić? Narzucać się nie mogłem, bo wiedziałem że w tym marsie, jest dawna uraza za artykuł o prelekcyach literatury słowiańskiéj umieszczony *w Trzecim Maja.*

O godzinie dziewiątéj, po herbacie podanéj podróżnym na drugiém miejscu statku, gdzie zająłem miejsce, chciałem odpocząć; ale kołysanie statku przy wzmagającym się wietrze przeciwnym, długiego snu użyć mi nie pozwoliło. Zapaliwszy cygaro około pierwszéj

po północy, owinięty w płaszcz szeroki, wyszedłem na pokład, i po krótkim spacerze, usiadłem na brzegu ławki na tyle okrętu. W drugim końcu widziałem podróżnego tulącego się w burkę szeroką; w ręku trzymał nie zapalone cygaro; poznałem Mickiewicza. Po krótkiéj chwili, postrzegłem, jak mając chęć zapalenia cygara, podniósł się i chciał ognia dostać odemnie. Z uszanowaniem dla wielkiego poety, wstałem z ławki, i uprzedzając chęci jego, podałem mu zapalone cygaro moje. Mickiewicz stanął przedemną, wyciągnął rękę do ognia, chciał przytknąć cygaro, ale wprzód spojrzał na twarz moją — i, przy świetle księżyca i lampy zapalonéj u busoli koło sternika, rozpoznał moje rysy. — Rysy te, musiały mu być nienawistne, bo wnet się cofnął, cygaro nie zapalone schował do kieszeni, i usiadł na dawnem miejscu nie wyrzekłszy słowa. I ja usiadłem spokojnie, cygaro moje do ust przytknąwszy. — Owinięty gęściéj wypuszczonym dymem, przypomniałem sobie *Ciemności* z Bajrona, tak wybornie na polski język wytłomaczone przez Mickiewicza. Tam, gdy powoli pogasły słońce i księżyc, gdy znikły gwiazdy na ciemnym firmamencie, a ludzie znosząc ostatki drzewa rozniecali ogień, przy ognisku dogorywającem, stanęli na przeciw siebie szukający światła dwaj nieprzyjaciele, a przy blasku, poznali się, odwrócili twarze i skonali z nienawiści. — Takaż nienawiść miała obudzić się w Mickiewiczu przy blasku rozżarzonego cygara i przy bladym promyku od lampy u busoli? Boże wszechmogący! Ty świadkiem jesteś, że przynajmniéj téj nienawiści nie było w sercu mojem. Owszem, idąc za przekonaniem silném, — służąc sprawie na drodze przezemnie obranéj a potępionéj przez Mickiewicza; bolejąc nad fałszywą drogą jego, drogą która go zbiła

z prawdziwéj wiary i gotowała jakieś niewytłumaczone zamieszanie; ja zawsze zachowałem cześć jego geniuszu i téj chwały, która, jako Polaka, była po części moją dumą. Dziś on, zgasły między żyjącymi, widzi zapewne tę chwilę gorzką dla mnie, i przeświadczył się, że niesprawiedliwością uniesiony, potępiając mię za mój artykuł, okazał nienawiść w chwili, gdym płynął spełnić moją powinność.

O ósméj z rana wysiedliśmy na ląd. Mickiewicz ze swoimi, udał się zaraz do Florencyi; ja stanąłem w domu gościnnym pod *Orłem*, i odpocząwszy, udałem się do konsula francuzkiego, szukając listów do mnie z Paryża i listu z Genui od pana Sobolewskiego, przez którego miałem odebrać dwa tysiące franków na pierwsze wydatki, gdy oficerowie polscy nadpłyną z Marsylii.

Że miałem polecenie, w rzeczy dotyczącéj oficerów polskich, znieść się z panem Sobolewskim, synem byłego ministra skarbu za Księstwa warszawskiego i gorliwym Polakiem, działającym dla sprawy naszéj w porozumieniu z p. Władysławem Zamoyskim, że chciałem rozmówić się z nim o wysłane dwa tysiące franków, których konsul francuzki nie otrzymał w dniu oznaczonym; popłynąłem do Genui, gdzie p. Sobolewski od lat kilku zamieszkiwał. W pogodny dzień odbywając tę podróż, poznałem się na statku z młodym księciem Urussów, który zimę zabawiwszy w Rzymie, wracał do kraju. On mi opowiadał ciekawy epizod Mickiewicza z podróżnymi Rosyanami. Oto prawie dosłowne jego opowiadanie:

„Znając i uwielbiając geniusz waszego poety; słuchając niezaz wykładu literatury słowiańskiéj w kolegium francuzkiem; podziwiając znajomość ducha rozmai-

tych szczepów słowiańskich, i to, jak on pojął geniusz dziki naszego Piotra cesarza i naszego wodza Suwarowa; zebrani w Rzymie, my Rosyanie, pośród ruchu dziwnego w Europie, chcieliśmy usłyszeć głos Słowianina, który i naszą jest chwałą. Ja tedy, Murawiew, Szuwałów i kilku innych, tak iż liczba nas dochodziła do piętnastu, udaliśmy się do Mickiewicza żądając widzieć go i z nim się rozmówić. Rodzaj adjutanta, czy powiernika, jakiś pan Gerlicz, prosił nas do pokoju, gdzie, po niejakiem oczekiwaniu, wszedł poeta. Oparł się o stolik przy ścianie stojący; nas żadnego nie prosił siadać, i zaczął do nas tak mówić, jak cesarz przyjmujący oficerów służby: — „Chcecie moich rad zasięgnąć. — Nim je dam, powiem czem dla was być powinieniem. Powinniście mię uważać za męczennika waszego, bom ja cierpiał za was. Gdym wykładał początkowe prelekcye słowiańskie, gdym was bracią nazywał, a waszych poetów, waszych wodzów, kładłem na równi z przedniejszymi wieszczami i bohaterami innych słowiańskich narodów, przychodziły do mnie naprzód listy bezimienne, obwiniające o niepatryotyzm, o zapomnienie com winien Polsce, ojczyźnie mojéj. Na listy bezimienne nie zważałem; ale niebawem przyszli do mnie ludzie zacni, związani ze mną tożsamością uczuć, ludzie z sercem, z duszą, przeważni umysłem, i ci wyrzucać mi zaczęli, że wychwalając was Rosyan, wychwalam nieprzyjaciół ojczyzny mojéj; liczę was do Słowian, gdy wy zapominacie, że do rodziny słowiań-

skiéj Bóg was policzył. Takie wyrzuty, były już jawne; wychodziły z ust szanownych braci, przyjaciół moich. Obwiniano mię o brak uczucia i miłości dla mojéj ojczyzny. Przenosić to, kochać Polskę, a być obwinionym o obojętność dla sprawy; — oh! to męka z Tantalową równająca się! A więc cierpiałem za was: jestem męczennikiem za was; a takie męczeństwo daje mi prawo śmiało i otwarcie mówić do was: zaczynam więc: — Nie Słowianie jesteście, ale carscy najemnicy! — Szliście z orężem, i oręż ten skrwawiliście na braciach waszych Polakach. Mogliście nie rozumieć sprawy naszéj i waszéj: — powiecie że honor, jako żołnierzy, zmuszał was wypełniać rozkazy. Ale gdy pieniędzmi waszemi, krwią waszą, nieudolnością wodzów naszych wzięliście Warszawę, rozproszyliście szczupłe nasze zastępy, i zaległiście ziemię ojczyzny naszéj: w waszych oczach dopełniała się rzeź kannibalska. W kajdanach wleczono obrońców Polski do kopalni, na Sybir, w roty oremburgskie, skazując szlachetnych mężów na dźwiganie wieczne karabina, tornistra, na wystawienie pleców ku barbarzyńskiéj chłoście przed waszymi oficerami. W waszych oczach wydzierano mienie ostatnie rodzin nieszczęśliwych; gnano kobiety, dzieci w dalekie gubernie Rosyi; — pastwiono się nad Słowianami, nad braćmi waszymi! — I cóż wy

zrobiliście? Czy podnieśliście głos braterski, czy wskazaliście carowi, że wy mścić się nie chcecie, że ta zemsta nie sprawiedliwa, nie religijna, nie ludzka? Nie! Wy byliście narzędziem i pomocą! Carscy najemnicy, ustąpcie odemnie! — Zmyjcie plamy krwią Abla na czołach i rękach waszych — a wtenczas dopiero jako Słowianie, przychódźcie po radę do wolnego Słowianina. — Dziś, nie mam nic wam powiedzieć. — Patrzcie co dziać się będzie w Europie i przy zdobywaniu praw swoich przez europejskie ludy: całujcie knut carski, lub wznieście się do rzędu ludzi; — a gdy tę drugą obierzecie drogę, gdy kał zwierzęcia całującego kij, na was podniesiony, zrzucicie z siebie, bez rady mojéj wiedzieć będziecie co wam czynić wypada."

Tak zakończył swoją przemowę do nas wasz poeta, mówił mi daléj książę Urussów. A potem zwracając się zimno do słuchaczów: *Żegnam panów*, powiedział i wyszedł."

— „Cóż panowie na to? — zapytałem.

— „Cóż mieliśmy mówić? — Jeden do drugiego szepnął: Удивительный человѣкъ! Dobrze mu mówić! — Niechby on zobaczył cara Mikołaja, który trzęsie się od złości na wspomnienie Polaków! Cóż my możemy zrobić? Nasz lud jeszcze tak ciemny! Widzieliście panowie co mógł zrobić Pestel, Murawiew, Bestużew; — słyszeliście panowie jak zbuntowane pułki uklękły przed carem w Petersburgu? — A kto ośmielił cara wyjść z pałacu do zbuntowanych, czy to nie minister polski?

Wszakże to Grabowski uratował tron rosyjski! Wszak to wasz kością i nazwiskiem! Dziś możeby lepiéj było i wam i nam.

Polskiéj duszy, wrzącego uczucia dla naszéj sprawy, nikt temu geniuszowi nie zaprzeczy. Namiętny, niecierpliwy w działaniach, on chciałby piorunem sprowadzić wypadki i piorunem dokonać dzieła odkupienienia naszego; — a gdy jedna droga zdała mu się zadługa, obierał drugą, trzecią i czwartą, i brnął potem w chaosie, nie pomny że człowiek żyje latami; a naród, jego wzrost i siły, wiekami ludu długiemi, ciężkiemi! — Że obowiązkiem syna, pracującego dla Polski, tak działać, tak pracować, aby praca jego zostawiła, podług wyrażeń jego cudnéj Ody do *Młodości*, szczebel do sławy grodu następnym pokoleniom.

Poznałem się z panem Sobolewskim, i zastałem Wejssenhofa, mojego znajomego z Rzymu, czekającego tu na nominacyą swoją jako oficera lekkiéj jazdy w wojsku Karola-Alberta, króla sardyńskiego. Sobolewski poruszył całą administracyą pocztową za listem wysłanym do mnie z dwoma tysiącami franków. A tymczasem ofiarował mi w swym domu gościnność na dni kilka, nim poszukiwania zostaną skończone.

Pan Sobolewski, mając znaczny majątek po ojcu, i bracie, sprzedawszy dobra nieruchome w Polsce, emigrował dobrowolnie i osiadł w Genui. Związany przyjaźnią z domem jednym szlachcica genueńskiego, czuwał nad wychowaniem jego dzieci, i zdaje się że im swój majątek przeznaczał. Całą duszą kochający Polskę, chciał groszem, pracą i staraniem dopomagać usiłowaniom pana Zamoyskiego, i wybierał się do Turynu, a ztamtąd do obozu króla, aby zjechawszy się z panem Zamoyskim, pracować nad przeprowadzeniem le-

gionów polskich w szeregi sardyńskie. Wojna z Austryakami, nie posunęła się daleko. Po odwrocie Radeckiego do czworoboku fortec, król oblegał Peskierę przez jenerałów swoich, a sam z armią czuwał nad obrotami wojsk jenerała austryackiego.

Powróciłem na moje stanowisko do Liworno oczekując przybycia oficerów polskich. Było to pierwszych dni maja. Zastałem miasto oświecone w nocy, i działa oznajmiły wielką radość ludu. Przyszła wiadomość wzięcia Peskiery przez wojska króla sardyńskiego i pobicie Radeckiego. Istotnie, pobicia nie było; bo Radecki zbliżył się ze znacznemi siłami, chcąc uratować Peskierę; ale gdy zastał ją wziętą, zrobił demonstracyą, zamienił pewną liczbę strzałów działowych i porządnie cofnął się ku Weronie, zkąd wyszedł daléj. Włosi byli najpewniejsi, że cofa się w Tyrolskie, i opuszcza Weneckie. Bardzo mylili się w mniemaniu swojem; bo Radecki plan tylko odmienił, i zamierzył ogołocić Karola Alberta z posiłkowych wojsk neapolitańskich i rzymskich. W ogólnym ruchu państw włoskich na oswobodzenie Lombardyi, król obojga Sycylii został porwany prądem ogólnym, i jako król konstytucyjny, poszedł pozornie za wolą ludu: wysłał wojska swoje niektóre pod jenerałem Pepe na granice Lombardyi, aby działały wspólnie z wojskiem papieża. Ale w tym czasie, w Rzymie odbywała się reakcya: biskupi niemieccy podnosili głosy, że Ojciec św. przestąpił prawa księcia pokoju; że dla zguby Niemiec podniósł oręż przeciw Austryi: przez zauszników Austryi grozili oderwaniem się od kościoła. Nowy spowiednik Piusa IX. zręcznym sposobem wpłynął na sumienie papieża, i słaby naczelnik, przy końcu kwietnia, wydał encyklikę, ogłaszając, że wojska rzymskie, wbrew jego rozkazom,

wdały się w wojnę, gdy on je tylko dla zasłonienia granic własnych wyprawił. Siły państwa kościelnego pod jenerałem Durando, i szefem sztabu Maksymem Azeglio, naszym znajomym, na encyklikę nie zważały, i usadowiwszy się w Wicencyi, zasłaniały ten ważny punkt posiadłości weneckich. Wspomagające jednak wojska neapolitańskie, podmawiane przez agenta swego króla, wypowiedziały posłuszeństwo jenerałowi Pepe, i oświadczyły, że muszą wrócić do kraju, bo taka jest wola Ojca św., i że oni na klątwę narażać się nie chcą. Radecki więc z pod Peskiery zwrócił swój marsz na Wicencję, i gdy mniemano, że on Włochy opuszcza, jego wojska powoli miały na oku Wicencję i siły rzymskie.

Powróciwszy do Liworno, odebrałem z Paryża zawiadomienie, że odjazd oficerów polskich jeszcze do miesiąca się zwlecze, dla nieprzewidzianych zawad. Korzystając z czasu, przyłączyłem się do dawnego mego kolegi z Krzemieńca, Mieczysława Przeździeckiego, który w tym czasie podróżował, i zimę przepędził w Rzymie; razem z nim, pojechaliśmy zwiedzić ciekawości Florencyi.

Prawdziwe miasto kwiatów *Florencja*, leży stolica Toskanii wśród ogrodów i pięknych pałaców, a w łonie swojem chowa arcydzieła sztuki, i jest dopełnieniem bogactw malarstwa i rzeźby, tak, iż ciekawy podróżny, po Rzymie, ją powinien zwiedzić. Tam kościół św. Krzyża, *Santa Croce*, gdzie leżą sławni mężowie Etrurji: Michał-Anioł, Alfieri, Galiteusz i Machiavelli, — ten nie słusznie spotwarzony w opinii, gorący patryota, za swoje dzieło *le prince*, a w istocie pełen cnot i miłości dla ojczyzny. Tam w pałacu Pitti zawieszone arcydzieła Rafaela, Michała-Anioła, Dominikina i innych malarzy. Tam jest owa Venus medycyjska, statua naj-

piękniejsza starożytności pod względem wykończenia rysów i kształtów téj bogini miłości. Na jéj opis silić się nie będę, bo opisali ją genjusze, a między innymi Byron w swoim Czajlo-Haroldzie. Przywodzę tu z tłumaczenia mego tego poematu ustęp o tém samem arcydziele starożytności.

W tych miejscach Wenus kocha pod martwym kamieniem,
I piękności swéj kształty w powietrzu rozprasza;
Wciągamy ambrozijski widok z odetchnieniem,
Część jéj nieśmiertelności czuje już pierś nasza.
Niebiosa do połowy odjęły swe chmury:
Patrząc w smukłe te składy, w to lice promienne
Widzimy twór geniuszu wyższy od natury
I zazdrościm poganom tego ognia z góry
Co umiał wlewać duszę w postacie kamienne.
Czy na taką jak teraz Parys patrzał na cię
I Anchizes od ciebie szczodrzéj obdarzony?
Czy w bogów olimpijskich pysznym majestacie
Gdy przed tobą pan wojny leżał zwyciężony,
I jak w gwiazdę w twe lica patrząc jaśniejące,
Na kolanach, z utkwionym w oczy twoje wzrokiem,
Wdziękami twéj piękności karmił piersi drżące,
A na skroń, usta jego, lały się potokiem
Z ust twoich pocałunki jak lawa gorące?

Kasino, ogród woniejący, zaprasza publiczność do rozkosznych przechadzek. Tu kościoły pysznéj architektury; tu Arno toczy swe wody wśród pałaców i ogrodów. Rozkoszne miasto! I zaiste podróżny, z Rzymem razem, zachowa w myślach pamiątkę pobytu w jego murach.

Książę toskański, Austryak z rodu i duszy, udawał w tych czasach patryotę. Wewnątrz państwa, paraliżował zapał Włochów. Na wszelki przypadek, wysłał sześć tysięcy wojska swego do szeregów Karola

Alberta, zyskując sobie jednę i drugą stronę, i kładąc jednéj i drugiéj zasługi, któreby w razie danym, były mu policzone.

Około 20 maja smutne wieści nadeszły z Paryża i z Polski pod panowaniem Prus. Dnia 15 maja, odbyła się demonstracya ludu francuzkiego, na korzyść sprawy naszéj. Chorągwie miasta Paryża i miast innych departamentów, przyszły do stolicy z prośbą o uznanie Polski. Rząd tymczasowy wysłał Marasta do deputacyi ludowéj, który odebrał prośbę podpisaną przez kilkadziesiąt tysięcy obywateli, i przyrzekł w imieniu rządu i izby, że nad zadaniem ludu będą naczelnicy narodu deliberować. Ale wichrzyciele nie poprawieni, czerwoni socyaliści, mając na czele doktora Raspail i zagorzałego republikanina Barberoux, wpadli z bluzowymi robotnikani do izby deputowanych, rozpędzili rząd i izbę, odczytawszy zmianę rządu i niesłychany podatek z bogatszych mieszkańców na korzyść rzemieślników. Dwa miliardy postanowiono złożyć dla zapewnienia *droits du travail*. Izby zostały rozpędzone. Ale skoro mieszczaństwo dowiedziało się o zamiarze podatku olbrzymiego, uzbroiło natychmiast gwardyę narodową, która pospieszyła do ratusza *Hôtel de Ville*, gdzie zbierali się naczelnicy nowo mającego się ogłosić rządu. Energia i męztwo wstąpiły w dusze kupców, gdy zagrożono ich kieszeni. Gwardya otoczyła ratusz i zatrzymała naczelników czerwonych. Rząd został tenże sam. Lamartine oświadczył się ze swoją sympatyą dla Włoch i postawił armię włoską gotową wkroczyć na pierwsze żądanie Karola Alberta. Ale król sardyński, zaufany w siłach swoich i pierwszych pozornych powodzeniach, nie chciał Francuzów republikańskich wprowadzać do monarchii swojéj i wolał sam walczyć. To

wystąpienie wichrzycieli przy demonstracyi dla sprawy polskiéj, nas niewinnych naraziło na nienawiść mieszczan. Rozumieli oni, że Polacy przyczyną byli wystąpienia czerwonych i niebezpieczeństwa złupienia ich kassy. Na nas więc wyzwierzali się, a tę wzbudzoną nienawiść podzielał pan Lamartine, który wszystkie sympatye chciałby zniszczyć dla nas z niewytłomaczonéj przyczyny. Wprawdzie, był on rozdrażniony na początku rządu nowego, przez pana majora Rudzkiego; a to w ten sposób: Emigranci polscy wybierali się do Polski, nie pomnąc, że z bronią w ręku nie mogli wyruszać, bo Austrya i Prusy zmieniły swoje rządy, a z Rosyą nie podobna było walczyć. Pan major Rudzki, jeden z deputowanych polskiego towarzystwa demokratycznego, w śmiałéj przemowie żądał od prezesa rządu, pana Lamartine, broni dla Polaków, idących do ojczyzny. Pan Lamartine słusznie przełożył, że z Austryą i Prusami bić się nie będą; a z Rosyą, jeszcze nie mogą, broni więc nie da. Pan major Rudzki zmarszczywszy czoło, miał śmiałość powiedzieć mu: — „Si vous ne nous donnez pas des armes, on renvezsera votre gouvernement dans vingt quatre heures.“ Słusznie taka śmiałość rozgniewała prezesa rządu; ale godziłoż się mu winę jednego szaleńca bezrozumnego kłaść na rachunek wszystkich, — jemu, który znał księcia Adama, pana Zamoyskiego i tylu innych zacnych i prawdziwie kochających Polskę i Francyę, a nie zdolnych posunąć się do kroków tak nierozważnych?

Z drugiéj strony Mierosławski Ludwik, prawdziwy głupiec polityczny, zrobił powstanie w Księstwie poznańskiém, i siłami niedostatecznemi, chciał stawić się całéj armii króla. Sam, żadnego świetnego czynu nie

dokonał. Kilka potyczek pięknych dla naszego oręża, kosy, stoczył dawny pułkownik pułku poznańskiego. Tłumy ludu wieśniaczego rozproszone były przez artyleryę. Mirosławski poddał się pierwszy, korzystając z ogłoszonéj amnestyi dla tych, którzy broń złożą. — W Krakowie członkowie towarzystwa zorganizowali ruch, uśmierzony przez wojska austryackie. Gotowano się do podobnego we Lwowie. Słowem, smutny stan przedstawiała Polska, bezsilnie szarpiąca się wśród ruchów europejskich, a przewodzona karłami demokratycznymi.

Przejęty bólem na te wieści, szarpiące duszę, wzniósłem serce i modły do Boga, i męki moje wypisałem w modlitwie błagającéj litości dla ojczyzny, nowemi szarpanéj nieszczęściami. Oto jest ten polski Ojczenasz:

Ojcze nasz! któryś jest w niebie; my dzieci
Polski, tak długo Chrześciaństwa korony,
Dziś konającéj wśród burz i zamieci,
U Ciebie błagać przychodzim obrony!
Wolą Twą, stary porządek się wali,
Z upadku dźwigasz królestwa Zachodu:
Wejrzyj na północ! — na sądów Twych szali
Przeważ męczarnie polskiego narodu!

Święć się Twe Imię! — prawda Wielki Boże!
Ojcowie nasi Imię Twe święcili;
A my niebaczni, zajadli w uporze
Grzesznych urojeń bożyszcza wznosili.
Ale zbłąkanym nie pamiętaj Panie!
Srogie nieszczęścia w piersi nasze biły;
I Twoja wielkość, Twoje zmiłowanie
Rozdarte serca żalem napełniły

Przyjdź Twe królestwo! Tu na ziemi polskie,
Usłane kłosem szerokie przestworza,

Łączące ziemie litewskie, podolskie,
Od Baltyckiego do Czarnego morza!
A po tem życiu, daj królestwo inne
Tym co twą wolę znali i spełniali,
Tym co swą młodość, życie swoje czynne
Polskę kochając, Polsce poświecali!

Bądź wola Twoja na ziemi i w niebie!
Czy chcesz nas karać, czyli się zmiłować,
W szczęściu i bólu uwielbiamy Ciebie,
W myśli i sercu chcemy Cię zachować.
Ale, o Panie! przez krew Zbawiciela,
Przez męki świętych w Polsce urodzonych:
Daj folgę bólom! — niech promień wesela
Wejdzie do piersi nocą uciśnionych!

Chleba naszego daj nam w dniu dziesiejszym!
Wieńczysz nam Panie darów szereg długi
Dostatkiem ziemi, a kłosem bujnieszym,
Nad wartość naszą, nad nasze zasługi,
Lecz bogacz szalał; a nasz chłopek biedny
W nędzy i znoju musiał żywot trawić.
Odbierz nam Panie, odbierz chleb powszedny
Jeśli téj krzywdy nie zechcem naprawić!

Na pokuszenie nie wódź nas! Zasłaniaj
Oczy i uszy na podmowy złudne!
Niedoświadczoną młódź naszą ochraniaj,
Niech przeciwności przejdzie ścieszki trudne!
W wierze swych ojców, w katolickiéj wierze
Niech przetrwa burze jak opoka wieczna;
Niech sprawą piersi twardych jak puklerze,
Jéj piersią, Polska zajaśni bezpieczna!

Ale od złego zbaw! — od Austryaka
Co zgodę braci krwawą rzezią złamał!
Od fałszywego wybaw nas Prusaka,
Co nam dwa razy przysięgał a kłamał!

Wyrwij nas z wilczéj paszczęki Moskala;
Uspokój jego żarłoczność szatańską;
Niech słowiańskiego imienia nie kala
Jak mowę, duszę niech weźmie słowiańską!

Amen! Niech zgoda braci z bracią spoi;
Wygnańców powróć do rodzinnych progów!
Odbuduj Polskę w nowéj, świetnéj zbroi,
Miłą dla Ciebie, a straszną dla wrogów!

We Florencyi poznałem się z Neapolitańczykiem panem Fiorentini, który emigrowawszy do Francyi, od lat kilku zajmował się w Paryżu pisaniem obszernych artykułów o Włoszech w dzienniku *La Presse*, w *Revue des deux mondes*, w *Revue parisienne*, i razem z dwoma mężami Włoch, Balbim i Malesymem Azeglio, starali się zwrócić współziomków swoich od marnéj i bezużytecznéj drogi tajnych towarzystw, a zająć się skupieniem wszystkich sił umysłowych i fizycznych w danym razie w około dynastyi sabaudzkiéj, jedynéj narodowéj, i na niéj budować przyszłość Italji. Jechał on do ojczyzny, do Neapolu; miał rozpatrzeć się w sprawach Rzymu i tam kilka dni zabawić. Gorąca chęć mię wzięła odbyć podróż z tak znakomitym człowiekiem, a razem, gdy oficerowie polscy dopiero przy końcu maja mieli zawitać, albo i późniéj, obaczyć jeszcze Maryę. — Nie długo myśląc, zamówiłem miejsce na dyliżansie i wyjechałem nocą z panem Fiorentinim. — W drodze opowiadał mi ten literat włoski swój zawód ciężki i pracę przez którą zajął miejsce znakomite i intratne między literatami francuzkimi. Miał on listy polecające z Neapolu do p. Girardin i do p. Dumasa, listy tak gorące, że obaj przyrzekli mu otworzyć drogę, jeden w dziennikach, drugi w biórze fabrykacyjnym

romansów. Jedna przedstawiała się trudność: p. Fiorentini nie mówił po francuzku; a gdyby pracą doszedł do jakiéjkolwiek znajomości języka, ta nie byłaby dostateczną dla autora. — Nie opuścił jednak głowy. Dni i nocy długie zaprzągł się do nużącéj i niezmordowanéj pracy; a naprzód, nauczył się na pamięć całego *Telemaka.* I skoro miał go w pamięci, zaczął układać powieść opisując w niéj, przy obyczajach rybaków neapolitańskich, jakiś dramat miłośno tragiczny. W powieści téj, postanowił, wszystkie wyrażenia czy to opisowe, czy sentymentalne, umieszczać dosłownie z Telemaka. Zadał sobie pracę każdą myśl swoję wyrazić dosłownie stylem i słowami Fenelona. Powieść była zajmująca, a francuzczyzna w taki sposób obrobiona, musiała być dobra. Pan Emil Girardin zapłacił mu za tę powieść 500 fr. i zachęcił do dalszego pisania. Po kilku powieściach, wziął się Fiorentini do pracy większych rozmiarów. Treść Montekrysta miał w pamięci, ponieważ owi więźniowie, którzy złączyli się z sobą, ów długo trzymany w zamknięciu ksiądz, świadomy o skarbie zakopanym, miał być osobą niezmyśloną. I oto Fiorentini pisze 9 tomów Montekrista, który zajął Dumasa, i dostaje za niego sześć tysięcy franków. P. Aleksander Dumas, robi z tego tomów 10. Wszystkie konwersacyjne rozdziały obrabia sam, i bierze za ten romans 60 tysięcy. Późniejsze relacye trybunałów, wykryły mnóstwo dzieł tego szarlatana literackiego, należących do innych autorów. Nic przeto zazadziwiającego nie było dla mnie słuchać tych opowiadań. Zajęły one prawie całą podróż najprzyjemniéj, i pomogły mi do zniesienia niecierpliwości i tęsknoty obaczenia coprędzéj pani Giżyckiéj i Maryi.

Rzym zastałem cały w poruszeniu. Było to po

nowéj encyklice Piusa IX. Ludność zbierała się po ulicach, szemrała, wznosiła krzyki błagalne i narzekające, że ulubieniec ludu, nadzieja Włoch, wyrzekł się na raz swojego udziału w walce o swobodę. — Zastałem Zygmunta Krasińskiego, do którego wieczorem poszedłem, w najczarniejszych myślach. Trapiło go widmo nieodstępne: rzeź powszechna; rzeź któréj Ojciec Śty nie wstrzyma, przechyliwszy się na stronę Austryi, nie wysłuchawszy prośby błagalnéj Polski. Zastałem w jego salonie kilka osób, a między innemi panią Odescalchi, siostrę żony Zygmunta, któréj on przedstawił mię.

Było to już drugie przedstawienie. Przed kilku miesiącami, jeszcze w czasie spokojnym Rzymu, przyszedłem wieczorem do pani Sobańskiéj; — i gdy ze staruszką we dwoje rozmawiamy, wchodzi zameldowana księżna Odescalchi. Pani Sobańska przedstawia mię; ale po kilku słowach koniecznych, żegnam i wychodzę. Przyczyna mojego pospiechu miała źródło w pewnéj niechęci z postanowienia zacnéj dziewicy polskiéj, jeszcze naówczas panny Branickiéj. Zapadłą na ciężką chorobę piersiową, matka przywiozła do Włoch dla poratowania zdrowia. Doktorowie w Rzymie po roku, przywrócili ją do stanu pożądanego zdrowia; ale zarazem oświadczyli, że natura jej płuców nie zniesie powietrza północy, że chcąc zachować jéj życie, trzeba aby osiadła we Włoszech. Matka dając córce pięknie wychowanéj i pełnéj wdzięków, miljon rubli srebrnych posagu, mogła wybierać męża dla niéj i osadowić na zawsze we Włoszech. Między emigracyą byli członkowie najznakomitszych rodzin polskich, i zda się że wybór męża między takimi, najwłaściwszy był dla Polki, ktora powinna była pamiętać, że majątek znakomity

wynosić z kraju, jest to odejmować ojczyznie część należącą do niéj, zwłaszcza jeśli córka całe serce miała dla Polski. Pani Branicka nie zwracała uwagi na Polaków, i wybrała najnieszczęśliwiéj. Szukała zięcia między zrujnowanymi książętami Rzymu. Książę Odescalchi, pochodzący z familii, która dała papieża, objął majątek bardzo lichy, bo dziedziczne księstwo Braciano zastawione było u żydów Forlonich, którzy już przybierać mieli tytuł książąt Braciano. Przyszły zięć pani Branickiéj, rzucił się dla podparcia majątku w usługi Austryi, krzywem okiem patrzali na niego Włosi. Dziwak, a nawet nielubiący Polaków, bo duszą przywiązany do Habsburgów, szczerzył jednak zęby na pieniądze polskie i z podskokiem przyjął insynuacye agentów swadźbowych podających mu piękną żonę i posag ogromny. Panna Branicka została księżną Odescalchi. Uważałem ją jako zdradzającą Polskę, bo rękę i majątek oddawała człowiekowi, z którego Polska żadnéj usługi spodziewać się nie mogła. Ta była przyczyna prędkiego opuszczenia przezemnie salonu pani Sobańskiéj. Dowiedziałem się potém, jak ta szlachetna Polka zachowała zawsze serce wierne ojczyznie własnéj, ile cierpiała w domowém pożyciu, jedynie dla miłości ku rodzinnemu krajowi i ziomkom swoim, i że biedaczka najniewinniejszą padła ofiarą. Gdy mnie powtórnie Zygmunt przedstawił, zbliżyłem się do niéj, i kilku serdecznemi słowami usiłowałem naprawić znalezienie się dawniejsze: i radbym aby dziś była przekonaną, żem jéj uchybić nie chciał, bo zacna to i szlachetna Polka. Długo rozmawiać z nią nie mogłem, bo Zygmunt porwał mię i zaprowadził do swojéj kancelaryi. Na rozciągniętym dywanie usiadł nisko, i mnie zaprosił siąść obok siebie. Wiedział żem był wysłany; badał dla

czego przybyłem do Rzymu. — Skręciłem odpowiedź jak mogłem, dając za przyczynę, że dopiero za miesiąc oficerowie mają przyjechać. Zygmunt w czarnych kolorach malował mi przyszłość, gdzie sceny z *Nieboskiéj komedyi* swojéj, i figury podobne do Pankracego, naczelnika klubów lokai, furmanów itp. występowały na scenę, a we krwi broczyła się szlachta, i tacy ludzie jak mąż podpierający bliski upadku gmach arystokracyi. Z treści politycznéj, zeszedł Zygmunt potem do religijnéj. W przedmowie do *Przedświtu*, w poemacie *Synie duchów*, wyczytałem jakąś myśl Towianizmu; badałem go, czy podzielał kiedy to wyobrażenie? — „Ot wiesz co, była chwila na mnie, że ta myśl doskonalenia się duszy przez życia nowe, uderzała mię. Uleczyłem się dzisiaj; a jednakże, gdy patrzę w księżyc, słońce i gwiazdy, zdaje mi się, że dusze nasze, te wszystkie planety przechodzić będą. Zacytowałem mu wyjątki z Dantego, który wybranych nawet, umieszczał na coraz doskonalszych planetach, ale za wolą Boga, który tam zaznaczył raj i stopnie dla więcéj cnotliwych. Zygmunt na to zadumał się. „Może być, zawołał. Bo też ta śmierć, ohydne niszcząca ciało, nie może mieć przystępu do ducha. Gdy człowiek czuje w sobie chwile jakiegoś oczyszczenia już na ziemi, czuje nie raz że ciało nim nie włada, tylko duch sam, jakieby duch po odpoczęciu ciała, nie miał inne zacząć życie?“ O północy przyszła żona wzywając go do salonu. Poszliśmy; i to była ostatnia moja z nim rozmowa, ostatnie moje widzenie się z tym znakomitym wieszczem i człowiekiem, którego pierś oddychała wrzącą miłością Polski, a bolała każdym jéj bólem, a krwawiła się każdym wypadkiem co krew Polski wyciągał. Do ostatniéj chwili życia, marzeniem jego była Polska, jakby czuł, że ją

kochać był powinien za siebie i za ojca, który potknął się na drodze prawéj.

Dziś, gdy już od dwóch lat zgasł ten harmonijny spiewak cierpiącéj Polski, gdy wyrokiem Bożym zgasł wśród nocy zawsze otaczającéj ojczyznę naszą, i zgasł nawet daleko od téj ziemi nad którą płakał, wybitnie stają mi w pamięci jego rysy smutne, oko jego pałające i jego boleśne śpiewy. Jak na schnącym krzaku pięknych kwiatów, listek po listku opada i więdnie, tak wiedną i znikają mężowie nasi, których głos znany był w narodzie. Na wschodnim krańcu ziemi, w dalszéj stolicy Cezarów greckich, umarł śpiewak Walenroda; w stolicy Francyi, tak dawno nam obiecującéj, usechł kwiat posępny a woniejący miłością Polski, Zygmunt Krasiński. Polsko! — Dasz - że nam jeszcze takich mężów, którzyby młodzież utrzymali na drodze powinności? Dasz-że nam mężów niezmordowanéj pracy, którzyby uścielali drogę temu ostatniemu, co mocą Bożą uzbroiwszy prawicę, położyłby koniec cierpieniom tęsknocie, a dał początek świetności ojczyzny naszéj?....

— U pani Giżyckiéj, byłem zaraz po przyjeździe do Rzymu. Zastałem ją i wszystkich Polaków przerażonych stanem miasta i tłumami szemrzącemi. Wieczór spędziłem u Zygmunta. Ranek następujący u Walewskich, którzy się wybierali do Szwajcaryi; a dnia tegoż wieczór, poszedłem do pani Giżyckiéj.

Przy samowarze, zbliżyłem się do Maryi i prosiłem, aby w zamian za krzyżyk mnie dany, zechciała przyjąć Matkę Najświętszą; a przygotowałem na koralu ładną kameę oprawną, i już za pośrednictwem ks. Aleksandra Jełowickiego, pobłogosławioną przez Ojca św. Marya się zmieszała, powiedziała mi, że może papież nie pozwoli. Siadłem zasępiony przy pani Giży-

ckiéj, — i gdy ta trwożyła się podróżą swoją do Civita-Vechia, zkąd chciała jechać do Livorno i do Genui, a trwożyła się, wyobrażając sobie, że zbójcy mogą snuć się po takich dniach wzburzonego ludu; zapewniałem ją i oświadczyłem, że gdy pojutrze kilku Polaków ztąd wyjeżdża, bezpiecznie jechać będzie mogła; dodałem, że i ja jéj towarzyszyć będę. Po téj krótkiéj rozmowie, siadłem znowu niemy. Marya zbliżyła się do mnie i szepnęła półgłosem: — „to przyjmę już pańską kameę, tylko proszę tak się nie smucić.“ Podskoczyłem, i całem sercem ścisnąłem jéj rękę odchodząc.

Nazajutrz były imieniny Ojca św. W roku zeszłym 1847, lud z procesyą chodził po mieście, tłumnie cisnął się na Kwirynał i stokrotnie wołał: *Viva Pio nono!* — Ale dziś, po encyklice, głucho było po ulicach: lud rzymski dąsał się na ulubieńca swego; Kwirynał, jakby po spaleniu miasta, cichy był i pusty. Ojciec święty w oknie pałacu smutnie spoglądał na plac i widział tylko posągi przy dwóch koniach Fidjasza i Praksytela a żadnéj innéj twarzy ludzkiéj. Od rana jednak Polki, zawsze sercem miłujące naczelnika kościoła katolickiego, przygotowały ogromny bukiet z pięknie dobranych kwiatów, chcąc go zanieść Ojcu św. W antykamerach dowiedziały się, że papież zasmucony i zajęty; z darem więc swoim przechodziły po dalszych ulicach, od czasu do czasu zachodząc na plac kwirynalski. Papież od okna swego nie ustępując, a ciągle z westchnieniem poglądając na plac pusty, gdzie lud jego zwykł był dawniéj z okrzykami życzliwemi zgromadzać się, postrzegł nakoniec kilka dam i zapytał stojącego obok siebie Monsignora Camerjere: kto są te damy, które kilka razy już na plac wchodziły? — Camerjere odpowiedział, że to są zapewne Polki, które już dawno

chciały złożyć bukiet Ojcu św.; ale że on sam tłumaczył im, że *Il Santo Patre e molto atristato.* „*Niech wejdą, niech wejdą! Może mię pocieszą.*“ — Na ten rozkaz, przywołano grono Polek pod przewodnictwem p. Zygmuntowéj Krasińskiéj; a były między niemi księżna Odescalchi, pani Tadeuszowa Walewska, panna Łopacińska i panna Kuszel z Krakowa.

Uklękły córki Polski, i pani Zygmuntowa wyjąknęła: — „Oto Ojcze św. skromny dar biednéj i nieszczęśliwéj Polski, córek płaczących nad matką swoją. O! racz Ojcze nasz, Ojcze Polski, córki kościoła, wznieść modły za ojczyzną naszą!“ — „Ja — odpowiedział dobrotliwie Pius IX, modliłem się i modlę za Polską, i boleję duszą całą nad nieszczęściami cierpiącéj ojczyzny waszéj. Wszędzie jednak widzę sprawiedliwą rękę Boga karzącą winy. Wyście zgrzeszyli, i dwa wielkie grzechy ciężą na was. Pierwszy jest: podstępne zachody, przez które łamały się małżeństwa. Żaden kraj nie poda takiéj liczby rozwodów; a trzeba wam wiedzieć, że małżeństwo, jest sakramentem nieodwołalnym i rozwodu nie ma. Poprawcie się, i naprawcie drugą winę jaka pada na was, a tą jest ucisk ludu waszego, — poddaństwo.“ — Zwiesiły głowę biedne Polki; bo tłumaczyć się z tych dwóch win, nie było sposobu. Radość jakaś zabłysła na ich twarzach, gdy Ojciec św. kazawszy im podnieść się, pożegnal temi wyrazami: „Idźcie i ufajcie w miłosierdziu Bożem: na moich modlitwach za Polską nie zbędzie wam; a dziś wam dziękuję i pamiętać mam na zawsze, że gdy lud mój opuszcza mię, nie zapominają o mnie owieczki moje z kraju dalekiego, cierpiącego, a który ma zasługi w kościele.“

W dniu następnym, pani Giżycka z córką swoją

i zięciem, Mieczysławowstwem Grocholskimi i z Maryą, własnym powozem a pocztowemi końmi, wyjechała do Civita-Vechia. Ja siadłem do dyliżansu, i na odpłynięciu statku parowego znalazło się nas kilkunastu podróżnych do Livorno. Jechał z nami p. marszałek wileński Jan Tyszkiewicz z córką młodszą, dzisiejszą księżną Jabłonowską; Michał Tyszkiewicz, po stracie żony wracający z teściem; pan Dowgiełło z Litwy, Rymsza i młody Bocheński z Krakowskiego. Jeszcze słońce nie zaszło, gdyśmy siedli na statek. Marya zaraz bardzo była cierpiąca przy żwawem kołysaniu się statku; a pilnie i zawzięcie przysiadał się do niéj ów Litwin, Rymsza.

Przybywszy do Livorno, skorośmy zajęli pokoje w domu gościnnym, pani Giżycka z córkami udała się na spoczynek po nużącéj całonocnéj podróży morskiéj. Ja z Mieczysławem Grocholskim, zajęliśmy pokój na górze, i ledwie o godzinie czwartéj po południu wychyliśmy oczy na miasto. Spotkałem Michała Tyszkiewicza, który za godzinę miał jechać do Marsylii a ztamtąd do kraju. Badałem go o jego towarzyszy a szczególniéj o Rymszę. — „*Zabawna rzecz*, mówił mi; *w najwyższéj złości przed godziną wyjechał; przez Wiedeń, jedzie na Litwę. Wczoraj tak się rozkochał w Maryi Giżyckiéj, że dziś o 11-téj z rana poszedł do niéj i do matki w zamiarze oświadczenia się; ale że panie spały, i widzieć się nie mógł, czekał do trzeciéj; spróbował jeszcze raz, powtórzył wizytę; panie go nie przyjęły. Zapylony więc niezadowoleniem, machnął ręką i odjechał bez powrotu.*“

Coby też było, gdyby go panie przyjęły? Rymsza miał znaczny majątek; wczoraj, w jego mdłych i dandyszowskich rozmowach bez wątku, myśli i treści, Marya zdała się smakować, a ja w kąt poszedłem z mo-

jemi spojrzeniami i z moją rozmową. Potrzeba odpoczynku, odgoniła od drzwi konkurenta mającego więcéj za sobą, niźli ja wygnaniec bez majątku, ojczyzny i domu. Wróciłem do hotelu, i wraz z Mieczysławem Grocholskim, wezwani byliśmy na obiad do pani Giżyckiéj.

Nie dotknąłem jeszcze w pamiętnikach moich o pięknéj duszy, wysokiem ukształceniu i anielskiéj dobroci najstarszéj córki pani Giżyckiéj, Stefanii, poślubionéj Mieczysławowi Grocholskiemu. Nie zdarzyło mi się znać kobiety, ani wówczas, ani późniéj, któraby mogła obok niéj stanąć z podobnem sercem, rozumem i skromnością. Nie, śmiało powiem, nie znałem kobiety przy wysokim rozumie, obszernych wiadomościach i światowem wykształceniu, posiadającą tyle skromności, tyle cichości staropolskich kobiet naszych. Staropolskie żony w istocie, dziwną cichość i pokorę zostawiły w tradycyi aż do naszych czasów. Ale czy miały, choćby jedna, to wykształcenie, jakie ma Stefania? — Nigdy ona pierwsza nie podniesie w towarzystwie uczonéj rozmowy; przychodzi do téj jaka się w kółku zebranem toczy, i naprzód długo słucha. Jeśli jest kto przewodzący, który wiele i zajmująco mówi, słucha uważnie rada czegoś się nauczyć; słucha tak, iż świadkom się zdaje, że ona po pierwszy raz słyszy ten przedmiot. Zdarza się często, że opowiadający, albo myli się z istotą rzeczy, albo z niewiadomości inaczéj przedstawia jakieś zdarzenie historyczne. Jakieżto pole dla naszych górno uczonych kobiet poprawić, pokazać, że one lepiéj to znają. Pani Stefania wie bezwątpienia w czem się omylił opowiadający, jak go poprawić trzeba, bo mało nauk jéj obcych; ale jednego słowa nie wtrąci; przysiądz można że ten pan ją uczy do-

piero, że ona rada z nauki. A cóżto za matka dzieciom! za żona mężowi, za córka nie tylko matce własnéj, którą kocha całem przywiązaniem córki, ale cóżto za anielska synowa, uprzedzająca chęci, wolę, fantazye rodziców męża! I w owym czasie i późniéj miałem tysiące zręczności i wypadków zwyczajnego życia, gdzie się dusza kobiety maluje, i powtórzę jeszcze: podobnéj nie znałem i nie wiem, czy kto mi nie przyzna téj wysokiéj czci, tego uwielbienia, jakie dla niéj do końca życia zachowam. Jéj mąż, którego wielu osądziło suchym, bez żywszych uczuć i zimnym na uczucia wzniosłe, od pierwszych dni poznania, był mi przyjacielem i stanę zawsze, jak nieraz, w jego obronie; bo dla przyjaciół ma on serce, a dla sprawy krajowéj, w razie danym, znajdzie uczucie i gotowość poświęcenia. Ztąd młodzież ostrzedz wypada, aby nigdy, potępiając kogobądź, skwapliwie sądu nie wydawali; aby przywiedli sobie na pamięć krzemień, który z natury swojéj jest twardy i lodowaty, a przecież wyda rzęsiste iskry gdy go po właściwéj stronie uderzą. Ludzie hartownéj duszy, zwykle są trudni do otwarcia na razie swych myśli i uczuć; ale gdy poczują szacunek, gdy się przywiążą do kogo, ten całą piękność ich serca obaczy, serca, które głąb' mu swoję otworzy. Piszę to po kilkunastu już latach znajomości obojga Grocholskich, Mieczysława i Stefanii; piszę z pełnem przeświadczeniem, że ci którzy ich znają jak ja, nie posądzą mię o stronność sąsiedzką, ani o chęć pochlebiania. Zresztą te karty przeznaczone do długiego spoczynku, nie wpadną im w ręce; i na efekt wdzięczności nie przyszło mi pewnie liczyć, pisząc pamiętniki życia dla odleglejszych ziomków moich.

Pani Giżycka nazajutrz miała jechać do Genui;

przedłużyła swój pobyt w nędzném mieście Livorno jedynie w nadziei, że się doczeka syna swego Michała, który był pozostał w Rzymie, a miał ją dogonić.

Odprowadziłem panią Giżycką do Luki. Przejeżdżaliśmy przez Pizę, niegdyś osobną rzeczpospolitą, która w wieku XII. miała swoją flotę; zagarnęła wyspę Sardynię i Korsykę, a nawet na Arabach zdobyła wyspy Balearskie: Majorkę i Minorkę, na morzu Śródziemnem, dziś należące do Hiszpanii. Byliśmy na *Campo Santo*, gdzie są od sześciu wieków groby pochowanych na ziemi jerozolimskiéj, dwunastu galerami pizańskiemi w roku 1170 sprowadzonéj; — na prochu więc grobu Chrystusowego postarali się spocząć pobożni. Z *Campo Santo* poszliśmy do pięknéj katedry gotyckiéj, a ztamtąd do sławnéj wieży służącéj na dzwonnicę. Wieża ta na 150 stóp wysoka, jest znacznie pochyłą od północy ku południowi. Sztuczny pomysł architekty pochylił ją tak, iż zda się lękać wypada, lada chwila jéj zawalenia; a jednak stoi ona mocno i urąga się sześciu wiekom swego bytu; bo od środka jéj ciężkości linia prostopadła, nie pomija podstawy téj wieży. Na siedmiu kondygnacyach, ma kolumnadę za każdą; a między ścianą a kolumnami, miejsca przechodu, które opatrzone są tylko prętem żelaznym bez poprzeczek i nie bardzo dla zwiedzających dogodne. Weszliśmy na wierzchnią platformę, otoczoną galeryą, zkąd pyszny widok roztoczył się przed oczami naszemi. Widać było we mgle Florencyę, Lukę, Livorno i morze niedalekie; a całe miasto z kościołami, przecięte przez pół rzeką Arną, jak na dłoni. Tu zimą klimat zbawienny jest dla suchotników; ale, skoro się zaczną upały, powietrze zabija nienawykłych, i trzeba w Czerwcu opuszczać miasto. Gdyśmy zeszli na dół, panna Marya opatrzyła

się, że chustkę swoją zapomniała na platformie. Ja z nogami żwawszemi jak dzisiaj, w kilka minut już byłem na wierzchu, a nie oglądając powtórnie roztaczającego się widoku, porwałem za chustkę i zbiegałem coprędzéj. Wszedłem na drugą galeryę, tak nędznie opatrzoną, gdy pojrzę w dół przepaścisty, i pokazali mi się ludzie drobno i karłowato, gdy dostrzegłem pochyłość wieży na wązkiem przejściu, a pręty żelazne nie opatrzone poprzeczkami, tak iż chybnięcie nogi, zrzuciéby mię mogło na stu stopową głębinę; zakręciła mi się głowa, zaszumiało w uszach, oczy mgłą się powlekły, straciłem przytomność. Co pojrzę w drzwi, jak mi się zdawało, chcąc zejść po schodach, widzę dzwony zawieszone i głębię jakby studnią, gdzie kostekby ze mnie nie pozostało. Chcę wejść w drugi otwór, toż samo. Ukląkłem osłabły i aby przywołać zmysły, musiałem ledz na wznak i przez chwilę myśleć o równinie i szerokich polach naszych, gdzie nie ma ani wąwozów, ani góry wysokiéj. Powoli wróciła przytomność; wsparłem się na rękach, stanąłem na nogi, i szczęściem znalazłem się we drzwiach wchodowych, zkąd najsłodszy mię uderza widok schodów zbawiennych. Leciałem po nich kłusem, a z nieopisaną radością dotknąłem ziemi równéj, gdzie już silnie postawiłem nogi. Chustka była oddana, a ja dziecinnie cieszyłem się, że tę małą przysługę przyszło mi zapłacić jakimś chwilowem cierpieniem. Wracając do hotelu, gdy pani Giżycka ze starszą córką i zięciem o kilka kroków zostawiła nas za sobą, gdy panna Marya przypatrywała się nad brzegiem Arno małemu kościołkowi maurytańskiéj architektury, zbliżyłem się do niéj nieśmiało i pytam, czy w zamian za krzyżyk, który mię zbawił z jéj ręki, zechce teraz przyjąć odemnie Matkę Najświętszą. Była

to kamea, o któréj wyżéj wspominam. Panna Marya, jak wiedziałem od niéj, miała na to pozwolenie od swéj matki, i przyjęła tę pamiątkę odemnie; a ja dołączyłem kilka strof poezyi, gdzie kończę temi dwoma wierszami dzieje mego nawrócenia przez nią:

Modlić się będę do Maryi na niebie,
Pamiętać zawsze o Maryi na ziemi!

Nie wiem czy między jéj fraszkami znajduje się jeszcze ta kamea odemnie? Jéj krzyżyk wisi na piersiach drogiéj mojéj żony. I nie mogłem lepiéj go zawiesić jak na piersiach téj, która wszystkie uczucia i marzenia mojéj młodości zestrzelone ma w sobie tak, iż stała się dziś słońcem mojego życia. Patrząc na nią, odzianą blaskiem najpiękniejszych myśli mego żywota, mam przed sobą sprawdzone z łaski Bożéj i ideały marzeń o kochance, i serdeczne marzenia o wiernéj, tkliwéj, drogiéj dla mnie przyjaciółce danéj od Boga na towarzyszkę dozgonną tego żywota.

Od Pizy do Luki przejeżdżaliśmy przez pola zmienione w ogrody, gdzie są drzewa oliwne, cytrynowe i pomarańczowe, u stóp których winne grona strzelały do góry, a ich latorośl obwijała liściem szerokim grube pnie tych drzew pięknych. Zapach ambrozyjski rozchodził się po całéj przestrzeni; zmysły ukołysane taką rozkoszą, przebiegały raj najmilszych marzeń; — a jednak one wśród tych ogrodów hesperyjskich leciały do kraju nie tak pięknego, ale droższego stokroć dla duszy: — do ojczystéj Polski, do rodzimego Wołynia. Tęskniło serce, zda się, żywiéj, im widoki piękniéj się rozwijały, im więcéj upajające były wonie drzew i kwiatów.

W Pizie i Luce, gdy znużeni przechadzkami dzien-

nemi, odpoczywaliśmy w najętych pokojach, na rozkaz pań, czytałem im ukończone niedawno tłumaczenie moje tragedyi Szyllera *Marya Stuart*, która umieszczona w zbiorze tłumaczonych dzieł dramatycznych Szyllera przezemnie w Lipsku, nie uzyskała w Warszawie pozwolenia cenzury, tak iż ze czterech tomów, wyrzucono ten jeden; a ułamkowe dzieło, wygluzowane zostało z handlu księgarskiego.

W Luce pożegnałem panią Giżyckę i jéj córki. Łza mi się zakręciła w oczach; patrzałem na Maryę, ale tam już żalu ani współczucia nie znalazłem; — i przyszły mi na pamięć dwa wierszyki bajki Krasickiego:

. . . . . wszystko bardzo zmienne:
Łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne.

Wróciłem sam do Livorno ze ściśnionem sercem. Statek parowy francuzki przybył z Rzymu: Michała Giżyckiego znalazłem na nim, a tu matka tyle niepokoiła się o niego. „Doganiaj matkę, prosiłem go; — jeszcze nie daleko musi być od Luki!“ — Poczciwy całem sercem Michał, powolnego jest układu, wahający się w postanowieniach: ten przedział 40-tu mil drogi, choć włoskich, zdawał mu się podróżą nie podobną. — „Niechajno jutro, — odpowiedział mi, bo dziś nie mogę.“ Nazajutrz rano, przyszedł do mnie, a był to 15 maja, dzień św. Zofii, i oznajmił, że w bliskim kościele odbędzie się nabożeństwo na intencyą zmarłéj jego siostry, która i moją stała się siostrą, przez cudowne za jéj sprawą nawrócenie moje. Pospieszyłem na nabożeństwo, i szczerą modlitwą dziękowałem jéj pamięci o duszy mojéj, a nie śmiało wzniósłem próżbę aby przyczyniła się do Boga za szczęściem mego życia doczesnego, za połączeniem mojem z Maryą. Po

nabożeństwie, widząc Michała rozrzewnionego, zdobyłem się na wymowę aby go przywieźć do uspokojenia matki. Wiedziałem, że samby się nie zdecydował; wziąłem dla tego dwa miejsca do Luki dla nas dwóch, i prawie siłą a prożbą nalegającą zaprowadziłem go do drogi żelaznéj. W Luce dowiedzieliśmy się, że wczoraj wieczór, panie wyjechały najętym weturinem daléj do Genui. Trochę szczęścia, a jeszcze dopędzimy ich przed Genuą. Pojrzałem błagająco w oczy Michała. Nie wiem czy dorozumiał się, że uspakajając matkę, zrobiłby i dla mnie wielką przyjemność; ale te oczy moje łzawe, melancholijne a tak błagające zbawienia, musiały zagrać na poczciwem jego sercu. Wsiadł ze mną do najętego weturina. Jechaliśmy szybko; podwójne *bono mano* odbierał weturino, a badaliśmy wszędzie o podróżne panie. Przejeżdżamy Massę, Karrarę, Modenę. O godzinie 9-téj wieczór, gdy się już dobrze ściemniło, stajemy przed gościnnym domem, samotnie stojącym nad drogą. Po zwykłych zapytaniach — o! szczęście moje nie do opisania! — Panie są i tu nocują. Jest Marya, którą jeszcze raz będę mógł pożegnać nim wypadki zawiodą mię, nie wiem na jakie pole, burzliwéj dyplomacyi, czy walki krwawéj. Śmiało poruszam klamkę od pokojów zajętych. Pani Giżycka poznaje mię zdziwiona natrętnością uprzykszoną; ale ja miałem za sobą tłumacza, i wyrzekłem: — „Przywożę pani syna zdrowego.“ Radość matki i sióstr spłynęła i na mnie; bo jużciż ja choć maluczko, przyczyniłem się do ich uspokojenia i radości. Cały wieczór przepędziliśmy razem. A rano o godzinie 6-téj, my z Michałem wracaliśmy na powrót do Livorno; pani Giżycka jechała do Genui. Zaszedł jéj powóz, stanąłem u drzwiczek drżący, i z pełnem sercem, nie wiem już

jakich uczuć, jakiéj burzy! Pojrzałem w oczy Maryi; o! szczęście nie wysłowione! pojrzała na mnie tem smętnem, długiem spojrzeniem, jakie czasem spoczywało we wzroku moim w Rzymie; — tem spojrzeniem zdawała się mię żegnać na długo; — a jednak zdało się upojonemu, że nie na zawsze, i że w kątnym promieniu jéj oka migało jakieś blade światełko nadziei, — światełko mdłe, posępne, — ale jakby mówiło: — „*może.*“ — Dla mnie i to było wiele, i stało na całą podróż do powrotu, na długie dnie potem w Bolonii i Medyolanie.

Odebrałem z Paryża wiadomość o prędkim przyjeździe oficerów oczekiwanych. Michał Giżycki pojechał do Florencyi oglądać po piętnasty raz galerye, których obrazy znał doskonale; a w kilka dni po jego odjeździe, statek parowy z Marsylii przywiózł 50 oficerów polskich, pod przewództwem pułkownika Breańskiego, dyrektora towarzystwa *3-go Maja*, a niegdyś szefa sztabu jenerała Krukowieckiego. Był to człowiek dzielny, mężny oficer pod każdym względem, i gorliwie pracujący w zawodzie i towarzystwie, do którego z silnem przekonaniem przyłączył się. Byli między oficerami: major Przyłuski, dziedzic wsi Motrunek pod Lubarem, były dowódzca dwóch szwadronów Ułanów polskich w wojnie hiszpańskiéj przeciw Don Karlosowi; major od piechoty Wróblewski; oficerowie: Józef Miler Kososki, Zaborowski, Dulfus i inni, których nazwiska trudno mi spamiętać. Wprowadziłem pułkownika Breańskiego do komendanta Livorno; nająłem piętro hotelu pod czarnym orłem, ze stołem, za cenę bardzo mierną; i oficerowie nasi, w granatowych katankach, z amarantowemi kołnierzami, z czapkami tychże kolorów, ozdobnemi białym orzełkiem, przy szlifach i szar-

fach srebrnych, pokazali się na mieście, radośnie przypatrującym się temu nowemu posiłkowi dla sprawy włoskiéj.

Na drugi dzień po przybyciu oficerów polskich, nadjechał z Rzymu do Livorno Karol Drzewiecki, syn szefa, którego znałem z Krzemieńca. Wracał on z żoną, Jaroszyńską z domu, z pielgrzymki do Ziemi-Świętéj, w któréj dotknął się Konstantynopola i serdeczne stosunki zawiązał z Michałem Czajkowskim. Sama pani, pięknie ukształcona, lubo niełądna, a Drzewiecki całą duszą, z uczuciami wrzącemi dla Polski; oboje z radością pozierali na mundury polskie, których już nigdzie obaczyć nie można było. Karol Drzewiecki kipiał, żeby jaką usługę ziomkom swoim zrobić, i nie śmiało pytał mię, czyby oficerowie zechcieli przyjąć tytoń przez niego kupiony, a nadzwyczaj drogi przy akcyzie we Włoszech? Zaniosłem im spore paki najprzedniejszego jaki się w Liworno znalazł. Nadto oświadczył mi ten prawy Polak, że dziś nie ma dość funduszów z sobą, ale na legiony mające się formować, czy też na sprawę, jak to będzie uważał pan Władysław Zamoyski, złoży w krótkim czasie tysiąc rubli srebrnych u pana Sobolewskiego; i rzeczywiście, do dwóch tygodni, pieniądze te były oddane w Genui, i dostały się pod rozporządzenie księcia Adama.

Tymczasem ja, przed odjazdem moim do Bolonii, poszedłem na pocztę i zabrałem listy do mnie adresowane. Miałem je od Czajkowskiego, od Ludwika Orpiszewskiego z Rzymu, od brata mego z Paryża, i jeszcze jeden list nie znanéj mi ręki. Rozpieczętowałem je na stacyi, i z pod koperty nieznanego listu, wyleciały dwa bilety bankowe, każdy na tysiąc franków. Z zadziwieniem wyczytałem podpis Sobolewskiego.

List, który miał iść przez konsula francuzkiego, poszedł w roztargnieniu na pocztę, nieopatrzony wizą, że w nim są pieniądze. Tyle poszukiwań było na pocztach piemonckich i toskańskich przez Sobolewskiego i francuzkiego konsula, a oto list z pieniędzmi leżał spokojnie na prostéj poczcie i dostał się do rąk przeznaczonych. Zawiadomiłem zaraz o tem Sobolewskiego, który powitał tę wiadomość, jako zgubę niespodzianie znalezioną. Posłużyły one zaraz na pierwsze wydatki dla oficerów, którym półtora franka dziennie miał wypłacać pułkownik Breański z polecenia pana Zamoyskiego.

W sześciu dyliżansach najętych pojechało 50 oficerów. Ja z Breańskim, jako jego adjutant, wyprawiliśmy się naprzód i przebyliśmy ciężką drogę po Apeninach w 48 godzin. Do opasanego murem zrujnowanym miasta Bolonii, zajechaliśmy szczęśliwie, nie napastowani potomkami sławnych Rinaldinich, którzy dotąd, od czasu do czasu, pokazywali sztylety swoje w Apeninach; ale dziś z ochotnikami patryotów, poszli i rabusie, zamieniając zbrodnicze życie, na życie żołnierza walczącego za sprawę Włoch. W Bolonii, kardynał Maryni, legat, powitał nas nieco zmieszany. Wiedział on o zamówieniu oficerów polskich przez Ojca świętego; ale my, weszliśmy do niego w chwilach gorących. Wojsko papiezkie kapitulowało w Wicencyi. Radecki wypuścił je cało; ale kazał podpisać jenerałowi Durando i szefowi sztabu jego, panu margrabiemu Azeglio, iż wojsko rzymskie, przez trzy miesiące nie ukaże się na linii bojowéj. Oficerowie polscy zostali w zawieszeniu z przeznaczeniem swojem; jednakże legat naznaczyć kazał kwatery i trzy paole (trzy złote) dziennego żołdu.

W Bolonii liczą dwieście kościołów, a każdy bogaty jest w obrazy najpierwszych mistrzów malarstwa włoskiego. Oglądałem wiele arcydzieł, a żaden nie utkwił mi tyle w pamięci co obraz św. Cycylii Rafaela w kościele *św. Jana na górze*. Święta przy organach, gdy podnieść ma ziemską harmonię, słyszy głosy Aniołów niebiańskich, i na tę melodyę wyższą nad wszelkie dźwięki muzyki ziemskiéj, zapomina o zaczętych tonach, i z wyrazem świętego zachwycenia, przysłuchuje się śpiewom Aniołów. W opisy obrazów bolońskich wdawać się nie będę; nie jeden już artysta ocenił je. Ja moje wrażenia w owym czasie przesłałem w liście do pani Henrykowéj Grocholskiéj z domu Brzozowskiéj, a opowiem tu bliższe z nią poznanie się:

Pani Ksawera Grocholska, matka dzisiejszéj księżny Witoldowéj Czartoryskiéj, pełna uczuć szlachetnych, miłość ludzkości i Polski posuwała do egzaltacyi, nad którąby niejeden z dzisiejszych materyalnych ludzi uśmiechnął się. U niéj to było z duszy i serca pochodzące, i za takie uzna każdy, kto ją bliżéj pozna. Moje poznanie ją bliższe nastąpiło w bardzo dziwaczny sposób. W czasie pobytu mego w Livorno, gdy oczekując oficerów polskich, za każdem przybyciem statku parowego, wyjeżdżałem na morze łódką, aby prędzéj wiedzieć czy nie przybywają, a chętny wiadomości to z Paryża, to z Rzymu, dopytywałem się o podróżnych, — na jednéj z takich ekspedycyi, mówią mi, że na statku *Dante*, płynącym z *Civita-Vechia*, znajduje się polska familia. Powitałem państwa Henrykostwa Grocholskich z córką Maryą, bladą bardzo na ówczas, i ofiarowałem się im dopomódz w wynalezieniu pomieszkania i weturyna do Genui. W Livorno zamieszkanem wielką liczbą Żydów, którym otworzył gościnność jeden z Me-

dyceuszów, uciekającym od prześladowania w Hiszpanii, jest klassa najnieznośniejsza, w uprzykrzaniu się podróżnym, podobna do naszych po miasteczkach Żydów. Są to fakini, tem straszniejsi, że zuchwałość swoją posuwają do bezczelności. Otóż skoro na brzeg wysiedliśmy, ja i państwo Grocholscy, chmara tych łotrów obstąpiła damy, i w grubiański sposób, ci i owi szarpali je za suknie ofiarując swoje usługi. — Stanąłem w obronie pani Grocholskiéj: przedstawiałem że podróżni wszystko mają, i nie potrzebują nic; a gdy słowa moje były daremne, pierwszego lepszego co najnatarczywiéj przeciskał się aż do pani Ksawery, odepchnąłem zlekka. Fakin w złości, że ochraniam wydanie im pieniędzy, uderza mię z całéj siły po głowie. Zawróciłem się do duany, aby żądać pomocy zbrojnéj. Fakin zemknął w tłumie; a pani Grocholska wzruszona uderzeniem jakie dostałem, słucha tylko popędu serca, i na ulicy rzuca się przedemną na kolana: — „Mój Boże! zawoła; męczenniku sprawy naszéj! I jaż, którabym łagodzić powinna twoją tęsknotę, twoje bóle, przyszłam tu aby je powiększać, aby stać się przyczyną obelgi, jakiéj doznałeś!“ — Całéj siły błagalnéj musiałem użyć, aby podnieść szlachetną Polkę. Przedstawiałem jéj że obelgi żadnéj nie mam; bo nie znieważa człowieka pies wściekły, który rzuca się na niego. Ta drobna na pozór okoliczność, zjednała mi wiele łaski u pani Grocholskiéj, i od téj epoki zamieniliśmy kilka bardzo serdecznych listów. Ztąd-to więc, z Bolonii, jak wprzód z Florencyi, przesłałem jéj opisanie moje arcydzieł sztuki.

Pobyt mój z oficerami polskimi w Bolonii, zanosił się na długo. Świeża kapitulacya wojsk papiezkich, odkładała na późniejszy czas wystąpienie na linią bo-

jową. Oficerowie uczyli się. Zdolniejsi, zajęci byli wykładaniem musztry piechotnéj i kawaleryjskiéj w teoryi. Major Wróblewski wziął na siebie pierwszą, a major Przyłuski drugą. Pan Władysław Zamoyski uwiadomiony o płonnym przyjeździe oficerów polskich do Bolonii, ruszył się zaraz do obozu króla Alberta próbować, czy tam nie uda mu się uzyskać pozwolenie tworzenia legionów. Wysłał z Paryża 10-ciu oficerów do Medyolanu, i dał polecenie, abym ja tam przyjechał. Przed moim wyjazdem, pułkownik Breański chciał widzieć jenerała Durando. Pojechaliśmy oba do Ferrary, gdzie obecnie była główna kwatera wojsk Ojca świętego. Zastałem tam dawnego znajomego i przyjaciela sprawy naszéj, Maksyma Azeglio. Z głęboką raną na nodze, którą kula przeszyła, leżał wyciągnięty na łożu boleści, szlachetny margrabia. Podał mi osłabioną rękę, i bladą ale serdeczną twarzą powitał pierwszy raz po długiem niewidzeniu się. Od owéj epoki w Rzymie, gdy Pius IX. był całą nadzieją Włochów; od owéj epoki promieniejącéj radością i nadziejami, gdy wojska i ochotnicy wychodzili z Rzymu, nie widziałem Azeglia; i ujrzałem go po encyklice Ojca św., który zapierał się współudziału w wojnie narodowéj. Po klęsce w Wicencyi, gdzie był raniony, pierwszy raz witałem szlachetnego patryotę, który życie swoje oddał usługom ojczyzny. Nie upadł na duchu: całą miał ufność w Bogu, sędzią sprawiedliwéj sprawy, i ufność w czasie, który ciosy leczy i goi. Dowiedziawszy się, że jadę do Medyolanu, dał mi list do krewnéj swojéj, a w sprawie oficerów naszych ofiarował usługi pułkownikowi Breańskiemu.

I tu, w Farrarze, są ciekawości i sztuki i pamiątek historycznych. Krótki był mój pobyt, i nie zwie-

dziłem ani obrazów, ani sali owéj gdzie biust Aryosta, ani więzienia, gdzie Tasso pokutował za miłość dla Leonory, siostry księcia. Widziałem tylko domy walące się i ulice darnią porosłe, i przyszły mi na pamięć strofy Bajrona, który w Czajloharoldzie tak Ferrarę wspominał. Jest to tłomaczenie moje w późniejszych czasach dokonane:

O Ferraro! — darń rośnie na twoich ulicach
Gmachami nie na pustą przeznaczonych ziemię.
Przekleństwo na twych panów osiadło dzielnicach,
I znikło domu Estów starożytne plemię,
Więcéj wieku w twych murach ród ten był na tronie,
Zmienny w gustach, jak zwykle nie wielcy książęta,
To osłaniał opieką, to nakładał pęta
Na tych, co ozdabiali laurem swoje skronie
Po Dancie, pierwszym wieszczu w laurowéj koronie.

Jenerał Durando chciał szczerze zająć się oficerami naszymi; ale w dzisiejszem położeniu, po kapitulacyi, nie mógł zapewnić, czy uda mu się organizować na nowo wojsko, i jakie usposobienia znajdzie w Rzymie, dokąd sam się wybierał, skoro pozwoli rana margrabiemu Azeglio towarzyszyć mu w gorącéj podróży i posłuchaniu u Ojca św. — Po powrocie do Bolonii, pożegnałem kolegów, i przez Parmę i Placencję udałem się do Medyolanu.

Zastałem tam p. Władysława Zamoyskiego i z oficerów: Kwaskowskiego, Dulfusa, młodego Sienkiewicza, syna Karola, Potockiego, starszego syna Hermana; Norberta Izbickiego, dawnego kapitana wojsk polskich, a znajomego memu ojcu i mnie, i Jazwińskiego, kapitana, tego samego, co późniéj bezczelnie rzucił się w Paryżu na p. Zamoyskiego, a który już w Medyolanie niecnym postępkiem pokazał tak mało męztwa, jak

później wiele pokazał bezczelności, zwykłéj podobnym ludziom, którzy przez nią chcą zastąpić brak odwagi.

W koszarach formującéj się legii Mickiewicza, stanęli przybyli także na wezwanie pana Zamoyskiego, kapitan Ordon i Onufry Korzeniowski z artyleryi.

Przychodzi nam teraz wspomnieć o dalszych usiłowaniach Mickiewicza; bośmy stanęli i przestali o nim mówić od téj nocy gdy ja odepchnięty byłem z ogniem moim do cygara, i gdym się rozdzielił z poetą i jego adherentami w Livorno.

We Florencyi, Mickiewicz przemawiał z balkonu do zgromadzonego ludu o braterstwie narodów dążących do oswobodzenia się od jarzma najezdniczego, i oświadczył, że synowie rozszarpanéj Polski, spieszą na pomoc wybijającym się Włochom. Po téj przemowie, wsparty pomocą mieszkańców, wyruszył do Medyolanu, gdzie poprzedziła go wiadomość o zbliżających się legionach polskich. — Medyolańczycy wyszli o milę za miastem na spotkanie Polaków, a rząd tymczasowy oddał Mickiewiczowi koszary i kilkunastu wziętych do niewoli austryackich żołnierzy, którzy byli z pułków galicyjskich. Mickiewicz, zostawiwszy Gerlicza, jako tymczasowego organizatora, pospieszył sam do Paryża. Z Marsylii, zwrócił się na Strasburg, gdyż dowiedział się, że tam pułkownik Kamieński prowadzi kilkudziesięciu Polaków przez Niemcy do Poznańskiego. Owi emigranci polscy, w imieniu których major Rudzki zagroził Lamartinowi wywróceniem rządu francuzkiego, jeśli im broni nie dostarczy, wybrali się lubo nie uzbrojeni do Księstwa Poznańskiego, gdzie Mierosławski dokończał szalone powstanie. Wybrawszy za przewódzcę Kamieńskiego, dążyli na ślepo, nie wiedząc na co się przydadzą i czy będą mogli wejść do szeregów sił

polskich. Mickiewicz dopędził ich i Kamieńskiego namówił, aby zamiast nie oznaczonego celu w Poznańskiém, zaprowadził swój oddział do Medyolanu, i stanął na czele formującego się legionu. — Kamieński, któregośmy widzieli występującego z szeregów Towiańszczyzny, na nowo obałamucony potężną wymową Mickiewicza, gorącéj duszy a wahającego się zdania, uwierzył, że dziś zaczyna się epoka wielka odrodzenia ludów, o któréj mówił Towiański. Zwraca się więc do Medyolanu, i obejmuje dowództwo nad legionem. — Szybki w swoich działaniach, formuje coprędzéj dwie kompanie z przyprowadzonych emigrantów i z tych żołnierzy austryackich jakich zastałem w Medyolanie, i występuje na linię bojową. Król naznaczył mu miejsce w Tyrolu, gdzie nasi Polacy rozpoczęli wojnę partyzancką. Tak postawiwszy marzony przez siebie legion, pospieszył Mickiewicz do Paryża, aby większą liczbę emigracyi do legionu namówić. Ale w Paryżu, spotkały go wymówki braci Towiańczyków i nagana formalna samego mistrza, który cisnął pioruny jako na fałszywego mąciciela *zamiarów Pańskich*. Towiański wyrzekł, że Bóg jeszcze nie dał znaku, i że ta chwila, nie jest chwilą gdzie wszyscy łączyć się powinni. Chwila wielka i oczekiwana, podług mistrza, nie wojną objawiać się będzie. — Massy ludu, bez krwi rozlewu, dokonają wszystkiego. Mickiewicz zaprzecza mistrzowi, i wnosi, że mistrz ma prawo tylko nad sumieniem duchownem braci; zaś sumienie cywilne, należy do każdego brata w Chrystusie. Następuje wielka scysya, która rozdziela Towiańczyków na dwa obozy. Ci którzy zostali przy głównym mistrzu, utrzymywali, że we wszelkich działaniach człowieka, czy to duchownych, czy cywilnych, czy nawet domowych, mistrz jest sędzią i wyrokiem:

gdy on nie każe, nikt nie powinien do jakiegokolwiek ruchu należeć. Mickiewicz został potępiony, a zatrzymali się przy nim tylko młodzi i gorętszych uczuć. Towiański zatrzymał Karola Różyckiego, Goszczyńskiego, Seweryna Pilchowskiego, Bońkowskiego, Stefana Zana, Retla Sigfrida. Za Mickiewiczem poszli wszyscy młodzi, a między nimi, syn Karola Różyckiego, Stanisław, zdolny i pełen najszlachetniejszych uczuć młodzieniec. Przy téj okoliczności, rozgrywała się scena duszę szarpiąca. Karol Różycki ojciec, lichym żołdem swoim przyczynił się do usposobienia syna na inżyniera, i ten skończywszy szkołę centralną, otrzymał posadę 200 franków na miesiąc, z któréj-to pensyi, ojcu oddawał sto. Po owym rozdziale między adherentow Towiańskiego i Mickiewicza, ojciec rozgniewany na syna, że przy mistrzu nie został, odesłał mu udzielony przez niego zasiłek miesięczny. — Syn, u nóg ojca wił się w rozpaczy, używał głosu braci swoich aby przebłagać; — ale napróżno. Dopiero za uroczystem przyrzeczeniem, że do Włoch nie pójdzie miał sobie łaskę wróconą.

Towiański zatrzymujący ruchy legionów, dziwnym sposobem znalazł się uwikłany w ruchach paryskich. W groźnych dniach czerwcowych, gdzie socyaliści w barykadach walczyli dla wywrócenia rządu tymczasowego; gdzie proletaryusze w bluzach bili się wściekle za sprawę nieporządku, a gdzie męztwo Cavaignaka i młodéj gwardyi ruchoméj, ocaliło Francyą od strasznéj rzezi i zupełnéj anarchii; w tych barykadach socyalistów, zatrzymano Towiańskiego i szwagra jego, Guta. Z zeznań wziętych do niewoli uliczników, powzięto wiadomość, że obaj ci panowie rozdawali półimperyały rosyjskie między walczących. Czy tak było

istotnie? — Zapewnić nie mogę. Trzy miesiące jednak obu tych panów więziono, i nakoniec na gorące wdanie się Karola Różyckiego, wypuszczono, z warunkiem, aby natychmiast granice Francyi opuścili.

Rozbierzmy zimnem rezonowaniem czynności tego nadzwyczajnego człowieka. Wtenczas kiedy emigracya zyskała powszechną sympatyę; kiedy z jednéj strony Skrzynecki zostaje jenerałem dywizyi w Belgii, z drugiéj Mickiewicz zajmuje katedrę najpotężniejszéj wszechnicy i grzmi słowem wymownem o Słowianszczyznie, wskazując jéj rozwój i przyszłość tylko pod Polską, jako przewodniczką Słowian; — Towiański, ten sam, który odwracał ziomków swoich od powstania w 1831 roku, zjawia się w emigracyi, i uderza na dwóch ludzi mistycznem proroctwem swojem. Skrzyneckiego, zasłoniła silna wiara. Mickiewicz dał się porwać, a z nim razem w *nic* się obracają najznakomitsze inteligencye emigracyjne: Słowacki, Goszczyński, Wrotnowski. Talenta wojskowe, jak Karol Różycki i Mikołaj Kamieński. Zamknięty kurs literatury słowiańskiéj, na który się zgromadzali Serbi, Bułgary, Czesi, Iliryjczycy i sami Rosyanie, i słyszeli jak profesor wykazywał jaśnie, że dwa narody mogą tylko przewodzić Słowianom: albo Rosyanie, a z nimi zagłada pojedyńczych rodowości i zniknienie języka rodzinnego; — albo Polska wolna od wieków i opiekunka rozwoju każdéj narodowości słowiańskiéj. Katedra zamknięta dzięki Towiańskiemu: zakazał mistrz pisać tym, którzy słowem swojem mogli duch zagrzewać i kierować ku szlachetnym celom. Zabraniają formować legion polski we Włoszech, — aby wśród ruchu ogólnego Europy, nie zajaśniał sztandar Orła białego, i nie obudził niebezpiecznych sympatyi dla narodu, który powinien być materyalnie i moralnie

pogrzebiony. Nakoniec Francya, jakkolwiek z rządem republikańskim, ale już jako-tako porządkująca się, postawiła armię włoską gotową do wkroczenia w przedziały Italii, jeśli oręż Karola Alberta nie zmoże Austryaków. Wśród takiéj gotowości Francyi, wybucha rewolucya czerwcowa: ruch ludzi, wywrócić chcących wszelki możebny porządek, i unicestwić siły narodu podnoszącego głos za upadłemi narodowościami. Towiańskiego znajdują w barykadach między proletaryuszami paryskimi; — oskarżają, że on i Gut, rozdaje złoto ze stęplem rosyjskim. W Rosyi, Towiańskiego majątku nie zabierają na skarb; owszem, na wyższy rozkaz, uwalniają od administracyi za podatkową zaległość. W roku 1842, po śmierci księcia Orleanu, gdy policya francuzka każe Towiańskiemu opuścić Francyę, upomina się za nim ambasada rosyjska, jako za poddanym mającym regularny paszport rządu swego. Zebrawszy wszystkie te fakta, zaiste głowa się mąci, i człowiek nie wie co myślić: jak tego mistyka położyć? Ale jeśli nie śmielibyśmy bezwarunkowéj zdrady zarzucić, to niezaprzeczenie Towiański oddał znakomite usługi rządowi cara Mikołaja przez unicestwienie ludzi czynu.

Mój pobyt w Medyolanie w pierwszych dniach ubiegał bezczynnie, i bezczynnie oczekiwali oficerowie skutku starań p. Zamoyskiego o formowanie legionu. Wprawdzie, nic nie było łatwiejszego jak otrzymać pozwolenie tymczasowego rządu Lombardyi; ale pan Zamoyski chciał mieć przyzwolenie króla Alberta, i formowany legion wprowadzać w prawa i na żołd królestwa Sardynii; król zaś wziął sobie za punkt honoru bez obcego żołnierza doprowadzić dzieło oswobodzenia Włoch. Nie chiał on przyjąć pomocy Francyi, błagającéj go prawie na klęczkach, aby pozwolił wpro-

wadzić gotową armię alpejską, nie chciał nawet, proszony przez patryotów włoskich, prosić o jenerałów francuzkich, chociaż brak był wyraźny czynnych i zdolnych ludzi w całéj jego armii. I w tym więc punkcie daremnie o legiony polskie pełzły zabiegi pana Zamoyskiego. Użyliśmy jeszcze jednego środka, aby go poruszyć: Między niewolnikami wziętymi w czasie wybuchów lombardskich i w kilku starciach się z wojskami austryackiemi, była bardzo wielka liczba Czechów i Kroatów. Ci ostatni, zażarci sługusy Habsburgów, darli się ciągle z Czechami, obwiniając ich o zdradę i o tchórzostwo. Otóż ksiądz, kapelan, Czech rodem, a z nazwiska Szadek, przybył do mnie do Medyolanu i powiedział na ucho: że gdyby udało się rozdzielić Czechów od Kroatów, to jego ziomkowie chętnieby przyjęli służbę u króla Alberta, i poszliby bić się z Austryakami. Ułożyłem z nim prośbę do króla w téj treści: Że żołnierze Czesi, nie z powodu uczucia zdrady, błagają króla, aby im pozwolił walczyć za sprawę Włoch w swoich szeregach; ale że oni zmuszeni są, równie jak Włosi, dźwigać jarzmo najezdnika, i w wolności Italii widzą przyszłe korzyści dla ojczyzny swojéj; że nakoniec, gdyby wolą jego było przyzwolić na to żądanie, aby raczył połączyć ich z szeregami Polaków, z którymi Czechów łączy węzeł pobratymstwa rodu, i pamiątki historyczne, jako tych którzy w Polakach mieli najbliższych sąsiadów, a nawet wspólnych królów widzieli na tronach dwóch narodów.“ — Téj treści pismo ksiądz kapelan odwiózł do króla, do którego wstęp wyrobił mu pan Władysław Zamoyski. Ja chcąc jeszcze lepiéj w tym przedmiocie rozmówić się z moim naczelnikiem, wybrałem się także do obozu. Wyjechaliśmy razem z synem Hermana Potockiego, który ży-

czył sobie, jako ochotnik, zaciągnąć się w szeregi wojska piemontskiego. To zaciąganie się pojedyńczych ochotników nie ulegało żadnéj trudności; król nie chciał tylko pozwalać na rozwinięcie sztandaru narodowego. Pomiędzy ochotnikami, był przez kilka miesięcy Artiur Gołuchowski, brat dzisiejszego ministra Agenora, który na odgłos wojny we Włoszech, wziął paszport i przybył do Genui z postanowieniem dania 80 strzałów do wojsk austryackich za rzeź galicyjską, i tę liczbę chciał święcie dopełnić jako zapłatę za haniebną czynność rządu w cyrkułach polskich dokonaną. Widziałem się z nim gdy już ślubu dopełnił: — „Starałem się, mówił mi, próżno i na wiatr nie strzelać; a choć każdy strzał nie był zapewne celny i skuteczny, mam spokój w duszy, że nie jeden poszedł w swoją drogę nie daremnie.“

Jechaliśmy z Potockim dyliżansem aż do Vidżevano, gdzie była kwatera króla. Wojsko sardyńskie oblegało natenczas Mantuę. Radecki porządkował się w Weneckiem, i po zajęciu Wicencyi i Padwy, koleją brał wszystkie miasta mniejsze, chcąc napad późniejszy zapewnić rozbrojeniem wszystkich małych oddziałów pomocniczych. Za naszym przyjazdem do Vidżevano, usłyszeliśmy huk dział od Mantuy, a w niedługiéj chwili, ujrzeliśmy z obozu króla spieszące bataliony piechoty i szwadrony kawaleryi na pomoc oddziałom będącym bliżéj fortecy. Ruch ten, trwał parę godzin. Dowiedzieliśmy się potem, że oddział kawaleryi austryackiéj chciał wejść do twierdzy, zamierzano mu przeszkodzić; ale podobno przemknął się bezpiecznie, i zamieniono tylko kilka strzałów działowych.

Gdy wojska wróciły do obozu, poszedłem do kwatery p. Zamoyskiego, gdziem zastał księcia Witolda Czartoryskiego, smażącego sobie jajecznicę w rądelku.

Młody książę służył jako porucznik w pułku sabaudzkim, i znajdował się w kilku już utarczkach, gdzie męztwem swojem pozyskał miłość żołnierzy i nazwę *le brave Prince polonais*. Od niego i od p. Zomoyskiego dowiedziałem się, że bardzo opornie szły negocyacye z królem o legion Polski.

Zastałem w kwaterze p. Zamoyskiego, Onufrego Korzeniowskiego, oficera artyleryi polskiéj nad rozłożoną kartą. Z zasępionem czołem wskazywał on punkta zajęte przez wojska piemontskie, i wyraził panu Zamoyskiemu zdziwienie, że król rozciągnął tak długą linią od brzegów Mincio aż do Tyrolu, i tym sposobem rozstrzelił siły swoje: — „Zobaczy pułkownik, mówił do pana Zamoyskiego, że Radecki, skoro się przygotuje, wpadnie na słabą linię, przetnie ją, i popędzi wojska włoskie bez ratunku.“ — Onufremu Korzeniowskiemu trzeba było cokolwiek wierzyć; bo już raz, po odwrocie Radeckiego od Peskiery, gdy wszyscy mniemali, że Austryacy opuszczają Lombardyę, on z ruchów feldmarszałka dostrzegł zamiar uderzenia na Wicencyę; pobiegł do Wicencyi i przestrzegł o tem jenerała Pepe. Ale tam znalazł tak zaślepione umysły sztabu pewnością kompletnéj rejterady wojsk austryackich, że jako podejrzanego agenta, aresztowano go, i wrócono dopiero wolność po wzięciu Wicencyi.

Pan Zamoyski kazał mi wrócić do Medyolanu i czekać na siebie, a tymczasem zrobić nadzieję oficerom polskim, że on pracuje nad przeprowadzeniem legionu.

Za powrotem moim pocztowym dyliżansem, należącym do rządu tymczasowego, otoczyli mię członkowie rady dopytując co się dzieje w obozie. Opowiedziałem ruch ku fortecy, którego byłem świadkiem.

Wszyscy posępnie pozwieszali głowy. Im się zdawało że Mantua już powinna była być w ręku króla. Nadzieję tę żywili z przyczyny zawiązanych stosunków z komendantem twierdzy, jenerałem Gorzkowskim. Nie wiem na jakiéj zasadzie pokładano nadzieje na jenerale austryackim; zdaje się iż dla tego, że nosił nazwę polską. Biada nadziejom pokładanym w Polakach, którzy raz losy życia swego i honoru położyli w służbie nieprzyjaciela kraju. — Walenrodów nie ma, jakkolwiek wielu przybierało na siebie tajemnicze rysy poświęcającego się dla ojczyzny. Leon Radziwiłł, Rzewuscy, a za nimi i Radecki, i Gorzkowski, jakkolwiek Polacy, byli to służalcy, jedni Rosyi, drudzy Austryi i przepadli dla kraju swego; a kto wie, czy nie straszniejszymi wrogami stali się nad samych Rosyan i Austryaków?

Gdym raz wspomniał o Onufrym Korzeniowskim, herbu Nałęcz, którego i druga przepowiednia, o bliskiem złamaniu linji wojsk włoskich, wkrótce się sprawdziła: powiem cokolwiek o bracie jego Ludwiku, uczniu Liceum krzemienieckiego. Tradycyą zostali czteréj przyjaciele, najcelniejsi uczniowie, najotwartsze głowy, najszlachetniejsi młodzieńcy, a którzy, po wielkich nadziejach, smutnie zakończyli życie swoje. Owi czteréj, byli: Ludwik Korzeniowski, Kisiel, Piotrowski i Mikołaj Herczakiewicz. Ludwik Korzeniowski, nietylko kształcił swój umysł, ale postanowił hartować ciało i wzmacniać siły młodzieńcze. Zimą sypiał na dworze, za całą pościel kładąc kilka polanek drew. Kazał sobie sporządzić wydętą laskę z blachy, do któréj po pięć śrucin codziennie dosypywał. Z tą laską chodził zwykle na przechadzkę i ciągle nią wywijał. Po dwóch latach, laska przyszła do ciężaru tak wielkiego, że ledwie dwoma rękami podnosili ją uczniowie dość silni;

Ludwik zaś Korzeniowski wywijał nią z łatwością, podobny do Herkulesa z maczugą. — Uczył się stolarstwa, i po parę godzin na dzień, wolnych od pracy umysłowéj, zatrudniał się heblem i piłą. A gdy ojciec odmówił mu funduszu na podróż, wybrał się z pięciu rublami i książeczką wędrowną cechu stolarskiego. Obszedł po większéj części piechotą, Niemcy, Francyę i Anglię. Po trzech latach, wszędzie jako czeladnik stolarski pracując, wrócił do kraju zbogacony wiadomościami zebranemi w podróżach. Na rodzinnéj ziemi, zakochał się w pannie Dziekońskiéj, i po sporze lekkim w czułych rozmowach, odebrał sobie życie pod oknami kochanki. — Kisiel trudniąc się wychowaniem młodych potomków jakiegoś bogatego domu, nie wiem z jakich powodów napisał na stoliku, przy którym zwykł był pracować: „*Kiep świat i Kisiel na nim;*“ i roztrzaskał sobie głowę pistoletem. — Dziwna filozofia! Jeśli świat jest kiep, to Kisiel który umiał to poznać, nie powinien był kpem zostać. — Piotrowski bawił w Krzemieńcu, gdym ja był na drugim kursie; oddawał się pracy umysłowéj i kochał się zapamiętale w pani Ungebauer, żonie pułkownika rosyjskiego 59 litewskiego pułku. Pułkownikowa prowadziła wosołe życie: mnóstwo miała adjutantów. Piotrowski rozpaczał; ale jego rozpacz nie wzruszała pani pułkownikowéj. — I oto jednego dnia, gdyśmy wychodzili z klas, hurma ludu biegła na ulicę licealną. Studenci polecieli za hurmą, a ja za studentami. — Wchodzimy do otwartego domu, i okropny widok uderza nas. — Piotrowski broczący się we krwi własnéj, leży na dnie łóżka, którego materac i poprzeczki zawaliły się pod ciężarem. Znaleziony list oświecił, że od pięciu dni powziął był zamiar odebrania sobie życia, i dokonał go po naigrawającem się

piśmie od kochanki. — Zgubna filozofia XVIII. wieku wkradła się w serca i głowy szlachetnych młodzieńców; zgubiła wiarę i otworzyła przepaść nicości, do któréj ślepo lecieli ci, którzyby nie jednę usługę wyświadczyć mogli krajowi. — Został był z czterech przyjaciół jeden, Mikołaj Herczakiewicz, który czuwał nad kształceniem się młodych Grabianków, Stanisława i Kajetana. Ale i ten zginął marnie: czarna melancholja strawiła siły umysłu i ciała. — Czczość serca, brak wyższego celu, do którego idzie dusza pobożna, zużyły piękne przymioty od Boga mu dane, i wykazały nicość ludzkiego mędrkowania w obec wiecznéj nie zbadanéj mądrości Pana nad pany.

W Medyolanie, po kilkakroć obzierałem wewnątrz i zewnątrz przepyszną katedrę gotycką, która wielkością swoją idzie zaraz po kościele św. Piotra w Rzymie, i ma 500 stóp przeszło długości, na 250 szerokości; ozdobna jest oknami z kolorowego szkła i posągami świętych z białego marmuru w płaskorzeźbie do koła zewnętrznéj powierzchni. Jest ona jeszcze nie skończona, i zda się że długi czas upłynie, zanim administracya ogromnych funduszów przeznaczonych na jéj dokończenie, przynagloną będzie do pospieszniejszéj roboty. Dzieje téj administracyi porównać się mogą do komisyi pani Rzewuskiéj, gdzie wierzyciele nie odbierają, albo przynajmniéj bardzo żółwim sposobem dostępują swojéj należności.

W dziennikach, milczenie prawie głuche panowało o działaniach w obozie króla. Chciałem, korzystając z przerwy wojennéj, poznać towarzystwo medyolańskie: ale na nieszczęście, nie było w Medyolanie owéj krewnéj Maksyma Azeglia, do któréj miałem jego list polecający. Nie miałem więc przez kogo być wprowa-

dzonym; a żal mi było; bo przystęp do towarzystw Lombardczyków tak łatwobym uzyskał jak we Francyi. Rodziny bowiem téj części Włoch, idą za zwyczajami francuzkiemi, a różnią się zupełnie od książąt rzymskich, którzy u siebie zaprowadzili modę własną, podtrzymując dziwne przywileje kasty.

Ponieważ o tych zwyczajach i przywilejach książąt rzymskich nie wspominałem we właściwem miejscu, nadmienię tu przeto o nich, a razem przywiodę dwa zdarzenia, aby okazać jak owe przez dukow rzymskich zaprowadzone zwyczaje, wyszły na jaw w sposób dość nieprzyjemny dla nich. — Rokiem przed moim przyjazdem do Rzymu, zwiedził to miasto Adam Potocki, syn Artiura, ożeniony z najmłodszą Branicką. Porobił on wizyty w domach wszystkich książąt, gdzie pozostawiał swoje bilety. Ale książęta, wierni zaprowadzonym przez siebie zwyczajom nieoddawania wizyt nikomu, a tylko przysłania zaprosin na wieczory: *Conversatione*, Adamowi Potockiemu nie przysłali swoich biletów. Potocki spotkawszy raz na ulicy księcia Odescalchi, księcia Borghese i księcia Aldobrandyni, przemówił do nich w ten sposób: — „Panowie nie oddajecie mi rewizyty, i proszę abyście do trzech dni, wszyscy u których byłem, karty swoje raczyli przysłać do mieszkania mego. Jeśli wy utworzyliście sobie przywileje książąt rzymskich, to mnie służą przywileje szlachcica, i tych użyję przeciw przywilejom waszym.“ — Do trzech dni, książęta przesłali swoje karty wizytowe Adamowi Potockiemu, przez wzgląd, jak się wyrażali, że był członkiem szlachetnego rodu, który oni wysoko cenią.

Drugim przywilejem, przywłaszczonym sobie przez książąt, jest ten, iż ktokolwiek w Rzymie wydaje wielkie zebranie, oni proszeni, wchodzą do salonu. Zda-

rzyło się, że wielka księżna Leuchtenbergska w przejeździe swoim z mężem przez Rzym, dawała herbatę, na któréj znajdowało się wielu Rosyan i cudziemców. Około godziny 11-téj w nocy wchodzi kilkunastu książąt rzymskich, i po ukłonie zabierają miejsca w towarzystwie. Księżna pyta Rosyan obok siebie, kto są ci panowie? Odpowiadają jéj, że to są książęta rzymscy, którzy chociaż nie proszeni, mają przywiléj znajdować się na wielkich zebraniach. — „Ci panowie wielkąby mi zrobili przyjemność, gdyby sobie wyszli; i zrobi mi przyjemność ten, kto im to oznajmi.“ — Ta wola W. księżny dostała się do panów rzymskich. — Wszyscy wyszli razem. Ale nazajutrz, księżna Leuchtenbergska chcąc zwiedzić galerye malowideł, znalazła je zamknięte dla siebie we wszystkich pałacach książąt rzymskich. Co więcéj, książę Leuchtenberg o południu, ze świtą swoją wyjechał na przejażdżkę konną do parku księcia Borghese. Wtém szwajcar zachodzi mu drogę i zuszanowaniem przemawia w te słowa: „Mój pan, książę Borghese, właściciel tego parku, kazał mi oznajmić jego wysokości, że doznałby wielkiéj przyjemności, gdyby jego wysokość, ten jego park zechciał z całą świtą opuścić natychmiast.“ Nie było sposobu, trzeba było z niepyszna poddać się grzecznéj prośbie, i z pięknego ogrodu wyjechać; bo dostojny teść jeszcze nie panował w Rzymie, i rosyjskich żandarmów nie było do obrony; a sympatya ludu nie wzięłaby zapewne sprawy zięcia cesarskiego pod swoję opiekę.

Na początku sierpnia 1848 roku, już groźne wieści dochodzić zaczęły do Medyolanu. Jak przepowiedział Onufry Korzeniowski, Radecki wpadł pod Widżewano na długą i osłabioną linię wojsk króla Alberta,

stoczył bitwę nieszczęśliwą dla Włochów, i oraz mniéj opierające się szeregi przepędził za Mincyo. W Medyolanie popłoch był niesłychany. Gwardya narodowa otoczyła dom rządu tymczasowego dopytując się o wiadomości od wojska. Młodzież ze wsiów, pojedyńczo garnęła się do miasta ofiarując życie i majątki. Cudzoziemcy z familiami, a nawet niektórzy mieszkańcy, opuszczali stolicę Lombardyi

W nocy z 6-go na 7-go, przybył p. Zamoyski dowiedzieć się co z naszymi dzieje się oficerami? — Wszyscy jeszcze czekali przeznaczenia swego; dwóch tylko z nich: Kwaskowski i Jaźwiński, chcieli dyliżansem wyjeżdżać do Francyi. — Wezwał ich do siebie p. Zamoyski i oznajmił, że król chce bronić się w Medyolanie, a w takim razie, nie podobna bez ujmy własnéj żadnemu z oficerów wydalać się w chwili niebezpiecznéj. Ci panowie upierali się przy swojem; utrzymywali: że będąc z regularnego wojska, a dziś nie mając przeznaczenia, pojedyńczo nie widzą potrzeby narażać się. — Róbcie panowie co chcecie, mówił do nich p. Zamoyski, ja jednak, gdy raz oddaliście się mnie, jako naczelnikowi waszemu, oznajmiam, że nie będę mógł panów inaczéj uważać, tylko jako zbiegów.“ — Po kilku słowach pełnych przechwałek z męztwa dawnego, zostali ci panowie przy swojém, i oddalili się dyliżansem z Medyolanu.

Pan Zamoyski tymczasem polecił swoje rzeczy wysłać do Turynu; a sam przedsięwziął oczekiwać króla i dzielić z nami wszystkimi los armii sardyńskiéj.

Dnia 7. sierpnia 1848, około godziny 10 zrana, wojska piemontskie zajęły linię obronną pod miastem na wałach; a Radecki zaczął działać artyleryą, i już huk armat rozlegał się w mieście. Oddziały wojsk króla przedstawiały widok najsmutniejszy. Szykowano

piechotę i kawaleryę, ale w każdym pułku mundury były rozmaite. Zupełny nieporządek opanował armię, która przedstawiała *en petit* to wszystko, co nam piszą o armii francuzkiéj przy jéj odwrocie z Moskwy. Król ze sztabem przejeżdżał kilkakrotnie ulice miasta i udawał się to na linję wojsk swoich, to na linję drugą uformowaną z gwardyi.

Wysłałem rzeczy p. Zamoyskiego dyliżansem do Turynu, dając adres hotelu europejskiego, i do tych rzeczy dołączyłem mój kuferek podróżny z bielizną i ubraniem, kładąc kartkę z nazwiskiem p. Zamoyskiego, pewny, że z nim razem będę czy tu, czy daléj.

Tymczasem mieszkańcy miasta od bramy Medyolanu zaatakowanéj przez Radeckiego, zaczęli wznosić barykady na ulicach, opatrując każdą zbrojnymi. Umieściłem się w jednéj z takich barykad z karabinem w ręku, postanawiając dzielić los mieszkańców. Strzały coraz gęściéj słyszeć się dawały. Pan Zamoyski był przy królu. Ja w barykadach słyszę protestacye gwardzistów i ludu, że po ich tylko trupach, Austryacy wejdą do miasta. Przy dobrym zmroku, dopiero o godzinie 10, strzały cichnąć zaczęły; a niezadługo, około 11 w nocy, płacz i jęk rozlegać się zaczął w barykadach: Doszła wieść, że zawarte zostało zawieszenie broni, w moc którego, król oddawał miasto. — Konsul francuzki zawezwał wszystkich protegowanych i poddanych Francyi do konsulatu swego, oznajmując, że gdy miasto, mimo króla, chce bronić się on musi myśleć o bezpieczeństwie poddanych Francyi. Zatrzymałem się jeszcze w barykadzie, i oto po godzinie 3-ciéj po północy, co się stało w mieście: — Gwardya narodowa medyolańska otoczyła dom, w którym król stanął i zaaresztowała go z całym jego sztabem, oznaj-

mując, że zmusi króla bronić się łącznie z miastem, które na zgubę naraził. — Tymczasem pułk kawaleryi piemontskiéj dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie swego monarchy, wszedł do miasta, gwardyę narodową rozpędził, i króla uprowadził do obozu. Podesta Medyolanu wyszedł z przełożeniami do gwardyi narodowéj, że król pokoju z Austryakami nie zawarł, ale dla uratowania armii, i dla zachowania jéj na dalszą wojnę, musiał zrobić pewne ustępstwa, którym mieszkańcy Lombardyi, jeśli kochają ojczyznę, poddać się powinni. W skutek takich układów, Medyolan musi być zajęty przez Radeckiego, i d. 8-go sierpnia o godzinie 2-giej z południa, wejdą pułki austryackie: ulice przeto muszą być oczyszczone z barykad. — W moc kapitulacyi, do godziny 1-széj, brama nazwana rzymską, i druga prowadząca do Nawarry, otwarte będą dla wszystkich, którzy wyjść chcą z miasta; a w Bogu nadzieja, że rzeczy jeszcze zmienić się mogą późniéj na korzyść sprawy włoskiéj.

Od godziny 6-téj zrana powstał w mieście ruch wielki. Przechodziły wojska piemontskie drogą do Nawarry. Tą drogą udał się p. Zamoyski z bratem swoim najmłodszym, Stanisławem, który za paszportem rosyjskim przyjechał w owym czasie do Francyi, a ztamtąd udał się do brata, i z nim razem, jako ochotnik, uczestniczył w całym odwrocie armii króla Alberta od Widżewano. Za armią, kilkadziesiąt powozów obywateli medyolańskich wiozło rodziny, które nie chciały oczekiwać przybycia Austryaków. Rozdzierający był widok téj emigracyi dobrowolnéj, opuszczającéj kraj, domy, majątki, a udającéj się za królem aby oczekiwać szczęśliwszych czasów daleko od ojczyzny! — Widziałem bogate panie w jedwabnych sukniach, z małém

zawiniątkiem w ręku, wychodzące piechotą z miasta; widziałem dzieci czepiające się sukien matki lub ręki ojca, uchodzące od prześladowań Austryaków. Wszystko to za armią dążyło do Nawarry i do Turynu.

Gdy już spełnione były obowiązki nasze w Medyolanie, i ja wyszedłem z miasta z sercem ściśnioném: przejmował mię i żal nad nieszczęściem obecném Lombardczyków i przypomnienie klęsk własnéj ojczyzny i stolicy naszéj, z któréj podobnie wychodzić musiały rodziny polskie po kapitulacyj Krukowieckiego.

Moje rzeczy, jakem wspomniał, poszły do Turynu. Ja więc lekki, nawet od dwóch dni nie przebrany, bez laski, bom jeszcze miał silne nogi, spieszyłem w drogę kładąc sobie za cel rejterady Genuę, gdziem się spodziewał jeszcze znaleźć panią Giżycką i Maryę, jéj córkę, do któréj, jak to zwykle bywa, tęskniło serce. Bo tęskni ono najżywiéj w chwilach nieszczęścia, takby rade i wesele i boleść podzielić z najdroższą dla siebie osobą. Mil 24 czy 28 było do Nawarry, (co znaczy werst 40) ja przyspieszonym krokiem dążąc, około godziny 9-téj wieczór, stanąłem w téj twierdzy napełnionéj już wojskiem piechoty, kawaleryi i licznymi wychodzcami z Medyolanu. Zmęczony pieszą podróżą, szukałem przytułku. Ale wszystkie domy gościnne, a nawet prywatne, zajęte już były. Wszedłem do małego sklepiku na dole, i za napoleona (5 rub. sr.) znaleziono dla mnie pokoik i łóżko pod strychem, dokąd zaraz służący domu zaprowadził mię. Rzuciłem się bez sił prawie na pościel, i bardzo prędko usnąłem. O północy budzi mię stuk we drzwi moje. Wchodzi służący, i prowadzi za sobą oficera od piechoty sardyńskiéj, który zaczyna czule przemawiać do mnie, abym pozwolił na połowie łóżka mego przenocować:

„Mój drogi panie! — prosił mnie błagającym głosem; — trzy dni nie spałem, a tydzień cały nie zdejmowałem ani sukien, ani obuwia. Pozwól mi, proszę, dla miłości świętéj Madonny, przenocować obok siebie!“ — Naturalnie, że zezwoliłem; ale gdym wspomniał w tejże chwili o owém nieszczęsném nierozbieraniu przez dni siedm, i o konieczności spania pod jednym nakryciem z tak możebną nieczystością, porwałem konwulsyjnie za ubranie moje. W pięć minut byłem na nogach z postanowieniem puszczenia się nocą w podróż dalszą.

Miałem piędziesiąt lujdorów w kieszeni i puściłem się nocą bez obawy. Dziś, dziwię się jak w takim groźnym czasie, śród rejterady wojska i ludności; w kraju słynnym z rozbojów, mógłem cało i nieobdarty taką przestrzeń drogi zrobić.

Zbliżając się do Vercelli (Werczelli), o 15 mil odległéj od Nawarry, co znaczy werst 25, słońce już weszło wysoko i zdybywałem podróżnych na przeciw mnie powozami i pieszo dążących do Nawarry. Mówiono mi, że Francuzi idą już na pomoc, że są około Turynu i że najdaléj wieczorem odbiorą Medyolan. Piękne wieści z których się śmiałem, bom wiedział, że już Lamartine nie rządzi, i że Kawaniak będzie ostrożniejszy w obietnicach swoich. Wyborne są słowa Metternicha, mieszkającego w Londynie wtenczas, gdy w Paryżu nastąpiła przemiana rządu, w skutek któréj Kawaniak stanął na czele Francyi po dniach czerwcowych. Jeden z przyjaciół Metternicha wszedł do niego zmieszany: — „Mauvaises nouvelles Prince! Nous aurons la guerre avec la France.“ — „Et pourquoi? zapytał Metternich — „Parceque Cavaignac est à la tête du gouvernement, et que c'est un général.“ — „Erreur, mon ami, rzekł Metternich — Nous n'aurons par la guerre

juste parceque c'est un général qui gouverne. Dans une république, la guerre est commandée ordinairement par les hommes, qui ne vont pas se battre, mais envoient les autres pour risquer leurs vies, et se reservent eux mêmes pour ramasser des lauriers. Si c'est un général qui commande, il ne voudra pas abandonner le pouvoir, aller se faire tuer sur le champ de bataille et abandonner le pouvoir suprême aux autres." Z Kawaniakiem, sprawdziły się przepowiednie Meternicha: Karol Albert po klęsce i odwrocie, zażądał pomocy od rządu francuzkiego; ale naczelnik rządu wyraził się, że użyje dyplomacyi dla zawarcia pokoju Piemontu z Austryą; i zawezwał na konferencyą do Brukselli obie strony. Austrya przyjęła propozycye, bo wiedziała, że do konferencyi nie przyjdzie, a jéj o nas chodziło.

O godzinie 10 z rana, stanąłem w Werczelli. Kupiłem sobie bieliznę na przebranie się; kazałem sporządzić kąpiel, i po sowitéj przekąsce, zamówiwszy dyliżans na dzień drugi, na 8-mą z rana do Turynu, układłem się do spoczynku, a bez przerwy spałem resztę dnia i noc całą. O 4-éj z rana obudziłem się nazajutrz i siadłem do zamówionego dyliżansu. W Turynie udałem się do hotelu Europejskiego; prosiłem gospodarza o rzeczy p. Zamoyskiego; zaręczałem go, że między temi rzeczami jest moja waliska, od któréj klucz mu pokazałem. Ale próżne były prośby moje, aby mi pozwolił zmienić suknie. Chciałem zostawić mu 25 luidorów w zastaw, ale oparł się wszelkim naleganiom: bez p. Zamoyskiego nic mi wydać nie chciał. Kupiwszy więc sobie surdut na tandecie, wziąłem miejsce do Genui, zostawiając list do p. Zamoyskiego, w którym oznajmiałem mu miejsce dokąd się udaje, tłumacząc się, że

po odwrocie wojsk sardyńskich, gdy sądzę, że na ten raz nie będę na nic użytecznym, jadę odpocząć do Genui.

Nazajutrz przejechawszy przez Aleksandryę, piemoncką twierdzę, stanąłem około pierwszéj po południu w Genui, i zaraz udałem się powitać panią Giżycką i Maryę, jéj córkę. Zastałem państwa Grocholskich. Pani Stefania powiła szczęśliwie córeczkę, któréj dano imię Marya — i w ogrodzie nieraz zastawałem maleńką Marylkę, kołysaną na rękach panny Maryi Giżyckiéj. Nie długi miał być pobyt téj szanownéj rodziny w Genui. Pani Sobańska ze starszą córką pani Giżyckiéj, Wiktoryą, miała tu dłużéj pozostać; sama zaś pani Giżycka wyjeżdżała do Krakowa, a ztamtąd na Wołyń, opuszczając na zawsze kraje zachodnie. Trzeba więc było bezpowrotnie pożegnać się z marzeniami, pożegnać na zawsze Maryę, która wracała do kraju, a ja zostać miałem na wygnaniu, i ciągnąć to tułacze życie daleko od ojczyzny i rodziny mojéj. Połowa duszy opuszczała mię. Sumienie wzbraniało odsłaniać uczucia moje, nalegać, próbować zatrzymać tę, która sama tylko mogła osłodzić dnie wygnania, ale osłodzić podzielając to wygnanie, zrzekając się domu, ojczyzny, rodziny. Pytać nawet nie należało mi. Dniem tylko przed wyjazdem pani Giżyckiéj, ośmielilem się nakreślić i oddać Maryi kilka zwrotek pożegnania mego. Oto są te wiersze ze łzami wówczas kreślone, ze ściętem sercem oddane Maryi dnia 16 sierpnia 1848 roku, w wilią odjazdu, gdym jéj dobranoc oddawał:

Pożegnanie Maryi.

Za godzin kilka — serce się krwawi,
Za godzin kilka — żegnać cię trzeba!

Myśl cię wygnańca pobłogosławi,
Za tobą pójdzie pod inne nieba.

Gdzie lud gościnny, gdzie lud cierpiący,
Gdzie ziemia piękna, a nieszczęśliwa,
Gdzie Słucz skalista, Horyń szumiący,
Gdzie złotym kłosem faluje niwa.

Gdzie zimą śniegi gwiazdami świecą,
Lato bez spieki świeżością wieje:
Tam staniesz wkrótce, i tam polecą
Za tobą wszystkie moje nadzieje.

Lat siedmnaście, myśli złowieszcze,
Bóle, tęsknota, sercem szarpały. —
Przez ciebie wiarą, przez ciebie jeszcze
Innem uczuciem piersi zagrały.

Za głos pociechy, za dar z twéj ręki,
Za chwile marzeń tęsknego łona,
Córko Wołynia! mojemi dzięki,
Modły mojemi bądź błogosławiona!

Niech cię owieją wiatry rodzinne,
Wonią pozdrowią twoje przybycie;
Niech cię kołyszą sny dobroczynne,
Niech szczęścia kwiaty stroją ci życie!

Spełnione twoje myśli i chęci
Przyniosą ulgę mojéj żałobie,
Wspomniesz mię, albo zatrzesz w pamięci, —
Ja nie zapomnę nigdy o tobie!

Nazajutrz rano dnia 17 sierpnia, pani Sobańska całą rodzinę swoją i mię prosiła na obiad. Poszedłem rano do pani Giżyckiéj. Już ona z córkami starszemi i zięciem poszła była do domu swéj matki. Zastałem Maryę przechadzającą się po ogrodzie. Zbliżyłem się

nieśmiało i oddałem dobry dzień. Pierwszy raz zajrzałem jéj w oczy po oddaniu zwrotek mego pożegnania. Marya oblała się pąsem i wyjąknęła te kilka wyrazów: — „Ja panu sprzyjałam jak bratu memu; a pan wziął to może za inne uczucie. Cóż ja mam zrobić z temi wierszami?“ dodała, patrząc mi w oczy. Zacisnąłem zęby z boleści. — „Wiem, pani, rzekłem, że mi nie wolno mieć nadzieję! — i śmiało mogę ją zapytać, czy domagałem się kiedy jakiego uczucia? Jestem wygnańcem, i kocham panią, ale nigdy nie roiłem sobie, aby osoba kochana przezemnie, dla mnie zrzekać się miała rodziny i ojczyzny. Zostawiam pani wolność zdarcia tych wierszy, które jéj na pamiątkę napisałem. Pamiątka moich uczuć, zostanie w sercu mojem, i ja nic więcéj nie żądam.“ — Marya zalała się łzami, odeszła kilka kroków, i z zapłakanemi oczami chodziła po bliskiéj alei ogrodowéj. Istotnie, dziś sobie za zasługę uważam, że w chwili jéj wzruszenia nie poszedłem za nią, nie chciałem jednego słowa błagalnego wymówić; z daleka tylko patrzałem na jéj rozczulenie, i wkrótce wolnym krokiem oddaliłem się do czekającego nas towarzystwa u pani Sobańskiéj. Po smutnym dla mnie obiedzie, pani Giżycka pożegnała matkę, i poszliśmy wszyscy do dyliżansu odprowadzić ją, państwa Grocholskich i Maryę. W przedniéj części dyliżansu usiadła pani Giżycka; Marya usiadła w drugiéj i czekała na Mieczysława, który z nią miał usieść. Nim przybył, zbliżyłem się do drzwiczek, i porwawszy jéj rękę, gorącemi i boleśnemi obsypywałem ją pocałunkami. „Kiedyż się zobaczymy?“ — zapytała mię drżącym głosem, a oko jéj, całem niebem łaski poglądało na mnie. — Przyszło mi na myśl, po tylu zawiedzionych nadziejach, po téj wojnie włoskiéj, wracać do kraju, usiłować wy-

jednać sobie powrót; i pojrzawszy jéj w oczy, wyjąknąłem: — „Za rok, będę się starał być na Wołyniu, — za rok więc, albo nigdy już się nie obaczymy.“ — Łzy mi w oczach stanęły, — i, w tym momencie, usłyszałem szmer za sobą. Odwracam się i widzę panią Sobańską, matkę pani Giżyckiéj, patrzącą na mnie przez lornetkę. Rzuciłem się przestraszony; — ale poczciwa staruszka łagodnie na mnie spojrzała. Była ona pewnie świadkiem gdym rękę Maryi trzymał w mojéj, i gdym na téj ręce ostatnie składał pocałunki; — a jednak, nie tylko nie dostrzegłem gniewu na jéj twarzy, ale owszem, jakiś wyraz politowania i łaskawości. Wszystko więc, wszystko co duszę obwijało promieniem uroczym i dawało znosić boleści wygnania, — wszystko dla mnie znikło z odjazdem Maryi! — Ja szalony wpadłem do Michała Wiszniewskiego, który z żoną, synem i dwoma córkami bawił w Genui po wzięciu Medyolanu. Zapoznałem się z nim jeszcze w stolicy Lombardyi, i tu częstym bywałem gościem. Michał Wiszniewski, niegdyś profesor logiki i prawa naturalnego w Krzemieńcu, odebrawszy sukcesyę po bracie swoim, który dożywocie dość znacznego majątku zapisał jemu, a dziedzictwo jego synowi, osiadł był w Krakowie, a późniéj w Medyolanie, gdzie syna umieściwszy u bankiera, sposobił go, aby z majątkiem po stryju, stanął kiedyś sam na czele bankowego domu. Przy bibliotece Jagiellońskiéj, zaczął on i doprowadził do końca znakomite dzieło swoje: Historyę literatury polskiéj, i dziś jeszcze ciągle zajęty był umysłowemi pracami. Pełen nauki, a w towarzystwie nie pedant, w każdéj rozmowie umiał pociągać do siebie. Wiedział o mojéj miłości do Maryi, bo nieraz spotykał mię w domu pani Sobańskiéj. Szczerem sercem użalił się nad boleścią mego rozdziału. —

W jego towarzystwie, znalazłem osłodę, wspominając Krzemieniec i ludzi jemu i mnie znanych: w przeszłości starałem się gorzką utopić teraźniejszość. Kilka dni zabawiłem jeszcze w Genui, a chciałem coprędzej dostać się do brata mego w Paryżu. Jednego dnia odbieram z Paryża list od krewnéj mojéj Józefy Wyrzykowskiéj, która od roku przybyła z kraju do Francyi, a dowiedziawszy się o pobycie moim w Genui, przysłała mi list na ręce Sobolewskiego, wzywając, abym do niéj przyjechał. Już od kilku dni miałem zamiar udania się do Paryża; ale czekałem na pozwolenie księcia, do któregom o to pisał. Odebrawszy list od niéj, tak mi żywo stanęły w sercu i pamięci czasy dziecinne i familia moja, że nie czekając aż mi książę pozwoli, napisałem drugi list do księcia Czartoryskiego, przepraszając, że uzurpuję sobie naprzód pozwolenie jego i jadę natychmiast do Paryża, lękając się, aby krewna moja nie odjechała. Poszedłem wieczorem pożegnać panią Sobańską, a wprzód jeszcze pana Sobolewskiego. Uderzyło mię przed odjazdem, że pan Sobolewski prosił najusilniéj, abym, w razie gdyby mię co dłużéj przytrzymało w Genui, przeniósł się do jego mieszkania. U pani Sobańskiéj, pan Moszczeński zajmywał mię długą rozmową, i tak wyraźnie mi się zdawało jakoby chciał coś powiedzieć i nie śmiał. Panna Wiktorya Giżycka nadzwyczaj była łaskawa dla mnie: wynajdywała przedmioty mogące mię rozerwać, i zaproponowała przechadzkę z babunią. Poszliśmy do bliskiéj willi, gdzie pani Giżycka wprzód mieszkała. Przechadzaliśmy się po tym samym ogrodzie gdzie ostatni raz żegnałem Maryę i gdzie ona płakała, nie wiem jakiemi przejęta myślami; bo jużci pewnie nie odpowiadając boleści mojéj, gdym wyjąkiwał rwące się ze zranionego serca wyrazy.

Nie wiem czy domyślały się te panie co się w duszy mojéj na téj przechadzce działo; ale tak mniemałem, bo nie zwykła dobroć i łaskawość przeglądała z oczu i panny Wiktoryi i pani Sobańskiéj. Staruszka zaczęła wypytywać mię, jak urządzony nasz majątek? Czy rząd go skonfiskował? Czy można z niego co wyratować? Nie pojmowałem tych zapytań. Niestety! w tydzień potem, rozwiązałem zagadkę boleśnie a okropną dla mnie! Na ten raz jednak, pożegnałem tę całą familię ze łzami dla nich, bom ich wszystkich przyzwyczaił się za najbliższych uważać. O świcie nazajutrz, zapłaciłem miejsce na statku parowym do Marsylii, a we cztery dni już byłem w Paryżu.

V.

Powrót do Paryża. — Okropna wiadomość od krewnej mojej. — Pożegnanie z bratem. — Nowe obowiązki dane mi od księcia.

Zastałem brata mego Wincentego nadzwyczaj zmienionego: blady był i smutny, a w odpowiedziach na tyle pytań cisnących się po długiem niewidzeniu, tak był małomowny, tak bez związku i urwane z ust jego wychodziły słowa, żem nie mógł pojąć, czy słabość, czy ciężka boleść go uciskała. Próżno jednak chciałem go do braterskiego przywieść zwierzenia. Ciągnął mię coprędzéj do krewnéj naszéj, Józefy Wyrzykowskiéj, z domu Trypolskiéj, a połączonéj z nami nie tylko

krwią, ale i wspomnieniami lat dziecinnych i młodzieńczych. Jéj brat Antoni, przechodził z nami szkoły lubarskie i krzemienieckie; ona sama i jéj siostry, po śmierci matki naszéj, w domu ciotki mojéj a jéj matki uczyły się razem. Rodzice nasi i my wszyscy z niemi, składaliśmy jakby jednę rodzinę. Witając tę krewnę, po kilkunastu latach rozłąki, postrzegłem, że było coś, co zawadzało wylaniu się braterskiemu. Zatrzymała nas na obiad u siebie. Rozmowa szła nie gładko; ja tylko jeden, jakby najszczęśliwszy, sypałem opowiadaniami zdarzeń długiéj wędrówki, a ledwie przy końcu obiadu zacząłem o rodzinę badać. Józefa dostała list świeżo od rodziców z poczty odebrany, i cedziła ustęp końcowy jakby syllabizując te słowa: — „Brat nasz Ignacy mocno chorował —“ a dodała sama: — „i zdaje się, że jeszcze jest chory . . .“ — Na tych słowach ucięła. Wtenczas naraz stanęły mi ostatnie chwile w Genui: owe zapytania dziwne pani Sobańskiéj, owa grzeczność nie zwykła i jakaś litość okazywana przez pannę Wiktoryę i nadzwyczajna troskliwość p. Sobolewskiego. Ciemny obłok przeszedł mi po oczach. Zerwałem się od stołu, podchodzę do krewnéj naszéj i biorąc ją za rękę wyjąknąłem: — Powiedz mi prawdę, — Ojciec nasz nie żyje? — Józefa zamilkła, a potok łez mimowolnie rzucił mi się z oczów — ryknąłem boleśnie i padłem na kolana głośno odmawiając *Anioł Pański.* O drogi, o biedny mój Ojcze! Wiedziałem jak on łudził się nadzieją do chwil ostatnich, że jeszcze nas ujrzy. Bóg mu dał siły i zdrowie mocne; na wsi u krewnego naszego Antoniego Trypolskiego bawił w czasie cholery, a siostra nasza, jego córka, Aleksandra Lasocka mieszkała z dziećmi dla ich wychowania w Żytomierzu, gdzie wówczas najsilniejsza objawiła się cho-

lera. Ojciec pojechał od siostrzeńca do niéj, i drugiego dnia po przyjeździe, Bóg powołał go do siebie. Złamał się na tę wiadomość okropną dla mnie cały hart duszy mojéj. Zniknęły obowiązki pracowania dla Ojczyzny: śmiercią jego zdało mi się na chwilę, że kraj rodzinny wołał mię do siebie abym grób jego oblał łzami, gdy nie mogłem być przy łożu jego boleści, czuwać nad nim, odebrać ostatnie błogosławieństwo, ostatnią oddać posługę. Zmartwiały prawie, wróciłem z bratem do pomieszkania naszego. Przepędziliśmy prawie noc całą na wspomnieniach lat dziecinnych i na wspomnieniach o cnotach ojca, tak czule, tak silnie nas kochającego. Boże wszechmocny! Wypełniła się wola Twoja nad nami. Ty kazałeś abyśmy go już nigdy nie mieli, aby ów rozdział z nim w kryminale lwowskim, jego pożegnanie chwilowe, było ostatniem na téj ziemi pożegnaniem! Ale Ty Boże w miłosierdziu swojem, pozwolisz do końca naszéj wędrówki na tym padole płaczu, aby duch jego i pamięć o nim, czuwała nad nami, których opiece jego oddałeś; dozwolisz, aby jego cnoty kierowały wolą i uczuciami naszemi; — dozwolisz, abyśmy, spełnianiem Twoich przykazań i woli Twojéj, zasłużyli sobie w drugiem życiu z nim się połączyć, a po sobie mogli zostawić taką pamięć jak on zostawił, takich łez kilka wycisnęli żalu, jakie on wycisnął nie tylko z oczów naszych, dzieci swoich, ale i z oczu krewnych, przyjaciół i znajomych.

Po tym dopiero dniu boleści i nocy prawie bezsennéj, poszedłem z bratem do księcia Adama. Książę, lubo uzurpowałem sobie pozwolenie powrotu do Paryża, łaskawie mię przyjął. Był on świadkiem boleści brata mego przed tygodniem, gdy ten w jego kancelaryi pracując, zemdlał naciśniony ciężkim żalem sy-

nowskim na wiadomość o śmierci naszego ojca. Raczył mię pocieszać i zachęcać na pokorne zgodzenie się z wolą Boga, a upominał do dalszéj pracy która złagodzi boleść moją. — „Pan Janusz Woronicz, mówił mi książę, i dla interesów swoich, i dla interesów sprawy, opuszcza nie zadługo Paryż. Chciałbym, aby brat pana wyjechał do Serbii, Wołoszczyzny i Węgier; a pan będziesz musiał zastąpić mi Janusza Woronicza, i objąć kancellaryę polityczną aż do jego powrotu. Niech pan do jutra obezna się ze sprawami, które się toczą po różnych punktach naszego działania.“

Oto jaki był, wówczas gdym miał obejmować kancellaryą księcia, stan polityczny Europy i czynności naszych:

Karol Albert, król sardyński, aby ocalić wojsko swoje, i aby za zdeorganizowanemi siłami jego nie poszedł Radecki, zawarł kapitulacyą na następnych warunkach:

1. Medyolan miał być oddany wojskom austryackim. 2. Garnizon sardyński miał wyciągnąć z Peskiery, a ta twierdza miała być zajętą zaraz przez wojska Austryi. 3. Od Wenecyi, zajętéj siłami tam uformowanemi, a którym król rozkazać nie mógł aby się poddały, odstąpić miały trzy fregaty sardyńskie i tym sposobem nie bronić jéj od morza. Pod temi trzema warunkami, zawieszenie broni trwać miało, dopókiby na trzy dni wprzódy, jedna albo druga strona nie wypowiedziała rozpoczęcia kroków wojennych. Król wiedział w starciu się z Austryą, iż pomimo męztwa niektórych pułków swoich, pomimo dobréj artyleryi, brakło mu jenerałów, a szczególniéj jenerała mogącego naczelnie dowodzić, — i zgodził się, na przedstawienie pana Władysława Zamoyskiego, aby wezwać jenerała Chrza-

nowskiego, niegdyś dowodzącego znacznym korpusem polskim w wojnie 1831 r. Przyjął legion polski Mickiewicza do kadr swojego wojska, i umieścił w stopniach właściwych wielu oficerów polskich.

Pośród klęski wojska sardyńskiego, legion pod Kamieńskim będący w Tyrolu, pięknie się odznaczył i zasłużył sobie na względy króla. Cofając się do wojsk sardyńskich, natarł na 150 ludzi tego legionu cały batalion austryacki. Legion bronił się mężnie, mężnie przewodził mu Kamieński; ale kula karabinowa obala go na ziemię. Ciężko rannego, gdy Austryacy chcą pochwycić, żołnierze polscy nadstawiają bagnety i uderzaja, nie bacząc na przemagającą siłę całego batalionu austryackiego. Kilku żołnierzy bierze na ręce pułkownika swego, a reszta bagnetem i piersiami swemi zasłaniają dowódzcę. Mężne natarcie jedno i drugie, ustraszyło nieprzyjaciół; przepędzeni zostali aż pod zasłonę Dezencano, małéj forteczki, opanowanéj przez wojska Radeckiego, i spokojnie dozwolili Polakom cofać się z pułkownikiem rannym. W Brześciu złożono Kamieńskiego. A gdy to miasto kapitulować musiało, w warunkach kapitulacyi zastrzegło, aby Kamieńskiemu wolno było w szpitalu miejskim wyleczyć się, a po wyleczeniu się, swobodnie odjechać do Turynu.

Pułkownik Breański w oczach króla pod Medyolanem, gdy na koniu sztabu królewskiego docierał aż do pierwszéj linii dział austryackich, miał pod sobą rannego konia. Spadł pułkownik, a koń kulejący biegł w szeregi nieprzyjaciół. Breański kłusem pobiegł za koniem i rannego schwycił za tręzlę. Król łaskawie przemówił do wracającego: — „Le cheval ne valait pas la peine pour que vous risquiez votre vie en courant après lui.“ — „Pardonnez moi Sire, odpowiedział

Breański; — le cheval n'etait pas à moi, mais il appartenait à votre etat majour. Je suis venu ici pour offrir mes services à l'Italie et me faire utile; — je ne voulais donc pas qu'inutilement soit perdu un cheval qui ne m'appartient pas.“ Ta odpowiedź zjednała Breańskiemu nominacyą jeneralską w wojsku sardyńskiém. Król od czasu kapitulacyi skłaniający się całą siłą reorganizować armią, zgadzał się już na legiony i jenerałów polskich. Pan Zamoyski z polecenia króla wyjechał do Drezna po Chrzanowskiego, a książę Witold Czartoryski wyprawiony został do Konstantynopola, aby z tamtąd przywieźć ile można żołnierzy polskich. Jednocześnie miało dwóch oficerów przybyć do Paryża, aby zbierać ochotników z emigracyi do formować się mających legionów polskich.

Tak tedy Austrya, z jednéj strony mając przed sobą zawieszony oręż Karola Alberta, który gotował się do nowéj wojny, musiała dopełniać pułki włoskie, i myśleć o posiłkach dla Radeckiego; — a tu z drugiéj strony, nowy wewnętrzny nieprzyjaciel groźnie powstawał. Po podpisaniu konstutucyi węgierskiéj przez cesarza Ferdynanda na nalegania deputacyi przewodniczonéj przez Kazimierza Batyaniego, i po nadaniu nowych przywilejów, a raczéj zwróceniu dawnych despotycznie wydartych sejmowi, gdy gubernator Węgier, arcyksiążę Stefan, bezwładny, ustąpił miejsca władzy sejmowéj agitowanéj przez Kossuta, i wyjechał z Pesztu; cesarz wysłał z pełną mocą zarządu w Węgrzech Lembergera, feldmarszałka; ale ten przez pospólstwo Pesztu zabity został. Wysyłano pułki z Wiednia na poskromienie buntowników. Ale sprawiedliwość Boża czuwała: — Bach, deputowany na sejmie frankfurtskim i studenci wiedeńscy, robią nową rewolucyą

w Wiedniu; mające się wyprawić pułki do Węgier, rozbrajają; — cesarz uchodzi ze stolicy swojéj, a studenci obejmują rząd; i stolica Habsburgów bez rządu, w zamieszaniu, pierwsza daje przykład rozprzęgania się monarchii. Wiedeń gotuje się do obrony. Windiszgrätz, feldmarszałek, z wojskami zebranemi z Czech i Galicyi, i z niektóremi pułkami Austryi niższéj i wyższéj, podstępuje pod Wiedeń, który przed nim bramy zamyka i gotuje się do obrony w nadziei, że Węgrzy uderzą na wojska austryackie i wesprzą rewolucyą. W Wiedniu, Bem, były jenerał artyleryi polskiéj, urządza obronę. Pomagają mu studenci, i w te działania przygotowawcze, miesza się nieszczęśliwie Edward Jełowicki, oficer artyleryi polskiéj, który przypadkowie odprowadzając siostrę swoją Sobańską, znajduje się w téj chwili w Wiedniu. Mimo przygotowań mieszkańców wiedeńskich pod przewodnictwem Bacha, Bema i pomocy biernéj tylko Edwarda Jełowickiego, gdy nadzieja odsieczy ze strony Węgrów znikła, a Windiszgrätz ścisnął miasto i pod rogatki podstąpił; Wiedeń zamyślał o poddaniu się, a przewódzcy o ratowaniu życia ucieczką. Bach, zaufany w charakterze posła niemieckiego na sejm frankfurtski, pozostał. Bema wyniesiono zręcznie w trumnie, jakoby umarłego, mającego się grzebać za miastem. Edward Jełowicki z paszportem Niemca, lokaja damy francuzkiéj, gdy na rogatkach zapomniał nazwiska przybranego, został zatrzymany. Wiedeń poddał się, Windiszgrätz, pan stolicy, zaczął rząd od karania winowajców. Szło o pokazanie Europie, że rewolucyą nie zrobili Wiedeńczycy, zawsze wierni Habsburgom, ale cudzoziemcy. Sądem wojennym rozstrzelano Bacha, którego dostojność deputowanego frankfurtskiego nie ocaliła; — na śmierć został skazany i Edward Je-

łowicki. Sąd jednak, tyle znalazł w nim winy, że artyleryę oglądał, że przypatrywał się manewrom; ale czynny udział w przygotowaniach brał tylko Bem. — Przedstawiano Windiszgrätzowi, że Jełowickiego powinien ułaskawić. Jenerał sam to widział; ale odpowiadał wnoszącym instancyę: — „Dajcie mi Bema, to oddam dwóch Jełowickich. Ale kiedy tamten się wymknął, ja muszę kazać rozstrzelać Jełowickiego, bo całą rewolucyę wiedeńską zrobili Polacy duchem swoim buntowniczym. Ja to powinienem wykazać Europie a gdy najwinniejszy Bem umknął, Jełowicki musi za niego pokutować.“ — Poczciwy ten człowiek, gotów zawsze na poświęcenie się dla Polski, ale niewinny zupełnie w obwinianiu o rewolucyą wiedeńską; wyprowadzony był na plac po chrześciańskiém przygotowaniu się na śmierć i poddaniu się woli Bożéj. — Dwudziestu czterech żołnierzy strzelało do niego, i wszystkie strzały chybiły. Na wyższy rozkaz, przybliżył się do niego jeden żołnierz, i *à bout portant*, i przeszył mu piersi.

Gdy Windiszgrätz podstąpił pod Wiedeń, gdy można było spodziewać się obrony zaciętéj ze strony miasta, a krwawego nacierania wojsk oblegających, Zygmunt Krasiński będący wówczas w Szwajcaryi, napisał cudny wiersz na ruinę Wiednia, gdzie przepowiadając jego zniszczenie, pożogę i rzeź w stolicy austryackiéj, każdą strofę kończył wykrzyknikiem:

Na dziś o Wiedniu, Sobieskiego nie ma!

Windiszgrätz, przywiódłszy Wiedeń do posłuszeństwa, zwrócił swoje wojska na Węgrów. Kossut i Goergej nie silni jeszcze, zebrawszy pułki konsystujące w Węgrzech przed przeważną siłą austryacką,

opuścili Preszburg a potém Peszt i Budę, a zwiększając swoje zastępy, umyślili rząd przenieść do Debreczyna, zostawiwszy w Węgrzech mocną twierdzę Komorno, pod dowództwem Klapki, z zamiarem rozszerzać powstanie pod zasłoną fortecy Temeszwar.

Bem zbiegły z Wiednia, przyszedł do Kossuta; ale tam zastał już chmurę demokratów przybyłych po niedoszłém powstaniu w Krakowie, we Lwowie, i mnóstwo młodzieży galicyjskiéj, garnącéj się pod dowództwo Józefa Wysockiego, b. porucznika wojsk polskich, ucznia szkoły artyleryi francuzkiéj w Metz, który tu podał się jako major. Przedstawiono Kossutowi Bema jako arystokratę i mogącego zdradzić sprawę. Nie świadomy naszych stronnictw i niesnasek Kossut, zostawił Bema bezczynnym, a sam gotował się z siłami swemi odpierać postępy jenerała austryackiego Puchnera, który oddzieliwszy się od armii Windiszgrätza, zajął Siedmiogród i szczupłe siły Węgrów rozproszył.

Przed dwoma miesiącami, wśród ruchów we Francyi i Włoszech, zbudzili się Wołochy, przepędzili rząd hospodara Bibeski, a ustanowili rząd tymczasowy, złożony z pięciu bojarów: Kreczulasko, Golesko, Giki i dwóch innych, których nazwy nie pomnę. Rosya, jako protektorka Księstw naddunajskich, oznajmiła Turcyi, że wojska swoje pośle do Wałachii i Mołdawii, aby nie dać się szerzyć zgubnéj rewolucyi. Turcya przestraszona tą pogróżką, odsłaniającą siłom cara drogę do Carogrodu, udała się do Anglii i Francyi. Ostatnia, bez sił na zewnątrz, opuściła ręce; lecz Anglia wdała się przeważnie i oświadczyła, że nie dopuści Rosyi wchodzić do Księstw, chyba wspólnie z Turcyą, jako państwem, któremu Księstwa hołdują. Weszły tedy do Wałachii i Mołdawii wojska tureckie i rosyjskie

pod wodzą jenerała Gersztencweiga. Rząd tymczasowy emigrował, a hospodar Bibesko wrócił do władzy.

We Francyi, gotowano się do obioru prezydenta. Konstytucya monstrualna została spisaną przez izbę *la Constituante* i hukiem dział ogłoszona. — Kawaniak stał jeszcze na czele rządu; republikanie wspierali jego kandydaturę na prezydenta, a urzędnicy z jego ręki, kierowali wyborami ma się rozumieć na korzyść jenerała republikanina. Ale cała Francya po wsiach w obrzydzeniu miała rzeczpospolitę, która obciążyła ją podatkiem i nie dała nawet chwały orężowi opuszczając Włochy. Chłopi głośno wołali — „*Laissez nous avec votres sansculotes, nous faut un prince pour président; un prince peut devenir roi ou empereur; nous ne voulons pas de votre republique.*“ — Wotowano głosami powszechnemi.

W Rzymie, stan był okropny! — Po przegranéj Karola Alberta i otrzymanéj przewadze Austryaków, Ojciec św. odwrócił się od sprawy włoskiéj. Na królu sardyńskim, bez siły, opierać się nie mógł; nieporządku w państwie ciągle burzącém się, nie wiedział jak poskromić. Nie chcąc się oddać Austryi, szarpanéj u siebie, a niepewnéj jeszcze zwycięztwa zupełnego we Włoszech, wezwał na ministra spraw zagranicznych pana Rossi, byłego ambasadora Francyi. Dość jest ciekawa biografia tego uczonego męża a zręcznego dyplomaty.

Pan Rossi, rodem Włoch, z państwa papiezkiego, należał do gorących patryotów, którzy witali Francuzów za wojen rewolucyi 1789 r. jako zbawców i propagatorów wolności. Zawiedziony w swoich nadziejach, po utworzeniu królestwa włoskiego za Napoleona I, emigrował do Szwajcaryi, gdzie został profesorem w Lousanne. Po wywróceniu tronu Burbonów, starszéj

linii, znalazł się tam i pan Guizot, a dwaj ci ludzie, związali się ścisłą przyjaźnią. — Później, gdy p. Guizot wszedł do ministeryum, Filipa króla Francuzów, powołał pana Rossi do kolegium francuzkiego na profesora ekonomii politycznéj, i odtąd posuwał go w łasce Filipa. Pan Rossi otrzymał parostwo, a potém wysłany był jako agent francuzkiego ministeryum do Rzymu. — Po śmierci papieża Grzegorza XVI, między kardynałami dwa były stronnictwa: jedno austryackie, promowujące na stolicę Piotra św. kardynała Lambruschini, drugie żądało papieża liberalniejszych zasad. Francya widziała wrzenie umysłów w Romanii, a lękając się wybuchu ludności rzymskich, romańskich i Marchii, protegowała stronę liberalną. Zręczność pana Rossi, wyniosła na papieztwo Piusa IX, który amnestyą powszechną i łagodnemi rządami podniósł myśl włoskiéj niepodległości, a potém ogłosił rodzaj konstytucyi z izbą. Widzieliśmy, jak przestraszony sam wojną 1848 roku, wydał encyklikę wstrzymującą wojnę, przez którą neapolitańskie wojska opuściły Lombardyę, a król Ferdynand 15 maja 1848 r. zniósł konstytucyę w Neapolu. Po klęsce Karola Alberta, Pius IX. wezwał pana Rossi, upadłego ambasadora francuzkiego po rewolucyi paryzkiéj w lutym, na ministra.

Węgrzy gotujący się do wojny narodowéj z Austryakami, znaleźli u siebie, oprócz sił Windiszgrätza, groźnych wewnętrznych nieprzyjaciół. — Pułkownik, wówczas granicznych pułków serbskich, Jelaczyc, stanął w obronie Austryi, i oświadczył się przeciw Węgrom. Z drugiéj strony, w Siedmiogrodzie, niejaki Janko, zebrał powstańców Wołochów w Siedmiogrodzie, i posiłkując partyzancką wojną Puchnerowi, paraliżował wszystkie działania wojsk Kossuta i Goergeja. Cały

Siedmiogród zajęty został przez wojska Austryi i jéj stronników. — Wtenczas-to jenerał Bem, nieprzyjaźnie przedstawiony Kossutowi przez demokratów polskich, odepchnięty od wszelkiéj usługi, którą ofiarował w sprawie węgierskiéj, udał się do Kossuta i tak przemówił: „Siedmiogród stracony. Czy chcecie powierzyć mi batalion piechoty i cztery działa, i powierzyć tę postę straconą?“ — Kossut wiele nie ryzykował. Na podany więc projekt Bema chętnie się zgodził. I jenerał polski, z tysiącem ludzi i cztérema działami, miał sobie powierzoną postę w Siedmiogrodzie. — Przybywszy tam jako naczelnik, zaczął organizować Szeklerów, ludność dawno osiadłą koło Hermanstatu a nieprzyjazną Austryi; i rozpoczął wojnę podjazdową z Puchnerem, jenerałem austryackim i z Jankiem, naczelnikiem Wołochów, nieprzyjaznych Węgrom. Obie te narodowości, serbską w Banacie i wołoską w Siedmiogrodzie, sejm Madziarów naraził sobie od dawna; podnieść Madziarów, a pochłonąć narodowości inne, posunął rozkazy swoje do barbarzyństwa moskiewskiego. Nie tylko w Kroacyi, Illiryi i Serbii austryackiéj, a z drugiéj strony w Siedmiogrodzie, zakazany był, tu język słowiański, a tam rumański po szkołach, ale po cerkwiach nie dopuszczano księżom kazać w języku narodowym, a gwałty dochodziły do tego stopnia, że duchownych serbskich i wołoskich ściągano z ambony, skoro odważyli się mówić do ludu nie w madziarskim języku. Nienawiść więc narodowa rozdzieliła mieszkańców; a uciśnieni niegdyś przez Węgrów, dziś stali się stronnikami Austryi a nieprzyjaciołmi sprawy węgierskiéj. Otóż książę Adam, wysłał majora Bystrzanowskiego i brata mego Wincentego do Serbii i Wołochii, dając im polecenie przez Serbów tureckich i ludzi wpływu

w Bukareszcie, działać na stronników Jelaczyca i Janka, i przywieźć tych ostatnich do zgody z Węgrami a do oddzielenia się od Austryi.

W tym więc czasie, gdy ja objąłem kancelaryę księcia Adama, wybierał się brat mój, Bystrzanowski i Janusz Woronicz na posty wskazane, w celu przywiedzenia do jedności mieszkańców Węgier, przez przyjaciół naszych w Bółgaryi i Bukareszcie. A tak, złączywszy się nakrótko z bratem moim Wincentym, pożegnałem go znowu nadługo. Przed jego odjazdem, złączyliśmy serca nasze we wspólnéj modlitwie na obchodzie żałobnym za duszę drogiego ojca naszego. Aleksander Jełowicki celebrował na tem nabożeństwie w kościele św. Rocha. Uproszeni koledzy nasi, połączyli swoje westchnienia i łzy współczucia z modłami i łzami dwóch stroskanych synów, płaczących na wygnaniu po stracie ojca. -- Gorzkie są łzy wygnańców tęskniących za rodziną; ale cóż-to za boleść ich, gdy uderzy straszna chwila straty najdroższych osób w kraju; gdy ściśnie serce myśl, że tych osób nigdy, nigdy! już oglądać nie będą, chyba tam, gdzie Bóg kiedyś wszystkich powoła przed sąd swój, a potem na życie wieczne!

Po wyjeździe brata mego, starałem się pracą łagodzić ból mój i tęsknotę. Regularnie przychodziłem o godzinie 12-téj do kancelaryi, w któréj pracowałem do godziny 6-téj wieczorem. Potem wieczór przepędzałem u krewnéj mojéj Józefy Wyrzykowskiéj.

Co dziesięć dni odbieraliśmy, przez ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu, raporta Michała Czajkowskiego i z niemi zdania sprawy agentów na Wschodzie. Książę podawał mi instrukcye dla nich, a ja układałem je zaraz, podpisując z polecenia księcia: *Michał*

Dombrowa. Raporta te i instrukcye, wciągane zaraz były do księgi przygotowanéj przez dwóch pisarzy, aby nazawsze pozostał ślad prac naszych w archiwum które, porządnie urządzone, dostarczy kiedyś materyałów do historyi emigracyi i starań ludzi pod przewodnictwem księcia podjętych w celu oswobodzenia kiedyś ojczyzny naszéj.

Niezadługo po mojem objęciu kancelaryi, przybył z Rzymu agent nasz Orpiszewski, który chciał dostać się do Księstwa poznańskiego we własnym interesie, a to takim:

W czasie pobytu mego w Rzymie, on, współpracownik mój w agencyi polskiéj, mile bywał przyjmowany w domu pani Borch, z domu Siberg-Plater, która z małemi córkami i siostrą swoją dwie zimy przebywała w Rzymie. Słodki charakter, wykształcenie umysłowe i salonowe przyjaciela mego, zyskało mu serce panny Platerówny, tak, że szlachetna ta Polka, silną dla niego uczuła miłość. Powodowany temi samemi względami co i ja względem Maryi, nie śmiał szlachetny Ludwik Orpiszewski dać poznać, że się tych uczuć panny Platerówny domyśla; sam wygnaniec, nie chciał, aby dla niego na wygnanie skazywała się droga mu osoba, i opuszczała rodzinę i ojczyznę. Ale siostra jéj, pani Borch, była tu pośredniczką i ośmieliła wszelkiemi sposobami przyjaciela mego, aby o rękę panny Platerówny oświadczył się; — a, gdy ten udawał, że nie rozumie słów jéj dwuznacznych, wręcz i otwarcie oświadczyła mu, że siostra jéj ma tyle przywiązania dla niego, że, byle chęci swoje okazał, będzie przyjęty. Przez panią Borch więc nastąpiło porozumienie. Lecz Orpiszewski, idąc za głosem sumienia, położył warunek, że jego oświadczenie w takim tylko razie będzie uwa-

żać za przyjęte, jeśli rodzice panny napiszą mu, że połączenie się jego z ich córką nie jest przeciwne ich woli. Odjechały dwie siostry do kraju; i z Inflant, gdzie był majątek państwa Siberg-Platerów, w kilka miesięcy, Ludwik odebrał list bardzo uprzejmy od ojca i matki panny Platerówny. Rodzice jéj napisali mu, że tyle polegają na charakterze i rozumie swéj córki, iż wierzą, że wybór jaki zrobiła, zapewni szczęście jéj życia; że zatem zezwalają na związek i ze swojéj strony, nie bacząc na otwarte zeznanie pana Orpiszewskiego, iż majątku nie ma, dają swoje błogosławieństwo i będą się starali, udziałem własnego majątku, zapewnić obojgu sposób utrzymania. Panna Platerówna ze swojéj strony przysłała mu zapewnienie, że będzie się starała z siostrą przybyć do Poznania, gdzie wzywa i Ludwika, dla otrzymania błogosławieństwa kościoła, po otrzymanem od jéj rodziców. Uścisnąłem po ostatni raz natenczas rękę mego przyjaciela i poczciwego kolegę, przyjaciela, co na wygnaniu był mi najserdeczniejszym po bracie! Dziś wiem, że, po zawarciu ślubu z panną Platerówną, Ludwik Orpiszewski, otrzymawszy 30 tysięcy talarów od rodziców, kupił sobie obywatelstwo i własność w Szwajcaryi i tam z żoną zamieszkał. Oby Bóg błogosławić go raczył i zlał tyle szczęścia domowego, ile on szlachetnością swoich uczuć i gorącem sercem dla Polski, i dla przyjaciół zasłużył! Dziś, daleko od niego, gdy przestrzeń nas dzieli, a położenie polityczne odbiera wszelką nadzieję złączenia się choć na czas krótki, nieraz serdeczne przyjacielskie życzenia zasyłam mu sercem, pragnę gorąco, aby choć raz jeszcze w tem życiu uścisnąć dłoń jego i przypomnieć czasy dawne i pracy i tego zlania się szczerego dwóch

serc naszych, które wzajemnie dla siebie powzięły szacunek i przyjaźń.

Pan Zamoyski zetknął się z jenerałem Chrzanowskim w Dreznie; pozyskał go dla sprawy króla Alberta i zawiózł do Turynu. Zaczęła się szybko reorganizacya wojska sardyńskiego. Król zezwolił na formowanie legionu. Kompanie sformowane dawniéj i półkownika Kamieńskiego przyjął na żołd. Księcia Witolda Czartoryskiego z oficerami dwoma wysłał do Konstantynopola dla zbierania żołnierzy, a dwóch drugich polecił ambasadorowi swemu w Paryżu. Wszedł do armii jenerał Romarino, rodem z Genui, a dowodzący dawniéj znacznym korpusem w wojnie polskiéj 1831 r., i temu powierzył za zgodą jenerała Chrzanowskiego korpus z 28 batalionów piechoty, dwa tysiące jazdy i dział 30. Ministeryum składało się z ludzi liberalnych i napierających na jaknajprędsze rozpoczęcie kroków wojennych z Austryą, tem bardziéj, że konferencye, naznaczone w Brukselli za pośrednictwem rządu francuzkiego, do niczego nie doprowadziły. Był plan uformowany, znaczny legion polski, po rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, rzucić przez Fiume do Węgier; bo tam gotowała się wojna zacięta.

Agent węgierski, hrabia Tekeli, zawezwał jenerała Dembińskiego w imieniu Kossuta, aby objął dowództwo nad formującem się wojskiem węgierskiem w Dobryczynie. W miesiącu lutym 1849, zawezwał mię książę Adam, u którego zastałem jenerała Dembińskiego, i pod dyktowaniem jego spisałem proklamacyę, jaką jenerał zostawić chciał przed odjazdem swoim do Węgier. Wyrażał się on w niéj, że całe, życie swoje tchnąc chęcią służenia ojczyźnie, jedzie do Węgier w tem przekonaniu, że sprawa tego narodu tryumfem swoim

może pożytki przynieść dla Polski i, że tam wzywa tych, którzy chcą służyć w legionach, do jedności i do uznawania zawsze w księciu Adamie naczelnika jedynie zdolnego do kierowania pracami podjętemi dla sprawy naszéj. Jenerał Dembiński, za angielskim pasportem i jako Anglik, przez Dalmacyę przedarł się do naznaczonego miejsca i zaraz objął główne dowództwo, mając pod sobą Goergeja.

W Konstantynopolu Czajkowski coraz bardziéj chwiał się w stanowisku swojem; jedynie własną działalnością niezmordowaną utrzymywał dawniejszą pozycyę; już bowiem pana Burkneja, dawnego ambasadora francuzkiego, nie było, a Francya szarpana wewnątrz żadnéj na zewnątrz nie miała powagi. Pierwszy drogoman ambasady, pan Kor (Cor), sprawiał urząd umocowanego agenta; a drugi drogman pan Rossat, konsula. Za pomocą tych dwóch ludzi, szczerych naszych przyjaciół, zasłaniał się Czajkowski w pozycyi swojéj; bo ambasada rosyjska nacierała ciągle na Turcyą o wydalenie Czajkowskiego; i tylko protekcya Francyi utrzymywała go na agencyi. Miał do przebywania ciągłe walki, ciągłe ucierania się przy napieraniu silnem i Rosyi i Austryi, a bezczynnéj agencyi francuzkiéj.

Równie nasza agencya w Carogrodzie, Serbii i Wałachii, jak sympatya rządu, wielkiéj uległy zmianie przy rządzie republikańskim. Ci nowi liberaliści, którzy dawniéj w dziennikach opozycyjnych: *National* i *Reforme* tak szumnie i energicznie przemawiali za Polską, aby mieć *un cheval de bataille* przeciw rządom Filipa, dziś z redaktorów, członkowie rządu, albo ministrowie, silili się, aby okazać obojętność dla Polski. Odjęto pensyą sześć tysięcy franków na bibliotekę, zmniejszono summę dawaną na szkoły polskie. Sekre-

tarz tylko ministeryum spraw zagranicznych, pan Cinnat, zachował dawne stosunki z nami, i jeszcze depesze księcia i raporta agentów polskich przychodziły i odchodziły dawną drogą z depeszami rządu francuzkiego. Tę grzeczność winni biliśmy panu Bastien, który z właściciela dziennika *National*, zostawszy ministrem spraw zagranicznych, u księcia Adama zasięgał rady w redagowaniu swoich depesz i mów przed izbami, jako nie obyty w nowych obowiązkach. Inni Francuzi, którzy, Bóg wie z jakich posad dostali się do władzy, nadęci jako istni parwenyusze nową dostojnością, z góry traktowali wszystkich dawnych znajomych i przyjaciół. Pan Armand Marast, członek rządu tymczasowego przed rewolucyą czerwcową, zachęcany przez pana Vavin, deputowanego, przyjaciela Polski, aby naszą sprawę wspierał, on, który na wygnaniu w Londynie gościnnie przyjmowany był przez jenerała Dwernickiego, nie przyjął go w Paryżu przy nowéj dostojności swojéj i pani Vavin powiedział: — „*J'ai deja de la Pologne jusqu'ici*“ — i pogłaskał się po szyi.

Przy nowéj pracy mojéj u księcia, skoro szósta godzina wybiła, wolny byłem od zatrudnień, i godziny wieczorne zwykle spędzałem u krewnéj mojéj Józefy Wyrzykowskiéj. Przechodziły nam wieczory na wspomnieniach rodzinnych. Józefa Wyrzykowska z mężem swoim Piotrem przybyła do Paryża dla edukacyi syna swego, już wówczas liczącego lat 16, a który urodził się po wyjściu już mojém do powstania 1831 roku. — Zdawało się jéj, że tylko w Paryżu można dać młodemu człowiekowi przyzwoite wychowanie i wykształcenie; wywiezła go z kraju, aby uniknął szkół rosyjskich; a nie pamiętała, że syn jéj będzie musiał żyć i rządzić majątkiem w Rosyi; że zatem niezbędny mu

język rządowy i koleżeństwo z tymi, z którymi trzeba będzie żyć i urzędować w rodzinnym kraju; a z edukacyą paryską znajdzie się późniéj cudzoziemcem w ojczyznie. Mąż jéj, Piotr, dobry człowiek, zapalony myśliwy, gdy w Paryżu na ulicach ani wilków, ani zajęcy nie dopatrzył, gdy trudno mu było znaleźć tam dawnych kolegów myśliwstwa, uciekł z Paryża do domu, zostawiwszy żonie wolność krzątania się z synem.

Piotr jest wnukiem Kacpra Wyrzykowskiego, sędziego ziemskiego bracławskiego w czasach rzeczypospolitéj, który odznaczył się zwięzłą mową publiczną do jenerał-gubernatora przybyłego po rozbiorze Polski do Bracławia, aby w imieniu carowy, a przeto w najwyższéj powadze, zaprowadzić rządy gubernialne. Nakazano zjechać się obywatelom województwa. Nie było na téj nieszczęsnéj uroczystości starszych urzędników miejscowych: ani podkomorzy, ani starosta, ani chorąży nie zjechał. Pan sędzia stał na czele obywatelstwa. Program wymagał, aby dostojny jenerał-gubernator, namiestnik carowy, był powitany mową. — Sędzia rad z przybycia Adama Rzewuskiego, kasztelana witebskiego, to swoje pierwszeństwo pragnie mu odstąpić jako senatorowi. Lecz Rzewuski wymawia się uwagą, że powitanie należy wyłącznie do miejscowego urzędnika. Spór o to pomiędzy nimi trwa jeszcze na placu, gdzie już jenerał-gubernator wysiada z karety. Rzewuski zachodzi za Wyrzykowskiego i niby niechcący a dość silnie wypycha go naprzód. Wyrzykowski, ujrzawszy się na czele sam jeden o dwa kroki od gościa, rad nie rad, musi go powitać, — i, nieprzygotowany, tak w podniesionym głosie przemówił: — „Jaśnie Wielmożny, nam wielce miłościwy panie i osobliwszy dobrodzieju! Jakiem uczuciem tchnęliśmy na wiadomość

o zajęciu nas pod panowanie najjaśniejszéj Katarzyny II, takiem też sercem witamy Jaśnie Wielmożnego Waćpana dobrodzieja!“ — Powiedział i ukłonił się. — Tę piękną mowę, długo z oklaskiem powtarzało całe województwo bracławskie.

Piotrowa, sama sobie zostawiona w Paryżu, umieściła syna w pensyonie przygotowawczym do szkoły centralnéj i oczekiwała postępu syna. Syn jéj Władysław zabrał znajomość z synami księcia Władysława Sanguszki; — i u niéj na obiedzie poznałem potomków zacnéj téj rodziny, która czysto i nieskazitelnie wyszła wśród burz naszego kraju. Zacni książęta Roman i Paweł, z serdecznem uczuciem dla kraju, kształcili się naówczas w Paryżu. Miałem prawdziwą rozkosz podziwiać ich postępy w naukach, ich polskie serca i ich skromne polskie znachodzenie się, dalekie od dumy i zarozumiałości. Ich ojciec wziął szlachetnie udział w powstaniu naszém; ich stryj, książę Roman, uległ surowości cesarza Mikołaja, wprzód na Sybir skazany do kopalni, późniéj przeniesiony jako prosty sołdat na Kaukaz, tam ranny, łaską cesarską zrobiony urzędnikiem w Moskwie na poscie nie stósownéj jego urodzeniu i szlachetności serca, dostał głuchoty po wywrocie powozem, i od dwóch lat wówczas już wrócił był na łono rodziny. Znany jest dopisek na dekrecie sądu wojennego, skazującym księcia Romana do kopalni Nerczyńska. Zwykle w innych krajach naczelnik państwa ułaskawia, łagodzi wyroki, a nigdy ich nie obostrza; — tu cesarz Mikołaj, wściekły na każdego członka dostojnéj rodziny, biorącego udział w powstaniu polskiém, własną ręką dopisał dla księcia Romana, że *„podróż do kopalni ma odbyć piechotą.“* I odbył ją pieszo skowany, a kajdanami pokaleczony na nogach, sza-

nowny ten mąż, który znalazł się w chwili, gdy ojczyzna wołała na synów swoich. Odbył męczarnie wygnania i ciężkich kolei, a wrócił sterany na siłach i w dośmiertnem kalectwie, które przenosi duszą niezgiętą i uległy woli Bożéj, a w sercu chowa zawsze uczucia, któremi prawi synowie ojczyzny tchnąć zwykli do końca życia dla swojego kraju! Patrząc i rozmawiając z tymi dwoma młodzieńcami, potomkami rodziny szlachetnéj i jednéj z pierwszych dostojników Polski, ścisnęło mi się serce, łza niezmyślona stanęła w oku, bom przywiódł sobie na pamięć i zasługi ich przodków i wygnanie ojca i męczeństwo stryja, którego imię zapiszą dzieje na kartach srogich cierpień Polski!...

VI.

Rok 1849. — Upadek sprawy włoskiej. — Zwycięztwa Węgier i ich przegrana. — Przejścia brata mego Wincentego w czasie rewolucyi węgierskiej i powrót jego do Paryża.

Na początku marca 1849 r., ministeryum Karola Alberta złożone z ludzi najliberalniejszych, ale za gorących, nacierało na króla, aby rozpoczął kroki nieprzyjacielskie z Austryą. Lubo armia sardyńska nie była jeszcze tak urządzona jak chciał jenerał Chrzanowski; lubo żołnierz nowy, którym dopełniono uszczerbków niedawnéj klęski, wiele jeszcze do życzenia zostawiał; lubo nie było czasu zapewnić się o posiłkach wojsk rzymskich i toskańskich; naleganie było tak silne ze strony ministeryum, że zawieszenie broni zostało wy-

powiedziane. Jenerał Chrzanowski z głównemi siłami stanął gotów na drodze do Medyolanu. Jenerał Lamarmora ze znacznym korpusem poszedł na Modenę i Parmę, aby wesprzeć w razie danym Chrzanowskiego. Jenerał zaś Romarino, rodem z Genui, a niegdyś dowódzca nieszczęliwy w wojnie polskiéj 1831 r., z siłą 28 tysięcy i 30 dział, stanął z rozkazu jenerała Chrzanowskiego niedaleko Pawii, aby bronić przeprawy przez Po, na wypadek, gdyby Radecki kusił się o wejście w granice państw sardyńskich. Wszystko było doskonale obmyślane, a jednak cała kampania w czterech dniach została przegraną, i wojsko sardyńskie na głowę pobito. Gdy Paryż, uwiadomiony o wypowiedzeniu zawieszenia broni, cały z drżącą ciekawością wyglądał wieści z pola wojny; gdy ja czekam jéj i połykam wszystkie dzienniki wieczorne, zwykle najpierwéj uwiadomione depeszami — dnia, zda mi się 26 czy 27 ma rca 1849 r., czytam z bijącem sercem te słowa ostatniéj depeszy: — „L'armée piemontaise battue sur Po et à Novarra, est rejettée loin du champ de bataille. Le roi a abdiqué; tout est perdu hors l'honneur.“ Ale tak nie było: tout a été perdu et honneur même. Oto jak się stało: Jenerał Romarino, mający urazy do jenerała Chrzanowskiego jeszcze z wojny polskiéj, tu, w Piemoncie, wściekły, że nie on otrzymał naczelne dowództwo, chociaż poddany króla Alberta, ale nieprzyjazny mu jenerał i cudzoziemiec, nie dopełnił rozkazów sobie danych. Zostawił nad rzeką Po cztery tysiące wojska, i to o kilka mil je odsuwając, sam zaś z 24 tysiącami i artyleryą cofnął się zupełnie w inną stronę. Radecki śmiałym krokiem, chcąc zyskać na czasie i pomieszać plany jenerała Chrzanowskiego, idzie spiesznym marszem w granice piemontskie; — prze-

prawia się przez Po, — pobija 4 tysiące zostawione przez Romariniego i zaraz posuwa wojska swoje daléj. Główna armia króla wyciągnięta na drodze przez Magentę do Medyolanu, cofa się pod Nowarrę, i tam pod zasłoną fortecy i wybornem położeniu, gotuje się piorunami przyjąć Austryaków. Cały plan zrobiony przez jenerała Chrzanowskiego był tak wyborny, że doświadczeni strategicy francuzcy wychwalić go nie mogli. Ale na nieszczęście wojsko całe ową małą klęską pod Pawją i podmowami agentów austryackich było zdemoralizowane. Żaden batalion pod Nowarrą dwóch strzałów działowych nie wytrzymał; żaden pułk iść nie chciał do attaku. Król i synowie jego: dzisiaj panujący Wiktor Emanuel i brat jego, książę Genui, piechotą stawali przed pułkami. Oficerowie polscy: Kamieński, Breański, major Szemiot, zachęcali żołnierzy głosem a nawet i płazami pałaszów. Król przed pułkiem sabaudzkim rozdarł na sobie mundur tego pułku, w którym był ubrany. Wszystko daremnie. Żołnierze i oficerowie nawet armii sardyńskiéj krzyczeli: „*Tutto perduto, siamo traditi!*“ *Wszystko stracone jesteśmy zdradzeni!* Kilka pułków zostało rozbitych, reszta wszystko w nieładzie nad wieczorem weszło do fortecy. Tak żadnéj nadziei nie było oparcia się, że w nocy król abdykował na rzecz syna, a Radecki traktował z jenerałem parlamentarzem nowego króla Wiktora Emanuela. Przez wzgląd na żonę jego Austryaczkę, jak się wyraził, i na niewinność księcia, którego nie chciał do odpowiedzialności za ojca powoływać, zawarty został pokój, mocą którego wojska austryackie opuściły państwa piemonckie, nie goniąc daléj ich armii, a tylko król nowy zobowiązał się 80 milionów franków kosztu wojennego w trzech ratach zapłacić. Nieszczę-

śliwy Karol Albert wyjechał zaraz do Oporto w Portugalii, gdzie mniéj jak w rok zakończył życie. Nowy król powołał do odpowiedzialności jenerała Romarino i oficerów, którzy nie dopełnili powinności swojéj. Romarino zatrzymany na granicy szwajcarskiéj, dokąd uciekał zaraz po klęsce zostawionych 4 tysięcy, stanął w Turynie przed sądem wojennym. — Tłumaczył się, że nie dopełnił rozkazu, ale nie przez zdradę, tylko przez gorliwość dla sprawy, bo uważał plany jenerała Chrzanowskiego jako nieudolne. Bóg raczy go wiedzieć. W każdym razie on stał się klęski przyczyną i odpowiada dziś przed Bogiem, bo w moc wyroku, rozstrzelan został w Turynie, ofiara zawiści a może i zdrady, przez którą zgotował dla sprawy włoskiéj klęskę niepowetowaną.

Wiktor Emanuel oficerom polskim i żołnierzom legionów otworzył miejsca w swéj armii i zapewnił im pensye, karmiąc w duszy swojéj szlachetnéj przekazaną, jakoby testamentem ojca, powinność podniesienia kiedyś sprawy włoskiéj do pomyślności świetniejszéj.

W Rzymie, nie długo po téj klęsce piemontskiego wojska, stan był okropny. Ojciec św. całą ufność, jakeśmy wyżéj powiedzieli, położył w Rossim, ambasadorze niegdyś Francyi za Filipa, a dziś mianowanym przez niego prezydentem ministeryum z wydziału spraw zagranicznych. Widząc on upadek Sardynii a podniesienie się Austryi, ułożył plan zawarcia przymierza zaczepnego i odpornego z królem neapolitańskim, owym królem, którego Włosi nazwali *il re bomba*, przez pamięć na kule, bomby i kartacze, które ciskać kazał do ludu w dniu 15 maja 1848 r., w którym to dniu odjął nadaną przez siebie konstytucyę królestwu obojga Sycylij. Rossi, z zamiarem rozpędzenia izby i wymoże-

nia na niéj wprzódy podpisu na pożyczkę rosyjską, wstępował do zgromadzonych deputatów prowincyj rzymskich; ale na progu przebity został sztyletem przez zapalonego liberalistę włoskiego. Po tém zabójstwie, gwardya narodowa i mieszkańcy rozmaitych części państwa papiezkiego ogłosili nowy rząd i porwali za broń. Papież przestraszony, uciekł z Rzymu do Gaëty pod opiekę króla neapolitańskiego. Izby prawodawcze francuskie uradzały nad poskromieniem rewolucyi rzymskiéj i zwróceniem władzy papieżowi. Były głosy, aby to poskromienie poruczyć królowi sardyńskiemu. Ale chytry ambasador rosyjski przedstawiał rządowi paryzkiemu, że Francya, idąc do Rzymu, dałaby Europie dowód swoich antyrewolucyjnych dążeń i zmazałaby winę rewolucyi lutego. Te przedstawienia tak pogłaskały miłość własną izby prawodawczéj, że uradzono wyprawę na Rzym i naznaczono jenerała cesarstwa, marszałka Oudinot, ze znacznemi siłami na poskromienie Rzymu, gdzie znalazł się Mazzini, wieczny wichrzyciel sprawy włoskiéj w rządzie, a jenerał Garybaldi, siły zbrojnéj partyzantów piemontskich dowódzca, jako naczelnik państwa rzymskiego.

Mickiewicz, który przez Ksawerego Branickiego postawiony był na czele redakcyi dziennika *la tribune des peuples* i artykułami swemi mieszał się do administracyi i rządu francuzkiego, ułożył w myśli swojéj plan potworny. Niebaczny, że naczelnik Kościoła był oraz naczelnikiem przeważnéj części Polski, bo naczelnikiem wszystkich katolików; nie pomnąc, że Francya, nasza przyjaciółka moralna, z wojskiem swojem idzie do Rzymu, zamierza legiony polskie z Piemontu przenieść do Rzymu i tam kazać Polakom walczyć przeciw papieżowi i Francyi. Ani Breański, ani nawet Kamieński, wrócony

niby do Towiańszczyzny, nie śmieli brać na siebie do wództwa; owszem, pierwszy ze zgrozą, drugi wahającym się sposobem, odrzucili wszystkie insynuacye. Mickiewicz wysyła Gerlicza do werbowania legionów, a na dowódzcę obiera b. kapitana wojsk polskich, młodego Haukę, syna jenerała zabitego jako zdrajcę w powstaniu Warszawy 1830 roku. Kapitan Hauke, pałający miłością dla Polski, zaszczytnie bił się w wojnie naszéj. Ofiarowaną sobie protekcyę króla pruskiego do cesarza Rosyi odrzucił i z ziomkami swymi znalazł się w emigracyi paryskiéj, dokąd matka dosyłała mu funddusze i gdzie on chciał pracą zarobić sobie na utrzymanie, — i w tym celu wszedł jako sekretarz do banku hr. Jelskiego. — W 1834 czy 5 roku, mając przez naczelnika banku powierzone sobie dziesięć tysięcy franków do wypłaty, przegrał je na rulecie. Hrabia Jelski, który sam w niegodny sposób frymarczył funduszami powierzonemi mu przez bogatszych emigrantów, bez względu na to, że Hauke był jego ziomkiem, bez względu, że suma przegrana byłaby mu przez matkę zwróconą, oddał Haukego władzom policyi francuzkiéj, i ten przez sąd przysięgłych skazany był na więzienie. Król go ułaskawił; ale plama zmarnowania cudzego grosza została na nim — a za ciężki błąd młodości Hauke utracił szacunek ziomków. Cicho żyjącego na ustroni, Mickiewicz wyciągnął i wezwał do czynnego działania, przedstawiając, że dowództwo legionu polskiego w Rzymie da mu rehabilitacyę i przyniesie pożytek Polsce, jego ojczyznie. Biedny młodzieniec, zbrodnią nową chciał ciężki błąd młodości odkupić i poszedł za głosem ulubionego wieszcza. Nie ciężkąż odpowiedzialność wziął Mickiewicz, stawiając zastęp polski naprzeciw głowie kościoła katoli-

ckiego, wysyłając przeciw wojskom francuskim Polaków i biednego Haukego, którego łudził sławą i rehabilitacyą? — 50 czy 60 Polaków zwiedzionych namowami z Genui płyną do Liworno, a ztamtąd przez Florencyę udają się do Rzymu.

Wiadomy z dziejów szturm do Rzymu, wejście wojsk francuzkich do stolicy papieża i nieukontowanie Francyi za to wmięszanie się wojsk rzeczypospolitéj do nowo powstającéj rzeczypospolitéj w Rzymie. Marszałek Oudinot, za przywrócenie porządku, mianowany został księciem Pankracy, od nazwiska bramy przez którą wszedł z wojskami francuzkiemi po krwawym oporze Garybaldego, gwardyi a nawet legionu polskiego, który śmiał walczyć z wojskiem francyi, gdzie większa część emigracyi polskiej znalazła przytułek. Lud jednak francuzki i agitatorowie poruszyli mieszkańców Paryża w dniu 13 czerwca 1849 r., liczne kupy zaległy ulice. Changarnier, jenerał gwardyi narodowéj i dowódzca kontygensu wojskowego wokoło Paryża, rozproszył motłoch i władzę izby prawodawczéj utrzymał, chociaż stawiano już barykady na niektórych ulicach. Prezydent nowy, Ludwik Napoleon, pisał list do Neya, adjutanta swego, będącego wówczas przy wojskach marszałka Oudinot, oświadczając zdanie swoje osobiste, że Francya życzyłaby sobie, aby Ojciec św. uwzględnił żądanie poddanych swoich i zachował reformy przez siebie wprowadzone. List ten ogłoszony w dziennikach był głosem wołającego na puszczy. Pius IX. obwiniał siebie za te wszystkie ruchy, które, jak się wyrażał, wywołały jego dawniejsze rozporządzenia; i odtąd poszedł drogą wsteczną, która miała późniéj smutne następstwa wywołać dla władzy jego świeckiéj. Austrya tymczasem z Francyą podzieliła obowiązek gwaranto-

wania państwa rzymskiego; — i, gdy wojska francuzkie zajęły Rzym i Civita-vechia, Radecki wysłał załogę naprzód do Florencyj i Liworno, a potém do Bolonii i Ankony.

Ale, gdy szczęśliwym sposobem dla Austryi poszły sprawy we Włoszech, w Węgrzech wszystko dążyło ku zgubie władzy Habsburgów. Wprawdzie wojska węgierskie zaparte były do Debreczyna i Temeswaru; ale, gdy w lutym stanął Dembiński na ziemi węgierskiéj, dokąd się przedarł przez tysiączne niebezpieczeństwa, gdy naczelne dowództwo objął nad siłami powstańców, zdolnością wodza biegłego i przykładem legionu polskiego, którego siła do dwóch tysięcy wynosiła, zmieniła się postać rzeczy w dość nie pomyślną dla Austryi. Z ustępjących, wojska węgierskie stały się atakującemi; — legion polski pierwszy pokazał, że nie tylko można oprzeć się Austryakom, ale i pomyślne wykonywać nacierania. — Oni to rozpoczęli bitwę, gdzie pierwszy raz Austryacy pobici zostali i zmuszeni do odwrotu. Bitwa ta byłaby zupełną przegraną Austryaków, gdyby nieczynność Goergeja, który ze znaczną siłą na rozkaz Dembińskiego nie przybył i wypuścił znakomity korpus Szlika. Jenerał Dembiński po téj bitwie zawezwał do siebie Goergeja, ten się nie stawił, — rzecz się wytoczyła do Kossuta, który sprawdził niespełnienie rozkazu, lecz Goergeja pod sąd wojenny poddać nie chciał, jako ulubieńca Węgrów. Dembiński tknięty do żywego na tę niesprawiedliwość i wyraźną stronność Kossuta, podał się do dymisyi, czekając wypadków w Dobryczynie. Po jego usunięciu się Goergej objął naczelne dowództwo i, mając raz wytkniętą drogę zwycięztwem pierwszém i drugiém Dembińskiego, nacierał na Austryaków, którzy, zbici z tropu, nie cofali się

już, ale uciekali prawie, dążąc ku Preszburgowi. W południowéj części Węgier, na Siedmiogrodzie, jednocześnie prawie ze zwycięztwem Dembińskiego, Bem doszedł do nadzwyczajnych rezultatów. Objąwszy dowództwo w téj części zalanéj z jednéj strony partyzantami Janka, z drugiéj regularnemi wojskami Austryi, pod dowództwem Puchnera, — z dwoma batalionami powierzonemi mu od Kossuta, i cztérema działami, uformował wkrótce siłę, którą, nie tylko opierał się dwom nieprzyjaciołom, ale odnosił jedne zwycięztwa po drugich i dotarł przeważnie aż do Hermanstatu, gdzie się schronił Puchner. Po bitwie zwiedzionéj z wojskami tego jenerała, w któréj zupełne odniósł zwycięztwo, zmusił go z 19 tysiącami najlepszego wojska do cofnięcia się na ziemię wołoską, pod obronę jenerała rosyjskiego Gerstencweiga, który dowodził wojskami cara, na poskromienie Bukarestu posłanemi. Jenerał austryacki prosił jenerała rosyjskiego o pomoc przeciw Bemowi. Gerstencweig miał instrukcye wydane w tak ciemnych wyrazach, że na jego odpowiedzialności leżało dać pomoc Austryakom, albo ją odmówić. Po kilkodniowym namyśle, chwycił się pierwszego; i z kilku tysiącami pomknął się do Hermanstatu, ale utarczki stoczone z wojskami węgierskiemi wypadły na jego niekorzyść. Pan Teleky, reprezentant Węgrów w Paryżu, za pośrednictwem księcia Adama, podał notę do rządu francuzkiego z upomnieniem się o zasadę nieinterwencyi. — Austrya nie była jeszcze zupełnie zbita, i car wolał poczekać z pomocą swoją. Jenerał Gerstencweig dostał naganę, co się wyraża po rosyjsku *srożajszyj wygowor*, którego kopję komunikowano rządowi francuzkiemu. Rząd francuzki został zadowolony. Jenerał Gerstencweig strzelił sobie w łeb, przerażony niełaską cara,

jak w dziadach Mickiewicza Nowosilców, któremu we śnie ukazał się car zagniewany. Wojska rosyjskie wyciągnęły z Hermanstatu. Puchner czekał w Wołochii lepszych czasów; a Bem, pan Siedmiogrodu, otrzymał od Kossuta w darze brylant najdroższy z korony św. Stefana z patentem, podpisanym przez Kossuta i prezesa izby, iż mu węgierska ziemia ofiaruje najdroższą ozdobę korony św. Stefana, za uratowanie najpiękniejszéj prowincyi.

Odebraliśmy przez Konstantynopol list od brata mego Wincentego, który osobiście wręczył list księcia Adama do Jelaczyca. Przedarł się do Pezstu, a ztamtąd udał się do Bema dla zawiezienia mu listów patryotów włoskich do Janka, którzy przedstawiali mu brata mego, Wincentego, jako pośrednika do ułożenia się o warunki ugody z Bemem i Węgrami. Opisywał w raporcie swoim brat mój okoliczności oddalenia się Dembińskiego, i szlachetne znalezienie się tego jenerała po swojéj dymisyi. Kossut, do oczekującego wypadków Dembińskiego w Dobryczynie, udał się osobiście i w te do niego przemówił słowa: „Jenerale polski! nie przyszedłeś tu po sławę, boś ją miał; nie po władzę, bo nią pogardzasz; ale przyszedłeś, aby pomocą dla Węgier własnéj ojczyznie przynieść pożytek. Daj więc piękny przykład abnegacyi, i, pomimo tego, że Goergej jest naczelnym wodzem, przyjmij postę, która cię postawi w zetknięciu z Galicyą, i da ci sposobność w razie danym rozwinąć tam powstanie.“ Szlachetny jenerał przyjął przedstawienie Kossuta i zgodził się na przyjęcie dowództwa nad legionem polskim i kilku pułkami węgierskiemi, których posta była na granicy galicyjskiéj, aby, skoro czas przyjdzie po temu, wkroczyć do Polski austryackiéj i tam silném powstaniem

dodusić Austryaków. Dembiński stanął na swojem miejscu i organizował silny korpus gotowy do zaniesienia wojny z Austryą w Galicyę. Austryacy parci przez Goergeja, opuścili Peszt, a załogę tylko zostawiwszy w Budzie, dążyli do opuszczenia Węgier i cofnięcia się do Preszburga, Wiednia, a potem Ołomuńca.

W rządzie austryackim nastąpiła przeważna zmiana. Niedołężny Ferdynand, naleganiami całéj długowargiastéj familii Habsburgów, przynaglony został do abdykacyi. Wstąpił na tron młody Franciszek Józef, syn stryjecznego brata cesarza dawniejszego, rządzony przez energiczną matkę, arcyksiężnę Zofię. Kosztowności skarbu cesarskiego i brylanty arcyksiężniczek, nadesłane były Jelaczycowi na formowanie zastępów słowiańskich przeciw Węgrom. Mara sejmu austryackiego, zawiązanego naprzód w Wiedniu, a potem przeniesionego do Kremsier, gdzie burzliwi deputowani układali konstytucyę dla Austryi, rozkazem młodego cesarza została rozwiązaną, a rząd niby sam miał konstytucyę nadać. Po wojnie włoskiéj część sił Radeckiego wezwana była do Wiednia, a młody cesarz osobiście pojechał do Warszawy widzieć się z Mikołajem i błagać go, o ratowanie Austryi, z taką pokorą, z jaką niegdyś przodek jego przez posłów błagał Jana III. o ratowanie Wiednia od Turków. Cesarz Mikołaj, jak niegdyś król nasz, wzruszył się losami Habsburgów, a upatrywał w tem i własny interes, bo legion polski zaczął go silnie niepokoić. Tam więc, w Warszawie, poraz drugi postanowioną była zbawa Wiednia, ku któremu podążyć mogły wojska zwycięzkie Węgrów.

Przed tą klęską na parę miesięcy, mówiliśmy, jak gorliwie, jak cukrowemi słowami ambasador rosyjski namawiał rząd rzeczypospolitéj francuzkiéj do ratowa-

nia papieża, i jak wyprawa do Rzymu była postanowioną, a wkrótce potem, papież przywrócony w Watykanie. Teraz więc, po zdecydowaniu się cara aby ratować Austryą, gdy wojska rosyjskie pod wodzą feldmarszałka Paszkiewicza ruszyły się przez Galicyą do Węgier; pan Kisielew, poseł rosyjski, urzędownie odezwał się do rządu francuzkiego w te słowa: — „Zasada nieinterwencyi, przyjęta przez rządy, w niektórych wypadkach jest niepodobną do uskutecznienia. Przekonała się o tem Francya, gdy, widząc groźną przewagę anarchistów w Rzymie, wysłała tam wojska swoje i, przewagą swego oręża, przywróciła zbawienny porządek. W takiem samem położeniu znajduje się dziś Rosya względem rewolucyi węgierskiéj, która grozi porządkowi nie tylko Austryi, ale i krajom przyległym Rosyi. Cesarz zatem Mikołaj, idąc za przykładem Francyi, oznajmia, że widzi się zmuszonym z wojskami swemi wyruszyć na pomoc Austryi, a to dla zgniecenia anarchii węgierskiéj, grożącéj wywróceniem porządku w całéj Europie.“ — Nic na to odpowiedzieć nie można było. Francya chciała tylko, aby ją spokojnie zostawiono i, pod sprawą izby wstecznéj, rządziła się systemem Filipa: *La paix a tout prix.* Runęła sprawa włoska i bohatyrski Karol Albert został opuszczony od Kawaniaka. Rząd kupców w izbie prawodawczéj wyrzekł się przemówić choćby słowo w sprawie węgierskiéj.

Wojska rosyjskie przeszły granicę do Galicyi, gdzie mieszkańcy przyjmowali ich z radością, łudząc się nadzieją, że cesarz Mikołaj zagarnie tę część Polski pod swoje berło, a przenosząc wszystko złe od Rosyi nad tyrańskie i zdziercze rządy Austryaków. Odgłos marszu Rosyan przeraził jednę część Węgier, ale tam tylko, gdzie jeszcze nie było Goergeja. Ten je-

nerał zazdrosny władzy Dembińskiego i, woląc raczéj upadek własnéj ojczyzny niż uznanie zbawcy jéj w osobie cudzoziemskiego jenerała, organizował w armii swojéj powolny tryumf wojskom rosyjskim. Mówił on głośno oficerom, że Rosya zajmie Węgry; że cesarz Mikołaj syna swego przeznacza na węgierskiego króla, a oficerom, którzy przez rewolucyą przeciw domowi austryackiemu posunęli się w stopniach, wszystkie rangi potwierdzi, byle przeciw rosyjskim wojskom nie bili się. Zgubna ta demoralizacya piorunem przebiegła szeregi wojsk Goergeja i przedzierała się do pułków dalszych, tak, że w całéj armii nie myślano opierać się rosyjskim wojskom. Co więcéj, Goergiéj, nietylko nie szedł na Wiedeń, jak to był powinien zrobić, aby osłabić Austryą i dokonać jéj zniszczenia, ale wysłał surowy rozkaz do Dembińskiego, aby nie ważył się wkraczać do Galicyi; a, gdyby już wkroczył, to choćby znaczne odniósł korzyści, ma się cofnąć bezwłocznie. Peszt był w ręku Węgrów. Załoga w Budzie układała się o warunki kapitulacyi. Ale wszystkie punkta Karpat nie obsadzono; otwierano uprzejmie bramę wojskom Paszkiewicza. Dembiński, po odebranym rozkazie Goergeja, podał się raz drugi do dymisyi i przyjechał do Pesztu. Goergej, z majora, posunął Wysockiego na jenerała, i oddał mu dowództwo legionu polskiego z oddziałami Węgrów, które do legionu przyłączone były przez Kossuta.

Odebraliśmy raport brata mego Wincentego, który znajdował się w Peszcie w chwili, gdy lud przerażony wieścią o pochodzie Rosyan, otoczył mieszkanie Dembińskiego i krzyczał: — „Ratuj nas jenerale polski!“ — Dembiński wyszedł na galeryą drugiego piętra domu, i w te słowa odezwał się do zgromadzonych: — „Ratować was nie mogę, nie dlatego, że dziś dwóch ma-

cie potężnych nieprzyjaciół: Austryę, która zbiera siły nowe i dawniejsze niedobitki nie zniszczone winą waszego jenerała, ale dla tego, że w łonie waszem macie najstraszniejszego nieprzyjaciela, który, dowodząc waszemi wojskami, zdradza was wyraźnie i oddaje Rosyi, a tym jest Goergej.“ — Pospólstwo zamiłowane w Goergeju, nie zrozumiało, czy wierzyć nie chciało słowom Dembińskiego, i po przemówieniu jego wykrzyknęło: — „*Ellien Dembiński, Ellien Goergej!*“ Niech żyje Dembiński, niech żyje Goergej! i głucho się rozeszło.

Tymczasem Goergej nie poruszony, stał daleko od wojska pod Moszurezem, i na Rosyan iść nie chciał, tak, iż dobrowolnie pozwolił się odciąć. Na prośby Kossuta, Dembiński zezwolił dowodzić pod imieniem Moszuresa, i cofał się przed Rosyanami z wojskiem nie mającem żadnéj chęci do mężnego odporu. Wtenczas-to Kossut, chcąc podnieść ducha, gdy widział dwuznaczność Goergeja, udał się do Bema, i zaklinał go, aby dowództwo całego wojska objął, a na swojem miejscu zostawił w Siedmiogrodzie Kazenczego, jenerała. Bem stanął na czele sił węgierskich parę razy już zbitych, i postanowił stoczyć walną bitwę z połączonemi siłami Rosyi i Austryi. Ruszył się i Goergej z trzydziesto tysięcznym korpusem swoim, ale zbliżywszy się do wojsk Paszkiewicza, haniebnie wszedł w umowę o złożenie broni, i złożył ją z ogromnym korpusem, opatrzonym w liczną artyleryą i dzielną kawaleryą huzarów. Jednocześnie ze złożeniem broni przez Goergeja, Bem stoczył nieszczęśliwą bitwę pod Temeswarem, i na głowę zbity, myślał już tylko o uprowadzeniu niedobitków pod opiekę Turcyi.

Władysław Zamoyski, niezmordowany zapaśnik na wszelkie miejsca, gdzie był cień pożytku dla sprawy

naszéj, po klęsce Karola Alberta, gdzie jako jenerał, był w sztabie króla, po zawarciu pokoju z Austryakami, gdy już na ziemi włoskiéj upadły nadzieje legionu polskiego i starcia się jeszcze z jednym z wrogów Polski; nie zmordowany na siłach fizycznych i moralnych, przedarł się wśród niebezpieczeństw na ziemię węgierską i stanął przy Dembińskim, rycerski oręż swój, fundusze i życie składając w sprawie mogącéj mieć jakąkolwiek styczność ze sprawą naszą. Był on świadkiem bitwy temeswarskiéj; — doszedł do niego haniebny czyn Goergeja, i oto zostawała mu smutna powinność pogrzebnego konwoju sprawy węgierskiéj i przeprowadzenia legionu polskiego na ziemię turecką przez Serbię. Wysocki, w swojéj broszurze wydanéj w Paryżu, lubo zażarty stronnik demokratycznego towarzystwa, oddał sprawiedliwość szlachetnym i gorliwym zabiegom pana Zamoyskiego, który pomocy z własnéj kieszeni nie szczędził dla biedniejszych żołnierzy i oficerów legionu polskiego, cofającego się z Węgier, i oddał się z niezmordowaną gorliwością zachodom, aby przez kraj serbski przeszli przyjmowani z gościnnością, te nieszczęśliwe rozbitki węgierskiéj sprawy, w któréj szukali promyka nadziei dla własnéj ojczyzny. Jankowicz, Garaczanin, Petronewicz, wysoko położeni urzędnicy serbscy, sam nawet książę Aleksander, okazali szlachetną sympatyę legionistom polskim: dostarczano żywność i wsparcie. Wysocki świadkiem był, jak wysoko położony był Władysław Zamoyski u tego rządu, który powstał zabiegami agentów ks. Adama, i u tych dostojnych urzędników, którzy na wezwanie pana Zamoyskiego pospieszyli z pomocą i radą poleconym zastępom polskim, a to wtenczas, gdy groźne zawiści rozdzielały uczucia Serbów, i zajątrzone były serca

Słowian przeciw Madziarom na pamięć krzywd dawnych, wyrządzanych narodowości serbskiéj i kroackiéj.

Czyn haniebny Goergeja, nie ograniczył się do złożenia broni znacznego korpusu, który był pod jego dowództwem. Chciał on mieć towarzyszów swojéj zbrodni, chciał do hańby własnéj pociągnąć innych jenerałów i dokonać kompletnego upadku sprawy węgierskiéj. Z obozu Paszkiewicza, gdzie podle lizał nogi jenerała rosyjskiego, przesłał trzy listy do dawnych kolegów i przyjaciół swoich, zachęcając ich do naśladowania zdrady, i pisał w téj treści: — „Znacie mię zdawna i znacie miłość moją dla Węgier. Jeśli więc ja składam oręż Rosyi, muszę pewnie mieć szlachetne i pożyteczne dla ojczyzny cele. Idźcie za moim przykładem, i przyłóżcie się do tego dobra jakie spadnie na ojczyznę naszą.“ — Listy te poszły do Damianicza, dowódzcy fortecy temeswarskiéj; do Kazenczego, dowodzącego w Siedmiogrodzie na miejscu Bema, i do Klapki, pod którego władzą była twierdza Komorno. Dwaj pierwsi usłuchali rady Goergeja, i przez Rosyan oddani Austryakom, zostali rozstrzelani. Klapka mędrszy i szlachetniejszy, zatrzymał pod wodzą swoją Komorno po zupełnym nawet upadku wojny i wejściu wojsk węgierskich do Turcyi. To mocne postanowienie Klapki bronienia się do upadłego, zjednało mu warunki, jakich nikt nie otrzymał: dano pasporta wszystkim oficerom załogi za granicę; — wypłacono brzęczącą monetą wszystkie papiery Kossuta, jakie były w rękach załogi, i tym sposobem tysiąc ludzi ocalało od szubienicy i kuli austryackiéj, którzy przeszli do Francyi, Anglii i Ameryki, oczekując na wygnaniu pomyślniejszéj chwili dla Węgier.

Przyszedł do księcia Adama raport o ostatnich

wypadkach wojny węgierskiéj i o emigrantach polskich, którzy na ziemi tureckiéj znaleźli się; ale ani słowa nie było o bracie moim Wincentym, i ja napróżno wywiedzieć się chciałem jaki go los spotkał.

Wśród tych ważnych wypadków i spraw, smutnie dla Włochów i Węgrów rozstrzygających się, i w pośród prac moich w kancelaryi księcia, parę listów pisałem i otrzymałem łaskawe odpowiedzi od pani Ludwikowéj Giżyckiéj, z któréj rodziną serdecznie i całą duszą związały się myśli i uczucia moje. W boleśnéj dla mnie dobie, gdym odebrał pierwszą wiadomość o śmierci ojca mego, w téj chwili gdy serce potrzebuje wylania się i rade szuka najdroższych aby im powierzyć ciężkie cierpienie, pisałem do niéj do Wiednia prosząc, aby modły swoje, za duszę ojca mego, raczyła z mojemi połączyć. Pisałem do niéj potem do Krakowa, gdzie czekać musiała aż przyjdzie pasport zięciowi jéj, Mieczysławowi Grocholskiemu, któremu robiono w Rosyi niejakie trudności jako poddanemu Austryi. W czerwcu 1849 roku, doszła mię wiadomość, że i ją jako matkę, znowu Bóg ciężko dotknął. Syn jéj Michał w Grefenbergu zatrzymał się mocno słaby. Doktorowie osądzili że ma suchoty; i nieszczęśliwa matka, z Krakowa pospieszyła, odkładając swój powrót na Wołyń, coprędzéj do syna ciężko złożonego. Mnie, tak szczerze, tak silnie przywiązanemu do jéj rodziny, przychodzi myśl jechać do Grefenbergu, i starać się, jeśli zdolny będę, czemkolwiek być jéj użytecznym, czuwać przy chorym, nie dosypiać nocy, służyć jéj synowi po nocach. W kilka dni miałem już pasport jako Francuz, i wyruszyłem z Paryża. Stanąłem na granicy Niemiec w Aix-la-Chapelle, i tam powiadają mi, że z przyczyny wybuchłéj rewolucyi w Dreznie, uorganizowa-

néj przez Bakunina, owego poczciwego Moskala, który za nami 1847 roku przemawiał na obchodzie 29 listopada, i za to przez rząd Filipa został wygnany z Francyi; — że z przyczyny groźnych zawichrzeń, na których uśmierzenie wojska pruskie zapewne wyruszą, nikt z pasportem francuzkim na teraz przepuszczony być nie może. Dziwnym więc wypadkiem, w téj mojéj gorącéj chęci nawidzenia chorego, służenia téj rodzinie, w chęci serdecznéj zbliżenia się do Maryi, stanął mi na zawadzie niespodziewany ruch w Dreznie. Wróciłem ze ściśniętem sercem. Starania matki uratowały syna. Ale w ciągu jego słabości rozegrał się dramat boleśny dla najsłodszych marzeń moich.

Krewna moja, Józefa Wyrzykowska, u któréj zawsze bywałem, poszła ze mną jednego wieczora do księżny Józefowéj Doroty Lubomirskiéj, z domu Steckiéj, która na nią bardzo była łaskawą, i często, albo ją miała u siebie, albo nie jednę godzinę spędzała w jéj pomieszkaniu. Ta jéj znajomość z krewną moją sprawiła, że i ja nieraz jeden nawiedzałem ją; zapoznałem się nawet z jéj synem Marcelim, który w tę porę z Petersburga przybył do Paryża. W jednéj z takich wizyt, księżna powiada mi, nie znając moich uczuć, a wiedząc jak wysoko szanuję rodzinę pani Giżyckiéj: — „Muszę też panu powiedzieć, że nie zadługo wychodzi zamąż jedna z jego znajomych, — Marya Giżycka.“ — Bladość pokryła twarz moją; po chwili pąs oblał ją i skrzepły nogi moje. Wyrzykowska skinęła na służącego i znagliła abym szklankę wody wypił. Wlałem ją w siebie, sam nie wiedząc co robię, i tak samo wlałbym w téj chwili nieprzytomności roztopioną smołę, albo ołów. Chciałem powstać z krzesła; zatoczyłem się; nogi podemną były ciężkie, jak dzisiaj w téj cho-

robie, która od dwóch lat mię dręczy. — Bez sił, bez przytomności prawie, wyszedłem po chwili z salonu, i jakby bezwładnego, fiakr odwiół do mego mieszkania. Boże wszechmocny! Być-że to może? — Prawda, ja żadnych do jéj serca praw nie miałem. Ale ten obraz jéj z poszanowaniem w marzeniach moich pieszczony; — to każde jéj słowo, każde spojrzenie jako relikwie w pamięci zachowane; — ten stosunek święty między mną a tą, która mię do Boga nawróciła; ten gorący pacierz codziennie za jéj pomyślność odmawiany; — wszystko to przywiodło tak serce moje do nawyknienia, iż mimo wszelkich trudności, dobrze mnie wiadomych, uważałem ją moją, za anioła i towarzyszkę przeznaczoną mi od Boga. Jeśli prawdziwe jest przysłowie dawne u ojców naszych: *Śmierć i żona, od Boga przeznaczona*, to, zadałem sobie pytanie: — Nie onaż? Nie Marya przeznaczona była dla mnie? Ona, którą tak silnie kochałem? — Ona, która przez siostrę zmarłą wysłana była do mnie, aby ukazać mi krzyż jako kotwicę zbawienia mego; — ona, w któréj wzroku zdało mi się widzieć jakiś promyk nadziei? — Zabrzmiały w pamięci mojéj owe wyrazy przy pożegnaniu — „kiedyż się obaczymy.“ — Zajaśniał blaskiem ów wzrok tęskny i łaskawy gdym odpowiadał — za rok, albo nigdy; — i zadrżała ręka moja na pamięć uścisku jéj ręki, który zdał mi się tyle mówić natenczas. Czcze złudzenia, sny rozkochanego, gonienie za marą urojoną. Nic — nic w sercu swojem nie czuła dla mnie. Ona, która mię uręczała, że daleko od Wołynia, żyćby nie mogła; — ona idzie za mieszkańca Księstwa poznańskiego, i tam osiądzie. — Ona, która zapewniała, że ten, któryby jéj mężem miał zostać, musi dobrze jéj być znanym. — Ona wychodzi za człowieka, któ-

rego dawniéj raz tylko na wieczorzę widziała. O ślepy człowieku! Gdzie cię miłość zawiodła? Jak ta miłość pokazywała ci złudzenia marne, bez śladu istniejącéj rzeczywistości! — Noc całą przepłakałem. — Ucisz się serce! Bóg niejedną boleścią dotykał ciebie, poddaj się i pod ten cios nowy i zgódź się z wolą Tego który wie, jak rządzić losem najlichszego robaczka. — I wie zapewne. — Któż zgadnie, czy ja dałbym szczęście Maryi; — czy nasze charaktery zgotowałyby ten pokój święty, pokój małżeństwa między dwoma zgodnemi sercami? Wie zapewne Bóg co dla mnie gotował; bo gotował mi na towarzyszkę kobietę wielkiéj duszy i wielkiego poświęcenia, która kocha mię niegodnego siebie, a w ciężkiéj chorobie, gotowa co chwila na wszystkie posługi, i czuwa nademną z okiem wlepionem w bladą twarz moją i wygląda uśmiechu mego, któryby znośniejszy stan zdrowia mego oznajmił; — i krwawi się jéj serce, gdy ból jęk wywoła z mych piersi, i nie odstępuje mię wtenczas na chwilę, — i płacze nieszczęśliwa nade mną, który jéj młodość zatrułem i nic nie wniosłem do powszedniego życia, nawet zdrowia, któreby pozwoliło mi czuwać nad jéj dobrem, nad synem jéj, który mojéj opieki, mego czuwania, mego kierunku potrzebuje, aby stał się kiedyś godnym mężem i nagrodził, ukształcony przezemnie, jéj smutki, jéj boleść przy mnie, — jéj życie zatrute, jéj ciężkie trudy przy chorym! — O! na kolanach Boże dzięki Ci za nieskończone miłosierdzie Twoje! Dotknęła mię ręka Twoja, odebrałeś mi siły, przeciągasz codziennie przed oczy moje marność życia, kres jego niedaleki, niemożność służenia sprawie, ziomkom, niemożność baczenia na dobro domowe; — ale postawiłeś u boku mego Anioła dobroci, obraz Twój na

ziemi i dyktujesz mi codziennie modlitwę do Ciebie: „Nie nade mną Panie, ale nad nią się zlituj! — Zdruzgocz mię, dotykaj mię ciężką karą, jaką wybierzesz, — ale jéj, Panie! — jéj wróć pokój duszy! — Dla niéj błyśnij blaskiem nieskończonéj litości Twojéj i daj jéj jeszcze kosztować słodyczy, jakie zsełasz na czystych Twoich na ziemi dla przykładu innym, dla rozszerzenia chwały Twojéj między śmiertelnemi.“

Smutne uspokojenie Europy i ustalenie jakiekolwiek rządu rzeczypospolitéj francuzkiéj, sprowadziło do Paryża wielu bardzo podróżnych polskich. Przyjechali znajomi moi: Tadeusz Waleski z żoną i z panną Konstancyą Wyleżyńską, książę Czartoryski ożeniony z Marceliną Radziwiłłówną, pan Gorajski z żoną i córką z Galicyi, hrabia Aleksander Fredro, hrabia Adam Potocki; Czarkowscy z Galicyi; Cieleccy, pani Kisielew, Potocka z domu żona ministra dóbr cesarskich, i wiele innych. U Walewskiego często bardzo wszystkie te osoby zbierały się wieczorami; w sobotę zaś i w poniedziałek można było widywać je u księcia Adama Czartoryskiego.

W letniéj jeszcze porze był dom francuzkiego majora, z armii Napoleona I, gdzie bardzo często zachodziłem jako do dawnych znajomych moich z Belgii. Pan Ballé, odstawny major artyleryi, fundusze swoje złożył w kopalnie węgli, obficie eksploatowane koło miasta Charleroi i Namur. Mając w nich udział i kapitałem i pracą swoją, przeniósł się major z żoną i dwiema pięknemi córkami do Brukselli, gdzie w domu swoim przyjmował bardzo wielu Polaków; między nimi, najpilniejszym był gościem pan Fridberg, rodem ze Lwowa, syn b. konsula austryackiego w Krakowie, urodzony z matki Belgijki, wychowany w Galicyi, a uczu-

ciem swojem Polak. Dziad jego zapisał mu pod Louvain majętność w ziemi, wartującą czterykroć sto tysięcy franków. Pan Fridberg majętność tę przedał, a oddał się handlowi niefortunnemu książek. Założył księgarnię i wydawał peryodyczne pismo pod tytułem: *Les Belges peints par eux mêmes.* Na artykuły wiele wydawał, księgarnia szła nieporządnie, i kapitał topił się pomału. Ale w drodze téj spekulacyi, panna Ludwika Ballé wdziękami swemi i głosem cudnego śpiewu tak go ujęła, że staranie się o jéj rękę, nie mało wpłynęło do niepowodzeń handlowych. Słowem, pannę Ludwikę otrzymał za żonę, a majątek stracił zupełnie. Młodsza jéj siostra Paulina, równie piękna, choć w innym guście, bo jasnoblondyna, przy ciemnéj brunetce siostrze swojéj, mocno zajęła brata mego; ale sama nie posażna, nie widziała wielkiego szczęścia łączyć się z ubogim emigrantem. Widział to i brat mój, a tak, owe pierwsze uczucia, nawet wzajemne, rozwiały się w rozwadze i czynnościach politycznych, które brata mego, Wincentego, popchnęły naprzód do Paryża, a potém do Węgier. Ludwik Napoleon, zostawszy prezydentem, wezwał p. majora Ballé na intendenta pałacu Elysée Bourbon, który został pałacem prezydenta rzeczypospolitéj; i ta dawno znajoma mi rodzina osiadła w Paryżu. Z okien mieszkania, oddanego panu Ballé, oglądałem nieraz dzisiejszego cesarza. Widziałem jego czoło wysokie, pełne zamyślenia i szlachetną twarz; ale zawsze raziła mię dziwna struktura ciała. Korpus, od szyi do nóg, ma bardzo długi, a do niego nogi krótkie, a przeto nieproporcyonalne. Na koniu wydawał się wspaniale, bo cały korpus widoczny od siodła wznosił się pokaźnie, a nogi mniéj podpadają uwadze; lecz, gdy szedł piechotą, pewną śmieszność

obudzał krótkiemi i jakby przyprawionemi nogami. Pan Ballé żył wygodnie i wykwintnie, bo ze stołu prezydenta tyle dostarczano, że stół jego było czem ubrać dla rodziny, a nawet dla zaproszonych osób. Salony przestronne na skrzydle pałacu, oporządzane i obsłużane były lokajami prezydenta. Stary major był to wesoły wiarus, kochający ród Bonapartych i Polskę przez tradycyję. O jutro nie bardzo się troszczył, i nie chciałby mu poświęcić ani dobrego obiadu dnia dzisiejszego, ani butelki szampana i bordeaux. Ale cała rodzina miała co jeść; dostarczanie potrzeb do pałacu odbywało się przez niego; kupcy więc musieli być grzeczni; a tak, uczciwym nawet sposobem, były uboczne intraty na porządne ubranie dla córek, syna i zięcia pana Fridberg, który nic nie robił, a, straciwszy swoje, przeniósł się z żoną i dziećmi do teścia. Paulina zajmowała się gospodarstwem i była duszą rodziny; a prócz tego, grając na fortepianie z niezwykłym talentem, sprowadzała do domu licznych gości. Była między mną a tą rodziną często mowa o bracie moim; i za każdą odebraną z Węgier wiadomością przynosiłem jéj wieści o Wincentym. Dom więc pana Ballé byłby najmilszym dla mnie, gdyby nie to, że przybyłe liczne polskie familie odciągały mię potężnie od niego. — I tak się już stało ku zimie, że po dwa i trzy miesiące nie bywałem u nich.

To zetknięcie się z ziomkami memi przybyłymi z Polski, zwiększyły tęsknotę do kraju. Serce rwało się do swoich, do kątka, gdzie życie wziąłem. Chmura czasu obecnego, gdzie w dalekiéj tylko przyszłości gwiazdka błyskała dla sprawy naszéj, zawiesiła prace nasze polityczne: — na gwałt chciałem jeszcze raz w życiu ziemię moję obaczyć. Spotykałem się często

na salonach ziomków moich z panem Bałabinem, sekretarzem ambasady rosyjskiéj w Paryżu, i, lubo znajomości z nim nie zabierałem, zdarzał mi się jednak zawsze grzeczny jego ukłon. Otóż obrałem go za mego protektora. Napisałem do niego list wzywający, aby, złożywszy swój charakter urzędnika Rosyi, przez uczucie ludzkości i stosunki jakie powinny być między Słowianami, pomógł tęskniącemu do ojczyzny, wrócić do niéj. — Odebrałem grzeczną odpowiedź, wzywającą mię do mieszkania p. Bałabina, na godzinę drugą w piątek, a było to w miesiącu wrześniu. Oto co ustnie powiedział pan Bałabin: — „Si vous avez quelqu'un à Petersbourg qui puisse parler en votre faveur au comte Orloff, je tacherai de ne pas vous empecher; mais ni moi, ni l'ambassade ne peut prendre l'initiative en votre faveur, car vous êtes énormément compromis, non dans la révolution, mais par vos liaisons avec le prince C. et le comte Z.; et, si vous voulez, je vous citerai tout ce que nous avons contre vous, — et d'abord, ils nous sont connus tous les articles du journal de *Trois Maj*, qui sont écrits par vous, et les vers traduits du français sur la mort de la grande duchesse fille de l'empereur; — puis nous savons que vous avez fait des voyages très actifs et bien compromettans en Turquie et en Italie; que vous avez travaillé dans la chancellerie du Prince." — Na to odpowiedziałem jednym argumentem najlepszym w Rosyi: *nie znaju i nie wiedaju.* Przedstawiłem mu, że w tak licznéj emigracyi, nie jeden jest Budzyński, i że to zapewne nie ja. — „Otoż ta okoliczność, mówił mi pan Bałabin, została nam do przedstawienia w razie, gdyby nas z Petersburga zapytano. — Ale najpierwsza rzecz, trzeba aby za panem ktoś przemówił do hr. Orłowa,

bez tego nic. Podziękowałem za dobre chęci p. Bałabina, a sam zwróciłem się do dwóch pań, znajomych moich, które wiedziałem, że chcą mi pomódz ile w ich mocy będzie, a temi paniami były: pani Kisielew i pani Czerkowicz, Rzewuska z domu.

Pani Kisielewowéj znany byłem w Rzymie jeszcze: całą duszą Polka i katoliczka gorliwa, nie była mi trudną do pozyskania; ale jéj pomoc mogła tylko dosięgnąć brata jéj męża a sprawującego urząd ambasadora rosyjskiego we Francyi. Dzieje jéj życia i oryginalne położenie, dość są ciekawe. Córka Potockiego smutnéj pamięci i owéj Greczynki, która zawładła sercem i olbrzymim majątkiem Szczęsnego Potockiego, po śmierci ojca, została pod despotyczną władzą matki, która zapewne na ścisłą moralność naszych kobiet polskich nie zwracała baczenia; krew swoję wschodnią nie ochłodziła w klimacie północnym, a giętkim charakterem, nie wyrzekła się intryg i podłości, któremiby mogła zyskać łaski i dostatki. Ta sławna, poematem Trembeckiego, Zofia, nie wniosła żadnego posagu; — przeciwnie, Potocki za jéj ustępstwo, znaczną zapłacił sumę pierwszemu jéj mężowi Wittowi, komendantowi fortecy Kamieńca za czasów rzeczypospolitéj, ojcu jenerała rosyjskiego Witta. Ztąd, jako dla bezposażnéj, po śmierci męża, wedle statutu litewskiego, którym prowincye polskie, do Rosyi zajęte, rządziły się po rok 1842, należał dla niéj z prawem dożywocia udział z majątku mężowskiego na równi z każdym z jego synów. Cesarz Aleksander I, zrobił wyłączne dla niéj dobrodziejstwo kosztem potomków Szczęsnego, nadał jéj prawo dziedzictwa do takiego jéj udziału, zastrzegając tylko, aby to nie było przykładem dla innych. Ten udział przecież stanowił kilkanaście milio-

nów złotych. — Ale za to, dwie piękne córki, późniejsze pani Naryszkin i pani Kisielew, ofiarowane były cesarzowi Aleksandrowi w czasie wielkiéj rewii, na którą zjechał tenże do Tulczyna. Z perfumami, koleją wysełane były przez matkę do sypialnego pokoju cesarza dwie córki znakomitéj rodziny polskiéj!... Ta grzeczność wywołała wdanie się cesarza na postanowienie dwóch pięknych panien Potockich. Obie wydane były za dwóch ulubieńców cesarza. — Pani Kisielew sama opowiada poślubne sprawdzenie przez jéj męża powyższego w Tulczynie wypadku, i własną w ostrym sposobie odpowiedź na jego otwarte zdziwienie, że gdyby nie to co on sprawdził, to niezawodnie mężemby jéj nie był. Po tém wszystkiem, pożycie małżeńskie nie musiało być zgodne i długo harmonijne. To też pan Kisielew oddawał się dyplomacyi, a żona jego, wesołe życie spędzała w Wiedniu i Paryżu, a nakoniec znaczną fortunę swoję spieniężyła, przeniosła na renty francuzkie i osiadła za granicą, pół roku spędzając w Paryżu a drugie pół roku u wód w Homburgu, Baden-Baden albo Spa. Miała przy sobie niby siostrzeńca, nazwiskiem *St. Clair*, którego starannie wychowywała i całą przeznaczała mu fortunę wynoszącą do siedmiu milionów franków. Równie w Paryżu jak u wód, najmilszém i najdłuższém jéj zajęciem była gra. Potrzebowała silnych wzruszeń, i dla tego *rouge et noir*, *ruleta*, albo *diabełek*, były jedynemi zabawkami jakie znosić mogła. W dzień zaś grała w bursę, i na niéj odgrywała znaczne straty w grze kartowéj. Gra w bursę szła pomyślnie; bo tam grała na pewno, mając ogromną sumę w gotowiznie, znalazła łatwy sposób wygrywania. Gdy papiery stały nisko, kupowała je; a skoro podskoczyły, zamieniała na gotówkę i czekała nowego spadku. Zao-

patrując się papierami francuzkiemi tylko, była pewną swego kapitału; bo ruina mogła tylko z ruiną Francyi nastąpić a gdy stały nisko papiery, dość je było trzymać u siebie; bo procent zawsze się wypłacał w terminach. Siostrzeńca swego, a jak się zdaje, najrzetelniejszego syna, dziwnym sposobem chciała tak wychować, aby, gdy wyrośnie, nigdy nie grywał. Zdawało się jéj, że najlepszym na to sposobem, kazać mu grać jak najczęściéj dzieckiem; i, posłuszny ten malec rozkazom opiekónki swojéj, stawiał po kilkaset franków na kartę w Homburgu a grał wyśmienicie w diabełka na zimowych u niéj wieczorach w Paryżu. Nie wiem czy ten środek nadania wstrętu do gry udał się pani Kisielew; synek jéj, musi już dziś mieć lat 19: czasby był wziąść go na egzamen. — Pani Kisielew, bardzo była łaskawą na mnie, bo jéj podobała się gra moja w Ćwika i Djabełka. — Ztąd i wszelką pomoc swoją do mego powrotu najuroczyściéj przyrzekła i zaraz tem się zajęła.

Druga jednak protektorka moja, skutecznie i prędko całą rzecz dokonała. Tą drugą protektorką była pani Czerkowicz, z domu Rzewuska, Adama Rzewuskiego kasztelana witebskiego córka. Była ona naprzód żoną Hieronima Sobańskiego, i z nim miała jedyną córkę, która poślubioną została księciu Sapieże z Litwy. Znany jest romans pod tytułem *Tadeusz bezimienny* J. Korzeniowskiego. W nim opisał autor uwiedzenie Polki, żony szlachetnego obywatela przez jenerała wojsk rosyjskich. Znającym wypadek w domu państwa Sobańskich łatwo domyślić się, że owym jenerałem jest Witt, z którym uwiedziona przebyła w nieślubnych związkach znaczną część życia. Jenerał Witt był ożeniony, lecz nie żył z żoną swoją z domu księżniczką Lubomirską, która

w pierwszym związku z brygadyerem Adamem Walewskim, miała syna Tadeusza i córkę, którą wydała za Moskala, księcia Gagaryna a wychowała na Moskiewicę duszą i ciałem; później rozwiódłszy się z Walewskim, wyszła za jenerała Witta. Z tymto jenerałem pani Sobańska, po upadku rewolucyi 1831 roku, weszła do Warszawy. Trzeba jéj oddać sprawiedliwość, że przynajmniéj grzesznych i ohydnych stosunków swoich z gubernatorem Warszawy użyła, o ile mogła, dobroczynnie na ratowanie wielu nieszczęsnych rozbitków armii polskiéj. Objeżdżała ona szpitale gdzie pozostali ranni oficerowie polscy; opatrywała ich potrzeby i nie jednego wróciła rodzinie, a między innymi Artiura Lenkiewicza, syna Gracyana, mojego kolegę z Krzemieńca. Gdy jenerał Witt opuścił ją, ona poszła za jego adjutanta Czerkiewicza, któremu dostało się gubernatorstwo noworosyjskich gubernii. Owdowiawszy, schroniła się do Rzymu i w oberży trzymanéj przez jezuitów, opłakiwała grzeszną i burzliwą młodość. Tam ją poznałem i oddawałem jéj wizyty w owym domu bogobojnym, gdzie po 10-téj godzinie, nie wolno było przychodzić, aż chyba za pozwoleniem przełożonego ojca Loyoli, i za jego pozwoleniem tylko wychodziły bogobojne dewotki po téj godzinie na wieczory do miasta. Opłata w takim domu była nadzwyczaj droga; ale za to, zabawna pani Czerkowicz, rozumiała dostąpić wszelkiego odpuszczenia dawnych grzechów. Ona-to wzięła na serce moją tęsknotę do kraju rodzinnego i zaręczała mię, że brat jéj, p. Adam Rzewuski, szwagier Orłowa, z powodu działu familijnego, może wiele u ministra policyi, a z powodu wypłat jéj należnych, będzie bardzo szczęśliwy, jeźli jaką grzeczność dla niéj zrobi; sprawa więc moja, dobry weźmie skutek. Tadeusz

Walewski wziął na siebie utrzymać w przyjaznych usposobieniach Bałabina, pani Kisielew zaręczała za szwagra swego, ambasadora; — i oto poszła do Petersburga ekspedycya z żądaniem mojem paszportu do kraju.

O bracie moim Wincentym, żadnéj nie było wieści. Pan Władysław Zamoyski przebywał w Turcyi, ochraniając Polaków legionu węgierskiego, o których wydanie kołatały dwa dwory natarczywym sposobem do sułtana. Cesarz Mikołaj, jakby na szyderstwo, przysłał w poselstwie nadzwyczajnym do Porty księcia Leona Radziwiłła, adjutanta swego, dopominając się wydania Polaków, którzy w węgierskich szeregach potykali się z wojskami rosyjskiemi. — Książę Leon Radziwiłł, rodem Polak, nie wahał się przyjąć na siebie tę nikczemną misyę, i przed sułtanem wykładał punkta adryanopolskiego traktatu, któremi dowodził prawowitość domagań się carskich. Sułtan zapytał Radziwiłła: czy jest prawdą, jak przed nim mówiono, że on jest Polakiem? — A gdy bezczelny renegat nie mógł zaprzeczyć, sułtan, Muzułmanin, odpowiedział mu, że dziwi się, iż on, Polak i chrześcianin, podjął się smutnéj misyi dopominania zguby swoich współziomków i współwyznawców; — i że on, sułtan, Mahometanin, chce go wybawić od hańby i grzechu, i pójdzie za miłosierdziem swojéj wiary, i odmawia mu wręcz zadość uczynienia w tym punkcie. — Naczelnik barbarzyńców, dał naukę Polakowi i chrześcianinowi. A ks. Leon Radziwiłł wyjednał tylko internowanie emigrantów i oddalenie do Alepu Bema, mianowanego Baszą po przyjęciu mahometanizmu. Wielu Polaków poszło za przykładem Bema; inni wysłani byli do Azyi, inni otrzymali paszporta od ambasady francuzkiéj,

i dostali się do Anglii i do Francyi. Między tymi, przybył do Paryża młody Fredro, syn Aleksandra, naszego ulubionego komika, który z żoną oczekiwał na syna od kilka tygodni we Francyi. Miałem sposobność widywania nieraz na polskich zgromadzeniach znakomitego pisarza naszego; ale bliższe poznanie winienem był łaskawemu sądowi jego o pracach moich. Jednego poranku, w mieszkaniu mojem na uliczce *Passage Dauphine*, wchodzi do mnie p. Aleksander Fredro, i wita mię temi słowy: — „Wczoraj czytałem tłumaczenie pana dramatu Szyllera *Wilhelm Tell*. Roiłem sobie dawno, że tak być powinno tłumaczone na nasz jezyk to znakomite poema dramatyczne, i dla tego chciałem bliżéj poznać tłumacza.“ — Miałem rozkosz przez dwie godziny rozmawiać z tym dowcipnym i arcy uczonym pisarzem naszym, który jest bez zaprzeczenia sławą literatury polskiéj. Ofiarowałem mu dwa tomy Szyllera, które już były wyszły natenczas, i w rękopisie dałem mu całe tłumaczenie Wilhelma Tella; bo to co Fredro czytał, były to sceny niektóre umieszczone w dodatkach do *Trzeciego Maja*, a cały dramat wyszedł w Lipsku, dopiero po moim powrocie do kraju. Odtąd widywałem częściéj hr. Aleksandra Fredrę, — poznałem jego syna, arcy energicznego młodzieńca, ale niestety! zarażonego nonsensami zasad demokratyczno-republikańsich przez propagatorów naszych, rozsypanych w legionie polskim na węgierskiéj ziemi, i przez owych wichrzycieli emigracyjnych we Francyi.

Łaską Bożą pocieszone zostało serce moje: gospodarz mój, pan *Jacques*, przyniósł mi z radością list z Wrocławia; poznał on rękę mego brata, i poczciwiec oświadczył zaraz, że jeśliby potrzeba było posłać Wincentemu pieniędzy, a ja przypadkiem nie mógłbym tego

uczynić, on mi swoich pożyczy. Podziękowałem mu serdecznie; bo znalazło się pięćset franków które wyprawiłem zaraz do brata mego. Po dziwnych kolejach przybył Wincenty do Wrocławia, i pisał do mnie abym mu na podróż przysłał fundusze. Jednak nim moje pieniądze zajść mogły, brat mój zjawił się w pomieszkaniu mojém, pożyczywszy ilość jakąś u p. Statlera, księgarza, z którym miewał dawniéj literackie stosunki.

Dziwne przejścia były biednego Wincentego w Węgrzech. Po odjeździe Bema do armii głównéj węgierskiéj, pozostał on w nowo formującym się batalionie legionu polskiego w Siedmiogrodzie, w szeregach korpusu węgierskiego, działającego na ziemi siedmiogrodzkiéj pod jenerałem Kazenczym. — Kazenczy w moc listu Goergeja układał się o poddanie i siebie i swoich Rosyanom, do których to układów w żaden sposob należeć nie mogli Polacy. Kilkudziesięciu tych sprzymierzeńców sprawy węgierskiéj, umyśliło przebijać się do Turcyi; ale że roztawione bataliony, miały surowy rozkaz pilnować przejścia granicy, i zatrzymać udających się do Wołochii Polaków uradzono po dwóch docierać do granicy, aby łatwiéj uniknąć czuwających straży rosyjskich. Z moim bratem znalazł się w téj podróży niebezpiecznéj major dawny wojsk polskich, Czechowski, człowiek już w wieku i bardzo ociężały na taką partyzancką eskapadę. — We dwóch mieli 25 cwancygierów całego majątku i nogi jeszcze zdrowe, nieodzowny warunek, któremu jabym już dziś sprostać nie mógł. Uszedłszy parę mil od obozu Kazenczego, byli spotkani przez chłopów węgierskich, którzy domyślając się ich zamiaru, przyjaznem sercem radzili im, aby nie odważali się na tę ucieczkę, bo straże tak są rozstawione, że przemknąć się nie będzie podobna, i wskazali im inną drogę. — „Niech panowie

starają się iść w górę, to przez same Węgry łatwiéj przejść do Szląska, jak tędy przez Siedmiogród do Turcyi.“ — Droga była nadzwyczaj długa, ale przez kraj już uspokojony i liczne wsie Węgrów prawdziwych, a zatem nienawidzących Austryaków, i chowających pamiątki serdeczne dla obrońców wolności madziarskiéj, przedstawiała jakieś podobieństwo ocalenia życia. Mój brat obrał tę drugą drogę i namówił do niéj towarzysza swego. Przez miesiąc cały ciągnęła się ta podróż pełna trudów, głodu, czuwania i niebezpieczeństw. Dostali sobie paszporta niemieckie jakichś Niemców, osadników z pod Hermanstadt, a które im dostarczyli chłopi ze wsi madziarskiéj. Ale major nie umiał nic po niemiecku, a mój brat po akcencie łatwo mógł być rozpoznany. Od chaty więc do chaty tylko przeprowadzani przez Madziarów, dostali się do jakiegoś miasteczka słowackiéj ziemi, gdzie ci plemiennicy nasi uwięzili ich i oddali władzom austryackim. Zamknięto obu do więzienia i zwołano sąd wojenny nazajutrz. Ale w nocy, mieszczanie węgierscy, do więzienia podkradli się, straże odpędzili i zawiedli obu do bliskiego lasu, zkąd jeden odprowadził ich daléj. Drugą razą, okazujących paszporta zaprowadzili do komisarza wsi, a sami czekali za progiem. Brat mój wszedł do izby; nie zastał nikogo. Pióro i kałamarz stały gotowe na stole, a przy nich czapeczka z kokardą austryacką. Komisarz wyszedł przed chwilą na moment drugiemi drzwiami. — Brat mój chwilkę zaczekał; ale gdy komisarz nie wraca jeszcze, skinął na majora i zawróciwszy się nazad do czekających Słowaków, śmiało im powiedział, że komisarz nagniewał się na tych co zatrzymują ludzi z paszportami, i kazał natychmiast wypuścić. — „A to idźcie sobie,“ powiedzieli zmieszani;

i oto cudem prawie uratowali się, bo tą razą mieli paszporta węgierskie, to jest Węgrów rodowitych a żaden i jednego słowa po madziarsku nie umiał. Węgrzy nie tylko ze współczuciem, ale z rodzajem uwielbienia byli dla Polaków. Gdziekolwiek brat mój i towarzysz jego zaszli do ubogiéj chatki Madziara i odkryli się ze swem pochodzeniem, cała rodzina klękała ze łzą w oku, wymawiała słowo *Lendzia* (Polak), i już wtenczas mogli być pewni wszelkiéj pomocy. Chłopi madżarscy nie mogli dość pochwał znaleźć dla męztwa tych Polaków którzy w legionie służyli. — „Nikt u nas tak nie bił się jak wy; nikt tak niegodnego Niemca nie nienawidzi jak wy: jakże my was zapomnieć mamy!?“ — Otóż Węgier jeszcze doprowadził ich do granicy i znalazł dla nich bezpieczną przeprawę: polecił ich przemycarzom tytoniu, i tam dano każdemu spory worek Echter ungeru, to jest tytoniu do przeniesienia przez granicę; i wężykiem Szląska austryackiego, dostali się obaj do granicy Szląska pruskiego, a ztamtąd do Wrocławia. Czechowski podążył do Poznańskiego; brat zaś mój, jak wyżéj wspomniałem, dostał się dyliżansem do Paryża.

Nie podobna opisać radości, rozkosz serca w powitaniu się naszem po przebytych jego niebezpieczeństwach. Łączyły też nas, nietylko najbliższe związki krwi, ale wszystkie najdroższe uczucia ludzi, zawsze na jednéj drodze pracujących. A jednak, dziwnem zrządzeniem Bożem, łączyliśmy się, aby znowu na długo się rozdzielać. On drżał o mnie, gdym wydostawał się z nasadzonych ścigań w Mołdawii. Po przybyciu mojem do Paryża, w miesiąc, on udał się do Węgier. Tą razą, gdy on, prawie niepodobne znalazł wybawienie po wojnie węgierskiéj, zastał mię bliskim powrotu do kraju, dokąd, nowem skompromitowaniem się, żadnym sposo-

bem powrócić nie mógł. — Ale jeśli ja, jako brat, witałem go rozradowanem sercem, to i szlachetny ks. Adam ściskał go jak syna; bo za syna pewnie uważać on chciał każdego, kto pod jego kierunkiem pracował i niósł chętnie życie swoje dla sprawy, któréj i on ślubował. Znajomi moi ziomkowie, powitali brata mego serdecznie, i połączyli ze mną całą radość jaką moje braterskie uczuło serce. Ale najradośniéj i najszczerszem uczuciem powitała go cała rodzina majora Ballé, gdzie zastał Pawlinę, dawną miłość swoją. I odtąd, gdy ja wieczory moje spędzałem najczęściéj u Tadeusza Walewskiego, u pani Kisielew, albo u Ksawerego Branickiego; — on dnie i wieczory spędzał u rodziców Pawliny, a w sercu jego dawne odżyły uczucia.

Nimem się zdecydował porobić kroki potrzebne do mego powrotu, pamiętny, żem się raz poddał w pracach moich władzy księcia Adama, uważałem sobie za obowiązek uwiadomić go o tém i wziąść pozwolenie ze stałem postanowieniem zaniechać wszelkiéj myśli, gdyby on nie uważał to za dobre. Janusz Woronicz już od kilku miesięcy powrócił był, i na nowo objął obowiązek swój zawiadywania kancelaryą księcia. Ostatnią czynnością moją w tem powołaniu, a raczéj zastępstwie jego, było szczegółowe wyjaśnienie wszystkich prac dla sprawy naszéj pod dyrekcyą księcia. — Powodem do tego zarysu, powierzonego mi przez naczelnika naszego, była następna okoliczność:

Karol Forster, autor kilku dzieł francuzkich o Polsce, zetknął się w Krakowie z hr. Adamem Potockim, i sam mówiąc o pracach księcia Adama i jego agentów, i o małem poparciu tych prac potrzebujących kosztu, usłyszał te słowa pana Potockiego: — „I ja, i inni, którychbym znalazł, chętnie pomoglibyśmy księ-

ciu zasiłkiem jakim stałym; ale chciałbym wprzódy wiedzieć, czy działania księcia zgodne będą z mojem widzeniem rzeczy.“ — Otóż w tem sprawozdaniu mojem, zacząwszy od trudności działania na ziemi naszéj, i wywołania sił dostatecznych do powstania, przebiegłem jak książę, i za rozkazem jego pracujący pod jego kierunkiem, przysposabiają pomoce zewnętrzne, mogące w razie danym i wywołać i wesprzeć powstanie narodowe. Opisałem agencyą w Carogrodzie przy Porcie, która, aby istnieć, musi przyjść kiedyś do wojny z Rosyą, — agencyą w Serbii, gotowéj poprzeć tę walkę Porty z głównym jéj nieprzyjacielem; — agencyą w Mołdawii i Wałachii, a nakoniec liczne stosunki nasze z Kozakami, z których zawiązek armii mógłby być uformowany wspartéj pomocą Tatarów Dobrudży; nakoniec, niedawno silne związki ze Starowiercami Moskwy i głównych miast rosyjskich, a mogące się zawiązać jeszcze na Donie, gdzie już po dwakroć proponowano. Dodałem nadto opis agencyi nowo zawiązanéj w Sztokholmie i Chrystyanii, pod dyrekcyą pana Waligórskiego, dawnego majora inżynieryi, który wezwany był do tego przez następcę tronu, księcia Oskara, dziś już króla, i przyjeżdżał do księcia Adama z tem, że następca tronu szwedzkiego dziwił się, że książę szukając wszędzie przyjaciół dla Polski, zapomniał o Szwecyi, któréj interesem jest, o ile można przysposabiać chwilę starcia się skutecznie z Rosyą, która tyle kraju jéj oderwała. Nie rozległe jeszcze mogły być nasze działania w Szwecyi, ale rokowały rozwinięcie pożyteczne dla sprawy polskiéj. Na utrzymanie tych wszystkich agencyi, żądał książę sto tysięcy franków rocznie od Polski. P. Adam Potocki odebrał ten rys działań naszych, i przybył do Paryża w tym wła-

śnie czasie, gdy mój brat wrócił. Jak była prowadzoną rozmowa jego z księciem, z pewnością nie wiem; ale zdaje mi się, że nie doprowadziła do niczego, bo poznawszy się ze mną pan Potocki, mówił długo o Słowiańszczyznie, a nadzieje Polski, ile mi się zdało, zakładał na uformowaniu się liberalniejszego rządu w Rosyi, i na połączeniu się w tem państwie rozmaitych narodowości słowiańskich. Uważał on, że wszelkie widoczne obrażenie Rosyi szkodliwe jest dla nas, i że nawet car nie jest tak wielkim naszym nieprzyjacielem jak się zdaje. Uważał, że książę za mało wrogów przygotowywał Austryi, głównéj naszéj nieprzyjaciółce. Pan Potocki więc był Słowianofil, jeźli nie panslawista. Na téj drodze książę, wątpię, aby chciał z nim razem działać i gotować zagubę narodowości polskiéj: skutek nie wątpliwy tam, gdzieby Rosya miała kierować losami zlewającéj się z nią Słowiańszczyzny.

Nim uczyniłem ostateczne kroki do powrotu, pytałem księcia, jako naczelnika, czy w razie otrzymanego pozwolenia, mogę to uczynić bez złamania tych zobowiązań jakie przyjąłem na siebie poddając moje prace polityczne pod jego kierownictwo? — Oto co mi książę Adam odpowiedział:

— „Dziś w pracach naszych dla Polski, musi po klęskach we Włoszech i Węgrzech, w obecnem nieustaleniu rządu francuzkiego, nastąpić na jakiś czas zawieszenie. Krajowi pożytecznie służyć można i na ziemi rodzinnéj; a bogdaj czy chętnemu nie obszerniejsze przedstawia się pole, — bo wszakżesz do Polski zwracamy wszystkie nasze czynności, pracując dla Polski po za jéj granicami. — W powstaniu 1831 r. nie odgrywałeś pan roli ani pierwszego rzędu dowódzcy, ani reprezentanta na sejmie, publicznéj więc sprawie

nie zadasz fałszu wracając na łono rodziny. Jako prywatny człowiek, znikniesz na kształt kropli wody w morzu; a możesz, gdy okoliczności nas powołają, znaleźć się na miejscu swojego obowiązku; a nim do tego przyjdzie, nie jedne dobro dla kraju przygotować."

Tak zaspokojony, oczekiwałem skutku podanych przezemnie zgłoszeń do hr. Orłowa, i starań moich protektórek. Ambasada, a raczéj p. Bałabin, wyekspedyował moje żądanie i list pani Czerkowicz, w lutym 27 dnia 1830 r. — Zdawało mi się, że kilka miesięcy czasu ubiegnie: — aż oto we 29 dni, Tadeusz Walewski wzywa mię do siebie i oznajmia, że mogę pojść do kancelaryi ambasady i widzieć się z p. Bałabinem, gdyż pozwolenie powrotu już nadeszło. — Boże wszechmocny! Cóżto się w sercu mojem działo! Jaż to tak, skoro ujrzę rodzinną wioskę moją, i siostrę, i brata, i krewnych, i uklęknę na grobie ojca i żyć będę i oddychać powietrzem lat moich najdroższych, i uciszę tęsknotę lat dwadzieścia szarpiącą duszę, i osiędę na ojczystéj zagrodzie i kości złożę na mojéj ziemi! — Całowałem Walewskiego Tadeusza nogi i ręce, i sam nie wiedziałem co się ze mną dzieje. Że to jednak była niedziela, odłożyłem do drugiego dnia bytność moją w kancelaryi ambasady rosyjskiéj, zwłaszcza, że wyjazd mój potrzebował najmniéj miesiąc czasu dla przygotowań i załatwienia niektórych interesów.

Krewna moja Wyrzykowska wyjechała już od kilku miesięcy, a zostawiła syna swego Władysława na pensyonie w Paryżu pod opieką moją. — Powierzywszy go pannie Natalii Dzierzbickiéj, sam zająłem się losem mego brata Wincentego, aby przynajmniéj o niego zostać spokojnym gdy opuszczę emigracyę; a los jego tem bardziéj mię obchodził, że ważne zmiany zaszły w jego sercu

i w jego postanowieniu. Dawne uczucia dla panny Pawliny Ballé, obudziły się żywo po przebytych nie dawno trudach i nieszczęściach na węgierskiéj ziemi, i w owych chwilach gdzie dusza i serce szuka powiernika i ciszy, w którejby skołatany umysł rad odpocząć przy sercu drugiem, przyjaznem i współczuciem. W położeniu jednak swojem wahał się czy przystąpić do połączenia się z osobą bardzo szczupłych funduszów, sam będąc także przy nadzwyczaj miernem utrzymaniu. — Ojciec nasz drogi, nie myśląc jak tylko o dzieciach, jednę ze swoich wiosek przelał na siostrę naszą, Aleksandrę Lasocką; drugą zaś sprzedał aby nam los zabezpieczyć, a nie wydać po śmierci swojéj majątku nieruchomego na pastwę rządu. Ale pobyt nasz za granicą, ciągłe podróże i zmiana miejsc przy działaniach politycznych, pochłonęły ten szlachecki udział jaki nam się dostał. Z dożywotniéj pensyi swojéj, zebrał wprawdzie ojciec kilka tysięcy rubli, które dla nas umieścił w pewnych rękach; ale ta pozostałość, wypadła z podziału, tak była małą, że przy zamiarach brata mego, zabezpieczyć nie mogła utrzymania, gdyby chciał połączyć się z panną Pawliną. Przedstawiłem mu to, i on sam rozumiał, że trzeba mu pierwéj starać się o umieszczenie w jakim domie handlowym, albo o zapewnienie sobie dochodów z prac literackich, nimby przystąpił do oświadczenia chęci swoich rodzicom panny Pawliny. Ale mimo rozsądnego widzenia tego stanu interesów swoich, przypadek i oryginalny a żywy brata mego charakter, rozstrzygnął losy jego prędzéj jak się spodziewał.

Pani Fridberg z mężem i siostrą swoją Pawliną, uczęszczała na wieczory sobotnie księcia Adama, gdzie i brat mój zawsze się znajdował. Przy kontradansie i grach towarzyskich, znalazł się przy osobie do któréj

go ciągnęła dawna znajomość i skłonność serca. Na drugi dzień po jednym z takich wieczorów, poszedł z ranną wizytą do majorostwa Ballé, i tam zastał kilku młodych ludzi, a między innymi pana Czapskiego z Księstwa Poznańskiego, który gustując w pannie Pawlinie, na ubocznéj kanapce zajęty był z nią zajmującą jakąś rozmową. Mój brat zabawiając się z jéj matką na drugiéj kanapce, dostrzegł, że p. Czapski często wspomina jego nazwisko, i wyraźnie daje poznać swoje spostrzeżenia pannie Pawlinie, że ona gustuje w bracie moim Wincentym. Skoro przeświadczył się o treści takiéj toczącéj się rozmowy, krew uderzyła na twarz jego, oblał się rumieńcem, i głośno zawołał na Czapskiego: — „*Dosyć tego!*“ — Zmieszany konkurent poznański, przestał rozmawiać, i po nie długiéj chwili pożegnał towarzystwo. Brat mój uważał że częstem przysuwaniem się na balach do panny Pawliny, i częstszem jeszcze bywaniem w domu jéj rodziców, skompromitował los swojéj ulubionéj; a więc nie zważając już na przyszłość i na konieczny rachunek, oświadczył się zaraz matce i siostrze. W godzinę potem dowiedziałem się o tym gwałtownym kroku, i mimo wszelkich uwag, musiałem na prośbę brata mego spieszyć do samego majora i wyrozumieć wolę ojcowską.

Pan Ballé te powiedział mi słowa: — „Je suis Francais et officier de l'ancienne armée imperiale; c'est assez pour dire que je suis ami sincère des Polonais, et à vous, j'ajouterai que du moment que j'ai fait connaissance de Mr. votre frère, je l'ai pris en affection particulière. Cette sympathie s'accrut au point que dans mes sentimens, il n'y a plus de differance entre ceux pour mon fils Charles et pour lui. Mais comme vous m'avez franchement représenté vos moyens comme

peu suffisans, Mr. Vincent doit tacher de se créer une position aussi médiocre qu'elle soit, mais une position stabile. Ma fille ne demande pas beaucoup. Je vous dirai Monsieur que c'est une travailleuse et ménagère comme il y en a peu. Nous étions, ma femme et moi dans une position bien critique; et c'est elle qui donnant des leçons de piano, a fait marcher toute la maison. Mr. Vincent donc aura un aide puissant une fois qu'il trouvera moyen de se créer une position. Qu'il tache donc d'arranger cette affaire, je lui aiderai, et une fois tranquilisé sur ce point, je lui rendrai ma fille."

Więcéj żądać nie było można. — Uściskałem majora, i na drugi dzień, z bratem moim udaliśmy się znowu do pana Ballé, gdzie przy mnie zamieniła Pawlina z bratem moim pierścionki.

Po moim powrocie, w miesiąc po wyjściu z Kijowa, odebrałem list, w którym brat mój donosił o dopełnionym ślubie z panną Ballé. Znalazł on posadę w biórze nowego rodzaju telegrafów, gdzie umieścił nawet maleńki swój fundusz na akcyach. Prezydent przysłał w dzień ślubu kosz szampańskiego wina i prezent dla nowo-zamężnéj; a brat mój usadowił się zapewne na długo, jeśli nie na zawsze we Francyi; nie mając bowiem majątku w kraju, nie śmiałby żonę odrywać od rodziny nie mogąc jéj ofiarować dostatecznego funduszu.

Tak ułatwiwszy serdeczne brata mego interesa, udałem się do kancelaryi ambasady rosyjskiéj i ścisnąwszy z podziękowaniem dłoń pana Bałabina, który szczerém sercem dopomógł mi do wyjednania powrotu łagodném przedstawieniem o mnie, gdy pytany był

on i Kisielew przez hr. Orłowa, miałem sobie podany cyrograf téj treści do podpisania:

„Ja niżéj podpisany, mając sobie dozwolony powrót do kraju rodzinnego, dobrowolnie i niezmuszenie poddaję się sądowi wojennemu, jaki na mnie rząd cesarski rozkaże złożyć w Kijowie."

Żachnąłem się na to jak Twardowski gdy Mefistofil dał mu do podpisania cyrograf na duszę. Zdziwiony, rzekłem do p. Bałabina:

— „Monsieur, j'ai pris part à la revolution de 1831 et je ne nie pas ma participation. Signer ce papier, c'est me comdamner aux traveaux forcés ou au Caucase. Entre les deux alternatives: rester avisé en France, ou en Siberie, je préfère encore la première."

Na to p. Bałabin wziął mię za rękę i wyrzekł uroczyście: — „L'affaire de la guerre de 1831 n'est rien du tout, et le jugement militaire est pour la forme seulement. Je vous en donne ma porole d'honneur, que le jugement même le plus rigoureux, sera gracié par l'empereur. A ceux qui doivent être punis, on refuse la permission de rentrer. Ainsi allez Monsieur tout tranquil, d'autant plus que vous êtes beaucoup favorisé par le comte Orloff, qui a été gagné par votre protecteur le comte Adam Rzewuski. Regardez: il y avait une foule de requêtes pour demander amnistie. Beaucoup de vos compatriotes ont envoyé des demandes avant vous, et pourtant la votre seule est agrée favorablement."

Pokazał mi listę, a między różnemi nazwiskami wyczytałem odmowę na prośbę Karola Neumana, o którym opowiem zaraz ciekawą historyę.

Wydano mi paszport do Żytomierza przez komorę wołoczyską, i polecono wizować w ambasadach pru-

skiéj i austryackiéj, jako państw, przez których kraje będę musiał przejeżdżać.

Tego samego wieczora prosił mię na obiad Karol Neuman. Mieszkał on w pięknych apartamentach najmowanych przez panię Szyłow, Rosyankę, która z córką swoją dość przystojną od czterech lat bawiła w Paryżu. Neuman miał osobne dwa pokoje i czekał na rozstrzygnienie losu swego w stosunkach z tą rosyjską rodziną, z którą poznał się i zaprzyjaźnił dziwnym zbiegiem okoliczności. Aby ten epizod ciekawy życia jego opowiedzieć dokładnie, zacznę od przebieżenia biografii Neumana, urodzonego na Wołyniu. Zda się, że obadwa Neumanowie, tak starszy brat jego, agent Bibikowa, potém policmajster w mieście Orłowie, a ostatecznie posiadacz dwóch pięknych wsi pod Żytomierzem, nabytych po prostu sposobem zdzierstw zwyczajnych między urzędnikami rosyjskimi, nakoniec apostat religii katolickiéj, po ożenieniu się z moskiewką, jako też młodszy Karol, o którym chcę mówić, są synami ubocznymi księcia Fryderyka Lubomirskiego, który łożył na ich wychowanie i kierował ich losem. — Karol oddany w 1826 r. do pułku 59 piechoty, korpusu litewskiego, postąpił w 1830 r. na praporszczyka, to jest na chorążego, i wszedł do Polski 1830 r. z piewszym korpusem, który był wysłany na uśmierzenie naszego narodowego powstania. — Pułk uformowany przez Zamoyskich, dzielny pułk piąty ułanów, prowadzony przez Władysława Zamoyskiego, uderzył na kwadrat piechoty rosyjskiego pułku, właśnie tego samego, w którym służył Karol Neuman, i w téj potyczce niósł sztandar pułkowy. Władysław Zamoyski, jak zawsze mężny, i dzielności swojéj pierwszy dający przykład, wleciał wśrodek batalionu pierwszego i pochwycił za sztandar. Szpadą

ucięto mu palec średni u prawéj ręki, ale pan Władysław sztandaru nie opuścił i drugą dłonią wyrwał go z rąk drżącego Neumana. Pułk został rozbity, i zmieszana kupa żołnierzy, bezsilne tylko czyniła szamotania aby sztandar odzyskać. Ale te konwulsyjne podrygi rozbitych, na nic się nie przydały. Neuman czując cały ogrom odpowiedzialności spadający na niego, rzucił się do nóg Zamoyskiemu, chcąc łzami i błaganiem wyprosić oddanie mu sztandaru. Biedak usłyszał kilka słów odpowiedzi po francuzku, bo w tym języku zanosił modły swoje: — „Va-t-en bête que tu es!“ zawołał na niego Zamoyski, i kazał przyłączyć go do gromady niewolników kompletnie rozbitego pułku. — Poprowadzony do Warszawy, i mając daną sobie tymczasową wolność na słowo honoru, zetknął się z Władysławem Lubomirskim, z którym razem wychochowywał się, a który w wojsku polskiém służył w ar, tyleryi. Ten żałącemu się Neumanowi na los, jaki go czeka za stracenie sztandaru, przedstawił że jest Polakiem, i że w obecnéj wojnie, miejsce jego jest w szeregach polskich a nie w wojsku rosyjskiém, które walczy przeciw szlachetném usiłowaniom powstającego narodu. Przekonany głosem towarzysza lat dziecinnych i bliskiego krewnego, wszedł zaraz do pułku Mazurów, — i po skończonéj wojnie, dzieląc los wygnańców, dostał się do Francyi. W roku 1838 przyjechał do Brukselli i tam go pierwszy raz poznałem. Karol Neuman miał szlachetne serce, dobrym był kolegą, i często funduszem, jaki mu nadsyłali książęta Kazimierz i Władysław Lubomirscy, dzielił się z biedniejszymi towarzyszami wygnania. W czasie podobieństwa odnowienia kroków nieprzyjacielskich między Belgią i Holandyą przyjął służbę w jednym z piechotnych pułków belgijskich,

a stał garnizonem to w Antwerpii, to w Ostendzie. Żyłka do kart, stawiała go często w utrudzającym położeniu, tak iż nieraz dług kartowy budził go ze snu rannego i wyganiał na ranne spacery po mieście, na których przemyśliwał o sposobie znalezienia pieniędzy na spłat długów honorowych. Czas jakiś takie spacery nie przyniosły pożądanego owocu. Pani Lenormand utrzymywała, że każdy człowiek, raz w życiu natrafia na chwilę wielkiego szczęścia; a jeśli go nie otrzymuje, to z własnéj tylko winy swojéj. Otóż Neuman stojąc na garnizonie w Ostendzie 1844 roku, w czasie jednego z takich spacerów medytacyjnych, wpadł niespodzianie na ową chwilę, przepowiedzianą przez panią Lenormand. W zadumce najdokuczliwszéj o dostanie pięciuset franków przegranych w nocy, przechodząc o godzinie dziewiątéj koło jednego magazynu mód, usłyszał dwie damy rozmawiające po rosyjsku między sobą i starające się w ustępach wytłumaczyć jakąś zawiłą sprawę właścicielce magazynu mód po francusku. Grzeczny Neuman, widząc kobiety w ambarasie, a usłyszawszy kilka słow znanego mu dobrze rosyjskiego języka, zbliżył się do nich aby ofiarować kawalerskie usługi. Rzecz szła o to, że kupcowa nie mogła dobrze wytłumaczyć wartość franków w porównaniu z wartością rubli i kopijek; — damy zaś nie pojmowały ani kursu monet, ani wartości innéj monety prócz swojego kraju. Neuman załatwił trudność, tak, iż obie strony zostały zadowolone; a grzeczne panie rosyjskie wdały się w długą rozmowę z oficerem belgijskim; odbyły z nim nie małą przechadzkę nad morze, i nakoniec prosiły go na śniadanie do swego hotelu. Tam przy herbacie, ostrygach, kotletach cielęcych i butelce szablis, dowiedział się Neumann, że

te panie, nazwiskiem Szyłow, wyjechały z Rosyi dla zamieszkania we Francyi, a mianowicie w Paryżu; że starsza z nich, matka, chce aby jéj córka odebrała wychowanie w stolicy ucywilizowanego świata; że majątek jéj wynoszący 150 tysięcy rubli srebrnych, składa się z dwóch domów w Rydze i jednego w Petersburgu; i że to jedno tylko zastrasza matkę w téj zmianie siedziby, iż ani ona, ani córka, nie są biegłe w arytmetyce, a ztąd, że gdy przyjdzie rachować się bądź w magazynie, bądź w hotelu, rady sobie dać nie mogą, tem bardziéj że nikt nie chce w tych stronach rachować na ruble i że nawet tych rublów nie widzą w kursie. Pani Szyłow z córką miały jeszcze dla użycia morskich kąpieli, parę miesięcy zabawić w Ostendzie. Neuman przyrzekł im najsolenniéj przez ten czas ułatwiać wszystkie rachunki. Przez ten więc czas kąpieli, codziennym był gościem w hotelu gdzie stała pani Szyłow z córką. Po kilku dniach, zawiązała się dobra znajomość, tém bardziéj że Rosyanki miały jeszcze przyjemność rozmowy w macierzystym a drogim dla nich języku. Nie trzeba było w takich okolicznościach czekać długo, aby najserdeczniejsza otwartość weszła na usta matki troskliwéj o wychowanie córki i o rachunki. Jednego więc dnia, po dwóch tygodniach, pani Szyłow w tych słowach prowadziła rozmowę z Neumanem.

— „Panie Neuman, my pana uważamy za ziomka, bo pan mówisz naszą mową, jesteś szlachetnego serca i znasz narodową monetę naszą, a umiesz ją przerobić na wszystkie monety świata. — Zmiłuj się pan, jedź z nami do Paryża, bo my zginiemy w tem babilońskiem mieście!

— „Ależ pani! ja jestem w służbie wojskowéj Belgii, i mój obowiązek na to nie pozwala.“

Pani Szyłow urwała na chwilę; ale niedługo zaczęła rozpytywać, jaką płacę biorą oficerowie belgijscy. Dowiedziała się ze szczegółowych odpowiedzi Neumana, że podporucznik belgijski bierze 130 franków, to jest 32 1/2 rubli srebr. na miesiąc; a nie może kraść, jak w Rosyi ani furażów, ani chleba, ani urywać płacy żołnierskiéj. Powoli więc starała się przekonać p. Neumana, że ziomek od ziomka, za usługi czynione, może bez ujmy honoru przyjąć braterską pożyczkę. Ale gdy drażliwy punkt ambicyi stanął na ustach Neumana, pani Szyłow przystąpiła do serdeczniejszéj rozmowy, i tak przemówiła:

— „Мой любезный Господинъ Неуманъ! — Mówiłam panu, że posiadam 150 tysięcy rubli srebrnych majątku. Z tych połowa jest moja; drugą zaś połowę przeznaczam dla córki mojéj. Jeśli pan znajdujesz, że ja nie jestem jeszcze tak bardzo brzydka i stara (a była trędowata i miała lat 48) — żeń się ze mną, a wtenczas honor wojskowy pozwoli ci zarządzać majątkiem żony, i używać go jak ci się podobać będzie.

W téj alternatywie, pokusa stanęła, nie w słowiczych wyrazach harmonijnego głosu, nie w gładkiéj, alabastrowéj płci z rumieńcami, nie w młodości powabnéj dziewicy, ale w 75 tysięcach rubli, alias w 300 tysięcach franków, a jeszcze wyraźniéj w 500,000 złotych, czyli 25 tysięcach dukatów. — Procent od téj summy 5-ty tylko, czynił 15 tysięcy franków rocznie; umieszczony zaś kapitał w akcyach, antrypryzach etc. — mógłby uczynić nawet i dwa razy tyle. Z drugiéj strony, za mgłą czarną stanęło Neumanowi jego położenie. Pensya roczna podporucznika franków 1300. Długów u krawca, traktjernika i koleżeńskich, franków 3000; kartowych drugie tyle; a w bilansie odwrotnych

żadnych a żadnych ekspektatyw, chyba na trójce, królu lub damie z zastępów faraona lub ekarte. — Zważywszy szybko w myśli dwie karty bilansu, samę bierną część obecnego położenia, a czynną i dotykalną w przyszłości proponowanéj, Neuman, jak w chwili téj, gdy prosił o oddanie sztandaru u Zamoyskiego, ukląkł, lecz tą razą nie prosząc, ale już dziękując i wciągając na palec swój najcieńszy, pierścionek z najgrubszego palca pani Szyłow. Zaraz ułożone były plany podróży do Paryża. Pani Szyłow z pierścionkiem złożyła Neumanowi pugilares z dziesięciu tysiącami franków na koszta wybrania się i dymisyą z wojska belgijskiego; a gdy to wszystko złatwione było w dniach piętnastu, pani Szyłow przedstawiła, że ślub nie może nastąpić, aż będą sprzedane domy w Rydze i w Petersburgu; bo rząd mógłby się do nich przyczepić za ten związek z emigrantem polskim. Ale po solennem słowie i zamianie pierścionków, zgodzi się z honorem jego, mieć dwa własne pokoje w domie zajmowanym przez panią Szyłow, miejsce przy jéj stole i wolny wstęp do jéj kassy, z którą on sam tylko może się rachować, gdyż nieszczęsna w matce i córce niepojętość matematyki wyższéj, czyni je zupełnie do tego niezdatnemi. — Istotnie, że wszystkie punkta po zamianie obrączek, honoru obrażać nie mogły, i Neuman z czystem sumieniem przyzwolił na wszystko bez wyjątku, a w prędkim czasie wyjechał z nową rodziną swoją do Paryża. Tam gdy przybyli, długo musiał trwać czas zawieszenia; bo nie tak łatwo przedać trzy domy w Rosyi bez obudzenia podejrzeń, i za wartość realną. Neuman więc zajmował dwa pokoje osobne, strojone w kapy, dywany i firanki z wyszukaną starannością matki i córki, która musiała naturalnie być wdzięczną za przyszłe szczęście rodzicielki, zwłaszcza,

że Neuman dla niéj wyszukiwał najlepsze rękawiczki, najpiękniejsze magazyny jedwabi, koronek i bławatów; a nadto przedstawił nauczycieli najzdolniejszych do nauki języków, a nawet arytmetyki, z którymi panna Szyłow zaczynała już pojmować różnicę między rublem a frankiem. Nie dość na tem, Neuman i większe jeszcze podejmował brudy. Panna Szyłow chciała uczyć się jeździć konno. Neuman znalazł piękne formy amazonek, spokojnego konia, wybornego berajtera i sam prowadził ją zawsze na lekcyę; a na lekcyach, sam wsadzał na damskie siodło, umiejąc lekko umieszczać na koniu, i jeszcze lżéj ze strzemion i siodła, sprowadzać nogi na gładką murawę albo miękki piasek. Słowem, Neuman znalazł rodzinę czulszą daleko, jak w Równem, a nawet tak sypnęło mu się szczęście, owe szczęście hojne, zapowiedziane mniemaniem pani Lenormand, że po roku, nastąpiła promieniejąca przemiana w jego losach, i tak już bardzo dogodnych. — Po roku pani Szyłow, matka, narzeczona jego, wziąwszy go czule za rękę, w tych cukrowych przemówiła do niego słowach:

— „Любезный Карлъ! (a wszystko dawało jéj prawo do téj przemiany z etykietalnego używania nazwiska, do słodkiego użycia chrzestnego imienia) — więc любезный мой Карлъ! Ja za ciebie iść nie mogę, — bo córkę kocham więcéj jeszcze niż ciebie. — Ona sierota, bez ojca i mnie tylko ma na świecie.“

Neumanowi zaczęły się trząść łydki, ale wkrótce uspokoiły się ze słodkim balsamem jaki rozlał się po jego sercu i żyłach na dźwięki dalszej mowy pani Szyłow, matki:

— „Nie myśl, żem ja przestała ciebie cenić i kochać; — ale ciebie i moja córka kocha. Dziecku memu najdroższemu, stawać na drodze nie będę, nie chcę,

i błagam cię, abyś i ty jéj nie stawał i pomógł mnie dać jéj szczęście, na jakie zasługuje. Ona ciebie kocha; a więc nie ze mną, ale z nią się ożenisz; a teraz funduszów moich dzielić nie będę: — całe 150 tysięcy rubli srebrnych oddaję tobie; a tylko pozwólcie mi do końca życia kątka w waszym domu, abym mogła na szczęście wasze patrzeć i niem się cieszyć.“

Poczciwa pani Szyłow, jakeśmy mówili, miała lat 48 i była trędowatą. — Panna Szyłów, przy latach 17, musiała patrzeć błękitnemi oczami, bo innych nie miała; włosy jéj były jasno-kasztanowate, płeć biała, wcięta kibić i małe nóżki, jak o tem przekonał się Neuman przy lekcyach jazdy konnéj.

Ha! Cóż robić? — Karol Neuman zawsze miał tkliwe i ludzkie serce, i to kazało mu przybiedz na pomoc matce do uszczęśliwienia jéj córki jedynéj. — Potargował się więc trochę, ale nie długo i nie uporczywie. Panna Szyłow przywołana przez matkę, zdjęła pierścionek z grubego palca, a Neuman nałożył go nasam koniuszek swego najcieńszego, i ofiara była dokonaną z tym przykrym warunkiem, że Neuman już nie czekał na 75 tysięcy rubli, ale na całkowite 150,000, postanawiając najświęciéj, jeszcze piękniéj stroić pokoje dla matki mające się przeznaczyć, niż dla niego stroiły i matka i córka.

Znałem obie panie Szyłow, i matkę i córkę z dawniejszych moich stosunków z Neumanem, a szczególniéj od lat dwóch, gdy on razem z niemi zamieszkiwał przez miesiące letnie w kupionym domku wiejskim z ogrodem o pięć mil francuzkich od Paryża w Montmorency. — Matka, żona kupca rosyjskiego, nadzwyczajnéj dobroci i uprzejma kobieta, przyciągała szlachetnością serca swego, jak dowody łatwo zebrać

w przejściach dopiero opisanych z życia Neumana. Córka, żywa, przystojna, starannie wychowana i nie bez dowcipu, miłą była w rozmowie. Ciągłe ze mną wiodła spory, podtrzymując uczucia opozycyjne moim. Gorliwa Rosyanka, kochała Rosyę i cesarza Mikołaja. Ja, mimo chęci szczeréj niesprzeciwiania się jéj w dysputach politycznych, z natury rzeczy i uczuć moich, musiałem wśród tych sporów siedzieć na ławie opozycyjnéj i to na extrême gauche. Na tym ostatnim obiedzie, na który Neuman mię zaprosił, gdy się dowiedziała panna Szyłow, że za pozwoleniem cesarza, wracam do rodzinnego kraju; wzięła mię uprzejmie za rękę, i z przymileniem rzekła: — „Au moins maintenaut, comme vous rentrez cher vous par la grace de l'empereur, vous me prometterez que vous ne maudirez plus notre cher empereur Nicos? — „Mademoiselle, odpowiedziałem, je vous promets de ne plus maudire vos compatriotes les Russes et d'avoir toujours en bon souvenir des femmes russes qui vous ressembleront." — „Est-ce tout?" — zagadnęła mię jeszcze. — „Pour le moment oui, c'est tout. Mais lorsque le bon Dieu donnera que nous discuterons de puissance en puissance; — lorsque moi ambassadeur de la Pologne libre et indépendante, je traiterai avec votre mari ou cousin, ambassadeur de Russie, je vous promets de faire quelques concessions sur les sommes qui nous seront dues pour les 50 ans de bail revenant des terres occupées par la Russie sur la proprietè nationale des provinces de la Pologne." — „Eh bien, pour le moment, z uśmiechem mówiła mi panna Szyłow, je me contente de cette promesse, et je voudrais bien que nous soyons contents tous deux, vous en Pologne votre patrie, et moi en Russie qui sera toujours la mienne." — I tym sposobem rozstaliśmy się

najserdeczniéj: dwie panie Szyłow, życząc mi radości z oglądania rodziny zdrowéj i szczęśliwéj, — ja sercem życząc jéj szczęścia z dobrym znajomym moim Neumanem.

W dziesięć lat po moim powrocie, Neuman, dawny oficer rosyjski, przez wstawienie się cesarzowéj matki, otrzymał pozwolenie powrotu, i przyjechał na Wołyń z żoną, pochowawszy w Paryżu poczciwą matkę swojéj żony. Powrócił i osiadł w lasach majątku swego brata apostaty. Lecz z owych 150 tysięcy rubli sr. nic prawie nie zostało; — i podobno moje życzenia szczęśliwego pożycia nie spełniły się.

Gdym tu wspomniał o wiejskim domku kupionym przez Neumana w Montmorency, muszę opisać to miejsce, gdzie dla nas Polaków, jest godny wspomnienia i rozrzewniający pomnik. W téj ustroni, przez lat pięć, czy sześć żyło dwóch starców, drogich sercom naszym. Styrani wiekiem i pracami dla kraju, tu zanieśli resztki życia swego jenerał Kniaziewicz i Julian Ursyn Niemcewicz. Związani serdeczną przyjaźnią i tylu wspomnieniami lat złotych, lat istnienia Polski i lat cierpień, jéj upadku i wojen toczonych za granicą pod orłami cesarza Francuzów, a wszystko dla sprawy ojczyzny; — po raz drugi wygnańcy, tu w cichéj pracy dokonali żywota jeden po drugim w przeciągu dni kilkunastu, pomimo przepowiedni uroczystéj Towiańskiego, który w mowie swojéj do emigrantów w kościele Notre-Dame-de Paris, wskazał na nich dwóch mówiąc, że ci nawet starcy, doczekają się wielkiéj chwili zbawienia Polski. — Emigracya, wdowi grosz składała na pomnik dla tych mężów; a Władysław Oleszczyński zrobił plan i dokonał to piękne dzieło, które przetrwa długie czasy

przez wzgląd i na sztukę artysty i na pamięć tak czcigodnych i sławnych mężów.

W mozajkowanéj bocznéj kaplicy jedynego kościołka w Montmorency, leżą wyrobieni z marmuru obok siebie dwaj ci weterani polscy, każdy okryty płaszczem do pół piersi, jenerał Kniaziewicz wojskowym, Niemcewicz takim samym, z futrzanym kołnierzem, w jakim widziano go niegdyś na sztychowanym wizerunku jego przy powieści *Jan z Tenczyna.* Rysy twarzy celują podobieństwem i są wyrazem spokoju duszy jakiego doznają ludzie, którzy spełnili swoją powinność najświętszą. W górze nad nimi na łokci trzy lub cztery, na szkle służącem za okno, wymalowna jest Matka Boska Częstochowska, i kolorami swemi rzuca cudne światło na kapliczkę i marmurowe postacie dwóch mężów. W samym środku sklepienia, orzeł-biały, herb polski, z rozpostartemi skrzydłami, zda się, że chciałby spuścić się na leżących; a między dwoma spoczywającymi, Anioł pokoju cudnéj piękności, z rozwiniętemi ogromnemi skrzydłami stoi wpatrując się w ich twarze, i dwie ręce swoje rozciągnął nad obydwoma, jakby ich błogosławił i udzielał spoczynku wiecznego a słodszego nad ziemski. — Pod marmurem, pogrzebione są ich ciała, i śpią aż ich obudzi trąba Archanioła. — Ale nim ten dzień Sądu Pańskiego przyjdzie, czy na głos powstającéj i tryumfującéj Polski, nie zbudzicie się wy mężowie, a synowie starsi drogiéj ojczyzny naszéj? Wasze serca tak wrzały miłością dla niéj; — ognia waszych piersi, wiek nie przygasił! — Patrząc na was tu leżących pod wizerunkiem naszéj Królowéj Niebieskiéj i ziemskiéj, pod błogosławieństwem Anioła pokoju, który dzień i noc czuwa nad wami, i pod tym orłem co przewodził przez lat tysiąc, szeregom wojsk naszych; patrząc na wasze

trafne, na kamienne postacie, a pomnąc na czyny wasze i gorącą mowę o Polsce aż do chwil ostatnich; — myśl marzy, serce za marzeniem powtarza, że głos zbawionéj Polski tak będzie potężny dla was jako trąba Archanioła, i że zbudzi was, abyście choć łzę radości uronili za te łzy bólu i cierpienia, któreście nad grobem ojczyzny waszéj przez tyle lat wylewali.

Na kilka dni przed przyjściem mego paszportu i pozwolenia powrotu, przybył pan Władysław Zamoyski, wracający z Konstantynopola po dniach trudów i ciężkich udręczeń. Pobiegłem do niego i zostawiłem kilka słów u jego sekretarza, Leonarda Niedźwieckiego, prosząc, aby mi naznaczył godzinę widzenia się z sobą. Zastałem bilecik jego w pomieszkaniu mojem, gdzie naznaczał mi miejsce zejścia się w Passy, u siostry swojéj, pani Brzozowskiéj. Przybyłem tam o godzinie 6-téj dnia 14 maja 1850 r., w wilię mego wyjazdu. — Pani Brzozowska, była to z sióstr najdroższa sercu pana Wład. Zamoyskiego. W ciężkich strapieniach jego i w rozradowaniu serca, ona mu była powiernicą, i jeżeli w owych czasach przebywała w Niemczech albo we Włoszech, Zamoyski pędził do niéj, lub ona przyjeżdżała do niego. Szlachetneż-bo to rysy były téj zacnéj Polki! One mówiły o łagodności i wzniosłości jéj duszy; — i musiała być taką, kiedy człowiek taki ukochał ją najwyższą braterską miłością, i ją wybrał za powiernicę myśli swoich radośnych i smutnych. Zagasła już ta gwiazda Podola, gdzie ją Bóg na krótko przeznaczył za wzór cichych cnót domowych i uczuć polskiéj obywatelki.

Serdecznie uścisnął rękę moją p. Władysław Zamoyski, którego czciłem i kochałem, a marząc o nim, prosiłem zawsze Boga, aby dać mi raczył taką wytrwa-

łość w pracach dla Polski pośród jéj dni najsmutniejszych. — Rysy jego, tego zacnego męża, ciężką boleścią wówczas przemawiały. Dwie takie klęski, dwie katastrofy w dwóch sprawach, do których i nasza pośrednim wiązała się sposobem. — Dwie takie klęski jak włoska i węgierska przegrana, musiały się wycisnąć na duszy i rysach tego człowieka, który w obu wojnach walczył, w obu niósł ofiary zdrowia, życia i majątku swego. — „Ciężkie przebyliśmy przejścia po tylu nadziejach," — rzekłem do pana Zamoyskiego.

— „Istotnie, rzekł mi; — błysnął nam promyk nadziei, jak to zwykle dzieje się w życiu prywatnem człowieka; — trzeba tylko, aby, kto ojczyznie ślubował pracę i życie, nie zwodził się złudnemi światełkami, ale zawsze, w złéj czy dobréj przygodzie, pełnił swoję powinność."

— „Pan ją dopełniasz i dziś dopełniłeś, przemówiłem; ale jakże osądzisz mnię, który wracam do rodzinnéj ziemi za pozwoleniem cesarza? — Jedno mię tylko tłumaczy, że nim do powrotu zrobiłem kroki, oznajmiłem o tem księciu, jako temu, któregośmy za naczelnika w pracach naszych dla Polski uznali."

Tu powtórzyłem słowa jakie mi w owéj chwili książę Adam powiedział i dał niemi niejako upoważnienie do mojego powrotu.

— „Ja, rzekł mi pan Zamoyski, nie potępiam cię, ani czynności twojéj nie naganiam. Wolny jesteś od publicznych aktów, jakie rząd narodowy i izba poselska podpisały i ogłosiły w obec Europy. Na każdem miejscu, a tem bardziéj na rodzinnéj ziemi, służyć może krajowi ten, kto zna obowiązki swoje. Co masz mówić przyjaciołom i znajomym za powrotem twoim, uczyć

cię nie będę. Pracowaliśmy razem, — wiem, że wszędzie pójdziesz za twojem przekonaniem, a to jest mojem. O jedno cię tylko proszę: — Przyrzecz mi, że przez trzy lata nic drukować nie będziesz swego w kraju. Ja zawsze lubiłem twoje artykuły w dzienniku. Jeśli ten sam sąd powezmą o tobie tam, będziesz miał złych namówców i pokusy. Ja myślę, że Michał Grabowski nie był dawniéj tem, czem się późniéj w pismach swoich ukazał. Zdaniem mojem, rozprzężone wyobrażenia demokracyi, niesforność krajowców, którzy żadnego porządku przyjąć nie chcieli, i pokusy naszych nieprzyjaciół, zawiodły go na bezdroże i postawiły nad przepaścią. Zapewne człowiek umysłu twardego, który jak mur stoi przy twierdzy powierzonéj sobie, nie ulegnie przeciwnościom, ani pokusom. — Ale p. Grabowski nie miał tego twardego charakteru, i upadł. Nie powiem abym nie miał ufności w tobie, — nie powiem, abyś mógł postąpić jak Grabowski, — ale nie lepiéjże uniknąć takich jaszczurczych języków, jak Henryk Rzewuski, albo takich chytrych jakich naśle na ciebie Bibikow? — Rozmawiaj z krewnymi i sąsiadami w poufnych zajściach; — siéj, órz, a nadstawiaj ucha. W ważnych epokach, my zawsze odezwiemy się do ciebie."

Pożegnałem wówczas tego szanownego męża po raz ostatni; — uścisnąłem serdecznie z całem uczuciem dłoń tego rycerza średnich wieków, który w najgorszych dla sprawy naszéj przygodach, z placu nie ustąpił, i jeżeli dźwignąć jéj nie mógł, to jak Bayard, postanawiał zawsze *mourir sur la brêche.*

Paszport mój podpisany był przez konsulów austryackiego i pruskiego, rano 15 maja. Rano poszedłem jeszcze do Tadeusza Walewskiego, który myślał

o mnie i rad był zawsze jaką usługą dopomódz mi w zamiarach moich. Wręczył mi tą razą list pani Pankratiew do Bibikowa. Była to bliska krewna srogiego jenerał-gubernatora i królika rezydującego w Kijowie. W czułych wyrazach prosiła ona krewnego w liście, aby mną się opiekował. O godzinie szóstéj wieczorem, po uściśnieniu brata Wincentego, po uronieniu łez kilka i pożegnaniu tego najbliższego mi przyjaciela, z którym od dziecięctwa przebyliśmy razem wszystkie przemiany życia, koleją żelazną wyjechałem na Bruksellę do kraju.

Opuszczając Paryż i emigracyą, opowiem pokrótce jak zostawiłem sprawy polityczne i moich kolegów tułaczy.

Dzieniki emigracyjne zamknięte zostały w 1848 r., jako w epoce niezwyczajnych ruchów w Europie i gotowania się do czynnych działań dla sprawy naszéj. Dziennik *Trzeci Maja*, po obaleniu tronu Filipa, zmianach zaprowadzonych w Berlinie i Wiedniu, i rozpoczętéj wojnie we Włoszech, wydał okólnik do swoich prenumeratorów, że ponieważ zasady swoje ogłaszał i propagował jedynie jako środek najprędszy i najskuteczniejszy do przywrócenia niepodległości Polski; że ponieważ pośród monarchicznych rządów ustanowionych i rozwijających się we wszystkich krajach Europy, sądził iż Polska stanowić winna swój rząd w duchu i zgodzie otaczających ją państw; — przeto dziś, przy ustalającéj się rzeczypospolitéj we Francyi, najpierwszéj naszéj przyjaciółce, i przy zmianach w państwach innych, które nie wiadomo jaki rząd ostatecznie u siebie postanowią, — zamyka swoje kolumny i przestaje wychodzić, aby dać przykład abnegacyi i dowieść, że zawsze jedynie niepodległość ojczyzny naszéj była

najpierwszym celem redaktorów dziennika i członków towarzystwa *Trzeciego Maja*, którego dziennik był tłumaczem.

Redaktorowie *Demokraty*, *Pszonki i Dziennika narodowego*, rozproszyli się, i jedni do Poznańskiego, drudzy wyjechali do Krakowa. Po upadku sprawy włoskiéj i węgierskiéj, pojedyńcze numera *Demokraty*, nie poprawione, przy ściśniętych swobodach druku w Paryżu, od czasu do czasu, ukazywały się w Londynie pod redakcyą Stanisława Worcella, gdzie zaczął ogłaszać artykuły tyczące się sprawy węgierskiéj, gdy z Turcyi przybywać zaczęli z Kossutem i Klapką członkowie nowéj węgierskiéj emigracyi, którą wziął pod opiekę swoją niezmordowany Lord Dudlej Stuart.

Z temi dziennikami przestał także wychodzić dziennik, o którym nie wspomniałem, pod tytułem: *Nowa Polska*. Dziennik ten był redagowany przez Bolesława Józefa Ostrowskiego, dawnego dziennikarza warszawskiego. Początek tego dziennika datował się jeszcze od powstania 1830 r. Tam on w czasie grzmiącéj wojny z Moskalami, był organem nieporządnych klubistów, którzy targali się na czynności wszystkich zasłużonych mężów; a te szkalowania, pioruny i potwarze, wypisywał I. B. Ostrowski w kolumnach swego dziennika, naznaczając je wymyślonemi potępieniami, tak iż Mochnacki o redaktorze *Nowéj Polski* powiedział: że on skompromitował kłamstwo. Po wejściu naszych wojsk do sąsiednich Prus i Austryi, i po rozproszeniu się wychodźców po rozmaitych emigracyjnych zakładach w Bourges, Avignon, Besançon, Aix i Marsylii, p. I. B. Ostrowski przeniósł bióro swoje redakcyjne do Paryża, — i dziennik jego Nowa Polska, był organem dalszego ciągu potwarzy i szkalowań na zasłużonych

mężów naszych. On-to ciskał pioruny na partyę tak nazwaną arystokratyczną, na katolików i na tych, którzy wahali się przystąpić do ostatecznych zasad republikanizmu; — ale po utworzeniu towarzystwa demokratycznego, zwrócił swoje żądło I. B. Ostrowski i na członków Centralizacyi, skoro w niéj nie szło tak jak on zaprojektował. Przyszło nawet do kijów spadłych na plecy redaktora od szkalowanych niewinnie. Ostrowski bity wołał: — „Bij, a ja będę pisał.“ — W końcu jednak pióro nie dorównało ostremi pociskami grubym i boleśnym kijom; — dziennik *Nowa Polska*, zamknął kolumny swoje, a redaktor w nieznanym kąciku zagrzebał się na długo, aż go wyciągnęło nowe i dziwne stronnictwo, o którem jeszcze nie wspomniałem.

Starzy wojskowi, sami tacy którzy życie przepędzili czy to w legionach, czy w szeregach wyćwiczonych wojska polskiego pod W. Ks. Konstantym, otoczywszy Rybińskiego, ostatniego wodza powstania w r. 1831, który zastępy nasze wprowadził do Prus, przedstawili mu: — że jedyną prawą władzą w emigracyi, jest ostatni wódz wojska polskiego, — i że on z prawa jeden powinien dyregować emigracyą i pracami podejmowanemi do przygotowania nowéj wojny za niepodległość Polski. Obudziła się ambicya w maleńkim a zgarbionym Rybińskim i przyjął na siebie to brzemię. Ale długo, długo stronnictwo to, z kilkudziesięciu oficerów pod naczelnictwem Rybińskiego, a szczególniéj szefa sztabu majora Ferdynanda Chotomskiego, bezczynne wlokło życie przez brak funduszów, który nie pozwalał ani organu utworzyć, ani zwiększać liczby prozelitów. Bierny ten stan, zmieniła mimowolnie zacna hrabina Małachowska, miłosiernym testamentem swoim. Chciała ona w ostatnich chwilach swego życia, wszy-

stkie szlachetne ubóstwa znakomitszych emigrantów podeprzeć, i wiedziona myślą o niedostatku, w jakim zostawali dwaj jenerałowie dawnego wojska polskiego, Dwernicki i Rybiński, oba otoczeni liczną rodziną, przekazała wypłacić każdemu z nich po 200 tysięcy złotych polskich, i w osobnych paczkach zostawiła listy zastawne polskie dla nich obu. — Jenerał Dwernicki zwykłym sposobem swoim, zaczął życie wystawne, i piorunowo szarpał zapisaną summę. Jenerał Rybiński zapisu swego użył do wzniesienia upadającego stronnictwa starych wojskowych i ustalenia posty swojéj przyszłego wodza w powstaniu, a naczelnika wojennego i cywilnego w emigracyi. Zastęp jego adherentów urosł do 80 kilku, a przewódzcy, Chotomski i Rybiński, wyciągnęli z więzienia Chichy, gdzie osadzono za długi owego Ostrowskiego, co był znany z ostrości pióra i gryzących potwarzy na każdego, ktokolwiek mu się nie podobał. — Zmartwychwstała *Nowa Polska*, popierająca prawa Rybińskiego do naczelnictwa w emigracyi, które trwać miało póki rząd nowy, uformowany *da Bóg* w powstającéj Polsce, nie ustanowi prawowitéj władzy. — Z nonsensami dziennika, harmoniowały czynności tego stronnictwa, które odbywały się jedynie na obchodach obiadowych dwa razy na rok, to jest: dnia 29 listopada, jako w rocznicę powstania 1830 roku, i w lipcu na imieniny Rybińskiego. Tam zaczynał mowę i toast Chotomski, a potem, kilku innych mówców dowodziło prawowitości władzy Rybińskiego, ciskając pioruny na buntownicze stronnictwa emigracyi. Po każdéj takiéj mowie, zakończonéj toastem na zdrowie i na cześć naczelnego wodza, Rybiński powstawał, i dziękując mówcy, posuwał go w randze, tak naprzykład: pan Krosnowski, kapitan, gdy wyliczył zasługi i przy-

mioty naczelnego wodza, zakończył jego zdrowiem, Rybiński na wzajem pił jego zdrowie i wyrzekł: — „Dziękuję ci Majorze!“ — „Ja byłem tylko kapitanem wodzu, jenerale.“ — „Powiedziałem, Majorze, a więc od téj chwili jesteś Majorem.“ — Na drugiéj biesiadzie Krosnowski został podpułkownikiem, a nakoniec, pułkownikiem kompletnym. Inni dostawali także awanse i tak tworzyła się przyszła armia polska.

W czasie pierwszego pobytu mego w Paryżu, gdy Narcyz O. miał przystęp połączenia dwóch towarzystw: wojskowego i Trzeciego Maja, ciągnęły się układy między nim a Rybińskim i Chotomskim o warunki. Rybiński przystawał na uznanie księcia Adama królem przyszłym, z warunkiem, że książę zamianuje go nieodwołalnym wodzem naczelnym. Komedya ta, wylęgła w głowie pana Senatora wojewody N. O., nie miała rozwiązania z prostéj przyczyny, że ani książę, ani p. Władysław Zamoyski, na śmieszność narazić się nie chcieli. — W obecnéj chwili, to jest w czasie mego wyjazdu z Paryża, Rybiński gonił ostatkami z zapisu hrabiny Małachowskiéj; nie zaprzestał jednak obiadów uroczystych i awansów, które sypały się gradem dla prędszego uformowania armii na wypaść mogącą wojnę narodową.

Jenerał Dwernicki, przy dawnéj dostojności swojéj, wyniesiony przez Jana Leduchowskiego na kuratora i opiekuna szkoły polskiéj, która ciągnęła dochody z zapisu 200 tysięcy rubli sr. przez hr. Małachowską, i z summy 20 franków na głowę, udzielaną przez rząd francuzki; — w czasie ruchów 1848 r. wybierał się na głównodowodzącego do Medyolanu, gdzie go wzywał rząd tymczasowy; a gdy te układy nie doszły do skutku, z przyczyn prędko zakończonéj wojny włoskiéj

pierwszéj, — Dwernicki wybrał się do Galicyi, dokąd otrzymał pozwolenie przeniesienia się z żoną i dziećmi.

Ta powtórna żona Dwernickiego była Francuzką, młodą i pięknie ukształconą, a związek ich nastąpił zabawnym zbiegiem okoliczności:

Pewien stary malarz Francuz, zajmował dom piętrowy, i mieszkając na dole (au rez de chaussé), apartament górny, złożony z kilku pokoi, wypuszczał zawsze w najem za cenę dość wysoką, bo za 300 franków miesięcznie, a tym sposobem powiększał swój dochód, który byłby zbyt szczupłym, gdyby się ograniczał zarobkiem z nędznego malarstwa. Jenerał Dwernicki, od córek dwóch mieszkających w Galicyi: pani Puzyninéj i pani . . . (nie pamiętam) a od trzeciéj Żelskiéj, osiadłéj na Wołyniu, miał sobie naznaczoną kwotę roczną rubli sr. 1500, czyli 6 tysięcy franków. Bawiąc w Paryżu, najmował właśnie te górne pokoje u starego malarza, który miał córkę młodą, pięknie śpiewającą, grającą na fortepianie i nie bez wdzięków. Jenerał, znany był z gustu do rozrzutnego i wesołego życia. Owe 1500 rubli, bardzo często rozchodziły się w pierwszym lub drugim miesiącu po przysełce. Najmowany apartament, stał zwykle na samym końcu budżetu rozchodowego; a stary malarz, przez sympatyę dla Polaków i Polski, północnéj Francyi, jak ją nazywali Napoleoniści, nie bardzo z początku nacierał na jenerała. Było to w pierwszych latach emigracyi, gdzie sympatya dla nas, stała na zenicie. Jenerał rad z téj powolności, zapomniał w końcu zupełnie o wypłatach należnych malarzowi. Ale gdy suma na lokatorze urosła do 12 tysięcy franków, bo jenerał zwykł był i pożyczać dość często po kilkaset franków u starego Francuza, a z drugiéj strony, właściciel domu nacierał na najmującego

z pierwszéj ręki; malarz przedstawił swoje położenie, i zażądał natychmiastowego uiszczenia się, bez względu na to, że jenerał bardzo był grzeczny dla jego córki, że często kupował dla niéj cukierki, a nawet nowości muzyczne, i obok niéj przepędzał wieczory, słuchając śpiewu i fortepianu, tak, iż panienka, mimo 60 lat jenerała, dla przypodobania się, umiała śpiewać kilka piosnek patryotycznych po polsku. Naglony przez kilka dni jenerał, radby był uiścić się malarzowi, ale jego finanse, prędko wyczerpujące się, nie dozwoliły mu myśleć o długach przy coraz nowych wydatkach na obiady u Werego, w Trois-frères-Provenceaux i na stolik zielony, ulubione zajęcie jenerała. Zagadniony więc w naglący sposób przez swego gospodarza, jakby zwracał mowę do czego innego, zapytał go: ile daje posagu swojéj córce?

— „Mais mon Général, il ne s'agit pas de cela, odpowiedział mu stary Francuz; je vous demande l'argent qui m'est dû, et vous éludez une reponse directe en voulant vous mêler des affaires de famille.

Jenerał na to: — „Je vous répéte encore ma première question: Combien donnez vous en dot à Melle votre fille; ? — répondez moi franchement, et vous verrez que cela me menera à vous tranquilliser sur la somme que vous avez chez moi.“ —

— „Puisque vous le voulez Général, je vous le dirai tout de suite, quoique je ne puis concevoir quel rapport cela peut avoir avec l'argent que vous me devez. Pour vous satisfaire, je vous répondrai franchement: J'ai destiné à ma fille quinze mille francs de dot, dont trois mille sont dans mon coffre, et douze chez vous Général.“

— „Pour votre franchise Monsieur, z kolei mówił

jenerał, vous aurez ma réponse du fond de mon coeur. Mes enfans m'envoient annullement six mille francs; cela fera donc assez pour vivre honnêtement moi et ma femme si l'on met ordre dans les dépenses de mon ménage. — Voulez vous me donner votre fille? Je l'épouse dans le plus bref delai. Moi, je fournirai six mille francs annuellement; et elle tachera que nous puissions vivre avec cela. Une fois l'affaire du mariage arrangée, je vous laisse les trois mille francs de dot pour les couleurs et la toile, et nous serons quitte pour les douze mille francs que je vous dois. J'éspère que ma future épouse saura mettre ordre dans les dépenses du ménage."

Rzecz szła o córkę. Panienka pomna na cukierki jenerała, na sympatyę Francuzów dla północnéj Francyi i na tytuł, jaki odtąd przybierze między znajomemi swojemi: *Madame la Générale*, przyzwoliła na układy zawarte między ojcem i Dwernickim; a w tydzień została panią jenerałową ochotnie, lubo miała lat tylko 17, a mąż jéj 60, z przydatkiem pięknéj polskiéj twarzy, ale z siwym na czoło spadającym włosem, siwym wąsem i bieluteńką brodą, któréj golenie codzienne nie wiele pomagało.

Przed trzema laty, jenerał Dwernicki umarł w Galicyi, zapewne w domu któréj z córek. Jakiekolwiek miał on wady, zawsze jednak piękną zostawił pamięć śmiałych zwycięztw, któremi rozpoczął wojnę 1830 r. o naszą niepodległość, lubo nieszczęśliwy i niezręczny pochód na Wołyń, a w skutek tego wejście do Galicyi, dało pierwszy przykład owego unoszenia broni i szeregów zdolnych jeszcze do boju, w przedziały państw sąsiednich. Korzystając z tego rozbrojenia tylko, a nie wydania Rosyi wojsk Dwernickiego przez Austryę, od-

ważył się Chłapowski i Giełgud z kilkunastu tysiącami wejść z Litwy do Prus, a potem, po wzięciu Warszawy, Romarino z 20 tysiącami, i Rybiński z 25,000, haniebnie złożyli broń w Galicyi i Prusach, nie pomni na to, żeśmy powstanie z mniejszemi zaczynali siłami.

Na trzy miesiące przed opuszczeniem mojem Francyi, umarł w Paryżu jenerał Mycielski, jenerał mężny, człowiek pełen cnót obywatelskich i religijnych. Czterech Mycielskich z Księstwa Poznańskiego służyło w szeregach narodowych w czasie ostatniéj wojny z Rosyą. Dwóch zginęło na placu boju, jeden zamieszkał majątek ojczysty, a jenerał skazał się na dobrowolne wygnanie, aby podzielać los braci tułaczów. Na pogrzebie jego w kościele de l'Annonciation, dokąd przeniesiono nabożeństwo polskie z kościoła Św. Rocha po dniach Lutego 1848 roku, ksiądz Kajsiewicz przemawiał nad katafalkiem zmarłego, i wymownym głosem wstrząsł serca wszystkich, którzyśmy na tym żałobnym obchodzie, ze skruchą i łzami go słuchali. Hrabina Mycielska, matka owych czterech synów walczących za sprawę narodu, podobna do matki Spartanki, gdy ją uwiadomiono o bohaterskiéj śmierci dwóch synów, padła na kolana, i w gorącéj modlitwie prosiła Boga, aby dwaj drudzy jéj synowie mogli taką śmiercią zakończyć pielgrzymkę, uważając jako łaskę Bożą, śmierć za ojczyznę. O téj matce Polce wspomniawszy ksiądz Hieronim Kajsiewicz, i przebiegłszy żywot jenerała pełen męztwa, poświęcenia, wytrwałości, a zawsze na drodze wiary ojców naszych niezachwiany aż do ostatniego momentu, w którym Bóg i Polska były na ustach czcigodnego męża; — zwrócił się do nieszczęść ojczyzny naszéj i do świetnych czynów jéj dzieci w kraju i na dalekich ziemiach cierpiących i umierających za ojczyznę: — „Gdzieżeście, zawołał, wy rycerze

zakuci w stal i pancerze, którzyście wodzili zastępy waleczne pod Bolesławami, i do świata chrześciańskiego przyłączali pogańskie Prusy; — gdzie jesteście wy, coście gromili chytrych sąsiadów na *psiem-polu*, pod Obertynem i Grunwaldem! — Gdzie wy gorliwi obrońcy wiary, coście piersią zasłonili ojczyznę pod Chocimem od barbarzyńskich niedowiarków Wschodu! Wy, coście Wiedeń i całą Europę obronili od groźnego najazdu Ottomanów! Gdzie wy wierni i waleczni rycerze legionów, którzyście po dalekich krańcach świata walczyli w szeregach obcych, aby zasłużyć na szczęście walczenia za wasz kraj własny?... Jakby pod ziemię zapadły się zastępy, które sławą waleczności swojéj napełniły świat cały, — i w żadnym zakącie nie ma już żołnierza w mundurze narodowym; — nigdzie nie powiewa sztandar z Orłem-białym! — Boże miłosierdzia! Czy w téj woli Twojéj, nie przewidziane przez nas nieświadomych mądre kryją się wyroki; — czy w tem pognębieniu, kara za grzechy nasze?... Uderzmy się w piersi! Przebiegnijmy czynności ojców naszych i czynności nasze własne: — obaczmy, czy zawsze mieliśmy na ustach: Bóg i ojczyzna? Czyśmy zachowali wiarę nie skażenie, jak ją nam przekazali ci, którzy bronili Chrześcijaństwo od hord barbarzyńskich: — jak nam przekazały te czcigodne matrony polskie, podobne matce Mycielskich? — Uderzmy się w piersi! Zwróćmy serca i myśli do Boga! — Wejdźmy na drogę tych ojców naszych, którzy mieli łaskę u Pana; — a Pan w nieskończonéj dobroci przebaczy winy dawne i zmiłuje się nad nami i ojczyzną naszą."

W tym czasie, gdym opuszczał Paryż, przybył z Londynu, dawny mój znajomy z Krzemieńca i z emigracyi londyńskiéj, Piotr Falkenhagen, który przybrał

jeszcze końcowe nazwisko po matce, Zaleski, a to, aby na liście emigrantów, nie odznaczać się nienawistnem niemieckiem nazwiskiem: ten sam, który dyregował tłumaczeniem Statystyki Czerkasyi, powierzonem nam przez ministeryum angielskie. Oczekiwał on na przyszłą żonę swoją, córkę Józefata Korzeniowskiego, naszego dramaturga i romansopisarza. Zawsze na prawéj i pracowitéj postępując drodze, był on jedyny w emigracyi, który przybywszy ubogim z kraju, doszedł do znacznego majątku, nie oddając się wyłącznie handlowi, ale zawsze spełniając święcie obowiązki emigranta, mającego za powinność poświęcenie się dla spraw ojczystych. Zapiszę tu jego biografię i dojście do milionowego majątku pracą, głową i sumiennem staraniem.

Syn Falkenhagena, sowietnika koronnego gubernii wołyńskiéj, nie zamożnych rodziców, ukończywszy w Krzemieńcu chwalebnie kurs drugi i otrzymawszy medal srebrny, musiał zajmować się powtarzaniem matematyki i fizyki uczniom klass niższych. Józef Korzeniowski, mając pensyon z kilku młodzieży u siebie, wezwał go na swego pomocnika; i Piotr Falkenhagen przez dwa lata przebywał w jego domu, a rok ostatni wtenczas właśnie, gdy ojciec nasz, mnie i mego brata Wincentego oddał pod opiekę profesora Korzeniowskiego. — Przy nim urodziła się córka Marya, państwu Korzeniowskim, i często na jego ręku była kołysaną i usypianą. Otrzymawszy patent po skończonych naukach w Liceum krzemienieckiem, udał się Falkenhagen do Petersburga, gdzie z Lewickim, synem dyrektora i Pawlikowskim, kolegami swemi, jednocześnie umieścił się w ministeryum spraw wewnętrznych. Ci trzéj uczniowie Krzemieńca pracowali przy biórach swoich, gdy wybuchło powstanie w Warszawie. Żywiąc w sercach

miłość dla kraju, mając na pamięci powinność, jaka czeka każdego syna Polski, ułożyli oni jakimkolwiek sposobem dostać się do Warszawy, lub najbliższych oddziałów narodowego wojska. Statkiem płynącym do Danii, ruszyli w tę daleką podróż, i przez Gdańsk dostali się wszyscy trzéj do Poznańskiego. Ale gdy tam zastali wiadomość o ukończeniu nieszczęśliwem wojny, Pawlikowski i Lewicki wrócili do Petersburga; Falkenhagen zaś postanowił dzielić los wygnańców i udał się do Anglii. Tam, zetknąwszy się z Napoleonem Żabą, obaj znający dobrze język angielski, zaczęli wydawać w Edymburgu: *Polisch Monthly Magasine*, Polski miesięczny Magazyn, w którym przebiegali historyę polską i jéj literaturę, obznajmiali Anglików z niepożytemi prawami naszemi do niepodległości, z rozbójniczym potrzykroć rozbiorem ojczyzny i z ciągłem usiłowaniem narodu żyjącego duchem a dążącego do odzyskania wydartéj niepodległości. Gdy liczba emigrantów pomnożyła się w Anglii, gdy rozpoczęły się ścierania opinii i stronnictw, Falkenhagen przeświadczony o potrzebie naczelnictwa pod mężem rodu i zasługi, oddał się pod kierunek księcia Adama, i ciągle na téj drodze pracował. Widzieliśmy go zbliżającego ludzi rozmaitych stronnictw przy tłumaczeniu Statystyki Czerkasyi dla ministeryum spraw zagranicznych. Prócz tego, użyty był przez księcia i odbył kilka podróży do Galicyi i Poznańskiego; a u ludzi stanu Anglii, propagował długo potrzebę i korzyść wspierania Czerkasów tak, że Lord Palmerston wysłał kilku agentów, chociaż nie oficyalnych ale prywatnych do Czerkasyi, dla zbadania zasobów tego kraiku, w ciągłéj zostającego wojnie z Rosyą. Falkenhagen użyty często przez ministeryum spraw zagranicznych: *Foreign office*, do przekładów z niemieckiego, francuzkiego i rosyjskiego na angielski język,

porobił liczne znajomości serdeczne pomiędzy Anglikami, i utworzył sobie znaczny dochód. — Między znajomościami, pozyskał szczerą przyjaźń bankiera Hall, który go wezwał do swego bióra. Rozpatrywał się on handlowym czynnościom i obrotom nowego pryncypała, i przekonał się, że prowadząc handel skórami i zbożem, wszystkie te surowe produkta, wybiera z Ameryki północnéj. — Falkenhagen pierwszy wskazał mu, że te przedmioty sprowadzone z prowincyi polskich, daleko większą przyniosłyby mu korzyść, i wygotował zarys tego handlu w języku angielskim. Pan Hall, tak mu odpowiedział na jego podanie: — „Jedź pan do Polski, urządź mi stosunki handlowe, a ja pana przypuszczę do połowy zysków, łożąc sam potrzebny kapitał do rozszerzenia tego handlu. Z paszportem angielskim, będziesz pan mógł dostać się do Poznania i Lwowa.“ — Po roku, Falkenhagen zawiązał stosunki z jenerałem Chłapowskim i kilku obywatelami Poznańskiego; w Galicyi zetknął się z Mysłowskim, i postawił pana Halla w możności ciągnienia znacznych korzyści. W roku 1849, po obliczeniu się, Falkenhagen na swoję część dostał 24 tysięcy funtów szterlingów (144,000 rubli sr.) i założył pod firmą pana Hall, bióro w Paryżu. Od kilku miesięcy wrócił on był z wycieczki do Ostendy, gdzie spotkał panią Monikę Korzeniowską, żonę naszego autora, z ową maleńką Maryą, która się przy nim rodziła w Krzemieńcu. Ale owa maleńka Marylka urosła w piękną dziewicę z duszą zdolną pojąć wszystko co piękne i wzniosłe. Mimo znacznéj różnicy lat, pobyt dwumiesięczny w Ostendzie, tak rozwinął wzajemne uczucia, że Piotr Falkenhagen odważył się napisać do dawnego profesora swego, przedstawiając mu stan swojego majątku i prosząc o rękę córki. — Po moim wy-

jeździe, związek został zawarty; a dziś, jak się dowiaduję, oboje Zalescy, już są w Warszawie, gdzie pobyt Piotra, zapewne nie bez znacznéj korzyści zostanie dla sprawy naszéj.

Odjeżdżając z Francyi, zostawiłem tam nowego członka emigracyi, doktora Gałęzowskiego, który dziś odegrywa rolę uzurpowaną, i tym sposobem stał się nowym bodźcem rozdziału. Dawny profesor na fakultecie medycznym w Wilnie, biegły operator, 1825 r. opuścił Uniwersytet i udał się do południowéj Ameryki, gdzie niebawem otworzył sobie liczną klientelę i znaczne dochody. Po kilku latach kupił dom wiejski niedaleko Meksyku, a urządzając swój ogród, znalazł spory garnek złotych durów hiszpańskich, co mu dało znakomity majątek; bo gdy w 1848 roku przybył do Paryża i umieścił całe swe mienie na rentach francuskich, liczono mu 60 tysięcy franków, czyli sto tysięcy złotych pol. dochodu rocznego. — Z takim majątkiem, Gałęzowski nie potrzebował pracować; zaniechał więc doktorstwo, a przyzwyczajony do czynnego życia, chciał się tem zająć, i umyślił urządzić dom pracy dla biednych emigrantów, czuwał nad szkołą polską w Batignoles, a na ten cel, zbierał składki między Polakami przybyłymi z kraju do Francyi. Myśl i zajęcie szlachetne; każdy oddawał sprawiedliwość pięknym pracom doktora Gałęzowskiego. Ale to nowe zatrudnienie, to ciągłe stykanie się z ziomkami, wyrodziło w doktorze niezwykłą i niestosowną ambicyę. Zdało mu się, że może stanąć na czele wszystkich prac i działań emigracyjnych, i dyregować stosunkami, jakie między wychodźcami a krajem mogłyby się zawiązać. Zamiast więc, zbierane składki, prace swoje i czynności, odda-

wać pod kierunek księcia, garnął je pod swoję bezpośrednią władzę i rozporządzenie.

Nie jeden z czytelników powie mi, że się unoszę duchem stronnictwa, że kto dobrze robi i gorliwie pracuje, ma wielką zasługę, chociaż te prace, te zasoby zebrane, nie oddaje pod dyrekcyę inną, i że takiemu człowiekowi nic zarzucić nie można. Rozbierzmy tę błędną opinię. — Nie wchodząc w wyższość tego lub owego stronnictwa, musimy przyznać, że tylko zbiorowe prace i ujęte w pewny systemat i kierunek, mogą pożytek przynieść sprawie publicznéj. Czy to będzie władza wybranych członków złożona z kilku, czy władza uznanego naczelnika w osobie znakomitego rodu lub zdolności, wszystkie pojedyńcze prace powinny się ześrodkowywać i skupiać dla dania mocy i sprężystości połączonemu działaniu; inaczéj, pojedyńcze czynności na swoję rękę dokonane, dadzą piękne epizody, ukażą poświęcenia bohaterskie, ale całości nie stworzą i zginą rozproszone jak płynące bez nadanego kierunku potoki, co mogą być swéj okolicy ozdobą, ale i śladu korzyści nie zostawiają po sobie; gdy tymczasem taż woda ujęta korytem i połączona ku celom pożytku, stworzyłaby rzeczkę, a następnie rzekę zdolną obracać młyny i tartaki. — Pan Gałęzowski uznawał księcia jako męża wysokich zasług i jedynego w emigracyi do kierunku sprawami ojczyzny. — Jego więc świętym obowiązkiem było władzę tę popierać, kierować umysły wszystkich, których ujął sobie, do uznania władzy księcia i pomnożenia mu zasobów skuteczniejszego działania. — Jeżeli nie człowiek znakomitego rodu, to przynajmniéj człowiek zasługi i zdolności znakomitych, może tylko stać na czele prac podjętych ku wielkiemu narodowemu celowi. — Pytam: — Jakie za-

sługi, jakie imię, jaki odgłos znakomitych zdolności, mogą pana Gałęzowskiego postawić na wysokiem stanowisku naczelnika kraju i emigracyi? — i czy chwilowy urok jego biegłości chirurgicznéj albo poświęcenia w zbieraniu składek nie rozpryśnie się marnie? — Gdy tymczasem, ten sam p. Gałęzowski, jako czynny członek, pod władzą uznaną, stokroć większe korzyści przyniósłby sprawie świętéj. — Maleńkie ambicye, były zawsze zgubą naszą; — one to zrodziły owych Daraszów, Mirosławskich, Górowskich, — owe tajemne związki włoskie, które od czasów Franciszka I, dostarczyły tylko żyru ciemném więzieniom, a sprawie włoskiéj, jedynie szkodę przyniosły. Taką samą rolę odegrały u nas związki Węglarzy, Młodéj Polski, Konarskiego: — wysiliły kraj, zubożyły go, zaludniły kopalnie Nerczyńska, a nie utworzyły i jednego szczebla, po którymby późniejsi pracownicy dążyć mogli do *sławy grodu*, jak powiedział Mickiewicz. Pan Gałęzowski rozsyłał nawet agentów swoich; i tu w kraju, pan Stefan Buszczyński śmie podkopywać władzę księcia, propagując na jéj miejsce władzę Gałęzowskiego. Nie mogę zakończyć tego rysu inaczéj, jak wierszem Horacego: — „Risum teneatis amici.“ —

Wierny raz powziętemu postanowieniu, poddania wszystkich prac i czynności moich pod kierunek księcia Adama, z czystem sumieniem odpierać będę wszelkie podobne czynności pojedyńcze, i o tyle je uznam i pomagać im będę, o ile one źródło swe wezmą w rozporządzeniu tego dostojnego męża, którego Bóg zachowuje jeszcze dla przyszłych nadziei Polski. Wziąłem jego błogosławieństwo przy ostatniem pożegnaniu, i powtórzyłem uroczyście, że w jakimkolwiek zakącie i po-

łożeniu znajdę się z woli Bożéj, w jakiéjkolwiek przygodzie życia, będę zawsze gotów spełnić jego rozkazy.

Błogosławiła mię przy pożegnaniu księżna Anna Adamowa Czartoryska, matka jéj księżna Sapieżyna, i ta pełna cnót i uczuć polskich księżna Marya Wirtembergska, siostra księcia Adama.

Nie zatrzymałem się ani w Brukselli, ani w Liège. Na chwilę przesiadając się w nowy wagon drogi żelaznéj w Akwisgranie, postrzegłem panią Kisielew, która wyjeżdżała do Homburgu i Bad-Baden na letnie miesiące. Tak uprzejmie, tak usilnie zapraszała mię, abym nawiedził jéj mieszkanie w Homburgu, gdzie miała dom własny, żem obrócił moją podróż na Frankfurt nad Menem, zamiast jechać krótszą drogą na Berlin.

W Kolonii, o godzinie 8 wieczorem, siedliśmy na statek parowy na Renie, i nad rankiem ujrzałem po raz pierwszy te wspaniałe wybrzeża, nad któremi zachwycał się Bajron. Po dwóch stronach zielone łąki, wsie, i stare w ruiny zapadające zamki, przedstawiają widok, jakiego zapewne żadna rzeka nie pokaże, ani nawet Ren, po którym płynąłem jadąc do Carogrodu, z Lionu do Avignon. Tysiączne powieści i legendy mają te zamki dawnych baronów, prawdziwych zbójców, samowładnie panujących w średnich wiekach; — i o nich to w Czajld - Haroldzie mówił Lord Bajron:

Tysiąc bojów morderczych widziały twe brzegi;
Ale boje i sława bojów już nie dzwoni.
Rzeź krwawa, wojownicze zwaliła szeregi;
Grobów nawet nie widać, — i gdzież są dziś oni?
Krwi wczorajszéj już jasne zdroje twe pozbyły,
I znowu są bez plamy, i znowu odbiły
Blaski słońca tańczące po kryształach wodnych —
Lecz po zimnéj pamięci, marzeniach bezpłodnych
Darmo rącze twe fale będą się toczyły.

. . . . . .

Tu Czajld Harold poglądał na Boskie utwory
Na piękności zebrane: łąki i strumienie,
Na drzewa owocowe, skały, pola, bory
I zamki oddające smutne pozdrowienie
I porosłych wałów, z ruin ubranych w zielenie.

Stoją jeszcze te zamki, jak umysł wysoki
Co bity nieszczęściami, do gminu nie spada:
Opuszczone, z chmurnemi obują obloki,
Lub z wiatrem, co się w murów szczeliny zakrada.
Był czas, gdy jeszcze młode wznosiły się dumnie:
Na ich szczytach sztandary, w dole bój rycerzy!
Ale ci co walczyli, śpią już w krwawéj trumnie;
Na proch poszły sztandary co wiały na wieży;
I nigdy do ścian zimnych szturm już nie uderzy!

Gdzie te mury, gdzie sterczą starych baszt ułamki,
Tronowała potęga pośród żądz bezbożnych.
Każdy z tych głównych zbójców zbroił swoje zamki
Na bezprawia, i dumny tak był z czynów zdrożnych
Jako dawni rycerze. Dla tych rozbójników?
Karty dziejów kupionéj na szczodre pochwały,
Przestrzeni obszerniejszéj, wspaniałych pomników;
Bo piersi ich i męztwem i nadzieją wrzały.

W ich barońskich zatargach, w przygodach bojowych,
Ileż czynów walecznych zginęło w pamięci! —
Miłość co ryła herby na tarczach zbrojowych
I godła tłumaczące tkliwych uczuć chęci;
Miłość się przez pancerze do serca zakradła.
Ale jéj płomień, dzikie okrucieństwo rodził,
Nowe boje pociągał, zniszczenie rozwodził.
Dla piękności, nie jedna z tych baszt się rozpadła
I widziała wód Renu skrwawione zwierciadła.

L. Bajrona Czajld-Harold — przekład Michała Budzyńskiego. Wydanie M. B. Wolfa w Petersburgu 1857 r.

Zaproszony przez panią Kisielew, przejeżdżałem z nią przez Wisbaden i Frankfurt; i cały dzień przyjmowany byłem w jéj domu w Homburgu. Towarzyszyłem jéj do sali gry, i na drogę wygrawszy ośm tysięcy franków, przez Drezno, pospieszyłem do Krakowa.

W innym czasie, i dłużéj i pilniéj zwiedzałbym tę stolicę dawnych królów naszych. Dziś pęd myśli moich i tęsknota serca, gnała do rodzinnego Wołynia. Jednak 36 godzin zatrzymawszy się tu, zstępowałem do grobów władzców naszych i rycerzy. Z wierzchołka Bronisławy oglądałem ten gród, już w ręku Austryaków będący... Najętym furmanem coprędzéj pospieszyłem do Lwowa. O, jak na serce biły mi te pola i wsie ojczyste! — ten lud przemawiający moim językiem, modlący się pacierzem mojéj wiary, a jednak niedawno broczący ręce swoje we własnéj krwi, kość z kości naszych, targnął się na własnych braci nie dla oswobodzenia siebie, nie dla wyrwania ojczyzny z ręku wrogów, ale dla zniszczenia na korzyść Niemców najżywotniejszéj części narodowości polskiéj. — Po niedawnym głodzie i chorobach, wlókł posępne kroki swoje w łachmanach, a dręczony wyrzutami sumienia, lękliwie wyciągał rękę po jałmużnę. Odtrącany z niejednego domu, ukazywany palcem przez pozostałych od rzezi, płakał przedemną na chytrość cesarskich, którzy go oszukali. Nie miałem groźby dla ciebie, biedny oszukany ludku nasz; — ciebie, zaślepieni szaleństwem zasad marzonych, zwodzili właśni rodacy; — ciebie wróg nasz odwieczny, brał za narzędzie niecnych zamiarów swoich; — o tobie przez wieki nie myślał szlachcic, aby twój byt naprawić, podnieść cię do godności człowieka, dać ci miejsce między sługami ojczyzny. Tyś biedny i ciemny; — Bóg ci przebaczy obłąkanie, a my wyciągnąć

powinniśmy naukę z okropnéj klęski, abyś stanął obok nas, aby w tobie zawrzało uczucie miłości ojczyzny i nienawiści dla wrogów wspólnéj matki, — téj ziemi, na któréj wy i my wzięliśmy życie, i która waszym i naszym powinna być udziałem. Grosz mój wdowi z serca dałem na wsparcie twojéj nędzy. Niech ta krew, niewinnie przez was rozlana, stanie się arką przymierza nowego do prac połączonemi siłami dla waszéj i naszéj ojczyzny!

Poglądając na te po dwóch stronach drogi ścielące się pola, na te słomianie dachy wiosek naszych, stanęła mi w myśli wioska nasza rodzinna, gdziem dziecinne przepędził lata, gdzie żył nasz ojciec, odumarła matka, zostawiając drobne dzieci; — ta wioska tylu wspomnieniami wrażona w serce moje. a dziś już nie nasza, którą jednak niezadługo ujrzeć miałem; i myśl przeniosła się do tych stron drogich; a choć jeszcze daleko, o niéj ołówkiem nakreśliłem te zwrotki powitania.

Powrót do rodzinnéj wioski.

Wioski naszéj lasy, smugi,
Wiejcie szumem lat dziecinnych!
Po wędrówce ciężkiéj, długiéj
Do was wracam, — do rodzinnych.

Wiele przeszło lat i zdarzeń
I nad wami i nademną:
Dawnych uczuć, złotych marzeń,
Dzisiaj szukać nadaremno.

W lasach młode wzrosły drzewa,
Wioskę obcy zamieszkali; —
U mnie siwy włos powiewa,
Westchnieniami pierś się żali.

Ale przy was mnie najmiléj,
Do was pędzę myślą skorą:
Bo tu ojciec, matka żyła,
I tu żyło nas pięcioro.

Poznam, poznam was z daleka:
Od Kurpowiec lasem czarnym
W lewo, wita cię pasieka
Szumem leszczyn, rojem gwarnym.

Wnet się ruczaj sączy w dole;
Droga idzie między rowy —
W lewo, w prawo, siejne pole,
Za polami las brzozowy.

Tam się topor często wkradał
Ledwie dwieście drzew zostało; —
Lecz że lasek w okna wpadał
Strojnym liściem, korą białą,

Że gałęźmi nie zasłaniał
Gdy zabłysnął promyk ranny:
Ojciec lasek ciąć zabraniał,
I gaikiem zwał Dyanny.

Tuż przed wioską dęby w lewo
Starym szumem głuszą ciszę;
Tam mi znane każde drzewo:
To pradziada towarzysze.

Dziśbym jeszcze poznał może
Ten nam drogi dąb przy chatce,
Gdzie w łzach ojciec rył na korze:
„Śpij w pokoju! — zmarłéj matce.

Wszystkie krople krwi zagrały!
Widzę bramę i krynicę,
Michałówki dworek biały,
I zielone okiennice.

Dach gątowy, trzy kominy,
Za dach smukłe mkną topole,
Stajnia w prawo, oficyny,
I sadzawka — ot tam w dole.

Z sieni w lewo idź ostrożnie,
By tchu boleść nie zaparła: —
Po cierpieniach, tu pobożnie
Kiedyś matka nam umarła.

Pomnę jeszcze! — O pamiątek
Takich zatrzeć wiek nie w stanie!
Kapłan Hostyę dał jéj w piątek,
A w niedzielę pomazanie.

W poniedziałek już przed Panem
Postawili ją Anieli.
Nas sieroty wzięto ranem,
I my zmarłéj nie widzieli.

Ojciec zebrał drobne dziatki;
Odtąd tkliwym stał się więcéj: —
Wolą ojca, sercem matki,
Wodził, pieścił wiek dziecięcy.

Domku, stary przyjacielu!
Każdy kąt twój coś opowie
O boleściach i weselu
Lat ubiegłych wygnańcowi.

Dziewiętnaście wiosen w grobie!
Los daleko mię wyprawił.
Domku stary! znajdęż w tobie
Wszystko drogie com zostawił?

Milczeć będą twoje ściany.
Wiem już! — jam cię w cudzéj ziemi
Bólem, łzami gorącemi
Płakał, ojcze nasz kochany!

Duszy twojéj wzniosłéj, tkliwéj,
Duch, ożywiał synów cnoty.
Pókiś ty był, ojcze, żywy,
Jam przenosił ból tęsknoty.

Dzisiaj, chciałem żalem łzawym
Na twym grobie goić ranę.
Mnie się zdało: że niebawem
Już nikogo nie zastanę.

Darmo szukam; — jeszcze jedna
Boleść straty serce kraje!
Siostro moja! Klosiu biedna!
Ach! i ciebie mi nie staje.

Także wszystko przeszło skoro?
Kiedyś było nas pięcioro;
Dziś zerwany łańcuch święty!
Gdzie Klotylda, gdzie Wincenty?

Chodź Sewerku, chodź Alino
Z Mateuszem, Klementyną!
Chylmy naszę skroń z pokorą
Bóg znów zbiera nas pięcioro.

I krąg zwiększa mego świata,
Cichą ulgą serce pói:
Dziatki siostry, dziatki brata
Choć nieznani, wy już moi!

Przeminionych lat obrazem
Łączmy serca węzłem świętym,
I przyrzeczmy żyć tu razem,
Tam pamięcią żyć z Wincentym.

We Lwowie zatrzymałem się miesiąc cały; bo naówczas, dla wychowania córek, bawiła w tem mieście bliska krewna moja, Fortunata Błażowska; — owa to piękna Trypolska Fortunata, na któréj opatrzenie, Heronim Błażowski wysyłał swego arędarza.

Lwów, od czasu wyjazdu mego, zabudował się i upiękniał; ale zawsze niemiłe robił na mnie wrażenie jako zniemczały przez napływ kupców i rzemieślników tego smoczego rodu, który wysysa, jak pijawki, krew z ciała, wszelką narodowość, gdziekolwiek się zagnieździ. Miasta u nas, zawsze najwięcéj miały cudzoziemskiego żywiołu, jako w narodzie rolniczym i rycerskim, a mającym wstręt do handlu tak w wyższych jako i niższych sferach. Dla tego miasta pod rosyjskiem panowaniem, więcéj są szczęśliwe, lubo i tam szarańcza żydowska, lub na pół żydowska, owych Neofitów, ni to Chrześcian, ni to Żydów, rozpuściła już swoje zagony. Do Krakowa, jeszcze za królów naszych, wkradła się potężnie niemczyzna między mieszczanami. Pod Austryakiem dziś Kraków, jest do niepoznania, jak mówią; tak w krótkim przeciągu czasu, przeważył żywiół niemiecki.

Zastałem we Lwowie spacery na wałach bardzo ozdobne, i wielki gmach Skarbka na teatr; — sklepy i salony to klubowe, to należące do apartamentów najnowszych.

Pomny na wziętość zajezdnego hotelu Żorża, czyli Hofmana, zaraz tam roztasowałem się, a zmieniwszy ubranie, poszedłem do krewnéj mojéj Fortunaty. Powitaliśmy się całem sercem rodzinnem; — bo matka jéj, rodzona siostra mego ojca, tak wraziła względem nas braterską miłość w dzieci swoje, że jakby jedno składaliśmy rodzeństwo. Przedstawiła mi dwie córki

swoje, już dorosłe, Jadwigę, bardzo piękną, i miłą Adelkę, lubo mniéj powabną wdziękami. Obie one przyszły na świat i urosły, gdy ja po dalekich krajach przebywałem wędrówkę tułaczą. Pobyt mój u krewnéj, Fortunaty, był jakby prologiem tego szczęścia, jakie mię czekało w domie rodzinnym, tak u własnéj siostry mojéj Aleksandry, jak i u brata mego Seweryna, którego dzieckiem jeszcze zostawiłem.

Z Fortunatą i jéj dwoma córkami, pojechałem na trzeci dzień po przybyciu do Roguskich, dawnych znajomych moich. Ona sama, z domu Piotrowska, owa piękna Celina, do któréj na koniu wykradałem się o lekką milę od ojca, i długo na kursach w Krzemieńcu, a nawet w salach uniwersyteckich, składałem poezye pośród grzmiącego głosu z katedry profesora mego Uldyńskiego, albo na wykładach prawa kryminalnego, lub suchéj ekonomii politycznéj, a najwięcéj na kursach historyi powszechnéj po rosyjsku wykładanéj przez pana Kukolnikowa, nienawistnego nam przedmiotu, już dla tego, że był w rosyjskim języku i dla tego, że p. Kukolnikow mógłby lepiéj wykładać lekcye o astronomii jak historyi powszechnéj. Pani Roguska, rodem z Wołynia, z familli Piotrowskich, przez trzy pokolenia związanéj z naszą węzłami przyjaźni, a dziś nawet pokrewieństwa, bo młodsza jéj siostra Klementyna jest żoną brata mego Seweryna; — ta, mówię, pani Roguska, była pierwszym przedmiotem moich westchnień i owych poezyi. Jakże ten powrót mój odsłaniając słodkie wspomnienia, rokował szczodre wynagrodzenie za tyle lat cierpień i tęsknoty! — Mąż jéj, prawy bardzo człowiek i który ze współczującem sercem żegnał nas, gdy po przebytem więzieniu, wyprawiali nas Austryacy na dalekie krańce świata, przyjął mię dziś niespodzianie za-

jeżdżającego braterskiem sercem, i witał jak najbliższego krewnego. — Cały miesiąc przebyty we Lwowie, miałem odwiedzających mię znajomych i dawnych przyjaciół. Aby się ze mną widzieć, przybył o mil kilkanaście Kazimierz Szeliski, niegdyś mój krewniak w Węglarzach, a dziś, jak wielu innych, wyleczony z téj gorączki demokratycznéj młodości. Uściskałem także mego kapitana z wołyńskiego pułku Tadeusza Przyborowskiego, który został obywatelem Galicyi, będąc wprzód osiadłym na Wołyniu. Przejście jego na poddanego austryackiego, jest jednym z często zdarzających się wypadków chymerycznéj sprawiedliwości cesarza Mikołaja, zawsze zależnéj od fantazyi. — Tadeusz Przyborowski, urodzony w Królestwie Polskiem, ożenił się w 1820 czy 21 roku na Wołyniu, i odtąd tę część Polski zamieszkał. W roku 1831 wyszedł z powstaniem Karola Rożyckiego; a po skończonéj wojnie, zamieszkawszy Galicyę, wdowiec, wszedł tam w potwórny związek z wdową, baronową Czechowiczową, po któréj wziął w ziemi majątek. — Na oskarżenie Adolfa Rolińskiego, zatrzymany w Tarnopolu, gdy przewidywał z procesu innych więźniów, że i jego sprawa długo się przeciągnie, przez krewnych swoich w Warszawie wyjednał sobie pozwolenie powrotu do Królestwa Polskiego od feldmarszałka Paszkiewicza, na zasadzie swéj rodowości, lękając się naturalnie wrócić na Wołyń, gdzie był skompromitowany czynnem udziałem w powstaniu Karola Rożyckiego. — W Warszawie, prędko bardzo był uwolniony, za staraniem licznéj familii, jaką miał w Królestwie. Ale po dwóch latach, zapragnął zwiedzić Wołyń, gdzie wprzódy bawił lat kilkanaście, i gdzie na dzieci jego spadał majątek po pierwszéj żonie, z domu Barszczewskiéj. Paszport łatwo otrzymał; — ale za przy-

byciem do prowincyi, gdzie brał udział w ruchach, nie dość pomyślnych dla Rosyan, Bibików uwiadomiony o nim od tajnéj policyi, każe go zatrzymać i wyprowadzić mu proces o zbrodnię stanu, a razem o podejście dobréj wiary feldmarszałka Paszkiewicza. Przyborowski uwolniony w Królestwie, na Wołyniu został skazany do kopalni Nerczyńska, i wyrok ten sądu wojennego poszedł pod ostateczne zatwierdzenie do cesarza. Cesarz zawyrokował: — że lubo Tadeusz Przyborowski stał się winnym i godnym kary przez sąd wojenny uznanéj, lubo tem jest winniejszy, że podejściem swojem uwolniony został przez feldmarszałka; — przez wzgląd jednak, że tak wysoko stojący w łaskach i uważaniu cesarskiem, jak książę Warszawski, omyłką nawet mylić się nie może, Tadeusz Przyborowski uwalnia się od kary zasłania do robót; — ale rozkazuje mu się wracać natychmiast do Królestwa, a ztamtąd w najkrótszym czasie udać się napowrót do majątku żony w Galicyi.

Krewna moja, Fortunata Błażowska, oprócz dwóch córek swoich, których wychowaniu z całą troskliwością oddała się, miała jeszcze przy sobie maleńką córeczkę siostry męża swego, którą odumarli rodzice, Wincenty Rozwadowski i żona jego, Teodora z Błażowskich Rozwadowska, w któréj niegdyś ja się kochałem. Przez pamięć na zmarłą matkę, obsypywałem pieszczotami tę siedmioletnią Marylkę. To dziecię, jakby mi wdzięczne było za dawne moje uczucia dla matki i za pamięć zlewającą się dziś na nię, odstąpić mię nie chciała na chwilę, gdy byłem u krewny mojéj: — przygłaskiwała mi włosy, oganiała muchy, gdym zadrzymał; patrzała mi w oczy, aby uprzedzić wszystkie żądania.

Może to zdziwi czytelnika, że w ciągu tych wspomnień znajdzie kilka przedmiotów moich uwielbień, o których piszę dość serdecznie. Nic tu dziwnego nie ma. Byłem jakim-takim poetą, a stare aksioma fizyków przed Galileuszem: *Natura horret vacuum*, do pomp wodnych zastosowane, zda się być właściwem dla poety: *cor poetae horret vacuum.* Istotnie, tego macierzyciela poety (jakimkolwiek on jest pod względem talentu) serce spoczywać nie może; szuka ciągle przedmiotu aby się zapełnić. Przemiany te, dzieją się z przyczyn niekiedy wcale nie fantazyjnych; oto nieszczęśliwy w jednéj, choćby najszczerszéj miłości, rad nie rad klin klinem wybija. Warto mu też przemianę wybaczyć, jeśli ma trudność znaleźć rym do imienia kochanki. Ja naprzykład miałem jednę z moich imieniem *Klotylda;* — bądźże mądrym, i znajdź tu rym do tego imienia! Ta liczba kochanek, nie powinna żonę wprowadzać na mniemanie o lekkości charakteru albo niestałości męża-poety. — Ile znałem poetów, każdy z nich miał kilka kochanek ale mężem jednak był dobrym. Raz stanąwszy z ostatnią wybraną przed ołtarzem, gdy w obliczu Boga zaprzysięże jéj wierność i miłość; — gdy powie sobie: oto jest dozgonna towarzyszka od Boga mi dana, któréj ja winienem pod utratą poczciwości i honoru opiekę i wierność dozgonną; — oto ta, z którą dobry i zły los podzielę; — odtąd, ta żona, ostatnią staje się kochanką, i jest jak owa korona na głowie oblubienicy, która pokrywa blaskiem swoim wszystkie kwiatki i kokardy dawniéj przypinane. — Jeżeli ja każdéj chwili życia na kolanach składam ręce przed Bogiem, dziękując Mu za tę żonę moję, która nagrodziła mi sobą wszystkie trudy żywota, i przez którą przenoszę kornie dzisiejsze cierpienia, jakie Bóg mi w chorobie zesłał; —

to i ona czuje, że z ręką na sercu da mi kiedyś przed sądem Boga świadectwo, iż miłość moja dla niéj z każdym dniem rosła, żem nie był nietylko złym dla niéj mężem, alem wszystkie miłości moje dawniejsze przeniósł na nią uświęcone, owiane tchem niebieskim, jak święty i niebieski był związek, który nasze ręce w obliczu Boga połączył.

Zastałem we Lwowie Stanisława Gajewskiego, niegdyś kolegę w kryminalnem więzieniu, potem sekretarza *Towarzystwa Trzeciego-Maja*, który przed rokiem wysłany był przez księcia Adama, dla uważania ruchów w Galicyi i prostowania wyobrażeń w owych czasach, gdy po rewolucyi wiedeńskiéj 1848 r., członkowie towarzystwa demokratycznego, usiłowali swój rząd moralny w Galicyi zaprowadzić, i gdy Józef Dzierzkowski i niejaki Dobrzański, szumnemi przemowami i szkalowaniem rzucanem na mężów zasłużonych, starali się opinię publiczną wprowadzić w obłęd.

Dowiedziałem się, że na ustroni osiadł Słotwiński, niegdyś obwiniony o nadużycie władzy swojéj w Bibliotece Ossolińskich, i skazany za to na 12 lat ciężkiego więzienia do Kufstein. — Razem z nim uwolnieni byli na rozkaz studentów, trzymających rządy austryackie, po rewolucyi wiedeńskiéj, i inni więźniowie skazani na dłusze i krótsze lata kajdan, i odbywający swoję karę w Kufstein w Tyrolu. — Wrócili do Paryża z tego więzienia jeszcze w 1847 r. Henryk Dmochowski, który odbył naznaczoną karę, i 1848 Józef Zaliwski, skazany na lat 20, a główny promotor wojny partyzanckiéj 1833 roku, o którym pisałem wyżéj w pamiętnikach moich.

Józef Zaliwski, wśród wrzenia ducha stronnictw, gdy demokraci podnosili szalone i czerniące głosy na

naczelnika emigracyi, księcia Adama, przed wyruszeniem swojem na tę szaloną wyprawę do Galicyi i Królestwa, ogłosił w Paryżu broszurę, znaną jako stek fałszów i oskarzeń, na błachych dowodach opartych. Opowiadał on w tym ogłoszonym pamflecie, że w czasie wojny 1831 r., stojąc obozem z oddziałem swoim partyzanckim tysiąca ludzi, miał przed sobą w dniu jednym stawionego żyda, który był pochwycony przez czaty. Podejrzany o szpiegostwo, ów Żyd, na rozkaz Zaliwskiego został ściśle przetrząśnięty, i w podeszwie od butów wypruto mu papier, jako propozycye, albo raczéj relacya jednego z jenerałów rosyjskich o stanie armii polskiéj. W tych papierach, miało być wyraźnie powiedziano, że wodzowie polscy są kupieni; — że Czartoryski obiecuje poddać rząd i stolicę; że Skrzynecki ugodzony jest za ośm milionów rubli, i ma poddać całe wojsko polskie, że do tego targu należy jenerał Chrzanowski i jenerał Prądzyński. Relacya ta, miała być w języku francuzkim. — Zaliwski opowiada, że nie umiejąc tego języka, a nie chcąc nikomu się zwierzyć, za pomocą dykcyonarza, sam wyczytał papiery, odkrywające zdradę; — że starannie zachował je w kasie korpusu; — ale gdy niedługo potem, oddział jego został rozbity, kassa wpadła w ręce nieprzyjaciół i wszystkie papiery, a zatem i dowody zdrady zginęły. — Jak sądzić o takiem oskarżeniu? — Kto i komu mógł opisywać tajemnice stanowiące o losie armii polskiéj? — Czy mógł kto powierzać dowody podobne Żydowi, szpiegowi, mogącemu lada dzień wpaść w ręce nieprzyjaciela? — Jak ten dykcyonarz francuzki niezręcznie był wprowadzony przez autora! — Jak oficer wyższy polski nieostrożnie papiery zatracił, i jak on spieszyć był powinien z temi dowodami do Warszawy! — Za-

liwski, skoro przybył do Paryża, do żony i dzieci, gdy się dowiedział ile księżna Adamowa łożyła starań pieczołowitych, pomagając matce Zaliwskiéj, wychowaniu jéj córek; jak nieraz przybiegała z pomocą osieroconéj żonie jego; — Zaliwski, sam skołatany, upadły na siłach, z nogami poranionemi od kajdan, które lat kilkanaście dźwigał, poszedł do księcia Adama i znalazł w nim, jak zawsze każdy w nieszczęściu znachodził, pomoc i radę. — Jedna z córek Zaliwskiego miała wychodzić za mąż, zda mi się za młodego Goreckiego, malarza; Księżna krzątała się, aby jéj wyprawę sprawić, i zbierała składkę między paniami polskiemi. — I ja krzątałem się koło tego między mnie znajomemi. Miałem dobrą znajomość ze starym panem Fould, ojcem ministra finansów, ulubieńcem Napoleona, wówczas prezydenta. W klubie francuskim *Ancien cercle*, stary ten Żyd, lubił przychodzić w poobiednich godzinach na Rumel pikietę, a rzadko nachodził partnera, bo wiedziano, że lubił podzierać ostatnie trzy karty, gdy grę rozdawał. Grałem z nim kilka partyi; a że przez grzeczność nie zabraniałem mu przyjemności podzierania, ująłem go sobie bardzo, tak iż oświadczył mi, że radby mnie, albo któremu z moich ziomków zrobić przysługę u ministra, syna swego. Wiedziałem, że Zaliwski robił starania, aby rząd francuzki dał mu jakiś zasiłek na rachunek zaległego żołdu, którego nie pobierał przez czas swego więzienia w Austryi. W gorących więc wyrazach mówiłem za nim panu Fould. — „*Faites, qu'il vienne me voir*," rzekł mi uprzejmie. — Nazajutrz na moje zaproszenie, odjęło mu dawną energię; jak umysł skołatany i ciało zbite, przywaliło go do ziemi, tak, iż biedak wzdychał do spoczynku. Opowiadał mi, że w czasie zamknięcia swego w Kufstein, on i jego to-

warzysze, doznali przez lat kilka litościwego serca jednego z gubernatorów fortecy, który przez wzgląd na szlachetne winy więźniów, na ich wychowanie i ciężką niedolę, łagodził o ile można surowość austryackich przepisów. Słabszym, kazał zdejmować kajdany; dostarczał książek, a nawet w pewnych godzinach, pozwalał więźniom schodzić się z sobą. — W tych czasach ulżonéj niedoli, Adolf Roliński, o którym wyżéj wspominałem, skazany na lat dziesięć za fałszywe oskarżenia, a raczéj za ich odwołanie, mocno zachorował, i bliski śmierci, sporządził swój testament, który oddał kolegom, aby braciom na emigracyi odczytali, gdy go Bóg powoła do siebie. W tym testamencie oskarżał siebie o lekkość charakteru; przebiegał koleją, jak stopniami brnął w zbrodniczych uczuciach; jak się uganiał za zyskiem nieprawym; jak wyrugował z swéj duszy ostatnią iskierkę religii, i jak doszedł do ostatecznéj zbrodni zdradzenia braci i zaprzedania się nakoniec wrogom ojczyzny. Prosił w tem piśmie braci, aby przez wzgląd na miłość Boga, przebaczyli mu winę, którą ciężko odpokutował, i przestrzegał, aby młodsi brali przykład z niego, jak potrzeba w życiu iść zawsze drogą prawdy i cnoty, aby nie wpaść w tę samę przepaść w jaką się on pogrążył. — Długie podobne rozmowy z Zaliwskim, ośmieliły mię raz zapytać go: — co mam myślić o broszurze przez niego w 1833 roku wydanéj, gdzie on oskarża tylu ludzi zacnych o zdradę, na fundamencie znalezionych papierów w podeszwie u Żyda szpiega? — Zaliwski odpowiedział mi: — „Dajmy pokój temu; niepamięć powinna wszystko to pogrzebać, i nie warto mówić o tem.“ — „Przepraszam cię pułkowniku, odrzekłem: — gdyby to chodziło o zadawanie błędów, jestem twego zdania, że niepamięć

powinna zagrzebać przeszłość, ażebyśmy zgodnie dla przyszłości pracowali; — ale gdzie idzie o zbrodnią i o zbrodnią taką! tam miejsca mieć nie może pogrzebać zdrady kraju.“ — „Jeśli mi co dobrego życzysz, mówił znowu Zaliwski, nie wspominajmy nigdy o tem; — mnie serce się szarpie ile razy ta rzecz przychodzi mi na pamięć.“ Cóż o tem sądzić? Zdrada w zapomnienie nie idzie, a szarpać serce może tylko pamięć na zaślepienie stronictwa posuniętego do bezczelnych fałszów, co zaciera wszelkie względy i depce ludzi nawet najgodniejszych, skoro ci stają na przeszkodzie planom stronnictwa. Tu można powtórzyć z jednym z pisarzów francuskich: — „*Voila comme on écrit l'histoire!*“

Blisko miesiąc bawiłem we Lwowie, bom chciał widzieć męża mojéj krewnéj Fortunaty, Hieronima Błażowskiego. Ale kawaler grzeczny, który żonę swoją opuścił dla owéj Sabiny, którą chował niegdyś na rezerwę w razie odmowy, nie przybył do Lwowa, nie śmiejąc mi oczu pokazać.

Policya nagliła na mój odjazd, i nie mogłem dojechać do wuja mego, Stanisława Dunina, który o mil kilkanaście przesiadywał tęskniąc za żoną i dziećmi, i daremnie oczekując chwili powrotu do rodziny.

VII.

Przejazd granicy. — Kijów, sąd wojenny. — Grzeczność Bibikowa. — Powrót do mojej rodziny.

Odebrawszy mój paszport, podpisany w policyi lwowskiéj, dyliżansem udałem się do Tarnopol. W Zło-

czowie, między podróżnymi, usiadł naprzeciwko mnie czarno zarosły mężczyzna, któremu długo przypatrywałem się, dostrzegając w rysach jego twarz mnie znajomą. Po kilku takich spojrzeniach, stanął mi w pamięci Bohdanowicz, podoficer z naszego wołyńskiego pułku; — i nie omyliłem się, bo przy przeprzęgu koni, gdyśmy obaj wysiedli z dyliżansu, i jemu twarz moja przypomniała się. Serdecznie uścisnęliśmy sobie ręce. Podczas moich długich wędrówek, on w Stanisławowskiem zasiewał pole i spokojnie gospodarował na zagonie własnym. Od niego dowiedziałem się, że od dwóch miesięcy przywieziono do więzienia lwowskiego z Galaczu, Tretera, któremu zabrano ważne papiery; że między temi papierami, znaleziono instrukcyę podpisaną: *Michał Dąbrowa Budzyński.* Ta wiadomość w obecnem położeniu mojem, gdym wracał do Rosyi, i miał przejść przez sąd wojenny, nabawiła mię trochę niepokoju. Na wszelki wypadek, prosiłem Bohdanowicza, aby mógł się zetknąć z Treterem, i wrazie gdyby go konfrontowano ze mną, aby zeznał że to nie ten Budzyński którego znał w Galaczu. — Treter, był to agent nasz, wybrany przezemnie dla ułatwienia komunikacyi listowéj między mną, bawiącym w Jassach a Michałem Czajkowskim. Przypominałem sobie po chwili w jakiéj treści i wyrazach była owa instrukcya, aby umieć tłómaczyć się, gdyby mi ją przed oczy położono. Gdym zebrał w pamięci tę instrukcyę co do słowa, zdało mi się, że Austrya nie zechce komunikować ją Rosyi; bo stał w niéj wyraźnie artykuł, że: — *„P. Treter odwodzić będzie ile sił wszelkie działanie tych agentów, którzy usiłować będą rozruchy czynić w Galicyi albo w Bukowinie, — pomnąc, że głównym naszym nieprzyjacielem jest Rosya, i że gdy Bóg pozwoli nam tę potencyę pokonać, Au-*

strya rada będzie z osłabienia groźnego sąsiada, i łatwiéj się z nami ułoży.“ Szło mi tylko o to, aby złośliwość Austryi nie nasunęła jéj myśli przypodobania się rossyjskiemu rządowi, i aby chcąc mię zgubić, tę znalezioną instrukcyę z moim podpisem, nie odesłano do Petersburga. Całą noc podróży do Tarnopola przepędziłem dość niespokojnie w dyliżansie. Była chwila żem się zawahał czy mam jechać daléj, czy się wracać do emigracyi. Ale po dobrym śnie, który mię zwykle w niepokoju dobroczynnie pokrzepia, obudziłem się z postanowieniem jechania daléj. Skoro stanąłem w Tarnopolu, nająłem sobie furmana, i we dwie godziny, znalazłem się pod rogatką granicy rosyjskiéj w Wołoczyskach.

Na komorze, przy drzwiach kratkowanych, żandarm odebrał paszporta kilku podróżnych i zaniósł do tamożni. Mój odebrał na końcu, a jednak w kilka minut wrócił i donośnym głosem zawołał: — „Pan major, naczelnik tamożni, prosi naprzód pana Michała Budzyńskiego.“ Przeszedłem rogatkę, a skoro zbliżyłem się do drzwi komornego domu, stanęło przy mnie dwóch kozaków z dobytemi pałaszami. Dreszcz przebiegł po całem ciele mojém; — jednak przywoławszy *bonne mine à mauvaise fortune*, śmiałym krokiem wszedłem do pokoju.

Naczelnik komory, niegdyś major wojska rosyjskiego, Litwin rodem, z twarzą pełną współczucia, oznajmił mi, iż ma rozkaz, po ścisłem przepatrzeniu mego pakunku, odesłać mię natychmiast do Kijowa, do jenerał-gubernatora Bibikowa. — Zapytałem go, czy przejeżdżając blisko krewnych i brata mego, będę mógł widzieć się z niemi. — „Niestety! Panie; wyraźny jest rozkaz, abyś pan z nikim nie kommunikował się. Jednakowoż przejeżdżając przez Żytomierz, pan możesz żądać widzieć się z gubernatorem, a ten ma prawo

złagodzić rozporządzenie.“ Poddałem się losowi spokojnie. Mimo groźnego wstrętu, miałem taką ufność w ostatnich słowach pana Bałabina i jego słowie honoru, iż przebywać mam formy tylko, że najmniejsza wątpliwość o przyszłym losie moim nie postała na myśli. Zaszła kibitka: major ściśle przejrzawszy pakunki moje, odłożywszy na bok pugillares ze szpargałami i z listem pani Pankratiew do Bibikowa, dodał mi urzędnika komory, niejakiego Rybidin, Greka rodem, kazawszy usiąść na przedzie bryczki dwom Kozakom; zaprosił mię na przekąskę i pożegnał serdecznem uściśnieniem ręki. Siadłem na trójkę z dzwonkiem, i pogoniłem ową jaskółką rosyjską, jak kibitkę nazywa Mickiewicz.

W Kupielu nocowałem, a rano stanąłem w Starym Konstantynowie. Otoczyła dom mój ciżba żydów i mieszczan. Przypatrywano się wiezionemu kibitką pod eskortą kozaków, rozbierając los jaki mnie czeka. — Służąca traktyeru, prosta dziewka, któréj na odjezdnem dałem lekki datek, westchnęła, otarła oczy i wyrzekła: „*Daj Boże szczoby pan chutko wernuwsia szczasływy.*“ Każdy wyraz ludu naszego, radował mię niewymownie. Rozpływałem się nad brudnemi zajezdnemi karczmami naszemi; zatrzymywałem przechodzących rozpytując o gospodarstwo, o posiewy; wodziłem okiem po obszernych polach i lasach: — wszystkiem co było na mojem rodzinnym Wołyniu, cieszyłem się jak dziecko, i pewnie serce nie biło mi tak mocno wśród drzew pomarańczowych i oliwnych we Włoszech, nie radowały mię dachy czerwone porządnych wiosek Francyi tak, jak te obszarpane lepianki ze strzechą słomianą po nędznych wsiach naszych. Oh! gdyby mi wolno było zajechać do któréj z wiosek; — a przejeżdżałem nie da-

leko Jaremicz, i znane mi było nazwisko dziedzica Łozińskiego. Przejeżdzałem przez Połonne, należące do Tadeusza Walewskiego, któregom serdecznie kochał i któremu powiększéj części wdzięczny byłem za powrót do rodzinnego kraju. W tem miasteczku na stacyi pocztowéj, rozpytywałem się o krewnych moich. Wiem, że stryjeczni bracia ojca mego, śp. Kazimierz i Marceli, byli tam znani, bo w sąsiedztwie Połonnego były ich majątki. Jakoż wzdychali za nimi Żydzi, jako za poczciwemi obywatelami, a dziś już zmarłymi, ubolewali nad ich synami, którym Bóg nie poszczęścił i potracili majątki. Pan Rybidin, romansowy młodzieniec, wezwał mię w Połonnem, abym się przeszedł nad brzegiem rzeki, w któréj przed kilku laty utopiło się dwoje kochanków: oficer rosyjski i córka fabrykanta powozów; wezwał też i Kozaków aby szli za nami. Wymówiłem się od téj przechadzki, nie chcąc ściągać ciekawych tłumów za sobą.

Nazajutrz stanęliśmy w Żytomierzu. Mówiłem panu Rybidinowi, że moja siostra mieszka w tem mieście z dziećmi, ale w mojem położeniu, nie chcę ją widzieć. Grzeczny przecież Grek, o godzinie 4-téj z rana, obudził mego szwagra, i radośnie oznajmił mi, że braterstwo moi, za pozwoleniem gubernatora, przyjdą mię odwidzieć. O południu, istotnie do stancyi mojéj przyszła siostra z mężem i dwóch innych; byli to Budzyńscy: brat mój rodzony, Seweryn, i syn ś. p. Marcelina, co był stryjecznym ojcu memu, Aleksander, który ułatwił mi korrespondencyę z sobą we Lwowie, w czasie długiego kryminalnego więzienia. Nie mogłem ich rozpoznać, tak fizyonomie zmieniły się. Każdego z krewnych i znajomych od lat dziecinnych, miałem dwie twarze w pamięci: jedna jaka mi została z czasów

gdym ich opuścił, druga jakąm sobie utworzył ze zmianami lekkiemi w wyobraźni mojéj. Twarz istotna, okazała się nie podobną ani do jednéj, ani do drugiéj; ztąd w umyśle moim zrodziła się jakaś mieszanina, która długo w wir wprowadzała wszystkie nocye o rysach moich krewnych i znajomych. Popłakaliśmy się z siostrą i braćmi, i szybko wyrwałem się z ich objęć, aby coprędzéj kończyć te boleśne formy, przez które trzeba było przechodzić.

W Kijowie, satrap trzech naszych gubernii, przyjął mię uprzejmie, ale wyniosło: *du haut de son pouvoir royal.* Oddano mu moje papiery: odczytał list pisany do siebie i pytał po rosyjsku o imię, a potem gdziem jego krewną panię Pankratiew poznał. Zebrałem całą rusczyznę i na wszystkie pytania odpowiedział pół z ruska, pół z rosyjska. Pytał mię, ile ma kochanków jego siostra? — Odpowiedziałem mu bez względu na jéj wiek: że zapewne mogłaby ich mieć ileby zechciała, ale nie wiem czyli ma jakich. — Pan Bibikow uśmiechnął się grzecznie. Przywołał adjutanta Atanasiewa i polecił, aby mię zawiózł do komendanta fortecy, a prosił od niego, iżbym ja, który za pozwoleniem carskim i dobrowolnie wracam, miał wygodny areszt i znalazł grzeczne i łagodne obejście się. — Zawiózł mię Atanasiew do placu, gdzie rzeczy moje były znowu przejrzane, a tam kilkanaście półimperyałów, którem sobie był zostawił, zatrzymano wraz z brzytwami. Koło bramy fortecznéj, przyjął mię na odwach oficer od warty, gdzie w drugim pokoiku był kolega przyszłego aresztu, jakiś kapitan od piechoty, oczekujący od roku rozstrzygnięcia sprawy swojéj o małą bagatelę: o kradzież kilku beczułek prochu. Tak bowiem rozwodził się przedemną z żalami swemi, i równie codzień przed

zmieniającym wartę oficerem: „*Zabić, nie zabiłem nikogo*, okraść, nie okradłem; kaziennych kilka beczułek prochu sprzedałem; ot i tym sposobem popadłem w biedę. Taki to rząd u nas!“ — Biedny człowiek! Wśród poczciwych urzędników nieposzlakowanego rządu, za kradzież musi cierpieć! — Takie przewinienie jednało mu też wszelkie względy pułkownika placu i adjutantów jego. Mógł sobie bez warty przechadzać się o jakie paręset kroków od odwachu, wychodzić na ganek, a nawet do sąsiedniego komisarjackiego domu; — a jak to później powiem, dany mu był nawet pewny nadzór nademną.

Zaraz na drugi dzień, zebrał się na mnię z rozkazu Bibikowa sąd wojenny, pod prezydencyą podpułkownika Maleckiego. Spisałem *Curiculum vitae*, opisując otwarcie moje wejście do powstania wołyńskiego i udział w wojnie 1831 roku. Ostatnie pytania tyczyły się popobytu w emigracyi i pobytu mego w Turcyi. — Kazano mi odpowiedzieć, z czyjego polecenia byłem w Carogrodzie 1847 roku, i co tam robiłem? — Nie wiem, jakim sposobem zaszła pomyłka w dacie, co do pobytu mego w Turcyi. Była ona bardzo szczęśliwa dla mnie, bo zacytowałem dom i ulicę, na któréj mieszkałem roku 1847 w Rzymie, i na to odwołałem się po świadectwo do Tadeusza Walewskiego i do pani Ludwikowéj Giżyckiéj. — Podpułkownik Malecki przyszedł do mego stolika i ostrzegał, abym dobrze rozważał co piszę; a gdy dostrzegł, że mój udział w powstaniu i wojnie 1831 r. umieściłem otwarcie, szepnął mi, że: „Pan musiałeś być przymuszony?“ — „Myli się pułkownik, odpowiedziałem; w téj wojnie nikogo nie przymuszano.“ — „Ależ panie! były przykłady, że przykładano pistolet do piersi!“ — „Może być że zdarzyło się to drugim; ale

ani ze mną nie czyniono tego, anim ja widział, aby kto inny był tak nieszczęśliwy."

Bibikow był na odjeździe do Moskwy i Petersburga. Oskarżono go podobno, że za ułatwienie powrotu, wolności i majątku Włodzimierza Potockiego, wziął od jego matki sto tysięcy rubli sr. — Niewinny jenerał, pojechał osobiście tłumaczyć się cesarzowi. Przed odjazdem polecił aby sprawę moją kończono, a on za powrotem, przedstawienie zrobi.

Tymczasem ubiegły tygodnie i miesiące, a ja czekałem końca, skazany na towarzystwo nieokrzesanego Kaznaczeja, który mi zawsze dowodził niewinnéj kradzieży swojéj i czystego sprawowania kaznaczejstwa, co mu zaledwie 15 tysięcy rubli zebrać pozwoliło.

Jednakże miałem ja moje dnie radosne. Każdego prawie miesiąca przyjeżdżał ktoś z krewnych. Wtenczas wzywano mię do kancelaryi placu i pozwalano w przytomności adjutanta pułkowego pomówić godzinę. Takie jednak rozmowy krótkie i przy świadkach, rozdrażniały moję tęsknotę i niecierpliwość. Ja, 19 lat wygnaniec, 19 lat tęskniący do rodziny, mogłem tylko ukradkowe słowa słyszeć i podawać. Tajemnych szeptów nie potrzebowałem; ale obcy człowiek, obecny takiemu wylaniu się rodzinnych osób, sprawiał męczarnie do nie opisania. Ten smutek wyraziłem raz oficerowi będącemu na warcie kolejnéj, porucznikowi Niebolsen, gdy siostra moja Aleksandra Lasocka i krewna Wyrzykowska przyjechały mię odwidzieć. W ogólności wszyscy oficerowie grzeczni i uprzejmi, na wyścigi starali się jakąś mi przysługę uczynić. Niebolsen, na ten żal mój, odpowiedział wskazując na domek sąsiedni: — „Tam jest podoficer komisorjacki; ułóż się pan z nim, i niech siostry tam zjadą, a możecie rozmawiać aż do

capstrzyka.“ — Nazajutrz widząc się z niemi w placu, opowiedziałem miejsce i zaprosiłem, aby o godzinie 1-széj przybyły na herbatę dla przepędzenia ze mną kilka godzin. Tak się stało. Pierwszy raz od przybycia mego, mogłem swobodnie wywrzeć się z uczuciami memi i posłuchać o tem wszystkiem, co mię zajmować mogło w całéj rodzinie mojéj. Godziny leciały nam szybko. O zmroku, gdy powóz ich jeszcze nie zajeżdżał; — punktualny w poleceniu danem mi przez porucznika Nebolsen, po capstrzyku posłałem po dorożkę aby siostry moje mogły wrócić do siebie. — W tem usłyszeliśmy mocne uderzenie w okno i głos mego towarzysza Kaznaczeja: — „Gospodyn Budzyński skoro!“ — Zerwałem się, a Kaznaczej porwawszy mię za rękę, szybko zaprowadził w około na odwach, gdzie zastałem zmieszanego oficera. — Oto co się stało: Ludzie moich sióstr, którym nie opowiedziano dobrze, gdzie mają zajechać po swoje panie, udali się do placu, gdziem rano widział się z siostrami. Adjutant placu, niejaki Paulów, żołnierz z gwardyi, za zasługi przeniesiony na oficera do polowych pułków, a stamtąd za rozmaite podłości przeznaczony na adjutanta placu, postrzegłszy powóz i poznawszy ludzi sióstr moich, zapytał po coby przyjechali; a gdy upewnił się, że po swoje panie, które gdzieś z bratem się znajdują, siadł do powozu i prosto zajechał na odwach. Nie zastał mię; a dowcipem szpiegowskim udarowany, prosto zwrócił swoje kroki do domku komisorjackiego, zkąd ja już bokiem wyszedłem. Tam wpadł na podoficera i na służbę z kułakami i pochwą od szpady swojéj. Siostry moje słysząc bicie i krzyki, wysuwają się do sieni z pokoju, w którym świecę ze strachu zgasiły, i każda przyczepia się silnie do ręki adjutanta, wstrzymując go od kato-

wania ludzi. Wyrwał się adjutant, wyprawił siostry moje do miasta, a sam wściekły, wpadłszy na odwach, zwraca się do oficera i zapytuje go grzmiącym głosem, jak on śmiał na takie rzeczy pozwalać? — Z drugiego pokoju wystąpiłem i ręczać zacząłem adjutanta, iż ja sam, bez wiadomości oficera, mając sobie pozwoloną przechadzkę po platformie odwachu, udałem się do domku, gdzie moje siostry zaprosiłem w czasie rannego z niemi widzenia się. Podły ten Pawłow zdał raport komendantowi fortecy, że siostry moje miały wykraść mię z odwachu, co on miarkuje po tem, iż bawiły kilka godzin; że ja przez ten czas musiałem się wybierać, i że zważając zapewne, iż w ich powozie nie łatwo siebie i wszystko co moje pomieszczę, posłałem w pomoc drożkarza. — Na drugi dzień hałas! — Przyszli do mnie pułkownik Lewkowicz i komendant Pęcherzewski. Tłumaczyłem oficera; a co do mnie, powiedziałem tylko tym panom, aby się postawili na mojem miejscu, czy nie popełniliby tego nadużycia, aby swobodnie rozmówić się z siostrami po 19 latach nie widzenia się z niemi? — Pan pułkownik rzucił domysł, iż ja miałem uciekać. — Osłupiałem na ten zarzut. — „Uciekać? gdzie? Wszakżem sam wrócił. — Sąd mój skończony; czekam tylko łaski cesarza; dla czegoż miałem uciekać?“ — Rzecz cała skończyła się na tem, że oficer skazany był na odbycie trzech wart nie w koléj. Zbliżyłem się do porucznika i przepraszałem go po kilkakroć, iż z mojéj przyczyny ma wymówkę i kłopot. — „Zmiłuj się pan! rzekł do mnie ten poczciwy Rosyanin: — to honor dla mnie! Wszyscy koledzy będą mi zazdrościli, iż małą usługę mogłem panu zrobić.“

Jenerał-gubernator Bibikow, z wielkiéj serdeczności dla mnie, był powodem, że jakie trzy miesiące dłużéj

posiedziałem. Wróciwszy po czterech miesiącach mojego aresztu, zapytał o moję sprawę; a gdy się dowiedział, że ukończone dzieło, przedstawione łaskawie przez komendanta Pęcherzewskiego, poszło do cesarza; — kazał całe dzieło zawrócić; bo jak mówił, siostraby mu wyrzucała, gdyby on sam nie przedstawił mię do łaski cesarza. — Ja z boku dowiedziałem się, że dzieło moje zwrócone. Rozumiałem, że jakieś nowe odkrycie z Carogrodu albo z Włoch, ściągnęło surowe rozporządzenia. Tymczasem siostra moja, przybyła na odgłos złego obrotu sprawy, doszła całéj rzeczy i uspokoiła mię. W czasie tego przejścia i niespokojności o los mój, coraz więcéj stęskniony do rodziny, napisałem wiersz, i posłałem go będącemu w Kijowie Aleksandrowi Budzyńskiemu:

Wędrówka.

Pola włoka, jasnooka,
Pierwszych uczuć moich kwiat;
Domek własny, choćby ciasny:
Tak marzyłem z młodych lat.

Głos stalowy, podgrobowy,
Sny nie męzkie, jak mgły zwiał:
Przez bezdroża, sine morza,
W cudze kraje los mię gnał.

Niepogodne, państwo wodne,
Zwie pielgrzyma w swoje mgły;
Tu człowieka myśl ucieka
W pary czarne, jak duch zły.

Złota huku, a na bruku
Głód wnętrzności ludu rwie;

Żalem zdjęty, bądź przeklęty
Jeśli myślisz o nich źle. *)

Przez szmat morza, inna zorza
Inny oczom świeci kraj;
Kogut pieje, choć nie dnieje,
Przepowiada ziemski raj.

Jego pani, sypie w dani
Obietnice tym i tym;
Głupców chmura, krzyczy *hura!*
Aż z obietnic ujrzy dym.

Mdłego lica zalotnica
Ćmę kochanków wprawia w ruch:
Wzrok dziewiczy, głos słowiczy,
Rozpustnicy w tobie duch.

Arminiusa dziatwa kusa
Rozsypana jakby groch.
W ziemi cudzéj, korni słudzy,
A na swojéj, hardy proch.

Mózgu ziarnem, słowem marnem
Potężnego drobią w dźbła;
Człeka niżéj; a chcąc wyżéj
Tajemnicze rozbić tła.

Wielogłowa hydra nowa
W świat wyciąga szpony swe
I chrześciański ród słowiański
W podłych niemców zmienić chce.

Nie dobiegnie; sam wprzód legnie
Ten niemieckich gadów płód
Pan wszechrzeczy, ma w swéj pieczy
Nasz słowiański zacny lud,

---

*) *Honni soit qui mat y pense.* Dewiza herbu angielskiego.

Tam u spodu ziem zachodu
Rozpuszczona w długi włos
W dzień jaśniejsza, w noc wonniejsza
Starych mocarstw depce stos.

Miecz pogański, krzyż chrześciański
Bóg powierzał dłoniom twym.
Pół pod ziemią, pół nad ziemią
Dwakroć światu wiodłaś prym.

Pod twą ręką, w massę miękką,
W arcydzieła giął się głaz;
Czynom sławnym, ludziom dawnym
Życie dawał drugi raz.

Do błękitów, nieba szczytów
Pędził mistrzów twoich lot,
I w ołtarze wnosił twarze
Bezcielesnych Pańskich rot.

Bolejąca w łzach tonąca
Pośród wieńców drzew i róż
Ozłocona, zbłękitniona
Muślinami nieb i mórz.

Na twem czole, wieczne bole
I piękności wieczny znak.
Z objęć twoich do niw moich
Myśl leciała jako ptak.

Za myślami, wspomnieniami
Sam przyszedłem, — ale gdzie? —
Woń rodzinna, pieśń dziecinna,
Wieje, dzwoni blisko mnie.

A ja w dali, na trosk szali
Jednobarwny ważę czas;
Wzrok natężam, dłoń wyprężam,
I nie mogę dosiądz was.

Przebolałem, przecierpiałem,
Jeszczeż dłużéj cierpieć mam? —
Przebacz Panie! niech się stanie
Wola Twoja tu i tam!..

Kapitan Kaznaczéj zatrzymany za przedaż kilku beczek prochu z dwoma innymi spólnikami swymi, został skazany na prostego żołnierza, i narzekał na rząd chylący się do upadku, gdy karze tak małe przewinienia. Wywodził ztąd surowość kary jaka mię czeka. Tymczasem, nie mało się potem zadziwił, gdy dnia 12 stycznia powołano mię do sali sądu wojennego, i odczytano wyrok i łaskę cesarską. Skazany na roboty wieczne i pozbawienie szlachectwa, miałem sobie zwolnioną karę na miesiąc aresztu i pięć lat nadzoru policyjnego. Trzydzieści więc dni jeszcze miałem w tym samym areszcie wysiedzieć, i być uwolnionym zupełnie. Przypominając sobie czasy szkólne, gdym rachował dnie do feryi szkólnych, zaczynających się dnia 29 czerwca, naznaczyłem na ścianie mojéj 30 kresek, i każdego dnia mazałem jednę, pozbywając się codzień jednego dnia do pożądanego terminu.

Przyszedł nakoniec d. 12 lutego, rocznica 13-sta wyjazdu mojego z Tryestu do Londynu na okręcie austryackim. Co za zmiana w przygodach życia! Wtenczas opuszczałem ziemię, i puszczałem się morzem do dalekich krajów, na Bóg wie, jak długie wygnanie. — Dziś wracam do kątka rodzinnego i do moich.

Aleksander Budzyński, przysłał do mnie konie Wacława Rulikowskiego i zacząłem życie nowe od

domu szanownych obywateli, gdziem poznał Konstantego Świdzińskiego, zawsze zajętego pracą niezmordowaną nad rękopismami i księgami zebranemi na użytek publiczny.

W kilka dni potem, byłem u siostry mojéj w Żytomierzu, a następnie z bratem Sewerynem u niego i we wsi siostry mojéj, Wyszekusach. Ludzie wiejscy, schodzili się do mnie tłumami, witając mię z dalekiéj podróży. — Przybywali i z drugiéj wioski, niegdyś mego ojca, Michałówki, będącéj w posiadaniu pana Micińskiego, i błagali, abym ich wszystkich zabrał pod moje władanie. Długo musiałem przekładać tym poczciwym wieśniakom, odwołującym się do praw mego ojca i jego rządów sprawiedliwych, że wsie do mnie nie należą, że obie są zapłacone. — *„Takto wony i zapłatyły!“* Odpowiadali mi, całując moje nogi. Rozdałem kilkadziesiąt rubli między nich, i oto wszystko, co mogłem dla nich zrobić.

Z warunków przedaży, pan Miciński, miał po śmierci ojca mego wypłacić z trzyletnim, piątym procentem maleńką sumkę na rzecz moję i brata mego. W tym interesie, pojechałem do niego ze szwagrem moim. O jakiemiż łzami, jakiem uczuciem witałem każdy kąt domu michałowieckiego, gdziem się rodził, gdziem pierwsze pobierał nauki, gdzie mi schodziły złote lata dzicinne! — Wszystko, wszystko tam wymownym głosem przemawiało do pamiątek moich. Wszedłem do sali, gdzie stały dwie szafki z książkami mego ojca; — miejsce jego prac literackich i gospodarskich. Za salą pokój, gdzie ślęczałem nad gramatyką Kopczyńskiego; gdzie na wielkiéj karcie Europy pokazywano mi pręcikiem granice państw, morza i rzeki, gdziem nieraz spłakał się nad trudną deklinacyą *Terra*,

Scriba secunda; nad czterema konjugacyami na are, ire ect. — W przyległych oficynach, pani Bielawska, dawała mi klapsy przy fortepianie, a potem Jan Sowiński tęgie linie za małą pojętność do wierszów rosyjskich, i za złą deklamacyę jego wierszy. Przez szyby sali, zieleniały stare lipy, gdzie hojdałem siebie i siostry moje; czerwieniły się wiśnie, szczepione pod okiem matki mojéj. — Wywijał się daléj niebiesko-rudą wstęgą kanał kopany staraniem ojca, z pysznym mostkiem. z którego ciskałem na wodę wędkę, puszczałem czołenka opatrzone proporcami. — Pod oficyną, ten sam kruk ciągnął wodę ze studni, za którą błękitniała sadzawka, moje morze lat dziecinnych. — Ogradzały ogród i dziedziniec te same sztachety i wznosiła się ta sama brama, trochę zrujnowana i ze spróchniałemi słupami; — ta brama, niegdyś mój obelisk lukzorski, a za nią na wysokiéj podstawie spichlerz, — moja wieża pizańska. — Stał cało mały pokoik pierwszy od wchodu z lewéj strony, gdzie matka moja leżała długą złożona chorobą, z któréj nigdy nie powstała. — Łzy mię oblały; — nie wstydziłem się szlochać nawet pomimo świadków: nowego dziedzica, żony jego i córki ich, panny Olimpii. — I przyszły mi na myśl z Dziadów Mickiewicza, owe kilka wierszy, gdzie nasz poeta śpiewa, że gdyby człowiek po długiéj aż do starości pielgrzymce, miał po śmierci podłożony pod głowę kamień, z którym niegdyś igrał jak dziecko przy piastunce swojéj, a

„Gdyby z tego kamienia gorzka łza ciekła,
. . . . kamień, bez sądu, rzuć prosto do piekła!“

Wizyta moja w tym domku, niegdyś naszym, nie doprowadziła zaraz do pożądanego skutku. Na-

bywca wahał się przed odpowiedzialnością domniemywaną u rządu, czy ma wypłacić należną nam summę. Wróciłem do Wyszekus; a gdy mój szwagier odjechał znowu do Żytomierza, aby już sposobić przeniesienie się z żoną i dziećmi do wsi swojéj, która przez lat kilka była w dzierżawie; — ja pozostałem sam jeden, aby nacieszyć się rozkoszą pamiątek w tem miejscu rodzinnem.

Codzień rano wychodziłem na przechadzkę, aby każdy kącik, każde drzewo po długiem niewidzeniu oglądać. Puszczałem się potem o werst trzy do michałowieckiego lasku dębowego, i tam szukałem owego, dębu, gdzie ojciec w pierwszych miesiącach po śmierci matki mojéj, którą kochał silnie, całe dnie czasem przebywał, i gdzie na korze wyciął słowa: *Repose en paix.* Przepatrzyłem wszystkie dęby, ale kora już zarosła. — Lat 29 ubiegło od owego czasu. — Pod laskiem tym rozścielała się darń na wzgórku, a ze wzgórka, w dzień pogodny, migała się czasem kopuła dominikańskiego kościoła w Lubarze, o półtory mili. — Między dwoma wsiami, Michałówką i Wyszekusami, błękitniały dwa stawy, a daléj cokolwiek trzeci na drodze do Lubaru. Były to miejsca naszych przechadzek z ojcem; — tam on wychodził na spotkanie nasze, gdy ze szkół od Bazylianów jechaliśmy do domu przełamać opłatek, albo podzielić się z nim święconem jajkiem. Po kilkagodzinnem dumaniu, zachodziłem do p. Miecińskiego, i panna Olimpia oprowadzała mię po ogrodzie, gdzie gazon, kwatery kwiatów, topolki, wszystko przez moję matkę urządzone było.

Panna Olimpia zaręczona była z Michałem Piotrowskim, który biorąc ją jedynaczkę dla majątku, pokazywał wyraźnie, że ani jéj nie kochał, ani rodziców

jéj nie szanował. — Że jednak barki miał rozłożyste, policzki nadęte i rumiane, panna Olimpia szalała za nim. Rodzina Piotrowskich, jak to wyżéj wspomniałem, dawnemi związkami przyjaźni połączona była z domem naszym. Starałem się więc na poufne skargi panny Olimpii tłumaczyć młodego człowieka i zapowiadać jego poprawę. — Kilka takich rozmów, dały myśl téj pannie, użyć małego fortelu, jak się pokazało, na przyciągnienie młodego kochanka. Przez pannę Kirkor, bawiącą przy córeczkach mojéj siostry, i przez Karola Piotrowskiego, co jest stryjecznym bratem Michała, panna Olimpia oświadczyła, że byłaby najszczęśliwszą, gdybym się o nię starał. Z początku przyjąłem to obojętnie; — ale zwolna, zwolna rozwijał się w wyobraźni mojéj obraz coraz ponętniejszy Michałówki, wsi mego ojca, dziada, pradziada; — wsi mojéj rodzinnéj, miejsca lat najszczęśliwszych dzieciństwa; — obraz mego gospodarstwa na tych samych polach, które uprawiano pod okiem trzech pokoleń mego domu. — Oświadczyłem się pannie Olimpii, zostawiając jednak dwa miesiące do jéj namysłu. Powiedziałem jéj te słowa: — „Narzeczony pani, źle jest widziany od jéj rodziców, którzy mnię pragną. Ja jednak nie chcę uzurpować ani jego praw, ani gwałcić jéj uczuć. Namyśl się pani; — weźwij Boga na pomoc, i powiedz mi otwarcie, czy pamięć jéj skłonności nie budzi w niéj żalu dzisiejszego postanowienia? Jeśli serce pani przemawia zawsze za nim, powiesz mi pani otwarcie, a ja go sam sprowadzę, sam polecę rodzicom, i tym sposobem przyjęty na nowo, będzie umiał więcéj szanować swoje szczęście.“ — Panna Olimpia chciała sobie być winną powrót narzeczonego, a przyciągnąć go krokiem jaki umyśliła: otoczyć się zawiązaniem stosunków ze mną.

Zaczęły się pomiędzy nimi tajemne liściki; — i nakoniec, jednego dnia, zastałem zdziwiony, p. Piotrowskiego w Michałówce. — Kazałem zajechać koniom moim, i odtąd pożegnałem się na zawsze z marzeniem gospodarowania w mojéj drogiéj Michałówce. — Miotany niespodziewanym zawodem, i wystrychnięty że tak powiem przez wieśniaczkę, ja paryżanin, na dudka, chciałem sercu mojemu przynieść ulgę odwidzeniem najdroższego przyjaciela i krewnego ojca mego.

O pięć lat od mojego ojca młodszy brat jego cioteczno-rodzony, Szymon Konopacki, był przez rodziców swoich w czasach szkólnych oddany, jakoby pod braterską opiekę starszego od siebie krewnego, do konwiktu Pijarów Międzyrzecza-koreckiego. Od tych lat dziecinnych, zawiązała się przyjaźń czuła między ojcem moim a Szymonem Konopackim; a koło to dwóch przyjaciół, rozszerzyło się dwoma innymi: Kazimierzem Budzyńskim i Józefem Bobrowskim. — Wuj Szymon pracował niegdyś w komisyi w skutek traktatu wiedeńskiego ustanowionéj w Warszawie celem ułatwienia handlu i żeglugi we wszystkich prowincyach składających rzeczpospolitą polską przed rokiem 1772. Był tam sekretarzem do czasu trwania téj komisyi, to jest do środka roku 1817. — Potem był trzy lata w krzemienieckiéj sądowo-edukacyjnéj komisyi. Pakiet listów z téj epoki, zachowany do dziś u brata mego Seweryna, świadczy o serdecznych węzłach jakie łączyły tych ciotecznych braci. — Ta przyjaźń ojca mego w tkliwem przywiązaniu, w czci i uwielbieniu, odbiła się we mnie tak, iż wuj Szymon w umyśle moim jaśniał z aureolą rozumu, a w sercu jako świętość cnoty i drogiego przyjaciela ojca. — Pomnę, gdy sześć lat mając, wlazłem na wiśnię, aby wyglądać przybycia

jego z Szulajek, kiedy ojciec mój po pierwszy raz przyjmować go miał w domu swoim po jego powrocie z Warszawy; — pomnę jak mozolnie układałem wiersze na przyjazd jego z Krzemieńca do domu babki mojéj. — On miał cierpliwość wyuczyć mię Trenów Kochanowskiego; — on pierwszy mówił mi o Polsce, o świetności ojczyzny naszéj, o dzisiejszem pognębieniu, i miał cierpliwość odpowiadać mi i tłumaczyć, gdy na poważne jego opowiadania, wymknęło mi się niedorzeczne pytanie. Każdy z listów jego z Warszawy lub z Krzemieńca, ojciec mój odczytywał głośno i to nie raz jeden. A więc wbijały się w pamięć moję i urywkowe wierszyki i opisy stolicy naszéj i prac jego. — Nie zatarł się obraz Szymona Konopackiego w pamięci mojéj i sercu, przez cały ciąg wygnania; — i jechałem dziś odwidzieć go z pewnym w sobie wyrzutem żem tak się spóźnił. — Ta Michałówka zatrzymała mię. Powitał mię dawnem sercem. Najmłodsza córka jego Zofia, przy nim bawiła; — dwie starsze, były już zamężne, i Otolina o milkę mieszkała od niego. Wybrałem się zaraz na trzeci dzień po przybyciu, poznać tę krewnę, która rodziła się dn. 11 maja 1830 roku, gdy ja na wakacye przybyłem z Wilna, i z ojcem moim wkrótce potem nawiedzałem wujostwa Konopackich w Ożarówce. Otolina, dwumiesięczne dziecię, piszczała u mamki na ręku, a ja pierwszy raz przypatrywałem się wówczas mojéj kuzynce, niemowlęciu, ja młodzieniec ośmnastoletni. Teraz przybywałem do niéj, już mężatki, po 20 latach niewidzenia, zamężnéj Piotrowi Lasocie w Lisińcach. Matka jéj męża, była tylko w salonie, a Otolka w pół godziny dopiero weszła mię powitać, i po pierwszy raz obejrzeć kuzynka wracającego z za morza. — Płci śniadéj, oczu

ciemno-siwych, wzrostu nie wielkiego, całą żywość Hiszpanek nosiła na twarzy i w oku swojem. Otwartość wyrazu jéj twarzy, przemówiła zaraz domnie. Zżymałem się gdy mię *Pan* nazywała. Byłem proszony przez nię aby moje konie wyłożono; — zgodziłem się na to, ale aż wówczas gdym sobie wymodlił milszy dla mnie tytuł *kuzynku*, *kochany kuzynku*, niż te zimne i służące każdemu *Pan*.

Zawiózłem do siostry mojéj zachwycenie dla nowo poznanéj kuzynki, i wymawiałem jéj, że dotąd tak mało stykała się z naszemi krewnemi, wujem Konopackim i jego dziećmi. — Po tem pierwszem poznaniu, w kilka miesięcy, byłem jeszcze na jeden dzień u wuja; ale Otolki nie widziałem. Dopiero nie długo potem, w Gizowszczyźnie, ujrzałem po drugi raz obie krewne moje, Zofię pannę i z nią Otolkę u ich stryja Franciszka. Były u siostry mojéj w Wyszekusach; a ja właśnie na wiadomość, że mają do stryja swego przyjechać, wyjechałem do niego na ich spotkanie, i dziwnym wypadkiem, rozminęliśmy się w drodze. Doczekałem się jednak ich powrotu do Gizowszczyzny, i wieczorem przy kolacyi, usiadłem obok ulubionéj mojéj kuzynki z ognistemi oczyma i płcią Adaluzki. Była tak grzeczna że wymawiała mi, iż drugi raz nie byłem w Lisińcach gdzie mieszkała. — Na to z całą otwartością powiedziałem jéj, że lękam się tam bywać, bo ona nie jest wolną, a ja mam wielkie usposobienie kochania się w niéj na zabój. — Między kuzynkami takie niewinne oświadczenie jest pozwolone. Ale stryjenka jéj, tyle widziała ognia w oczach moich, a w głosie tyle prawdy niebezpiecznéj, że drzwi pokoju, w którym kuzynka moja spać miała, na klucz zamknęła. Nie pojmuję jaka w tem myśl była; ale zda się, że jak między ludem,

każdy Niemiec jest djabeł, tak między pobożnymi kobietami naszemi, każdy Francuz, albo ten co długo bawił w Paryżu, do piekła się sposobi.

Od téj ostatniéj wizyty, wiele, wiele zmian zaszło. W pół roku potem, mąż Otoliny, długo cierpiący na zdrowiu, odumarł ją. — Ja orałem ziemię przez rok cały na wziętéj dzierżawie; — aż w kilkanaście miesięcy, kiedy jéj żałoba była ku końcowi, zeszliśmy się znowu.

Byłem na pogrzebie krewnego mego, Seweryna Bukara, który był ożeniony z Budzyńską, siostrą stryjeczną mojego ojca. Seweryn Bukar, niegdyś kapitan artyleryi, za czasów rzeczypospolitéj polskiéj, walczył pod Kościuszką i osobiście przez niego ozdobiony krzyżem wojennym w bitwie pod Zielińcami, mąż pełen prawości i zasług, człowiek słodkiego charakteru, i poważany przez wszystkich co go znali, nie tylko związkami powinowactwa, ale i przyjaźni najserdeczniejszéj związany był z ojcem moim i z wujem Szymonem. W 80-ciu przeszło leciech zasnął snem nieskalanego człowieka cicho i spokojnie, jak cichy i spokojny był jego charakter. Kilka razy odwiedzałem go po mojem przybyciu do kraju, i słuchał on z uwagą opowiadań moich. — Rozdzieliwszy majątek swój między dzieci, ograniczył się na skromnym dochodzie i ustronnym domku we wsi Babinie w powiecie lityńskim, gubernii podolskiéj, dziedzicznéj syna swego Wincentego. Z młodszym jego synem, a moim krewnym Teofilem, byliśmy razem w Krzemieńcu, a nawet w jednym domu u profesora Józefa Korzeniowskiego mieszkaliśmy. Nie zastałem go już po powrocie moim. — W kwiecie wieku, pełen szlachetnych uczuć, pełen chęci kształcenia się, umarł z gorączki tyfoidalnéj dnia 20 kwie-

tnia 1847 r., i poniósł z sobą ciężki żal ojca, który, bogdaj czy nie najsilniéj kochał go z pomiędzy dzieci swoich. — Oddawszy w Sieniawie na początku wiosny 1853-go roku, ostatnią posługę czcigodnemu mężowi, ze ściśnionem sercem patrząc jak mąż po mężu z wielkiéj rodziny, pięknéj przeszłości naszéj, zstępuje do grobu; nie mogłem znaleźć stósowniejszego miejsca, ani człowieka więcéj zdolnego boleść moję zrozumieć, jak wuja mego Szymona, który także wysoko cenił cnoty zmarłego. Z Babina więc, uroniwszy łzę żalu z synem Seweryna, Wincentym i córką jego Kleotyldą Bernatowiczową, pojechał do Ławrynowiec.

Odprowadzał mię do Konstantynowa i tam nocleg przepędził ze mną, dawny kolega mój wojskowy, towarzysz w pracach związkowych, Adolf Pilchowski, który od dwóch miesięcy wrócił na łono rodziny z 14-sto letniego wygnania, przebytego w Tambowie, zkąd wydobył go szczególną łaską siostrzeniec jego, Stanisław Bobrowski, oficer gwardyi, zyskawszy zainteresowanie się następcy tronu, a dzisiejszego cesarza Aleksandra II.

O godzinie 10-téj rozjechaliśmy się: Adolf Pilchowski do matki swojéj na Równo, ja do Ławrynowiec. Wuj, jak zawsze, przyjął mię z otwartemi ramionami; Zosia z miłym uśmiechem pobiegła szukać siostry swojéj, Otoliny. Weszła ta moja krewna poważna i ze smutkiem na twarzy. Blisko już roku, jak umarł mąż jéj a przed trzema miesiącami straciła córeczkę. Został jéj jeszcze pięcioletni syn, Dyonizy Lasota, miły chłopczyna i pełen bystrości pojęcia w oczach i w słowach, jakie pochwycił i jakie mu na myśl przychodziły. — Krewna moja, Otolina, pocałowała mię w czoło i witała uprzejmie po dwóch prawie latach niewidzenia,

i po przebytych ciężkich boleściach swoich. Dni pięć zabawiłem u wuja mego. — Czułem że Otolina była żoną dla mnie. Od pierwszego jéj poznania, zbudziła się w sercu mojem sympatya wyższa nad tę jaką dla krewnéj czuć można. — Ona z synkiem małym potrzebowała człowieka, któryby ukochał ją i stał się ojcem dla syna, przewodnikiem lat jego dziecinnych i trudniejszych lat młodzieniaszka, któremu troskliwość matki dostateczna być nie mogła. Czułem w duszy mojéj, że ją całem sercem ukocham, i że dla jéj syna, będę najpierwszym przyjacielem. — Nie śmiałem jednak żadnem słowem przerywać jéj wdowiego smutku. Postanowiłem czekać, aż ubiegnie czas żałoby, i abym przystąpił do pozyskania jéj serca z całą przyzwoitością i tą czcią jaką miałem dla jéj ojca i dla niéj. — Całym dowodem jéj łaskawego dla mnie serca, był dany mi jéj ręką rodzynek z czysto wymytych a przygotowanych do Wielkanocnego święta, za co złożyłem na jéj rączce serdeczny, ale pełen poszanowania pocałunek. — Wyjechałem od wuja z postanowieniem przybycia, skoro upłynie trzy miesiące kończącéj się jéj żałoby.

Nieszczęściem byli usłużni, którzy jéj mówili o moich zamiarach, a nie proszeni, wyobrazili, że ja wystawiam sobie jéj mienie większe niż było istotnie. Ona przebiegając myślą moje życie za granicą, wydawanie nieoględne pieniędzy; przejrzała smutny zawód gdy znajdę jéj majątek szczupły i nie wystarczający na potrzeby codzienne. Tak nie było. Ja wiedziałem doskonale i jéj udział własny i to co dla niéj przypadło z siódméj części majątku po pierwszym jéj mężu. — W wędrówkach moich na wygnaniu, przyzwyczaiłem się przestawać na małem, a nawet obywać się bez

wszelkich wyszukanych potrzeb, tak, iż najmniejsze mienie byłoby dla mnie dostateczne. — Ja wzdychałem do serca, któreby moje serce zrozumiało; do zajęcia, przez które mógłbym stać się pożytecznym ludzkości, krajowi. Wychowywać jéj syna, byłoby dla mnie największą rozkoszą. Już wystawiałem sobie to szczęście, gdy na moje słowa, na moje przestrogi, Dyziowi zaczną rozwijać się wrodzone, bystre jego pojęcia, gdy po śliskiéj drodze życia, zacznie stawiać kroki, które go zawiodą do społeczeństwa ludzi szlachetnych i pożytecznych krajowi. Niewczesna usłużność, czy, nie wiem jak to nazwać, opóźniła szczęście nasze.

Za powrotem z Ławrynowiec do domu brata mego Seweryna, gdym niedługo potem był w Gizowszczyznie, pani Franciszkowa Konopacka mówiła o niedawnéj bytności mojéj u wuja Szymona, i powtórzyła słowa Otolki, któréj o mnie po moim odjeździe wspominano: — „Będę rada widywać jak najczęściéj Michała Budzyńskiego, jeśli on zechce przyjeżdżać do nas jako krewny dobry; ale nigdybym nie chciała, aby inne myśli go wiodły.“ — Spuściłem głowę i postanowiłem nie być więcéj w Ławrynowicach; bo czułem że jąbym ukochał całą duszą, a rozdarłbym sobie serce gdyby mię nowy zawód życia miał spotkać. Wróciłem do tęsknego dumania i do życia bez celu.

W miesiąc potem, kolega mój wojskowy, Józefat Domaradzki i pani Franciszkowa Konopacka, ułożyli sobie ożenić mię z panną Anielą Gadomską. Była to panna nie bardzo młoda, posiadająca niepodległy majątek i z familii pięknéj, z kartą dawnéj uczciwości. — Znałem tę pannę, i gdy w pierwszych miesiącach powrotu mego do kraju, krewny mój Antoni Trypolski, zawiózł mię do domu Adamowstwa Pułaskich, gdzie

siostra saméj, panna Aniela bywała; gdy mię namawiał, abym się o tę pannę starał, nie mogłem powziąć stałéj decyzyi: było coś, co mię od niéj odpychało. — Dziś, po zawiedzionych nadziejach, jakie pokładałem w ożenieniu się z Otoliną, przyjąłem propozycyę. — Czułem, że to życie moje bez celu, bez domu, zużyłoby siły moje moralne. Przeświadczony, że człowiek przyszedłszy do wieku dojrzałego, powinien zaznaczyć kółko swoje rodzinne, stać się użytecznym sąsiadom i towarzystwu; dałem pośrednikom moim *Carte blanche;* i dnia 3 czerwca 1852, Józefat Domaradzki, po jednéj wizycie mojéj zrobionéj państwu Pułaskim, gdziem zastał pannę Anielę i brata jéj Stanisława Gadomskiego, ułożył cały plan mego ożenienia. — Panna Aniela z bratem wyjeżdżała na parę miesięcy do Warszawy, gdzie miała podnieść swój kapitał i natychmiast kupić wieś Kopczyńce w sąsiedztwie siostry, a po tem kupnie, odbyć się miał mój ślub. — Istotnie, szedłem jak baranek na ołtarz z zawiązanemi oczami. — Tymczasem pobyt panny Anieli w Warszawie, z niewiadomych mi przyczyn, przedłużał się nad zakres. Ja czekałem, ale czekałem, mogę powiedzieć, z wszelką cierpliwością, odwiedzając znajomych i przyjaciół.

Na jednéj z podobnych nawiedzin, spotkałem Antoniego Dunina, syna majora mego pułku, Stanisława, a bliskiego krewnego mego. Szacunek i serdeczne przywiązanie jakie miałem do ich ojca, a ze strony synów, to jest Antoniego i brata jego Stanisława, pamięć żem z ich ojcem w jednym pułku walczył, na jedne był narażony niebezpieczeństwa, zawiązała między mną a tymi braćmi Duninami, stósunki więcéj jak pokrewne: — mieliśmy dla siebie szczere, przyjacielskie uczucia. Antoni Dunin pytał mię czy to prawda, że ja się że-

nię z Gadomską? — Oto są słowa, jakie mu powiedziałem: — „Żenię się, jeśli wróci z Warszawy; ale przyznam ci się, że radbym aby nie wróciła; nie mam serca do niéj, i będę musiał naginać moje uczucia, aby być dobrym mężem, bo to przecież moja powinność. Ah! Antosiu! inaczéjby mi serce biło, gdyby to była Otolka, gdyby ona tak zimno mię nie odepchnęła!“ — Antoni tak mi odpowiedział: — „Zaniesiono ci wyrazy Otolki, nie określając okoliczności pobocznych. Ona zawsze ma miłe o tobie wspomnienia; a nawet żeby ci prawdę powiedzieć, to prosiła, abyś przyjechał i nie zasmucał jéj ojca, który cię kocha serdecznie, i któremu przykro żeś przestał bywać.“ — „A wy, kiedy jedziecie, zapytałem?“ — „Za trzy dni, na święta Bożego Narodzenia.“ — „Weście mię z sobą!“ — Z najmilszą chęcia i sercem czekamy cię u siebie i pojedziemy razem.“

Ani chwili nie miałem namysłu. Panna Aniela nie była na termin, to i ja mogę sobie pozwolić. Rozrywały się małżeństwa ułożone uroczyściéj, to dla czegoż ma nie rozerwać się ten *mariage par procuration?*

VIII.

Moje ożenienie.

W dniu Wigilii Bożego Narodzenia, łamałem opłatek z wujem moim Szymonem i z kochaną moją Hiszpanką. — Jak błyskawica przeszło dni cztery w Ławrynowcach. Zbliżałem się serdecznie do Otolki. Ro-

biliśmy spacery sankami; przy obiedzie i wieczorami, rozpamiętywaliśmy z wujem czasy dawniejsze, czasy serdecznéj jego z moim ojcem zażyłości; moich lat dziecinnych, gdy, abym ujrzał pierwszy przybycie wuja Szymona, wlazłem na drzewo; gdym powtarzał za nim wyraz po wyrazie Treny Kochanowskiego, gdym się wyuczał znanych jego wierszyków: — *Ustał wietrzyk, błyszczą wody*, albo: *Powoli pączku, powoli rozwijaj twoje ponęty*, do których Moniuszko piękną dorobił muzykę. Rozrzewniony wuj temi wspomnieniami, powiedział mi ze łzą w oczach: — *Oby to w mojéj mocy było, kochany Michale, dać tobie szczęście życia, za te dnie nieszczęść, któreś przebył.*" Zapamiętałem te słowa, a wówczas pomyślałem sobie: — „w twojéj mocy i w Otolki dać mi szczęście życia."

Z pełnem sercem uczuć dla Otolki i czci dla mego wuja, odjechałem z Duninami do Gizowszczyzny. W czasie świąt, przyjeżdżał do Ławrynowiec pan Ludwik Kępski, który się starał o rękę wdowiéj mojéj krewnéj. Mnie, jako osobie z familii, prezentował się bardzo grzecznie, zapewne dla pozyskania mego głosu; a u mnie, pomimo téj grzeczności, gotował się zamiar przesadzenia go, jeśli można, przez cztery płoty. W Gizowszczyznie, na troskliwe zapytania o Ławrynówce, oznajmiłem, że Otolka zapewne pójdzie za Kępskiego. — Ciotka Anastazya Konopacka, bawiąca u brata swego Franciszka, która zwykle wszystko przewidywać lubi, odezwała się: — „A ja mówiłam, że tak będzie!" Ale bratowa jéj, pani Franciszkowa, co innego widziała w moich oczach, i wziąwszy mię na bok, mówiła o Anieli Gadomskiéj. Jakże to wspomnienie w owéj chwili niemiłe było dla mnie! Oburzony dźwiękiem tego imienia, kiedy w moich myślach brzmiało tylko

imię *Otolka;* poważnie odezwałem: — „Panna Aniela zapewne inne ma zamiary, kiedy dotąd nie wróciła. Termin przeszedł; ja dziś jestem wolny od moich zobowiązań.“ — „O, ja widzę, odrzekła mi już z gniewem pani Zofia Konopacka; ty wracasz z Ławrynowiec; tobie się głowa zawróciła Otolką; ja ci powiadam, że nieszlachetnie postąpisz tym sposobem z Anielą.“ — „Ale ciotko! odparłem z pokorą; — ja nie wiem czy mi się głowa zawróciła; ale widzę że panna Aniela postępuje tak, jakby usnuty projekt przez Józefata i ciotkę, i zrobione układy przed jéj odjazdem do Warszawy, nie były jéj na rękę. Zda mi się że robię przysługę i ułatwiam zamiary panny Anieli, zapewne nowo zawiązane w Warszawie.“ — i, là dessus j'ai brisé toute explication; a zabawiwszy kilka godzin, wróciłem do domu siostry mojéj Aleksandry Lasockiéj. Tam aż do dnia 3 stycznia 1854 roku biłem się z myślami, a pieściłem w sercu obraz Otolki. Powtarzałem sobie każde jéj słowo, przypominałem wyraz każdego spojrzenia, aby wysnuć z tego nadzieję.

O godzinie 10-téj wieczór, gdy wszyscy udali się do spoczynku, ja siadłem z papierem listowym i napisałem list do wuja mego Szymona. Powtarzając w nim dzieje lat dziecinnych i dzieje moich uczuć, czci i przywiązania do niego, przypomniałem mu wyrzeczone słowa jego na świętach Bożego Narodzenia: — *„Jakbym ja chciał Michale dać tobie szczęście życia za dnie twoich lat nieszcześliwych wygnania!“* — i zawołałem do niego: — „O wuju mój drogi, o przyjacielu ojca mego! Daj mi to szczęście życia: daj mi Otolkę, jeżeli do jéj serca cokolwiek może prośba moja przemówić.“ Wyznałem z całą otwartością, że sam żadnego nie posiadam majątku; że znane mi szczupłe jéj mienie; że jednak

w dniach mego tułactwa, przyzwyczaiłem się do pracy i do obywania się małemi zasobami; — a dla Otolki sił mi przybędzie na staranie o byt nasz materyalny. Przysięgałem mu, że jéj syn, będzie moim, i że przed Bogiem poprzysięgając jéj wiarę, poprzysięgnę zarazem opiekę nad małym jéj synem.

Nazajutrz do dnia, odprawiony był posłaniec do Ławrynowiec; a dnia 5-go stycznia, właśnie gdy był u mnie Antoni Dunin, nadeszła odpowiedź. Trudne było położenie wuja mego Szymona, i trudno mu było dobrać słów, aby z jednéj strony nie wyrazić zbytecznéj skwapliwości córki swojéj, a z drugiéj strony, mnie nie dać zupełnie odmownéj odpowiedzi. Wyrazy więc listu, były tak dobrane, żem ja stracił parę godzin na docieczenie prawdziwego ich znaczenia, a w końcu wziąłem za słodką odmowę i jego i Otolki. Nie dowierzając sobie, dałem go do przeczytania Antoniemu Duninowi, który nie znalazł także w liście nic pocieszającego dla mnie. Stroskany, zawiedziony w oczekiwaniach moich, pożegnałem drugi raz moje nadzieje, i zostawiłem tylko czasowi przezwyciężenie, jeśli można trudności dzielących mię od Hiszpanki mojéj. Dunin namawiał mię jechać dla rozerwania się na jarmark do Międzyboża. — Rad byłem z téj przejażdżki w towarzystwie krewnych moich, Duninów, powierników moich trosk i nadziei.

W Międzyborzu zastałem Urbana Bogusza i Prokopa Konopackiego, brata Otolki. Przez niego posłałem jakąś zabawkę dla małego Dyzia, i prosiłem, aby ucałował ręce ojca i siostry; a po dwóch dniach jarmarku, wróciłem do siostry. Zaraz na drugi dzień, przybył w pogoń za mną, poczciwy Staś Dunin, brat Antoniego. — Obaj oni szlachetnem a dla mnie przy-

jaznem sercem krzątali się, aby doprowadzić zbliżenie i porozumienie się z Otolką, ciotecznie rodzoną ich siostrą. W Międzyborzu, wzięli na konfesatę Prokopa Konopackiego, i od niego dowiedzieli się, że moje interesa nie tak źle stoją, jak sobiem wyobrażał. Staś Dunin wyciągnął mię zaraz od méj siostry, i późną porą przyjechałem na noc do Lubaru, a ztamtąd do dnia puściłem się o sześć mil do Ławrynowiec z postanowieniem rozstrzygnięcia losu mego.

Otolka przyjęła mię z miłym i pełnym nadziei uśmiechem. Wuj Szymon ułatwiał mi sposobność mówienia z sobą. Ale ja chciałem kilka dni poczekać, aby trochę dać poznać uczucia moje Otolce, i uczynić jéj oświadczenie, gdy przybędą Duninowie, jak mi przyrzekli, aby pomogli mi w nieprzewidzianych trudnościach. Trzy dni ubiegło. Zosia zaczęła się niecierpliwić że ja głosu nie podnoszę, i że Otolka siedzi przy krosienkach w oczekiwaniu, co ja powiem i w namyśle co ma odpowiedzieć. Aż nareszcie przybyli poczciwi Duninowie. Zabierałem się nazajutrz zdjąć ciężar z serca. Ktoś kiedyś mówił mi, że ziele tatarskie smażone w cukrze, zająkliwym daje łatwą wymowę; — prosiłem więc Otolki aby raczyła udzielić mi na miseczkę tych słodkogorzkich środków rozwiązania mego języka. Całą noc układałem co miałem powiedzieć i jakiemi wyrazami wywołać wyrok jéj łaskawy. Wiem, że w ułożonéj przemowie było wiele piękno-brzmiących i czułych słówek; powtórzyłem je sobie po dwakroć; — a jednak na drugi dzień o 10-téj rano, gdy siadłem na krześle, przy krosienkach, na których Otolka haftowała poduszkę dla brata, z pięknym psem legawym, gdy odchrząknąłem dwa razy, a na ten znak Duninowie zręcznie odprowadzili wuja do drugiego pokoju, ja zaś

zostałem sam na sam z moją Otolką i miałem swobodne pole popisania się z wymową i układanemi słówkami oświadczeń; — pomimo potężnéj ilości zjedzonego ziela tatarskiego, język skołowaciał mi w ustach, i tylko urywane wymknęły się wyrazy: — „Czekam twego wyroku Otolko!“ — Oto wszystko, co wybąknęły usta. Ona odrzekła mi przytłumionym głosem: — „Niech Papa decyduje.“ — Upadłem jéj do nóg, przycisnąłem rękę do serca, i szybko wstając, wywróciłem krzesło, na którem wprzód siedziałem. Z zapartym tchem poszedłem do drogiego wuja. — On mię przycisnął do serca ze łzami; — i ja zapłakałem z radości i wzruszenia. — „Źle zrozumiałeś list mój, Michale, rzekł do mnie wuj drogi; ja chciałem ci tylko przedstawić, że majątek Otolki szczupły, i że to może niedosyć dla ciebie.“ — „Wuju mój drogi! ja wiele nie potrzebuję, a pracować przywykłem.“ — Wuj poszedł do Otolki, zapytał ostatecznie o jéj wolę. Na powtórne przyzwolenie, powtórnie do nóg jéj upadłem, i byłem szczęśliwy, jak nigdy w życiu; — a mogłem być nim przed półtora rokiem, gdyby nie usłużni pośrednicy.

Siostra moja, na list wysłany przezemnie, przybyła do Ławrynowiec, i dnia 21 stycznia 1854 roku, zamienialiśmy pierścionki nasze Pięcioletni Dyzio, widząc taką krzątaninę w domu, widząc, jak po zamianie pierścionków, pocałowałem nogi wuja mego, a potem mojéj narzeczonéj, z głosnym płaczem zawołał: — „Czy już się pożenili?“ — Wziąłem go na kolana, uściskałem serdecznie to dziecię, które teraz Bóg i matka powierzają mi; a odtąd byliśmy na stopie poufałéj zażyłości. — Wuj mój sporządził tabliczkę genealogiczną rodu naszego i stopnia pokrewieństwa: napisał do biskupa swoje zezwolenie, na którem dobrowolną wolę

własną dopisała Otolka, i niebawem wyjechałem do Żytomierza, aby przez biskupa i konsystorz przesłać naszę prośbę do Ojca św. o despensę; byliśmy bowiem w 3-cim stopniu pokrewieństwa z przyszłą żoną moją.

W Gizowszczyznie, którędy przejeżdżałem, uwiadomiono mię ostrożnie, że brat mój Seweryn, stracił jednę córeczkę ze szkarlatyny. Trzy córek mieli braterstwo moi, Sewerynowstwo. Ona sama, najszlachetniejszych uczuć, najtkliwszą była mi siostrą. Każde powodzenie moje, tak ją głęboko obchodziło, jakby los własnego jéj męża, jak najdroższego jéj brata. Odpłacałem też jéj braterską miłością i przywiązaniem do jéj córeczek, jakby do własnych dzieci moich. Dwie starsze, Karolka i Celina, żywych objęć, wesolutkie jak małe koteczki, garnęły się do mnie najtkliwszem przywiązaniem; radością serdeczną witały przybycie moje; smutkiem żegnały mój odjazd. — Celineczka siadywała na moich kolanach, i z cierpliwością niezwykłą słuchała opowiadań i wierszów, które ją uczyłem. Tysiąc pociech miałem z jéj wesołego dowcipu i pojętności; a że podobna była do ciotki swojéj Celiny Boguskiéj, nadzwyczaj ją lubiłem. Dowiedziawszy się o stracie naszéj wspólnéj, choć nie wiedziałem jeszcze którą z córeczek Bóg powołał do siebie; nająłem konie w Lubarze, i pospieszyłem podzielić płacz i boleść drogich mi braterstwa. — Wiadomość była prawdziwa! Biedna Celinka, po dwóch dniach cierpień, zasnęła w Bogu. — Zastałem rodziców strapionych, płaczących nad śmiercią jednéj córki i nie odstępujących łoża na którem najmłodsza Kamilka walczyła z taką samą chorobą. Po dwóch dniach bawienia u brata, ze ściśnionem sercem sprzecznemi uczuciami, bo przyszłem szczęściem mojem, i śmiercią kochanéj synowicy, pojechałem do

Żytomierza. — Celinka ciągle stała mi na myśli; — i w kilka dni, gdy samotny w mieście oczekiwałem skutku kroków moich o dyspensę, napisałem na tę bolesną dla nas stratę:

Śmierć Celinki.

Sam przed sobą tęskny kryję,
Że Celinka już nie żyje.
Ranną dobą, nocną dobą,
Ja wciąż widzę ją przed sobą:
Krasne liczko, białą głowę
I usteczka koralowe,
Widzę, ścigam ją oczyma,
Chcę dogonić, prężę dłonie,
I cień tylko marny gonię,
I pomyślę: już jéj niema!

Byli przy niéj gdy umarła,
Gdy się bladość rozpostarła
Na jéj czoło tak pogodne
Na jéj lice tak urodne:
Białe wdzieli jéj sukienki,
Położyli do trumienki,
I tam leży pogrzebiona!
A jednakże na jéj grobie
Gdybym stanął, powiem sobie:
„Być nie może! — to nie ona!“

Zadumany, późnym mrokiem,
Z myśli, marzeń mych natłokiem,
Po pokoju smutny chodzę: —
Coś zatętni po podłodze; —
Mnie się zdało że to ona
Próżnym strachem przelękniona.
Biegnę prędzéj za szelestem:
— „Celineczko! — to ja jestem!“

W tem myśl straszna mię zatrzyma:
Kogo wołasz? bezrozumny!
Chyba ci się ozwie z trumny!
To nie ona! jéj już nie ma!

Na kolana padam z płaczem.
Więc jéj nigdy nie obaczem? —
Ojca trawi boleść cicha,
Matce źródło łez wysycha:
„Panie, Panie, wróć nam dziecię!“
— Na krzyż patrzaj! — głos rzekł duszy:
Męka Boża, ból twój skruszy.
Jest za grobem drugie życie;
Tam ją kiedyś obaczycie.

W Żytomierzu nad spodziewanie zastałem nowe rozporządzenie, przysłane biskupom od Stolicy Apostolskiéj. Z przyczyny trudności otrzymania dyspensy do mających się zawierać związków małżeńskich między pokrewnemi, wiele odszczepieństw miało miejsce, Katolicy przechodzili na wiarę grecką, byle nie ponosić kosztów przy podawaniu prośby o dyspensę aż do Rzymu. Uwiadomiony o tem Ojciec św., upoważnił biskupów do dawania dyspensy krewnym 3-go i 4-go stopnia. Ja byłem pierwszy, który na mocy tego rozporządzenia, dostałem od biskupa pozwolenie zawarcia ślubu z krewną moją w 3-cim stopniu, Otoliną; — i wygotowanie téj dyspensy kosztowało mię tylko pięć rubli, danych w kancelaryi; gdy przedtem setkami rubli wydawano niekiedy w konsystorzu na opłacenie prałatów i koszta przesyłki do Rzymu.

Z otrzymanem pozwoleniem, wyjechałem natychmiast do Ławrynowiec. Wuj mój i narzeczona, naznaczyli termin naszego ślubu na maj. — Tymczasem ja przedstawiałem narzeczonéj mojéj, że tak późno naznaczony obrzęd, pociągnie niepotrzebne koszta i dla mnie i dla ojca; że trzeba będzie sprosić kilkanaście osób z familii, występować z końmi, powozem, obiadami etc. — Żeby uniknąć niepotrzebnych wydatków, mógłby się odbyć ślub cichy, gdzie jedynemi świadkami byliby domowi, ojciec i siostra. — Otolka odwołała się do ojca; — ojciec nasz kochany, uznał słuszność moich przedstawień. Niechcąc jednak sam rozstrzygać, zdał to na los: — napisał dwie karteczki; na jednéj *ślub jutro*, na drugiéj *potem*, i dał je do wyciągnienia małemu Dyziowi, odtychczas synowi naszemu. Dyzio zagłębił rękę w kapelusz, a ja przez ten czas odmawiałem modlitwę, aby Bóg przyspieszył chwilę mego szczęścia. Dyzio wyciągnął karteczkę z napisem: *ślub jutro*, — i Otolka z siostrą wyjechały zaraz do Zasławia dla spowiedzi. Znalazłem się i ja z niemi tego samego wieczora. Nazajutrz rano ksiądz Szacki odmówił nad nami modlitwę, wyspowiadał nas i pojechał zaraz do ojca aby dać nam ślub. Dawny przyjaciel domu pan Salery i ekonom Krajewski byli świadkami. Dyzio z własnego natchnienia ukląkł koło matki przy ołtarzu urządzonym; za nami klękał, za nami wstawał; — i w obliczu Boga, poprzysięgliśmy sobie wiarę dozgonną. — W parę dni potem, wyjechałem dla ułożenia się z krewnym moim, Ignacym Ilińskim o dzierżawę wsi Kalenicz; a we dwa miesiące potem, jużeśmy we własnym domku rozpoczęli życie szczęścia nieprzerwanego, tylko samą słabością moją po czterech latach.

Nie miałem wyobrażenia ani gospodarstwa, ani życia wiejskiego. Jednakże pola były zasiane, potrzebne narzędzia kupione; — i zieleniała na polach naszych posiana przezemnie jarzyna. — Ranek, zajmowałem się Dyziem; uczyłem go czytać, potem pisać; i te pierwsze początki odemnie odebrał. Na przechadzkach opowiadałem mu historyę naszego narodu; wyuczałem niektóre frazesa bawiące, i tak schodziły nam dnie rozkoszne i wieczory.

W dwóch pierwszych latach, moja żona miała mię uszczęśliwić dwojgiem dziatek. Niestety! pierwsza córeczka, tylko ośm godzin żyła; — potem synek martwy przyszedł na świat; — i drżałem o zdrowie Otolki po tak nieszczęśliwym wypadku. Wola Boża dotknęła mię potem niemocą nóg; — i oto dwa lata poddaję się Świętéj Jego woli, błagając Go tylko, aby mi pozwolił tyle być na świecie przynajmniéj ile potrzebuje Dyzio moich starań, abym Jego ukształceniem zapłacił żonie mojéj drogiéj za jéj trudy i niezachwiane przywiązanie dla mnie. Nieśmiało ważę się mieć ufność w miłosierdziu Pańskiem, że mi jeszcze pozwoli doznać tych dni rozkosznych, abym w pełnem zdrowiu zajął się jeszcze gospodarstwem naszego mienia i czuwaniem nad wiotkim wiekiem Dyzia, który dochodząc do lat młodzieniaszka, coraz tkliwszéj opieki, coraz większego czuwania wygląda odemnie. — A wszakże, nie moja, ale Twoja Panie wola niech się dzieje nademną!

KONIEC.